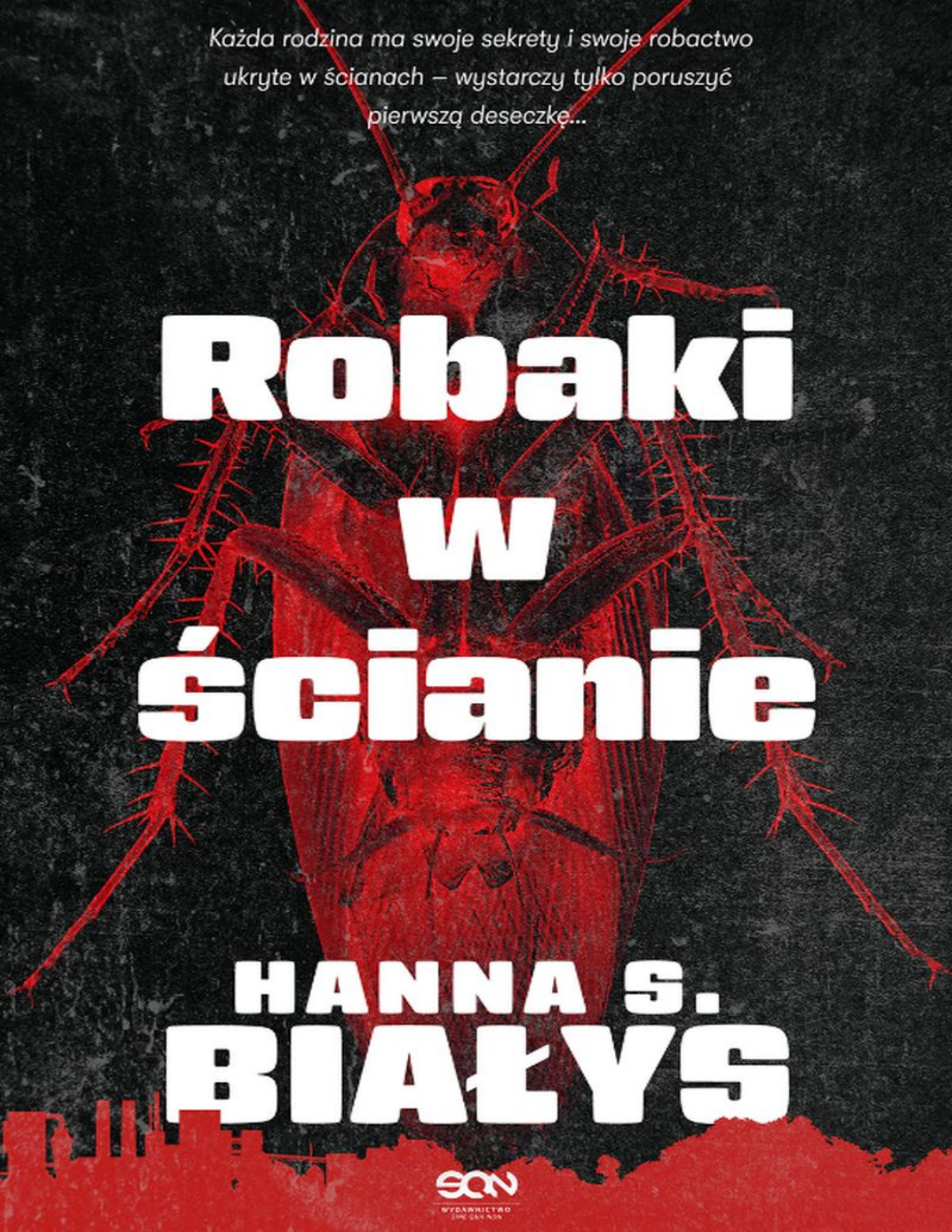


Każda rodzina ma swoje sekrety i swoje robactwo  
ukryte w ścianach – wystarczy tylko poruszyć  
pierwszą deseczkę...



# Robaki w ścianie

HANNA S.  
BIAŁYS

SON

WYDAWNICTWO  
ZIMNY ŚNIEG

# **Robaki w ścianach**

**Kraków 2024**

**HANNA S.  
BIAŁYŚ**



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce

Copyright © by Hanna Szczukowska-Białys 2024  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2024

Redakcja – Ewa Cat Mędrzecka  
Korekta – Aneta Wieczorek, Kornelia Dąbrowska, Grzegorz Krzymianowski  
Projekt typograficzny i skład – Kasia Kotynia  
Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl  
Zdjęcia na okładce – supirloko89/Shutterstock, Mr.Yankittaphak Phoyalo/Shutterstock

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,  
niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików. Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!  
Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2024  
ISBN mobi: 9788383301617  
ISBN epub: 9788383301624



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Julia Siuda, Zuzanna Pieczyńska

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda,  
Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska, Kamila Piotrowska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan  
Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

**[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)**

**[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)**

**[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)**

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

*Mojemu Mężowi – Markowi Białysowi*

*„Jeśli pozwolisz, by robactwo się rozmnożyło – rodzą się prawa robactwa. I rodzą się piewcy, którzy będą je wystawiać”.*

Antoine de Saint-Exupéry

Poniedziałek, 7 X 1996 r.

## Prolog

Odkąd Agata w zeszłym miesiącu opuściła oddział zamknięty Szpitala dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych w Świeciu, ciągle zastanawiała się, czy sobie poradzi. W placówce czuła się bezpiecznie, miała przez cały czas opiekę, a jej dzień układał się według harmonogramu – posiłków, terapii, zajęć dodatkowych i spacerów po parku. Niby te nowe leki okazały się najbardziej skuteczne ze wszystkich, które brała do tej pory, ułatwiały funkcjonowanie, dodawały jej pewności siebie i nie otępiały, mimo to odczuwała silny niepokój. Miała trzydzieści trzy lata, jednak ostatnią dekadę spędziła głównie w łóżku podczas stanów depresyjnych, na zmianę śpiąc i płacząc w poduszkę, dostając ataków hysterii przy kolejnych urojeniach albo lądując po ponownej próbie samobójczej właśnie w Świeciu. Minęło sporo czasu, zanim zdiagnozowano u niej schizofrenię paranoidalną, a jeszcze więcej, nim dobrano odpowiednią farmakoterapię. Najtrudniej chyba było jej się pogodzić z tym, że osoby i zdarzenia, które widzi, są tylko wytworami jej umysłu.

Omamy.

Nie znosiła tego ohydneho słowa, które tak spłaszcało jej bogaty wyobrażony świat i bliskie Agacie osoby. Może i żyły tylko w jej głowie, może je zmyśliła i nie istniały naprawdę, ale innych

przyjaciół nie miała. A odkąd wprowadzono jej stałą terapię farmakologiczną, wszyscy jej urojeni przyjaciele odeszli, zniknęli. Została sama jak palec. Teoretycznie mogła dziś funkcjonować samodzielnie w społeczeństwie, nadawała się do wykonywania prostej pracy, której od jakiegoś czasu szukała, nie stanowiła niebezpieczeństwa dla siebie czy innych, a rodzice odetchnęli z ulgą, ale ona czuła się nieszczęśliwa i zagubiona, jakby nie pasowała do tego świata normalnych, zdrowych ludzi.

Przypomniała sobie swój pierwszy atak choroby. Od tego czasu wydarzyło się tak wiele, że nie potrafiła przypomnieć sobie, jak wcześniej wyglądało jej życie. Schizofrenia wdarła się do jej domu, zmieniając codzienność w piekielną wegetację.

Siedziała przy biurku, gdy do pokoju wszedł jej ojciec i zapytał, z kim rozmawia. Zaśmiała się wówczas i odpowiedziała, żeby się nie wygłupiał, bo przecież sam wpuścił jej gościa do domu. Obie z Magdą śmiały się w głos, a koleżanka puściła do niej oczko i wyszeptała, że zazdrości jej takiego fajnego i dowcipnego taty. Wszystko wyglądało sielankowo, tylko zachowanie ojca wydawało jej się niezrozumiałe. A potem pamiętała rozmowę z pewnym mało przyjemnym psychiatrą, który trzy razy podkreślił surowym tonem, że nie powinna więcej rozmawiać z Magdą.

W jej mrocznym, wykolejonym życiu świeciło tylko jedno słońce. Dwa lata temu, po kolejnym wyjściu ze szpitala, rodzice kupili jej psa – owczarka niemieckiego, którego nazwała Przyjaciół. Prezent, jakby na potwierdzenie słuszności wyboru imienia, okazał się najlepszym przyjacielem, jakiego mogła sobie wymarzyć. Nie oceniał jej, nie uznawał za nienormalną, nie patrzył na nią przez pryzmat choroby, z litością, współczuciem czy odrazą. Interesowały



go spaceru, zabawa, smakołyki i rzucanie kija, a nie to, czy wzięła leki, czy myśli o samobójstwie albo czy ma przetłuszczone włosy, których od tygodnia nie miała siły umyć. Przyjaciel dawał jej mnóstwo ciepła, a żadna terapia nie działała na nią tak kojąco, jak przytulenie się do gęstego psiego futra. Dodawał jej odwagi – i to głównie z tęsknoty za ukochanym psiakiem dała radę po raz kolejny opuścić szpital. Od tego dnia spędzała cały czas z Przyjacielem i tylko z nim przy boku czuła się na tyle bezpiecznie, aby wyjść z domu.

Spacerowali teraz leśną drogą za osiedlem domków jednorodzinnych przy bydgoskich Glinkach. Czworonóg wąchał każdą kępkę trawy i każde drzewo. Pewnie niedawno szła tędy jakaś psia Sharon Stone. Agata pozwalała psu na to – przynajmniej on jeden z ich duetu cieszył się życiem, a psia beztroska i radość udzielały się także jego pani. Poza tym nigdzie jej się nie spieszyło. Lubiła przyrodę, świeże powietrze i spokój z dala od zgiełku osiedla, hałaśliwych ulic czy ludzkich domostw. Przyzwyczaiała się do braku towarzystwa w realnym świecie. To wymyślonych osób jej brakowało i to za nimi szczerze tęskniła.

Las gęstniał, a o tak wczesnej porze nie było tutaj żywej duszy.

Niespodziewanie Przyjaciel zaczął ciągnąć coraz mocniej w głąb lasu. Agata najpierw próbowała zatrzymać psa, ale nie miała szans, bo zwierzę okazało się zbyt silne. Owczarek w końcu wyrwał jej z ręki smycz i pobiegł dalej między drzewa. Szybko straciła psa z oczu. Przedzierając się przez coraz gęstszą roślinność, pędziła z całych sił w stronę, w którą pobiegł, ale po Przyjacielem nie było ani śladu. Wołała głośno pupila i gwizdała, ale bezskutecznie. Wystraszyła się i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem znowu nie ma urojeń. Usłyszała jednak szczekanie. Chwilę później dobiegła do miejsca,

gdzie zatrzymał się owczarek. Stał nieruchomo, warczał i ujadął, a sierść na grzbiecie zjeżyła mu się w napiętą jak struna pręgę. Właścicielka nie widziała do tej pory u niego takiego zachowania. Spojrzała odruchowo na to, co wywołało taką reakcję u jej psa.

W tym momencie cały koszmar powrócił. Oddech, już i tak znacznie szybszy po biegu, jeszcze bardziej przyspieszył, a serce w piersi biło jak oszalałe. Pomyślała, że nigdy się nie uwolni od schizofrenii. Choroba determinowała jej życie, zabierała wszystkie dobre elementy po drodze niczym powódź, zostawiając po sobie wyrwane korzenie stabilności. Zmyślona postać znów stała się tak realna, że mogła do niej podejść i jej dotknąć. Wszystko zaczynało się od nowa. Strach przed nawrotem choroby, kolejnym pobytem w szpitalu, następnymi próbami leczenia, otępieniem, bólami brzucha, wymiotami, chudnięciem, rozczarowaniem i smutkiem w oczach rodziców. Tak bardzo nie chciała tego znów przeżywać, nie miała już siły...

Wzięła głęboki oddech i spróbowała uspokoić serce w galopie, wiozące już w swoim siodle atak paniki. Jak to możliwe, że przy tak silnych i dobrze dobranych lekach ciągle ma zwidy? Przecież czuła się dobrze, to niemożliwe, żeby nagle farmaceutyki przestały działać! Coś się nie zgadzało.

Próbowała się uspokoić, skupić na tym, co widzi, i zracjonalizować ten obraz, tak jak radziła jej ta miła młoda lekarka ze Świecia. Pierwsza, której zaufała.

Kogo widzi? Kto to jest?

Nigdy nie miała takiej wizji, nie знаła tej osoby, którą miała przed sobą, nie przyjaźniła się z nią. Nowy omam? Dziwne.

Przyjaciel zaczął jeszcze głośniejsz warczeć, szczerząc kły i podchodząc jednocześnie bliżej swojej pani, jakby chciał zapewnić, że ją obroni. Agata schyliła się powoli i podniosła z ziemi rączkę smyczy.

Spojrzała na psa i pogłaskała go z czułością.

– Już dobrze.

Miękka, gęsta sierść w kolorze czerni i podpalanego brązu łagodziła strach. Przyjaciel polizał ją po dłoni, jak gdyby pragnął powiedzieć, żeby się nie martwiła.

– Zaraz, zaraz! – Spojrzała ponownie najpierw na psa, a następnie na omam. – Ty też to widzisz, Przyjacielu!

Kiedy zrozumiała, że obraz przed nią jest prawdziwy, najpierw ucieszyła się i odetchnęła z ulgą, ale po krótkiej chwili dotarła do niej nowa fala przerażenia. Zaczęła krzyczeć i z całych sił przytuliła psa. Mogła już wcześniej rozpoznać, że to rzeczywistość. Straszliwa, makabryczna, ale rzeczywistość.

Nigdy bowiem jeszcze w swoich wizjach nie widziała martwej osoby.

A mężczyzna przed nią z pewnością nie żył.

Jego półnagie ciało wisiało przywiązane za ramiona do gałęzi dębu. Całą powierzchnię skóry pokrywały drobne, nabrzmiałe skaleczenia z zaschniętymi strużkami krwi. Ale to nie one dawały Agacie stuprocentową pewność, że mężczyzna nie żyje, tylko to, co zobaczyła na szyi. Głowa, odchylona do tyłu, odsłaniała głęboką ranę. Cięcie było tak długie, jakby głowa mężczyzny miała zaraz odpaść.

Nigdy nie myślała, że tak się stanie, ale oto po raz pierwszy w życiu wolałaby, aby obraz przed nią stanowił wytwór jej wyobraźni, a

nie realną postać.



# 1

Brudnoszary blok na bydgoskich Wyżynach kolorystycznie idealnie wtapiał się w ołowiane niebo. Nie wyróżniał się niczym spośród otaczających go budynków. Ot, kolejne szare miejskie blokowisko z lat osiemdziesiątych. Smutny pomnik poprzedniego ustroju.

Komisarz Marek Bondys zamknął ciemne drewniane drzwi, poprawił torbę na ramieniu i zszedł na dół pięćdziesięcioma sześcioma schodami. Liczył stopnie, odkąd pamiętał. Zresztą nie tylko stopnie. Lubił liczyć. Albo musiał. Wolał jednak myśleć, że robił to, bo chciał.

Wychodząc z klatki, wdepnął w kałużę. Spojrzał na mokry but, wzruszył ramionami i poszedł dalej. Wsiadł do swojej czerwonej toyoty starlet, zaparkowanej przy chodniku. Dziesięcioletniej toyoty. Zapalił papierosa. Trzeciego dzisiaj. Zmrużył oczy i spojrzał przed siebie. Wydmuchał dym przez okno.

W tle, za lasem, snuły się po niebie smugi dymu w różnych odcieniach szarości – od brudnej bieli poprzez popiel i stal aż do smolistej czerni – dochodzące z kominów Zachemu. Bydgoskie zakłady chemiczne Zachem zdążyły przez lata okryć się wyjątkowo złą sławą. Były producentem materiałów wybuchowych i amunicji

dla Wehrmachtu w czasach, kiedy Bydgoszcz była jeszcze niemieckim Brombergiem. Później stały się największym truciścielem środowiska i zagrożeniem chemicznym dla miasta. Śmiertelne wypadki, wybuchy i skażenia notorycznie zdarzające się przez kolejne lata sprawiły, że bydgoszczanie znienawidzili Zachem. Postawione na początku lat osiemdziesiątych przy głównej bramie tablica i krzyż upamiętniające dziesiątki tragicznie zmarłych pracowników uświadamiały, że nie jest to zwyczajny zakład pracy. Straszły przestarzałe instalacje i zardzewiałe konstrukcje, częściowo nieremontowane od czasów wojny i w każdej chwili grożące zawaleniem. Składowanie niebezpiecznych odpadów, regularne zatrucie Wisły ściekami chemicznymi i do tego podwójne ogrodzenie z drutu kolczastego powodowały, że fabryka wzbudzała odrazę, lęk, ale też respekt. Z drugiej strony jednak dawała tak potrzebną pracę i utrzymywała tysiące bydgoskich rodzin.

Bondysowi Zachem pod wieloma względami przypominał jego ojca – zamkniętego w sobie gburę, alkoholika, momentami brutala, wiecznie z papierosem i tanim piwem albo wódką w ręku. Ojca poniewierającego matkę, czasem karzącego skórzanym paskiem jego i siostrę. Ale też ojca, który harował właśnie w Zachemie, również nocami, wśród szkodliwych chemikaliów i w piekielnej temperaturze – tylko po to, aby móc utrzymać rodzinę. Ojca, który po całodziennym harówce potrafił odrobić jeszcze lekcje z dzieckiem albo naprawić zlew w domu. Bondys jednocześnie nienawidził i kochał ojca – tak jak bydgoszczanie nienawidzili i kochali Zachem.

Przekręcił kluczyk i ruszył. Dojechał do ulicy Szpitalnej, następnie skręcił w Wojska Polskiego. Zachemowskie fabryki zostały

teraz za nim, tak jak wspomnienia związane z ojcem, zamknięte w szafie przeszłości. Przejechał pod kładką dla pieszych, zwaną ostatnio mostem samobójców, ze względu na upodobanie sobie tego miejsca przez żegnających się z życiem. Komisarz nie rozumiał, jak można się zabijać w tak durny i egoistyczny sposób. Wysokość kładki sięgała najwyżej czwartego piętra bloku, a więc nie dawała gwarancji śmierci na miejscu. Istniało spore ryzyko połamania kręgosłupa czy kończyn i przykucia się do wózka na resztę życia, a nikt nie chce być kaleką, nawet samobójca. Ponadto ktoś musi znaleźć ciało takiego samoluba, a w tym miejscu, na środku osiedla, to mogła być starsza pani albo matka z dzieckiem, wracająca z pobliskiego rynku. Czy rozplaszczony nastolatek z nienaturalnie wykrzywionymi kończynami i rozbitą na krwawą miazgę czaszką to naprawdę widok, na który te niewinne osoby trzeba narażać? Przecież ten obraz zostanie z nimi na zawsze, będzie wracał w postaci nocnych mar i zatruwał im umysły.

„Kurwa, nie można jakoś bardziej dorośle ze sobą skończyć?!”, pomyślał Bondys. Na przykład powiesić się jak porządny samobójca z problemami, we własnym mieszkaniu, a chwilę wcześniej zadzwonić na policję lub pogotowie? Tam pracują osoby przyzwyczajone do widoku zwłok. Spiszą protokół, zabezpieczą ciało i po sprawie. Po co narażać przypadkowych ludzi i fundować im taką traumę? Za egoistów komisarz uważał również ludzi rzucających się pod pociąg. Marek znał kiedyś maszynistę, który trafił na długotrwałą terapię i zrezygnował z zawodu właśnie przez tych zabijających się egocentryków. Śniły mu się potem po nocach ich twarze i rozczłonkowane ciała, wyglądające jak po przemienieniu przez maszynkę do mięsa. Mielone samoluby.

Dźwięk klaksonu wyrwał Bondysa z rozważań. Kierowca za nim dawał mu w ten sposób znać, że światło bardziej zielone już się nie stanie. Komisarz ruszył. Drażniła go większość dźwięków, ale klakson nawet lubił. Tak jak lubił okrzyki kibiców Zawiszy wracających z meczu, dźwięk odbijanej o szczyt bloku piłki czy szczekanie psa. To były dźwięki jego miasta. Hałaśliwe, irytujące, ale jednocześnie spójne, konsekwentne, dające poczucie przynależności do miejskiej maszyny.

Bondys mieszkał w Bydgoszczy od urodzenia i przez te czterdzieści dwa lata życia zdążył zżyć się z miastem i pokochać je z wzajemnością, na swój ciężki i surowy sposób. To była brzydka miłość. Ale miłość.

Przejeżdżał właśnie mostem Pomorskim nad Brdą. Do komendy zostało tylko kilka minut drogi. Spojrzał przez lewą szybę na wierzby i olchy gęsto porastające brzeg rzeki. Ktoś wyrzucił tam kilka opon i jakieś śmieci, których nie mógł dojrzeć z tej odległości. Bulwarowym chodnikiem spacerował młody mężczyzna i pchał wózek inwalidzki, na którym siedziała starsza kobieta opatulona kocem. Poranki bywały już naprawdę chłodne, a nad rzeką dodatkowo mocno wiało.

I znów Bondys przed oczami ujrzał te same sceny. Jak migawki filmowe przewijały się jedna za drugą. Te same od lat. Noc. Deszcz. Czarne drzewa za oknem i ich gałęzie złowrogo szarpane wiatrem. Pijany ojciec śmierzący fajkami. Awantura. Robocze ubranie ojca z Zachemu. Krzyki matki i siostry. I wszystkie rzeczy, które wydarzyły się później.

No cóż, nie miał beztroskiego dzieciństwa, ale to były takie czasy. Ciężkie, szare, przytłaczające, którym towarzyszyli czterej jeźdźcy



powojennej polskiej Apokalipsy – bieda, choroba, alkoholizm i strach.

Odetchnął głęboko. Jechał dalej. Zapalił papierosa i zaciągnął się najmocniej, jak potrafił, tak żeby nikotyna dotarła wprost do płuc. Niemal czuł, jak trująca czernź wlewa się do jego wnętrzości.

Przyniosło ulgę.

Na chwilę.

Zaparkował pod komendą, poprawił okulary i nieśpiesznie udał się do pracy. Dzień jak co dzień. Jak całe jego życie. Chujowe, poszarpane, ale constans. Cenił sobie tę rutynę.

Czwartek, 6 VI 1996 r.

2

Boże Ciało w tym roku przypadało wcześniej – szóstego czerwca, zaledwie pięć dni po Dniu Dziecka. Robert Milewski miał skończyć osiemnaście lat dopiero za pół roku, ale już od dawna nie obchodził święta wszystkich dzieci ani nie czuł się jednym z nich. Właściwie, jak się nad tym dobrze zastanowić, to jego dzieciństwa od wielu lat nie sposób było nazwać beztroskim czy radosnym. Dlatego wolałby umrzeć jako osoba dorosła, nie jako siedemnastolatek, ale trudno – najwyraźniej tak musiało być. Umrze jako dorosły w ciele nastolatka.

Może gdyby jego tato żył, to wszystko wyglądałoby inaczej. Andrzej Milewski był szorstkim ojcem, ale Robert wiedział i czuł, że tata bardzo go kochał, mimo że nie mówił mu tego wprost. Spędzali ze sobą dużo czasu, razem oglądali bajki i malowali żołnierzyki, a potem ustawiali je do bitew na stole. Robert od dziecka lubił malowanie, lepienie figurek z plasteliny i inne prace ręczne.

Niestety, tata zmarł dzień przed jego dziesiątymi urodzinami. Wcześniej ciężko chorował. Robert obserwował, jak jego silny ojciec z dnia na dzień zmieniał się w szkielet z naciągniętą nań skórą. Rak jelita grubego. Andrzej Milewski nie miał żadnych szans. Umarł zaledwie cztery miesiące po diagnozie. Po śmierci ojca zbliżyli się do siebie z mamą, wspierali, opiekowali sobą i razem przeżywali stratę.

Stali się sobie bliżsi niż kiedykolwiek, połączeni niepisaną więzią wspólnego żałoby.

Do czasu.

Rok po śmierci ojca matka poznała Grzegorza Musiała, który szybko zainteresował się atrakcyjną wdową z własnym mieszkaniem. Wkrótce związał się z Marią Milewską, wprowadził do nich i od tego dnia życie Roberta zmieniło się diametralnie. Nowy partner matki nigdy formalnie nie został ojczymem dla swojego pasierba ani nigdy nie ożenił się z jego matką, gdyż zawsze powtarzał, że nie jest psem i żadnego kagańca nie da sobie na pysk założyć. Jednak nie przeszkadzało mu to dręczyć syna konkubiny na różne sposoby, to znaczy, jak sam zwykł powtarzać: czynnie uczestniczyć w jego wychowaniu. Zresztą swoją partnerką również miał w zwyczaju poniewierać.

Robert nawet nie pamiętał, kiedy ojczym uderzył go pierwszy raz i za co. To nie miało żadnego znaczenia. Już nie.

Dzisiaj na szczęście miał święty spokój. Kwadrans wcześniej matka z ojczymem wybrali się na procesję. Maria Milewska jako typowa polska katoliczka – wierząca, ale niezbyt często praktykująca – chodziła do kościoła kilka razy do roku. Na pasterkę, pośpiewać kolędy małemu Jezuskowi, ze strojnym koszyczkiem w Wielką Sobotę, no i na procesję Bożego Ciała, aby utrzyć nosa sąsiadce nową elegancką spódnicą, posłuchać plotek osiedlowych i pochwalić się konkubentem – że w ogóle jest, że trzeźwy w święto, że nie bije po twarzy, jak ten mąż Łuczyńskiej spod trójki, która ciągle z limem pod okiem chodzi.

Miał świadomość, że tylko on, jej syn, nie przynosił matce powodów do dumy. Ani w zawodach sportowych nie brał udziału,

ani wybitnie się nie uczył, ani nie interesował piłką nożną czy bójkami, jak porządny chłopak w jego wieku.

No i jeszcze najgorsze ze wszystkiego – na osiedlu mówili ostatnio, że podobno jest pedałem. Matka nawet z nim nie porozmawiała na ten temat, prawda chyba specjalnie jej nie obchodziła. Ważne, że tak mówili i musiała się za niego wstydzić. Po matczynej więzi z synem, która zrodziła się po śmierci ojca, nie zostało ani śladu. Robert nie mógł zrozumieć, dlaczego jego rodzona matka tak się zmieniła pod wpływem Grzegorza – przecież ten ani jej nie kochał, ani nie szanował.

Robert dowiedział się od swojego kolegi ministranta, że matka pytała nawet księdza, czy jakieś egzorcyzmy pomogą na to zboczenie, ale podobno kaznodzieja tylko pokręcił głową i doradził szpital psychiatryczny, żeby to choróbsko i żądze szatańskie wypłenić z niewinnej chłopięcej duszy. Potem podsłuchiwał, jak matka rozmawiała z ojczymem – wspólnie stwierdzili, że psychiatryk to jeszcze większy wstyd niż samo pedałstwo. Tak czy owak, na procesję wziąć Roberta nie chciała. Mówiła, żeby lepiej najpierw plotka o jego skłonnościach homo się rozmyła. Ostatnio, gdy wróciła od sąsiadki, to mówiła z wypiekami na twarzy, że piętnastoletnia córka Lenkowskich ze środkowej klatki jest w ciąży, w dodatku nie chce powiedzieć z kim, więc plotkarskie oczy osiedla powinny wkrótce zwrócić się na to niepokalane poczęcie nastolatki, a wówczas może matka znów zacznie się przyznawać do syna i pokazywać z nim publicznie.

Tylko że on nie będzie na to czekał.

Do kościoła Robertowi od jakiegoś czasu również nie było po drodze. Po śmierci ojca służył przy ołtarzu jako ministrant, ale

ostatnio rzadko bywał w domu bożym. Nie rozumiał, dlaczego miłosierny Bóg go takim stworzył, skoro według księdza proboszcza brzydził się nim. Dlatego powątpiewał w ogóle w istnienie Boga i nawet cieszył się, że nie musiał uczestniczyć w dzisiejszej procesji.

Teraz to i tak nie miało znaczenia. Dzisiaj miał głowę zajętą zupełnie czymś innym – swoją śmiercią.

Nie chciał już żyć, ale też nie chciał się byle jak zabić. To nieprawda, że samobójcom wszystko jedno, jak się zabijają, i że nic ich nie obchodzi w ostatnich godzinach życia. Bynajmniej! Ich własna śmierć właśnie bardzo ich obchodzi. Zazwyczaj się do niej dobrze przygotowują, całymi tygodniami czy nawet miesiącami obmyślają plan zabicia się, czekają na idealny moment i wówczas celebrują tę chwilę. Wymarzony koniec ziemskiego cierpienia, przejście w stan błogości i beztroski.

Robert najpierw chciał nałykać się tabletek nasennych matki i popić wódką ojczyrna, ale później zmienił zdanie z dwóch powodów. Po pierwsze, istniało spore ryzyko zwymiotowania trucizny i przeżycia. A po drugie – ważniejsze – postanowił zabić się po męsku. Kiedyś przeczytał w „Gazecie Pomorskiej” statystyki samobójstw w Polsce. Wśród kobiet dominowało podcięcie żył i połknięcie tabletek, za to mężczyźni zwykle wybierali powieszenie się lub skok z wysokości. Skoro nie potrafił żyć jak mężczyzna, to postanowił chociaż umrzeć po męsku. Żeby nie gadali, że zabił się jak baba czy jak ciota. I żeby wreszcie matka mogła być z niego dumna. Chociaż ten jeden jedyny raz.

Dlatego wziął sznurek. Konkretnie to kilka sznurowadeł związanych ze sobą porządnymi supłami. Sznurowadła zbierał od jakiegoś czasu i ciągle mówił matce, że zgubił albo przedarł kolejne.

Nawet się już nie wściekała, pogodzona z synem pedałem-ofermą. Różne barwy sznurówek, powiązanych w jedną całość, wyglądały jak kolorowy wąż wykonany przez przedszkolaka z papieru. Zacisnął jeszcze raz supły między sznurówkami, aby na pewno się nie rozwiązały w najważniejszym momencie.

Włączył muzykę. Nie miał odtwarzacza CD, więc wyciągnął ze swojej niewielkiej kolekcji mocno już sfatygowaną kasetę zespołu Metallica ...*And Justice for All*, włożył do magnetofonu i nacisnął play. Dzień wcześniej przewinał kasetę na swoją ulubioną piosenkę. Rozbrzmiały pierwsze gitarowe riffy. Niezwykle poruszał go utwór *One* i to przy nim chciał skończyć ze swoim życiem. Historia amerykańskiego chłopaka była mu tak bliska, jakby sam odczuwał ją na własnej skórze każdego dnia. Doskonale rozumiał tego nieszczęśnika, który zaciągnął się do armii podczas pierwszej wojny światowej i w wyniku wdepnięcia na minę stracił obydwie nogi, ręce, wzrok, słuch oraz zdolność mówienia. Ta historia przypominała mu jego własną klatkę życiową, z poczuciem bezsilności i desperackim wołaniem o pomoc, która nigdy nie nadeszła. James Hetfield opisywał w utworze, jak ów młody żołnierz budzi się w szpitalu z ogromnym bólem, nie może nic zrobić i wystukuje głową w alfabecie Morse'a błagalną prośbę o śmierć. Nie dokonano jednak eutanazji, skazano go na piekielne i dożywotnie uwięzienie w okaleczonym ciele.

Początkowo Robert chciał napisać długi list pożegnalny, wyjaśnić powody, uzasadnić, może też przeprosić, ale w końcu nabazgrał tylko kilka zdań. Nie chciał już się tłumaczyć i przeproszać za to, kim był. Przeproszał całe życie. Za wszystko. A najbardziej właśnie za to, jaki był.

Dosyć.

Kartkę położył na stole w kuchni.

Poszedł do swojego pokoju.

Stanął na krześle.

Zawiązał pętlę wokół szyi, a następnie przełożył sznur przez hak w suficie, na którym wisiała lampa. Szarpnął kilka razy ręką, upewniając się, że konstrukcja na pewno go utrzyma. Ważył niewiele ponad pięćdziesiąt kilogramów, więc nie powinno być problemu. Choć raz jego ciotowata waga, jak zwykł nazywać ją ojczym, przyda mu się do czegoś.

Wziął kilka głębokich oddechów.

Był spokojny, nie bał się.

I po raz pierwszy od dawna się uśmiechnął. Szczerze, szeroko, jak dziecko. Poczuł ulgę. Jakby wszystkie troski, żale i smutki ostatnich lat nagle wyparowały.

Spojrzał przez okno. Zobaczył ludzi idących z procesją Bożego Ciała, jednak nie obchodziła go ona. Nic go już nie obchodziło.

Wokalista Metallica ryczał: „*Hold my breath, as I wish for death*”. Robert w tym momencie też wstrzymał oddech i błagał o śmierć, tylko on – w przeciwieństwie do tego nieszczęsnego bohatera utworu – mógł spełnić swoje życzenie.

Zeskoczył z krzesła i mocno je kopnął. Poleciało aż pod drzwi pokoju.

Zdażył jeszcze pomyśleć, że tak wyglądało całe jego życie. Jak kopnięte przez kogoś krzesło, które leci w przypadkowe miejsce, i nikt nie schyla się, aby je podnieść.

Poniedziałek, 7 X 1996 r.

3

Stary metalowy kubek spotykał się z ziemią wiele razy, o czym świadczyły liczne odpryski na czerwonej emalii. Nad świeżo zaparzoną kawą unosiła się jeszcze para. Dla większości napój byłby za gorący, szczególnie pity z mocno nagrzewającego się metalowego naczynia, ale komisarz Bondys właśnie taką kawę lubił pić najbardziej. Gorącą, bez cukru, siekierę z trzech czubatych łyżeczek, parzącą w usta i rękę. Słabsze wersje postrzegał jako napoje kawowe bez walorów smakowych i efektu pobudzenia.

Okrągły zegar ścienny wskazywał dziewiątą rano, a Bondys zaczynał już swój drugi kubek smolistego naparu. Akurat dzisiaj był sam w pokoju, ale lubił swoje towarzystwo i nie czuł się z tym źle.

Wyjął z szuflady paczkę poznańskich, zapalił jednego i zaciągnął się, przymykając na chwilę powieki. Delektował się nikotyną wypełniającą jego drogi oddechowe. Wyobrażał sobie, że przez hektolitry wypijanej kawy i dziesiątki wypalanych papierosów zarówno przewód pokarmowy, jak i płuca ma już kruczoczarne. I dobrze się z tym czuł. Dopiero przy papierosie i kawie mógł zjeść śniadanie – pączka z różaną marmoladą z niewielkiej piekarni przy bloku. A najlepiej dwa pączki.

Kwadrans później porządkował papiery i układał do teczek zaległe sprawy, kiedy do biura wszedł jego wieloletni przyjaciel i



psycholog policyjny w Wydziale Kryminalnym – Aleks Kownacki. Marek miał głośno włączoną muzykę, więc nie usłyszał wejścia kolegi, dopiero zobaczył, jak ten macha do niego znad biurka. Od razu ściszył dźwięk. Słuchał głośno muzyki tylko gdy był sam. Nie chciał nikomu narzucać swojego upodobania do ciężkich brzmień i wyłącznie w samotności mógł naprawdę delectować się muzyką.

– Cześć! – zawołał Aleks, jakby jeszcze ciągle musiał przekrzykiwać głośną muzykę. Czasem wpadał rano do Bondysa przywitać się, zamienić kilka zdań i przynieść mu „Express Bydgoski”, który psycholog już zdążył przeczytać. – Jak ty możesz słuchać tego rżenia?

– Też cię miło widzieć. Cóż, nie jestem jakimś wybitnym fanem death metalu, ale od czasu do czasu lubię posłuchać utworów Cannibal Corpse. Chris Barnes ma naprawdę dobry wokal.

– Do-bry wo-kal? – Aleks podkreślił każdą sylabę. – Dobry wokal to ma Whitney Houston czy Edyta Górniak, a to jest charczenie mordowanego kota.

– Gwoli ścisłości to się nazywa growling i uwierz mi, że to też jest sztuka, tak charczeć.

Komisarz wcisnął stop, wyjął kasetę z magnetofonu i włożył do opakowania.

– O, Chryste!

Kownacki skrzywił się na widok okładki albumu *Butchered at Birth*, na której wesole, zakrwawione szkielety z oczami i siwymi włosami, ubrane w fartuchy rzeźnicze, odbierały poród, a w tle, na linkach do prania, wisiały rozwieszane martwe niemowlaki.

– Przyznaję, estetyka okładki jest specyficzna – powiedział komisarz z uśmiechem.

- Specyficzna to jest estetyka nowej sprzedawczynie w barze mlecznym przy Dworcowej – odparł zniesmaczony Aleks.

Marek zaśmiał się, przypominając sobie groźnie wyglądającą kobietę w kategorii wagowej Gołoty, z czarnym wąsem, która podając danie, ryczała na cały lokal: „Uprzejmie!”.

- A to jest ohydne – dokończył psycholog. – Ale mniejsza z tym. Powiedz mi, Bondys, jak to jest z tobą i tą ciężką muzyką?

- Co masz na myśli?

- No wiesz, pod kątem psychologicznym to jest ciekawe. Większość dźwięków cię wpienia, jakieś mlaskanie, smarkanie, chrapanie, ale nie wkurza cię, jak wałą w bębny, a gość zdziera krtań, jakby odprawiano nad nim egzorcyzmy?

Komisarz zastanowił się. Nigdy nie myślał o tym w ten sposób.

- Nie wiem, dlaczego tak jest, nie znam się na tym. – Wzruszył ramionami. – Anita mówiła, że prawdopodobnie mam lekką mizofonię.

- No tak, mizofonia, dosłownie nienawiść do dźwięków! – wykrzyknął Aleks, jak niepytany uczeń wyrywający się do odpowiedzi.

- Właśnie. Ponoć mizofoników drażnią tylko niektóre odgłosy, to taka wybiórcza nadwrażliwość na hałas. Dlatego mogę słuchać ciężkiej muzyki tak, że ściany się trzęsą, czy rozmawiać z głośno gadającym kolegą, ale nie trawię pociągania nosem, szelestu papierowej torby czy odgłosu gryzienia orzechów. – Bondys puścił oko do Aleksa, który ubóstwiał orzeszki ziemne.

- Tak, dzięki stary, zrozumiałem przytyk. To, co mówisz, brzmi logicznie. Anita była najlepsza na roku, więc wie, co mówi. Ale co do Anity... Macie jeszcze jakiś kontakt? Kupa czasu już minęła, może...

- Nie, nie mamy. - Komisarz ciężko westchnął. - To stara historia, nie chcę już do niej wracać.

- Nie chcesz wracać do tej historii czy do Anity?

Marek przewrócił oczami, ponownie westchnął i zapalił papierosa. Skinieniem głowy spytał, czy poczęstować przyjaciela, który popalał czasem w tajemnicy przed żoną, ale ten pokręcił przecząco głową.

- Oj, nie męcz, Aleks, to zamknięty rozdział.

- Przecież przez tyle lat byliście parą, może warto byłoby zadzwonić i spytać, co u niej słychać. - Kownacki spoważniał. - Przecież kochałeś ją. Zresztą, chyba nadal...

- Dla mnie ten temat to przeszłość. - Bondys przerwał Aleksowi w połowie zdania, wiedząc, do czego ten dąży. - Nie przeszkadza mi, że wy nadal macie ze sobą kontakt, ale ja nie chcę o niej słyszeć.

- Dobra, skoro nie chcesz o niej gadać, to nie męczę już buły. Wracam do siebie, trzymaj się!

Machnął ręką na pożegnanie i ruszył w stronę wyjścia.

Marek przez chwilę zamyślił się na temat swojej byłej partnerki, ale szybko oczyścił umysł z tego tematu.

Na biurku zadzwonił telefon. Komisarz podniósł słuchawkę po trzech sygnałach.

- Bondys. - Rozwijał palcem czarny kabel telefoniczny, który zawsze irytująco skręcał się i zapętleł. - Już jadę.

Oparł się wygodnie na krześle i dopalił spokojnie papierosa, patrząc na kłęby dymu rozchodzące się pod sufitem i w końcu znikające w coraz bledszej nicości, a następnie zgasił go w kryształowej popielniczce na parapecie. Pet nie miał zbyt wiele miejsca i musiał się ścisnąć w tłumie wypalonych pobratymców.

Komisarz dokończył jeszcze jeść drugiego pączka, strzepnął lukier z ust i wziął kilka sporych łyków kawy. Następnie wyjął z szuflady biurka swój czarny skórzany notes wraz z piórem i zdjął płaszcz z wieszaka w rogu.

Wyszedł powoli, nie miał gdzie się spieszyć.

Trup na niego poczeka.

Trupy zawsze czekają.



Dwa policyjne polonezy przyjechały pod las na bydgoskich Glinkach pół godziny później. Radiowozy zaparkowały po prawej stronie nieutwardzonej drogi, od ulicy Cmentarnej. Komisarz Bondys dotarł chwilę później i ustawił się za nimi. Spojrzał w lewo, gdzie za łąką wielkości boiska piłkarskiego znajdowało się osiedle domków jednorodzinnych. Z kominów gęstymi, cienkimi strużkami unosił się dym w różnych odcieniach szarości. W kilku miejscach czernił się smoliście, pewnie z powodu palenia opon samochodowych i wszystkiego innego. Na miejsce dojechała także karetka pogotowia i prokurator. Dochodziła dziesiąta, a jesienne słońce świeciło intensywnie, jednak nie miało szans z przejmującym chłodem właściwym tej porze roku. Marek wysiadł, zatrzaskał drzwi i szczerzej opatulił się połami brązowego prochowca.

Znajdowali się przy łące na skraju lasu. Od pobliskiej kaplicy, a właściwie baraku pomalowanego na czarno, dzieliło ich najwyżej dwieście metrów. Gdyby nie sporej wielkości krzyż nad wejściem, trudno byłoby zgadnąć, że ta szopa to kaplica. Bondys spojrzał na budynek i dojrzał w nim tylko jedno – zagrożenie pożarowe. Ktoś miał iście szatański pomysł, stawiając ten niewielki dom boży cały z drewna, jeszcze z tak niskim dachem. Jeśli stłoczeni podczas mszy

ludzie jakimś cudem nie spalą się żywcem w czasie potencjalnego pożaru, to z pewnością zaduszą się czadem, który będzie zbierał się dokładnie nad ich głowami. I kościół zyska całą rzeszę nowych męczenników.

Pomimo że osiedle było blisko, leżąca przy gruncie mgła, ściana gęstego lasu po prawej stronie i zarośnięta po pas łąka po lewej tworzyły złudzenie wyjątkowo odosobnionego miejsca. Między suchymi źdźbłami traw i na gałązkach krzewów majestatycznie wisiały pajęcze sieci ze srebrzącą się w słońcu rosą. Gdzieś na środku swoich tkackich dzieł siedziały dumne pająki z białymi krzyżami na odwłokach.

Nierówne, mocno zarośnięte podłoże utrudniało poruszanie się. Komisarz wysoko podnosił nogi, a i tak przejście kilkudziesięciu metrów zajęło mu dłuższą chwilę. W pewnym momencie zahaczył butem o korzeń, potknął się i omal nie upadł jak długi. Przeklął siarczyście pod nosem i wyjął paczkę poznańskich. Odwrócił się plecami do kierunku wiatru i próbował zapalić i utrzymać płomień, osłaniając papierosa i zapalniczkę dłonią. Za trzecim razem wreszcie mógł zaciągnąć się nikotyną, substancjami smolistymi i pewnie resztkami podkładów kolejowych. Przy okazji zauważył, że opakowanie, które otworzył dzisiaj zaraz po przebudzeniu, jest już niemal puste, co oznaczało, że wypalił blisko dwadzieścia sztuk w ciągu kilku godzin. Pomyślał, że to całkiem niezły wynik, nawet jak na wieloletniego nałogowca, ale nie była to głębsza refleksja – raczej stwierdzenie faktu. Palił od ponad dwudziestu lat. Palił dużo. Palił często. Lubił to i nie zamierzał przestać. Wychodził z założenia, że samo życie jest znacznie bardziej szkodliwe dla zdrowia niż nikotyna. W zależności od dnia, chwili i nastroju papierosy dawały

mu ukojenie, przyjemność, ulgę, pocieszenie, a czasem pretekst do zwykłego pogadania o niczym z kolegami z pracy.

Ruszył w kierunku drzewa, przy którym pracował technik kryminalistyki. Ogromny dąb zrzucił już z siebie większość tegorocznych żołądzi. Jeden z ostatnich dębowych owoców właśnie uderzył go w czubek głowy, po której komisarz odruchowo się podrapał. Przeszedł za drzewo i zobaczył miejsce, gdzie znaleziono zwłoki.

Przywitał się skinieniem głowy ze starszym technikiem – Antkiem Jasińskim, który akurat zabezpieczał ślady traseologiczne. Pracowali ze sobą już niejedną raz i Bondys szczerze cenił sobie tę współpracę. Technik należał do wąskiego grona spokojnych, wyważonych osób, a jednocześnie wykazywał się dużą wiedzą specjalistyczną.

Komisarz przyjrzał się ofierze.

Z odruchem wymiotnym na widok zwłok poradził sobie już dawno temu. Nauczył się patrzeć na ofiary zabójstw jak na kukły, obrastając nieludzką skorupą zimnego profesjonalizmu. Wiedział z doświadczenia, że jak tylko zobaczy w ofierze człowieka, zacznie wyobrażać sobie, co czuł przed śmiercią, jak się bał albo czy cierpiał – to będzie koniec. Znowu zaczną dręczyć go nocne koszmary, będzie jeszcze więcej palił, prawie nie jedząc, a przelewająca się w nim bezsilność, frustracja i poczucie niesprawiedliwości zatrują mu umysł niczym chmara żarłoczných robaków. Jednak co najgorsze – stanie się dużo słabszym śledczym. A na to nie mógł sobie pozwolić.

Zaczął więc zimno analizować to, co widział przed sobą, jak fotografię z podręcznika do kryminalistyki. Bez emocji, punkt po punkcie, ślad po śladzie.

Ciało mężczyzny wisiało przywiązane za ręce do gałęzi. Nogi zwisały tuż nad ziemią, czubkami palców dotykając gruntu. Głowa opadła bezwładnie do tyłu, ukazując poderżnięte gardło zionące rozwartą raną.

Komisarz obserwował dalej i zapamiętywał obrazy. Muskularna postura. Opalone, zadbane ciało. Wiek: około trzydziestu, może trzydziestu pięciu lat. Krótko ostrzyżony. Otwarte oczy wpatrujące się w niebo martwym wzrokiem.

Uwagę Bondysa zwróciły przede wszystkim dziesiątki, a może setki drobnych, zaognionych rozcięć pokrywających całe ciało. Denat wyglądał, jakby zaatakowały go olbrzymie krzaki róż, ale jednocześnie rany rozkładały się regularnie i były równej długości. Obrażenia skojarzyły się komisarzowi z ułożonymi w jodełkę klepkami podłogowymi. Ofiara została przywiązana i rozebrana do bielizny. Na środku piersi sprawca wyciął cienkim ostrzem napis. Cztery litery układały się w jeden wyraz.

– Homo – wychrypiał cicho, odkaszlnął i wypluł fragment bibuły z papierosa.

Technik przewrócił oczami.

Pod literami czerwieniły się zaschnięte strużki krwi.

– Wiadomo coś? – spytał Antka.

– Żadnych odbitek linii papilarnych, nie widzę naskórka pod paznokciami. Trochę śladów butów, damskich i męskich, ale to może być przypadek, w końcu to ścieżka leśna. I kilka kropel krwi na dłoni. – Pokazał palcem miejsce na ręce ofiary. – Może nie pochodzą od denata, zobaczymy.

– Kiedy mógł zginąć? – Marek przyglądał się zwłokom. – Wczoraj?

– Myślę, że wcześniej. Może z półtorej doby temu.



- Sobotni wieczór. - Zanotował. - To, jak zginął, wydaje się oczywiste.

Technik wstał, pokiwał głową i wpatrywał się wraz z komisarzem w sporą ranę na szyi.

- Tak, przyczyna zgonu zostanie potwierdzona po sekcji, ale już po pierwszych oględzinach widać, że ktoś poderżnął denatowi gardło.

Bondys rozejrzał się dookoła.

- Ale z tego, co widzę, nie tutaj.

- Nie, zdecydowanie za mało krwi. - Technik pokręcił głową. - Zresztą widać niewyraźne, ale jednak ślady wleczenia. Prowadzą do tej nieutwardzonej drogi, niestety tam jest mnóstwo śladów po oponach, a pogoda też nam nie sprzyja, mamy błoto.

- A te rany na nadgarstkach? Skrępowano go przed śmiercią?

Bondys zadarł głowę i wskazał na ręce mężczyzny. Na przegubach obok sznura wyraźnie odznaczały się liczne czerwone pręgi.

- Tak, myślę, że denat był wcześniej również związany przez dłuższy czas, prawdopodobnie dość grubym sznurem.

- Coś jeszcze?

Komisarz przyglądał się dokładnie ciału, trzymając papierosa tylko wargami i notując informacje.

- Zobacz tutaj. - Antek przeszedł za ofiarę i wskazał ręką jej plecy. - Zdaje się, że morderca zostawił wiadomość.

Bondys poszedł za technikiem. Spodziewał się kolejnych obrażeń i nie pomylił się w tej kwestii - plecy również pokryte były drobnymi nacięciami. Ale Jasiński pokazywał mu coś innego, zaskakującego.

Do pleców denata za pomocą gwoźdźcia przybito niewielką karteczkę.

– Co to ma znaczyć? – zapytał retorycznie.

Technik wzruszył ramionami, więc Bondys wziął od niego rękawiczkę i odczepił delikatnie kartkę z pleców mężczyzny. Odwrócił skrawek papieru i zobaczył imię oraz nazwisko, wiek i zawód, napisane drukowanymi literami:

PAWEŁ SKOK

35 LAT

NAUCZYCIEL

Nigdy nie spotkał się z sytuacją, żeby zabójca podpisał swoją ofiarę.

Za plecami usłyszał najpierw kroki, a po chwili niski głos prokuratora Grzegorza Gaury. Zdarzało im się już pracować razem przy poprzednich śledztwach i komisarz cenił sobie powściągliwego, acz profesjonalnego prawnika. Miewał opinię odludka i samotnika, ale Markowi to w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie.

– Myślisz, że to personalia ofiary? – spytał prokurator.

Komisarz odwrócił się w stronę pytającego, podali sobie ręce na przywitanie, a technik zabezpieczył kartkę.

– Na to wygląda. Otwartym pozostaje pytanie, w jakim celu sprawca podpisał ofiarę – odpowiedział Bondys. – Chyba że to wskazanie kogoś innego, kto na przykład może coś wiedzieć o denacie.

– Dość barbarzyńska metoda pozostawienia danych, zresztą podobnie jak pozostałe obrażenia.

Gaura oglądał ciało, a komisarz spisał dane osobowe z kartki do swojego notesu. Odetchnął głęboko i zaczął mówić.

– Niewątpliwie sprawcy zależało, aby ofiara cierpiała. Pytanie: dlaczego akurat w ten sposób zabił, czym się kierował przy wyborze metody i co chciał nam w ten sposób powiedzieć? Bo ewidentnie był to przemyślany wybór.

– Hmm... – Prokurator się zastanowił. – Wbicie gwoźdźcia w ciało kojarzy się jednoznacznie z ukrzyżowaniem Chrystusa, pozostałe rany wyglądają trochę jak po cierniach, więc może to jakaś aluzja do Biblii.

Bondysowi też przyszło to na myśl, gdy zobaczył gwoźdź, więc utwierdził się w swoim pierwszym skojarzeniu.

– Jedno jest pewne. – Bondys mocno się zaciągnął. – Sądząc po okaleczeniach, poderżniętym gardle, wbitym gwoździu i publicznej ekspozycji zwłok, mamy do czynienia z sadystycznym zabójcą, pozbawionym skrupułów i chełpiącym się swoim dziełem.

– Niezaprzeczalnie – zgodził się z nim Grzegorz. – Wykonał niemal teatralną inscenizację, więc ewidentnie przepełnia go duma z popełnionego czynu. Obyśmy go szybko dorwali, bo może nie skończyć się na jednej ofierze.

Prokurator znów wypowiedział na głos myśl Marka, który miał jednak nadzieję, że obydwaj się mylą. Zapisał w notesie kilka haseł, jak „Seryjniak?” i „ukrzyżowanie Chrystusa”.

– Kto znalazł ciało? – spytał komisarz.

– Kobieta mieszkająca niedaleko, akurat spacerowała z psem. Wróciła do domu i jej matka wezwała naszych.

- Widziała coś?

- Nie, a właściwie nie wiadomo. Próbowali spisać od niej zeznania, ale była zbyt roztrzęsiona i zajął się nią lekarz z karetki. Ma przyjechać później na komendę, żebyś mógł z nią porozmawiać.

- Rozumiem. - Bondys dopisał ostatnią, usłyszaną właśnie informację i zamknął notes. - Wracam zatem do biura. Zdaje się, że mam mnóstwo roboty.

Prokurator tylko kiwnął głową na pożegnanie i ruszył w stronę samochodu, komisarz po chwili również odszedł od miejsca ujawnienia zwłok.

Skończył palić. Zgasił peta o drzewo, nie chciał jednak śmiecić ani zanieczyszczać miejsca zbrodni, więc trzymał go między palcami, aby wyrzucić do popielniczki samochodowej. Kiedy dotarł do samochodu, spostrzegł, że dookoła taśmy policyjnej zebrała się już spora grupka gapiów i kilku dziennikarzy. To było do przewidzenia - taka sensacja musiała zainteresować okolicznych mieszkańców, przypadkowych przechodniów i media. Dochodząc do samochodu, polecił dwóm młodym policjantom spisać dane wszystkich obecnych. Być może znajdował się wśród nich zabójca.

Mieli do czynienia z psychopata. Na razie trudno było stwierdzić coś więcej - ciało podziurawiono jak sito, z pewnością po to, by sprawić potworny ból ofierze. Rany były zadawane równomiernie i precyzyjnie, więc zabójca miał sporo czasu i czerpał przyjemność z tortur. Ofiara do bezbronnych nie należała - silny mężczyzna w kwiecie wieku, o postawnej, wysportowanej sylwetce... Trzeba mieć sporo krzepy, żeby zabić taką osobę, a następnie zawiesić ją na drzewie. Ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby denat przeżywał przed śmiercią prawdziwe męki.



## 5

Po przyjeździe z miejsca zbrodni komisarz zaparzył sobie kolejną kawę i próbował uporządkować to, czego do tej pory dowiedział się w sprawie zamordowanego mężczyzny. Przed chwilą otrzymał fotografie z miejsca znalezienia ciała. Właśnie przyczepiał je do tablicy, kiedy do biura wpadł zdyszany naczelnik – wysoki, chudy jak patyk nadkomisarz Zygmunt Rybacki. Znali się od początku pracy Marka.

– Słyszałem, że sprawca wygląda na jakiegoś psychola – wysapał bez powitania naczelnik, ściągając kurtkę i rzucając ją na oparcie krzesła. – Ja pierdołę, tylko tego nam brakuje.

Nie było tajemnicą, że od kilku miesięcy Rybacki starał się o awans i miał ogromną chrapkę na ciepłą posadę w Komendzie Stołecznej. Marek średnio przepadał za metodami pracy przełożonego, a już na pewno za stawianiem przez niego swojej kariery ponad dobro śledztwa, jednak starał się wykrzesać z siebie resztki wyrozumiałości poprzez wzgląd na przeszłość. Pamiętał go bowiem z czasów, kiedy sam służył jeszcze jako sierżant w zespole – wówczas komisarza – Rybackiego. Pracowali w ten sposób przez kilka lat, a Zygmunt może nie należał do sympatycznych czy

pobłażliwych szefów, ale nie takich cech u swojego przełożonego Bondys szukał. Wiele nauczył się od Zygiego, który nie spoczął dopóty, dopóki zabójca nie został złapany. Jego skrupulatność, zdolności dedukcyjne i wrodzony instynkt śledczego, niczym ogara podążającego za zwierzyną, nie miały sobie równych. Nic dziwnego więc, że szybko stał się żywą legendą komendy. Potrafił pracować przez dwie doby bez przerwy i poświęcać się całkowicie zadaniom, nie znając słowa „kompromis”. Wszystko zmieniło się, kiedy dostał awans na nadkomisarza, a krótko potem został naczelnikiem i poznał swoją obecną małżonkę – Andżelikę Buchwald, córkę byłego marszałka województwa, a obecnego posła na sejm RP, Jana Buchwalda. Od tamtego momentu priorytety Rybackiego powoli się zmieniały. Później przyszła na świat ich córka, a rodzina oraz kariera wyparły zaangażowanie w śledztwa. Czasem Marek odnosił wrażenie, że Rybackiego ciągnie do dawnego stylu pracy, ale wpadł w pułapkę nowego życia i jego standardów, z których nie potrafił zrezygnować.

Podał przełożonemu rękę na przywitanie, po czym odwrócił się z powrotem do tablicy i przypatrywał powieszonym materiałom. Zygmunt usiadł na krześle naprzeciwko tablicy i również skierował wzrok w jej stronę.

– Wygląda na dzieło jakiegoś psychopatycznego sadysty – skomentował, kiwając w stronę kilku zdjęć ukazujących ofiarę.

– Niewątpliwie – mruknął Bondys, nie chcąc obszerniej komentować tego frazesu.

W tym momencie do pokoju weszła para młodych policjantów, których komisarz kojarzył z komendy.

- Maras, oto nowy narybek. Starsza sierżant Beata Pachniewicz i młodszy aspirant Radosław Miller. Pozostają do twojej dyspozycji przy śledztwie aż do rozwiązania, które, mam nadzieję, wkrótce nastąpi. A teraz opowiedz, co mamy.

Komisarz nie znosił, jak Zygmunt nazywał go per Maras, ale z doświadczenia wiedział, że zwracanie mu na to uwagi i tak nie przynosiło zamierzonego efektu.

Dwójka młodych policjantów przywitała się i usiadła przy biurkach po lewej i prawej stronie krzesła, na którym siedział naczelnik, jak dwa łotry przy Chrystusie. Ciekawe, który z nich pójdzie do raju z Panem, a którego czeka wieczne potępienie.

Dziewczyna była atrakcyjną brunetką o dużych brązowych oczach, podkreślonych delikatnym makijażem. Długie, proste włosy miała związane w luźną kitkę. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie osoby sympatycznej, choć zdawała się lekko zawstydzona. Z kolei wysoki, krótko ostrzyżony blondyn o chłopięcej twarzy wyglądał dokładnie przeciwnie do koleżanki. Nie uśmiechał się, wpatrywał przenikliwym wzrokiem w Bondysa i nerwowo skubał skórki wokół paznokci.

- Wiemy, kim była ofiara? - zaczął Rybacki, zakładając nogę na nogę.

- Tak, to prawdopodobnie Paweł Skok, lat trzydzieści pięć, nauczyciel wychowania fizycznego z piątego LO. Niekarany, kawaler, bezdzietny. - Komisarz dopisał to obok zdjęć ofiary.

- W jaki sposób tak szybko udało się ustalić tożsamość ofiary? Miał przy sobie jakieś dokumenty, portfel? - Rybacki przyjrzał się dobrze fotografiom. - Przecież na zdjęciach wygląda, że miał na sobie tylko bieliznę.

– Cóż, trudno w to uwierzyć. – Bondys odwrócił się w stronę trójki zebranych i zrobił krótką pauzę. – Zabójca podpisał ofiarę.

– Co?! – spytał Rybacki, jakby nie usłyszał dobrze jego słów.

– Sprawca zostawił karteczkę z imieniem, nazwiskiem, wiekiem i zawodem. – Marek wziął ostatnie zdjęcie z biurka i przyczepił do tablicy. Fotografia przedstawiała plecy ofiary z widocznym niewielkim skrawkiem papieru przyczepionym tuż pod karkiem. – Zabójca podpisał denata i przybił gwoździem kartkę do pleców. Czekam na potwierdzenie, ale wszystko wskazuje na to, że personalia się zgadzają.

Na chwilę zapadła cisza, jakby młodzi policjanci i naczelnik przyswajali tę nietypową informację.

Beata się skrzywiła.

– Chryste, wbił ofierze gwóźdź w plecy?

– Dokładnie tak, jakby właśnie przybijał Chrystusa do krzyża – odpowiedział Bondys.

– Czyli przypadkowość doboru ofiary możemy wykluczyć? – odezwał się po raz pierwszy Radek.

– Niekoniecznie.

– Nie rozumiem. Przecież zabójca wiedział, kogo zabija, skoro podpisał mężczyznę.

Marek zauważył, że młody policjant zareagował odrobinę zbyt nerwowo, jakby odpowiedź komisarza odebrał osobiście. Jeśli faktycznie tak było, nie zapowiadało to łatwej współpracy.

– A może wybrał ofiarę przypadkiem, znalazł jej dokumenty w portfelu i podpisał? Mogą to być też fałszywe dane. Albo morderca zmusił ofiarę do podania informacji o sobie, a następnie zapisał je na kartce i wbił w ciało?



– W jakim celu?

– Nie wiem – odpowiedział Bondys spokojnie, ale stanowczo. – Może nie chciał, żebyśmy zajmowali się ustalaniem, kim była ofiara. Może miał inny, ważniejszy cel, na przykład zademonstrować coś.

– Na przykład co? – Radosław skrzyżował ręce i wyglądał jak naburmuszone dziecko.

– Na przykład to – odparł komisarz nieco zbyt szorstko i przyczepił kolejne zdjęcie do tablicy.

Cała czwórka teraz wpatrywała się w wyryty napis „Homo” na klatce piersiowej denata.

– Mogłeś od tego zacząć. Wygląda na jasny przekaz, nasz zabójca ewidentnie nie lubi pedałów – skwitował naczelnik. – A swoją drogą, który prokurator zajmuje się tą sprawą?

Marek pomyślał, że Rybacki powinien to wszystko już wiedzieć, ale ugryzł się w język. Nie potrzebował zbędnego konfliktu z przełożonym.

– Grzegorz Gaura. – Upił swoją kawę, która zdążyła już wystygnać. Aż się skrzywił od zimnego napoju i odłożył kubek.

– Grizli! – zawołał Zygmunt.

– Słucham?

– No, na Gaurę mówią Grizli! Nie wiedziałeś, Maras? Dzisiaj to już starszy pan, pod sześćdziesiątkę, ale kiedyś bardziej przypominał niedźwiedzia niż człowieka. Jego ogromna postura kontrastowała z łagodnym usposobieniem.

– Rzeczywiście, postawny facet. Chociaż wydaje się dość wycofany i zamknięty w sobie, ale dobrze się z nim pracuje. Nie robił zbędnego zamieszania, nie utrudniał mi pracy, nie próbował

się wykazać i tak dalej. – Bondys spojrział na sufit, próbując sobie przypomnieć szczegóły.

– No tak, Maras, ty lubisz, jak ktoś ci nie przeszkadza w pracy i mało mówi. – Przełożony się zaśmiał, a Radek mu zawtórował. – Tylko myślę, że to jego wycofanie i alienacja wynikają z czegoś innego. Ty jeszcze nie pracowałeś na komendzie, ale ja pamiętam, co się działo na początku lat osiemdziesiątych.

– Co się stało? – wyrwało się Beacie, która natychmiast zaczerwieniła się, jakby zawstydzona swoją ciekawością.

Naczelnik raczej nie odebrał jej pytania jako wścibstwa, bo odpowiedział od razu.

– Wiele lat temu jego żona wyszła z domu i ślad po niej zaginął. Od tego czasu Grizli sam wychowywał córkę, która mogła mieć wtedy nie więcej niż dziesięć lat. Dzisiaj to już dorosła pannica. Z tego, co kojarzę, poszła w ślady ojca i studiuje prawo. Grzegorz miał dłuższą przerwę w pracy zaraz po zaginięciu żony, ale chyba właśnie dzięki córce nie załamał się zupełnie.

– Nie miałem pojęcia – zdziwił się Marek. – Jak to nigdy nie wiadomo, co przeżyła osoba, z którą się rozmawia, pracuje na co dzień.

– Racja. To stara historia, dawne dzieje i przez to mało kto o tym pamięta. Dzisiaj Grizli niechętnie o tym mówi, zresztą nic dziwnego.

Rozmowę przerwał dźwięk telefonu stojącego na biurku komisarza. Ten odebrał, przytaknął i się rozłączył.

– Przyszła kobieta, która znalazła ciało denata. Pójdę z nią porozmawiać.

Podszedł do biurka i sięgnął po swój notes i pióro.

– A co my mamy robić w tym czasie? – spytał Miller.

- Zapoznacie się ze szczegółami śledztwa – odpowiedział Bondys i skierował się do wyjścia.

- To dobry pomysł – przytaknął mu Rybacki.

Obaj wyszli, zostawiając parę młodych policjantów z dokumentacją i rozczarowaniem. Młody policjant odburknął na odchodne: „Oczywiście”.



## 6

Bondys zszedł na dół dwudziestoma sześcioma schodami. Jak przystało na poniedziałkowe popołudnie, na komendzie panował harmider niczym w ulu. Minał po drodze kilkanaście osób i dotarł do niewielkiej sali, gdzie miał czekać już na niego świadek.

Drobna kobieta siedziała na drewnianym krześle skulona, obejmując się ramionami. Przez napuchniętą od płaczu twarz, zaczerwienione oczy i wychudzoną posturę trudno było określić jej wiek – mogła mieć równie dobrze trzydzieści, jak i czterdzieści lat.

Komisarz przywitał się, przedstawił i zaproponował kobiecie coś do picia, jednak odmówiła.

– Pani Heleno, proszę opowiedzieć, jak znalazła pani ciało.

Świadek ciężko odetchnęła, przełknęła ślinę i zaczęła mówić. Mimo że od zdarzenia minęło już kilka godzin, z pewnością nadal była w ciężkim szoku. Zresztą cokolwiek się stanie i obojętnie, ile lat minie, Bondys wiedział, że obraz okaleczonego ciała Pawła Skoka pozostanie z Heleną Malicką już na zawsze.

– Jak codziennie rano poszłam na spacer z Mirą.

– Mira to pies? – upewnił się.

– Tak, suczka, niewielki kundelek.

Na wspomnienie pupila na twarzy kobiety pojawił się delikatny uśmiech, który jednak szybko zniknął.

– Dobrze, proszę mówić dalej.

– No więc, szłam z Mirą jak zwykle na krótki spacer do lasu.

– Dlaczego tam? – zainteresował się.

Mimo że starał się, aby pytanie zabrzmiało naturalnie, to Malicka spojrzała na niego wystraszona, jak uczennica, która udzieliła złej odpowiedzi na pytanie nauczyciela.

– Mieszkam niedaleko, na Płowieckiej, zawsze tam chodzę!

Ostatnie słowa wypowiedziała dużo głośniej.

– Rozumiem, tylko pytam, to standardowa procedura – mówił spokojnym tonem, starając się uspokoić rozmówczynię. – Sam mam psa i zwykle rano wychodzę z nim w to samo miejsce. Proszę kontynuować.

Uśmiechnął się, a kobieta zdawała się trochę ochłonąć po jego słowach.

– No więc, poszłam z Mirą naszą stałą ścieżką leśną. Jednak w pewnym momencie zaczęła mnie ciągnąć w głąb lasu. Poszłam więc za nią i wtedy go zobaczyłam.

Głos jej się załamał, oczy zaszkliły, a po chwili po policzkach spłynęły łzy, które kobieta od razu starła zmiętą chusteczką wyjętą z kieszeni. Jeśli próbowała coś ukryć, to należało jej pogratulować wybitnych zdolności aktorskich. Jednak w swojej karierze Bondys spotkał taką liczbę przekonujących łgarzy, że mógłby niejeden teatr obsadzić.

– Co było dalej?

– Od razu wróciłam biegiem do domu, gdzie czekała moja mama. Poprosiłam, żeby natychmiast zadzwoniła po policję.

– Coś jeszcze?

– Nie, to właściwie wszystko. To działo się tak szybko...

Bondys zapisał kilka zdań w swoim notesie i spytał:

– A czy w drodze do lasu zauważyła pani coś? Na przykład jakiś samochód, kogoś idącego?

Kobieta pokręciła przecząco głową.

– Mówiła pani, że mieszka przy lesie. A czy z okna ma pani widok na miejsce znalezienia ciała?

Próbował sobie przypomnieć z porannych oględzin uliczkę na skraju lasu. Widział tam chyba kilka domów.

– Na samo to miejsce nie, ale na ścieżkę tam prowadzącą już tak.

– Czy w takim razie widziała pani kogoś na tej ścieżce wczoraj wieczorem albo dzisiaj rano?

Kobieta zastanowiła się przez chwilę.

– Nie, nikogo. No, tylko ta wariatka rano szła z psem, ale ona codziennie tamtędy chodzi.

– Jaka wariatka?

– Nie wiem, jak się nazywa. Jest trochę młodsza ode mnie, mieszka na Radziejowskiej z rodzicami i często spaceruje z takim wielkim wilczurem. – Wskazała ręką wielkość psa, mniej więcej na wysokości stołu. – Raz się nawet rzucił z kłami na moją Mirę.

– O której ją pani dzisiaj widziała?

Czekając na odpowiedź, Bondys zapisał w notesie nazwę ulicy i informację o nowym potencjalnym świadku.

Albo sprawcy.

– Około siódmej, jak robiłam śniadanie. Codziennie o takiej porze chodzi. Wiem, bo moja Mira wtedy ujada w ogrodzie na tego

brytana.

– A widziała pani, jak wracała?

Kobieta zaprzeczyła tym razem tylko ruchem głowy i znów objęła się rękoma, delikatnie się przy tym bujając. Rzadko widywało się takie zachowanie u dorosłych osób, to raczej gest charakterystyczny dla dzieci. Komisarz pomyślał, że w gruncie rzeczy Helena Malicka jest w tej chwili jak wystraszona mała dziewczynka – zupełnie bezbronna.

– A dlaczego nazwała pani kobietę z owczarkiem wariatką?

Świadek wzruszyła ramionami.

– Bo ona jest wariatką. – Ściszyła głos i przybliżyła się w jego stronę, jakby powierzała mu tajemnicę. – Słyszałam, że niedawno wróciła z psychiatryka. Podobno kilka lat temu zupełnie oszalała.

– Skąd pani to wszystko wie?

– Wie pan, ludzie gadają. Ja niespecjalnie interesuję się plotkami, w nosie mam, co kto robi, jedynie żał mi jej rodziców. Czasem widuję ich w kościele. To porządni ludzie, nie zasłużyli na taki los.

Bondys zapisał pozostałe informacje w notesie, podziękował Malickiej za rozmowę i wyszedł. Jak na osobę, która nie interesuje się plotkami, wiedziała zaskakująco dużo. Tak czy owak, priorytetem śledztwa stało się właśnie odnalezienie i przesłuchanie kobiety z psem. Swoją drogą zdaje się, że osiedlowi lekarze amatorzy przykleili jej już łątkę z diagnozą.

Smutne i krzywdzące.

Wrócił do biura i postanowił sprawdzić swój nowy zespół. Mieli pojechać na ulicę Radziejowską i znaleźć świadka. Sam postanowił wziąć na swoje barki trudniejsze zadanie – a może nie tyle trudniejsze, ile bardziej przygnębiające. Przekazywanie informacji o

śmierci bliskiej osoby należało bowiem do najgorszych momentów w jego pracy. I to nieprawda, że z czasem i nabytym doświadczeniem jest łatwiej.

Wręcz przeciwnie.





## 7

Starła się ukryć swoje podekscytowanie i sama się za nie zganiła – wszak morderstwo na pewno nie jest powodem do radości. Jednak rozpoczynała swoje pierwsze poważne śledztwo, więc nie potrafiła utrzymać na wodzy kipiących w niej emocji.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że będziemy pracować z komisarzem Bondysem! – powiedziała do Radka, gdy tylko wsiedli do samochodu i ruszyli spod komendy. – To przecież legenda!

– Nie przesadzaj. Po prostu ma doświadczenie.

– No coś ty! Mówią, że jest najlepszy!

– Zobaczymy, na razie nie wywarł na mnie dobrego wrażenia.

Wydaje się gburowaty.

Radosław nawet przez chwilę nie spojrzał w jej stronę. Albo bardzo skupiał się na prowadzeniu auta, albo drażnił go ten temat. Beacie przeszło przez myśl, że kolega może być zazdrosny o komisarza. A może faktycznie nie przypadł mu do gustu? Po chwili Radek niespodziewanie dodał już cieplejszym tonem:

– Cieszę się natomiast, że będę mógł pracować z tobą. – Uśmiechnął się. – Będziemy mieli okazję spędzić trochę czasu razem i powspominać dawne czasy.

Przytaknęła i próbowała sobie przypomnieć, jakie właściwie wspomnienia Radek ma na myśli. Owszem, uczęszczali razem do szkoły policyjnej, ale raczej nie rozmawiali wtedy ze sobą za dużo, a później kontakt urwał się zupełnie. Dopiero gdy zaczęli pracować na komendzie, zdarzyło im się pogadać parę razy przy kawie w kuchni, ale to też trudno byłoby nazwać bliską więzią. Beata traktowała go jako dobrego kolegę – tylko tyle i aż tyle. Miała jednak nieodparte wrażenie, że on miał zgoła odmienne zamiary wobec niej i trochę ją to niepokoiło. Po poprzednim, niezbyt udanym związku nie szukała partnera – chciała skupić się na sobie i na pracy.

Mimo godzin szczytu udało im się ominąć korki i sprawnie dotrzeć na miejsce. Zaparkowali na tyłach kaplicy przy Glinkach, wysiedli i poszli ulicą Płowiecką w stronę Radziejowskiej. Była niezbyt długa, więc Beata ucieszyła się, że może szybko uda im się odnaleźć właściwy adres.

– Jak niby mamy znaleźć tę chorą psychicznie kobietę? Bondys specjalnie nas tutaj wysłał, bo sam nie chciał robić z siebie idioty.

– To przynajmniej dość ambitne zadanie – odpowiedziała, czując, jak przejmujący, jesienny wiatr przeszywa ją do kości. – Wolę to niż jakąś papierologię.

Zapięła kurtkę pod samą szyję i założyła rękawiczki.

– Zimno ci? – spytał policjant z troską.

– Trochę, ale zaraz się rozgrzeję – odpowiedziała Beata z uśmiechem. Rozczuliło ją nieco to pytanie, ale też utwierdziło w przekonaniu, że nie pozostawała Millerowi obojętna.

– No dobrze, jaki mamy plan? – Radek przystanął. – Przecież nie będziemy chodzić od domu do domu i pytać, czy mieszka tu jakaś

walnięta w głowę laska z psem, która być może dziś rano widziała trupa w lesie.

Beata starała się patrzeć na kolegę podczas rozmowy, ale wiatr wiał tak mocno, że musiała odwrócić głowę w drugą stronę.

– Tutaj znajdują się same domki jednorodzinne. Może najpierw przejdźmy całą uliczkę i spróbujmy odnaleźć psa na podwórzu. Bondys mówił, że dziewczyna ma dużego wilczura, powinien podbiec do ogrodzenia na nasz widok.

Miller pokiwał głową i powoli ruszyli wzdłuż ulicy – ona po lewej stronie, on po prawej. Psy faktycznie podlatywały do furtek – szczekając i szczerząc kły albo wesoło merdając ogonami – ale były to głównie kundelki, zdarzyły się też dwa sznaucery i rottweiler. Tego ostatniego Beata poważnie się zlekła, gdyż podbiegł z nienacką, ujadając przy tym wściekle, a z czarnego jak smoła pyska tryskała ślina i błyskały białe kły.

Mniej więcej w połowie drogi po stronie Beaty, przy dość okazałym domu, podbiegł do płotu rosły długowłose owczarek niemiecki. Pomimo swojej sporej postury pies wyglądał dość przyjaźnie. Usiadł przy ogrodzeniu i wpatrywał się ciekawskim wzrokiem w starszą sierżant.

– Chodź, to może być tutaj! – zawołała.

Po chwili z domu wynurzył się mężczyzna pod sześćdziesiątkę. Uwagę zwracała jego szczupła, wręcz wychudzona sylwetka, widoczna nawet pod dresowymi spodniami i obszerną bluzą. Pod wpływem wiatru ubrania falowały na mężczyźnie niczym żagle na morzu. Zmierzał powoli w stronę ogrodzenia. Podeszedł do furtki, ale jej nie otworzył, tylko przystanął obok i zaczął głaskać psa po głowie.

- Słucham państwa? – zapytał cicho.

- Dzień dobry, starsza sierżant Pachniewicz, młodszy aspirant Miller.

Beata uśmiechnęła się, mężczyzna jednak spojrzał obojętnym wzrokiem na oboje i nic nie mówił, jakby oczekiwał wyjaśnienia celu wizyty z ich strony.

- Czy zastaliśmy pana córkę? – dodała.

Na to pytanie twarz gospodarza wykrzywił dziwny grymas, wyrażający mieszankę bólu i zmęczenia.

- Przed chwilą odwieźliśmy Agatkę do szpitala.

Nie spodziewali się takiej odpowiedzi. Zapadła niezręczna cisza, a owczarek położył się w nogach pana i spode łba wpatrywał się w gości. W końcu odezwał się Radosław.

- Czy to coś poważnego? Chcielibyśmy z nią porozmawiać. Pańska córka dzisiaj rano mogła być świadkiem ważnego...

Policjant nie dokończył zdania, gdyż mężczyzna przerwał mu w połowie gestem ręki i słowami:

- Obawiam się, że to niemożliwe.

Teraz to Beata z Radkiem zamilkli w oczekiwaniu.

- To niemożliwe, bo... – Mężczyzna ciężko odetchnął. – Właśnie odwieźliśmy Agatkę do szpitala psychiatrycznego w Świeciu. Nasza córka cierpi na schizofrenię, miała nawrót choroby i przebywa obecnie na oddziale zamkniętym, gdzie pozostanie przynajmniej przez kilka tygodni.

Policjanci spojrzeli po sobie. Ojciec potencjalnego świadka wyglądał, jakby miał za chwilę się przewrócić, ewidentnie przygnieciony ciężarem problemów zdrowotnych swojego dziecka. Beata spisała dane jego i Agaty oraz nazwisko lekarki, pod której

opieką przebywała dziewczyna. Chcieli porozmawiać jeszcze z jego żoną, ale powiedział, że Janina bardzo źle się czuje i dopiero co usnęła, więc zrezygnowali.

Odeszli w ciszy do samochodu. Wiatr dał jeszcze bardziej przejmująco, unosząc opadłe liście, kurz i piach z nieutwardzonej drogi.

Beata myślała nad słowami Zbigniewa Lewińskiego. Jedno wiedziała na pewno – na długo zapamięta jego udręczoną twarz. Miał cierpienie, troskę i strach o córkę wypisane w oczach. Z pewnością bardzo kochał Agatę i chciałby jej pomóc, ulżyć w chorobie, wziąć ten ciężar na siebie, jednak nie mógł tego zrobić.

Nikt nie mógł.



Z Pawłem Skokiem nie było kontaktu od kilku dni. Zadzwoniono do szkoły, w której uczył WF-u, i potwierdzono jego rysopis. Wszystko wskazywało zatem na to, że teoria o podpisaniu ofiary przez zabójcę okazała się prawdziwa.

Mieszkanie rodziny Pawła Skoka znajdowało się na ostatnim piętrze jednego z wieżowców na bydgoskim Wzgórzu Wolności. Bondys nie przepadał za windami, ale nie miał ani ochoty, ani czasu pokonywać dwustu schodów na piechotę. Zresztą nie chciał być niczym więźniem, zwłaszcza swoich dziwactw. Podszedł więc do windy, wcisnął przycisk i czekał. Po chwili wypełnionej odgłosami przypominającymi pociąg towarowy nadjeżdżający po zardzewiałych torach w końcu dźwig osiadł z ciężkim tąpnięciem. Marek szarpnął za klamkę, ale stare wejście stawiało silny opór. Zastanawiał się, skąd leciwa staruszka czy dziecko wezmą siłę na otwarcie tych ciężkich, zużytych drzwi. Wreszcie ustąpiły i mógł wejść do środka. Stał twarzą do wejścia i oparł się plecami o tylną ścianę. Wydawało mu się to najbezpieczniejszym i najwygodniejszym miejscem do jazdy. O ile w tej starej, trzeszczącej klatce na linach w ogóle można było czuć się komfortowo.

Szarpnięcie. Dźwig ruszył. W windzie śmierdziało uryną i dymem tytoniowym. Na ścianach widniały zapisane rozgrywki między kibicami BKS Polonia i WKS Zawisza – a to jeden klub miał koronę, a drugi szubienicę, a to na odwrót. Pojawiały się też elementy poezji kibolskiej, jak „Na Wzgórzu bez zmiany, Zawisza Pany!”. Na drzwiach z kolei ktoś wymalował duży czerwony napis „Magda W. to głupia kurwa”. W tym momencie jednak w najmniejszym stopniu nie interesowały go potyczki klubowe czy intelekt owej Magdy W. ani to, jak się prowadzi. Interesowało go śledztwo. I żeby ta winda już wjechała na górę – a robiła to mozolnie i z takim wysiłkiem, jak leciwy Łysek z pokładu Idy.

Bondys z doświadczenia wiedział, że na jedenaste piętro jedzie się około pięćdziesięciu pięciu, sześćdziesięciu sekund.

Dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem...

Minęła połowa, nieźle.

Starał się odsuwać od siebie myśli, że to stara winda, która pewnie dość często się zacina, a uwięziony człowiek czeka wówczas między piętrami, aż ktoś się zlituje i go wypuści, co zapewne trwa kilka godzin.

Pięćdziesiąt trzy, pięćdziesiąt cztery...

Koniec.

Wreszcie.

Dźwig zatrzymał się z impetem. Po trzech długich sekundach i kilku trzaskach Marek pchnął mocno drzwi i uwolnił się. Podszedł do drzwi właściwego mieszkania i nacisnął dzwonek.

Po chwili otworzyła kobieta w średnim wieku, niezbyt urodziwa i ze sporą nadwagą, ubrana w szary sweter i długą, kolorową spódnicę.

– Słucham?

Miała piskliwy, nieprzyjemny głos.

– Dzień dobry, komisarz Bondys, Wydział Kryminalny. – Pokazał odznakę i legitymację. – Pani Zofia Skok?

Kobieta zmarszczyła czoło i przymknęła drzwi, jakby chciała je w ogóle zamknąć.

– Policja do mnie? To chyba jakaś pomyłka.

– Chciałbym porozmawiać na temat pani brata, Pawła Skoka. – Marek nie dawał za wygraną.

Zapadła chwila ciszy, a gospodyni wpatrywała się w niego podejrzliwym wzrokiem.

– No dobrze. – Odsunęła się w końcu od drzwi i ręką zaprosiła go do środka. – A brat coś przeszkrobał?

Ignorując pytanie kobiety, przeszedł przez wąski przedpokój, cały pokryty boazerią w naturalnym kolorze drewna. Bondys na widok okładziny ściennej miał przed oczami tylko jedno skojarzenie. Wiele lat temu pomagał Aleksowi remontować mieszkanie po poprzednich lokatorach i kiedy zrywali boazerię w korytarzu, po oderwaniu z trudem pierwszej klepki, spod spodu wybiegło największe stado karaluchów, jakie w życiu widział. Oblazły go całego, ściany, podłogę, sufit. Biegły chmarami w szaleńczym tempie, niczym biblijna szarańcza. Karaczany małe, średnie, duże, w kolorze jasnego i ciemnego brązu oraz czerni, wszystkie z błyszczącymi pancerzykami i długimi, cienkimi czułkami. Co prawda szybko się uporali z insektami za pomocą silnych środków owadobójczych, ale niechęć i obrzydzenie do boazerii pozostały, dlatego teraz Bondys odruchowo strzepnął niewidoczne owady z przedramion, pośpiesznie wszedł do dużego pokoju za siostrą ofiary i usiadł na



kanapie. Na przeciwległej ścianie stała typowa dla lat osiemdziesiątych meblościanka z telewizorem i szklaną witryną, za którą ułożono porcelanową zastawę, figurki aniołków, jakieś inne bibeloty i kilka zdjęć rodzinnych. Mieszkanie sprawiało wrażenie staromodnego, ale schludnego. Oczywiście oprócz potencjalnego robactwa w ścianie.

Gospodyni zostawiła go i po chwili przyprowadziła swoją matkę – Janinę Skok.

– Mamo, pan z policji, przyszedł w sprawie Pawła.

Podobieństwo fizyczne kobiet było wręcz uderzające. Te same rysy twarzy, nos, układ oczu i korpulentna sylwetka. Nawet ubrania miały niemal identyczne.

– Zosiu, może zrób herbaty, to się pan napije – zaproponowała staruszka, a kiedy pokręcił przecząco głową, usiadła obok córki przy stole.

Patrzył na te dwie kobiety, niespodziewające się wiadomości, którą za chwilę usłyszą. Nawet jeśli bliska osoba ma swoje lata i umiera po miesiącach czy latach ciężkiej choroby, to nie można się na ten moment przygotować. A kiedy odchodzi ktoś w kwiecie wieku i zdrowy jak rydz, wydaje się to niemierzalną tragedią i zaskoczeniem.

– Przykro mi, ale muszę paniom przekazać tragiczną wiadomość – powiedział wolno Marek i zrobił krótką pauzę. Cholernie nie lubił tych momentów w swojej pracy. – Paweł Skok nie żyje. Został znaleziony martwy dzisiaj rano w lesie przy Glinkach.

Oczekiwał na reakcję siostry i matki, ale obydwie wpatrywały się w niego bez słowa, więc kontynuował:

– Został zamordowany.

- Ale... Jak to zamordowany? - spytała Zofia i ścisnęła matkę za rękę.

Janina Skok z kolei sprawiała wrażenie, jakby nie docierała do niej ta informacja. Dopiero po chwili zaszklily jej się oczy. Żadna z kobiet nie pytała, w jaki sposób zabito ofiarę, więc Bondys postanowił im na razie oszczędzić tego opisu. Ta wiadomość może poczekać, najważniejszą i najgorszą już usłyszały.

- Boże, mój syn ukochany! - Starsza kobieta zakryła twarz dłońmi. - To nie może być on, to musi być jakaś pomyłka.

- Przykro mi.

- Nie, to niemożliwe! - krzyczała histerycznie Janina.

- Naprawdę bardzo mi przykro - dodał. - Dobrze by było, gdyby chociaż jedna z pań przyjechała jutro rano na identyfikację zwłok.

Matka zaczęła szlochać i wyc jak ranione zwierzę. Policjant siedział bez słowa i czekał cierpliwie. Widział ten obraz już wiele razy. Ludzie zachowywali się różnie, słysząc wiadomość o śmierci bliskiej osoby - płakali, nie dowierzali, dostawali furii, mdleli, wybuchali histerycznym śmiechem, zastygali bez ruchu, wymiotowali. Raz nawet jedna dziewczyna zaczęła okładać go pięściami na wieść o śmierci swojego chłopaka. Wszystkie te reakcje łączył jeden wspólny mianownik - zawsze stanowiły odzwierciedlenie niewyobrażalnego wewnętrznego bólu. Bondys starał się zupełnie odciąć i nie zagłębiać w uczucia rodziców zmarłych dzieci, żeby nie zwariować. Na pewno było mu łatwiej, bo nie miał własnego potomstwa.

W końcu Zofia zaprowadziła matkę do jej pokoju i po kilku minutach wróciła do salonu, znów siadając naprzeciwko policjanta.

– Chciałbym jeszcze zapytać o kilka rzeczy. Czy jest pani w stanie rozmawiać?

Kobieta kiwnęła twierdząco głową, więc komisarz wyjął pióro i notes z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Kiedy pani po raz ostatni widziała brata?

– Kiedy? O Jezu, nie wiem, może tydzień temu. – Siostra ofiary spojrzała w bok, na kalendarz zawieszony na ścianie. – Tak, dokładnie tydzień temu w poniedziałek zaniiosłam mu obiad, bo mama nagotowała cały gar rosółu. Kurę świeżą od ciotki ze wsi przywiozłam. Taką tłustą, dorodną, wie pan. Tylko pierza jeszcze trochę miała. Ale żółta, wiejska była, takie są najsmaczniejsze.

Słowotoku, a właściwie trajkotania od rzeczy tuż po dowiedzeniu się o utracie bliskiej osoby, Marek też już doświadczył wiele razy.

– Brat mieszkał tylko piętro niżej, przez tydzień się państwo nie widzieliście i nie zaniepokoiło to pani?

– Paweł miał swoje życie, a my swoje. – Wzruszyła ramionami. – Przecież był dorosły. Pracował, wyjeżdżał na obozy, miał treningi. Widywaliśmy się nie częściej niż kilka razy w miesiącu. Głównie przy jakichś rodzinnych okazjach: imieninach, urodzinach, świętach. Albo czasem właśnie jak mama coś ugotowała czy przypadkiem przy windzie.

Komisarz podniósł wzrok znad notesu i zauważył dwa obrzydliwe, przezrocyste gile wyciekające z dziurek nosa kobiety niczym dwa ślimaki wypełzające ze swoich muszli. Niestety, tylko on je zauważył.

– Czy brat miał dziewczynę, narzeczoną?

– Nie. Pawłowi daleko było do ustatkowania się.

Popełnił błąd i ponownie spojrział na rozmówczynię. Ślimaki wypełzły do górnej wargi i zostały właśnie odruchowo zlizane, po czym kobieta wyjęła z kieszeni haftowaną chusteczkę i wydmuchała głośno nos. Bardzo głośno. Dyskretnie chwycił się lewą dłonią za ucho, jakby chroniąc swój słuch przed wwiercającym się hałasem. Przynajmniej będzie mu łatwiej się teraz skupić, kiedy już nic nie wyciekało Zofii Skok z nosa.

Komisarzowi wydawało się niemożliwe, żeby denat nie miał czasu na randki. Za bardziej prawdopodobne uznawał, że siostra o nich zwyczajnie nie wiedziała. Często spotykał się z tym, że na temat danej osoby najmniej wiedziała najbliższa rodzina.

– A spotykał się z kimś? Miał jakąś bliższą koleżankę?

– Przez jakiś czas chodził z taką Ewką, już prawie ślub miał być, ale ostatecznie brat się rozmyślił. – Znowu wzruszyła ramionami. – Mówił, że jest za piękny i za młody do ożenku. Mnie się wydaje, że to bardziej mamie i Ewie zależało na tym ślubie niż Pawłowi. Ewka to potem strasznie przeżyła.

– Pamięta pani, kiedy się rozstali?

– Bo ja wiem? Jakies pół roku temu. – Kolejny raz spojrzała na kalendarz, chociaż ten obejmował tylko ostatni miesiąc. – Szkoda mi jej było. Płakała, szlochała, błagała go, żeby do niej wrócił. Zakochała się w nim całym sercem, ale Paweł nie odwzajemniał tego uczucia. Nie kochał jej, to po co miał to dłużej ciągnąć? Nie bronię go. Wiadomo, nieładnie postąpił, bo zrobił nadzieję dziewczynie.

– A wie pani, czy ta porzucona Ewa groziła Pawłowi? Szantażowała go? – drażył.

– Nie, co to, to nie. To spokojna i miła osoba, muchy by nie skrzywdziła.

Marek przypomniał sobie, ile razy słyszał taki opis kogoś, a później się okazało, że to paradoksalnie właśnie mili i grzeczni ludzie dopuszczali się najgorszych zbrodni.

– Wie pani, jak się nazywa i gdzie mieszka ta narzeczona?

Kobieta pokiwała głową twierdząco i podała Bondysowi dane, które zapisał w notesie.

Na widok nazwiska – Braun – w połączeniu z imieniem Ewa niekontrolowanie się uśmiechnął i pomyślał, że rodzice, świadomie lub nie, wyjątkowo skrzywdzili niedoszlą panią Skok.

Do wyjaśnienia z siostrą zmarłego pozostawała jeszcze jedna kwestia.

– A mężczyźni? Chłopcy?

– Nie bardzo rozumiem. Chodzi panu o tych chłopców, których trenował? – Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej, zalewając Bondysa i swój smutek kolejną falą słów. – Paweł od małego uwielbiał piłkę nożną, matka go goniła, bo często grał w domu i o ściany odbijał. Praca była jednocześnie jego pasją, czasem dużo od tych chłopaczków wymagał, ale wówczas osiągali lepsze wyniki. Niektórzy rodzice chyba się na to skarżyli. O to chodzi?

– Nie, droga pani, chodzi o to, że na ciele pani brata, ktoś wyrył ostrzem słowo „Homo” i podejrzewamy, że może Paweł Skok był homoseksualistą – wyjaśnił, zmęczony odpowiedziami nie na temat i smarkaniem kobiety. Poza tym i tak nie dało się chyba delikatniej zapytać o preferencje zmarłego brata.

– No co pan?! Paweł nie był żadnym zboczeńcem, był normalny! To grzech takie oszczerstwa rzucać, jeszcze pochówku mi odmówią, jak ksiądz się dowie! – Kobieta gestykulowała rękoma tak żywo,

jakby była pisklakiem uczącym się latać. – Proszę już iść, nie mam panu nic więcej do powiedzenia.

Wstał, uznając, że i tak niczego w tej chwili się nie dowie. Pomyślał, że Zofię Skok chyba bardziej przeraża bycie siostrą homoseksualisty, niż siostrą ofiary morderstwa. W ułamku sekundy łzy rozpaczły zmieniły się w oburzenie. Przypomniał jeszcze swoją prośbę o identyfikację ciała i ruszył do drzwi. Kiedy wychodził, wydawało mu się, że między dwiema klepkami zobaczył długie, cienkie wąsy karalucha. A jednak miał rację. Robaki siedzą pod każdą boazerią i spod każdej boazerii w końcu wyłazą. Każda rodzina ma bowiem swoje sekrety i swoje robactwo ukryte w ścianach – wystarczy tylko poruszyć pierwszą deseczkę.

Wtorek, 8 X 1996 r.

9

Bydgoszcz kąpała się w mroku nocy, a większość jej mieszkańców jeszcze smacznie spała, kiedy komisarz Bondys z psem na dół szesnastoma schodami i stanął przed drzwiami z numerem pięć. Zapukał szybko dwa razy i po dłuższym odstępie trzeci raz. Dawno temu przyjęli z Esterą taki kod bezpieczeństwa. Kobieta otworzyła po chwili, w papilotach na głowie, góralskich kapciach i w grubym szlafroku w różany wzór, który dodatkowo uwydatniał jej sporą tuszę. Niewielką, ale pulchną dłonią z widocznymi starczymi plamami zasłaniała usta przy ziewaniu.

– Cześć, śliczna. Nie obudziłem? – zapytał retorycznie, wchodząc już do mieszkania sąsiadki, która właśnie przecierała oczy. Pies merdał delikatnie ogonem i nieśmiało wszedł za panem. – No, chyba że ukrywasz jakiegoś młodego kochanka z ciałem jak młody bóg... Albo i dwóch?

– Bondys, co ty za herezje opowiadasz? Wiesz, ile ja mam lat?! – Starsza pani przewróciła oczami i zamknęła za gościem drzwi. – Cześć, Kodeks, psinko kochana.

Pogłaskała czule psa po biało-czarnej głowie, drapiąc za uszami tak, jak najbardziej lubił.

– Skoro nie masz jednak planów na dziś, to może mogłabyś zostać z Kodeksem?

– Nie powiedziałam, że nie mam planów. Zresztą. – Machnęła ręką. – Mogłam się spodziewać, że jak komisarz Bondys zjawia się skoro świt w moich skromnych progach, to na pewno czegoś chce. – Starła się ukryć uśmiech.

– Kochana jesteś! – Wcisnął jej do ręki banknot i uchwyt smyczy. Zapasowe klucze do jego mieszkania Estera miała od lat. – To jakby psia karma się skończyła.

Ucałował ją i odwrócił się do wyjścia. Widział jeszcze smutny wzrok pupila, ciężko obrażonego za porzucenie go.

– Zaraz, zaraz! To kiedy ty zamierzasz wrócić, chuliganie jeden, że zostawiasz mi pieniądze na karmę? – spytała Estera, uśmiechając się szeroko.

– Wkrótce, to tylko na wszelki wypadek. Dzięki! – krzyknął już z klatki schodowej i zamknął za sobą drzwi.

Gdy zaczynał nowe śledztwo w sprawie morderstwa, wszystko mogło się zdarzyć. Wolał nie martwić się o psa, a pod opieką Estery na pewno niczego mu nie zabraknie.

Pokonał żwawo pozostałe czterdzieści schodów i energicznie wyszedł z klatki. Mrok uderzył go w twarz. Musiał na chwilę przystanąć, żeby przyzwyczać wzrok do ciemności. Przetarł też okulary materiałową chustką do nosa, ale nie pomogło. Latarnie osiedlowe znów nie działały i na dworze panowały egipskie ciemności; niewielki, żółtawy blask dawały tylko dwa okna w bloku obok. Bondys pomyślał kiedyś, że jesienią i zimą właściwie ciągle panuje mrok, tylko o różnym nasyceniu.

Poszedł w stronę osiedlowego parkingu. Przy golfie zaparkowanym koło jego toyoty stał mężczyzna w średnim wieku, z kobietą – pewnie żoną. Marek kojarzył ich. Wydawało mu się, że są



właścicielami rudego wielorasowca, z którym czasem bawił się Kodeks.

– Wstydu bandyci nie mają! Bandyci i złodzieje! – krzyczał mężczyzna, a kobieta próbowała go uspokoić.

– Waldusiu, nie denerwuj się. – Głaskała mężczyznę po głowie, jak dziecko. – Proszę, nie denerwuj się już, przecież wiesz, że masz wysokie ciśnienie.

– Jak mam się nie denerwować, kiedy drugi raz w ciągu miesiąca włamali nam się do samochodu!

Mężczyzna wrzeszczał na pół osiedla. Światła pojawiły się w kilku oknach, dzięki czemu wokół szybko się rozjaśniło.

– Dobrze, że samochodu nie ukradli, Waldusiu...

– Ale wycieraczki i nowiutki akumulator już tak! Do tego tylne opony przebili. Chuligani! Boga się nie boją! Nogi z dupy bym im powyrywał! – Właściciel uderzył otwartą dłonią w maskę. – Policja to nic z takimi nie robi! Bezkarni chodzą!

Bondys chciał podejść do okradzionej pary, ale zobaczył, że właśnie nadjeżdża patrolujący radiowóz, więc sobie darował. Sprawdził tylko, czy po złodziejskich łowach tej nocy on ma kompletne wyposażenie w toyocie. Nie miał kołpaków, jednak nie przejął się tym zbyt. Najważniejsze, że opony zostały całe i może jechać.

W jednym zgadzał się z tym mężczyzną – drobne włamania do aut i kradzieże stały się w ostatnim czasie w Bydgoszczy istną plagą. Nie było dnia bez zgłoszenia o włamaniu do piwnicy, garażu, o kradzieży roweru, akumulatora, radia samochodowego czy całego auta. Piwniczno-samochodowi złodzieje opanowali miasto niczym

epidemia dżumy czternastowieczną Europę. Każde stulecie, każdy kraj i każde miasto ma swoje plagi i zarazy.



## 10

Podczas porannej odprawy ustalili, że Bondys wraz z Beatą sprawdzą mieszkanie denata, Radosław miał do wykonania w tym czasie trochę papierkowej roboty na komendzie. Aspirant nie wydawał się zadowolony z takiego podziału obowiązków, ale komisarz nie potrzebował ani nie oczekiwał jego zadowolenia, tylko sumienności i zaangażowania. Później Marek zaplanował, że pojedzie do Świecia, aby porozmawiać z Agatą Lewińską – kobietą, którą rodzice odwieźli do szpitala, a młodzi policjanci w tym czasie potwierdzą personalia ofiary z jego siostrą – jeśli oczywiście Zofia Skok od poprzedniego dnia nie postanowiła wyprzeć się brata geja.

Miasto budziło się leniwie do życia, a zza chmur wychylało się nieśmiało słońce – zupełnie wbrew oczekiwaniom bydgoszczan, przyzwyczajonym w ostatnim czasie do pluchy i zimna. Para policjantów przyjechała na miejsce o dziewiątej rano. Mimo że po drodze starsza sierżant nie odzywała się za dużo, to komisarz widział jej wyraźną ekscytację, zresztą zupełnie zrozumiałą – w końcu było to jej pierwsze tak duże śledztwo. Cieszył go ten młodzieńczy zapał u koleżanki – też kiedyś taki miał i szczerze jej go zazdrościł. Po latach pracy jego werwa została zmiażdżona przez brutalność realiów ich profesji, a oczekiwana satysfakcja z pracy zmieniła się w wieczne

poczucie niedosytu. Komisarz zrozumiał, że nawet w przypadku ujęcia sprawcy i dojścia sprawiedliwości w postaci ukarania zabójcy, ani nie zwróci to życia ofiarom, ani nie zmniejszy bólu ich bliskim.

Paweł Skok mieszkał w wieżowcu na Wzgórzu Wolności, w kawalerce piętro niżej niż matka i siostra, ale nadal wysoko, bo na dziesiątym piętrze. Sto osiemdziesiąt schodów. Trzydzieści dwa metry nad ziemią.

Bondys miał ochotę zapalić jeszcze przed wejściem, tym bardziej że od samochodu do klatki schodowej dzieliło ich dobre dwieście metrów, ale zrezygnował. Uznał, że w mieszkaniu denata woli mieć jak najlepszy węch. To, co tam znajdują, może się okazać istotne dla śledztwa, więc pragnął dysponować wszystkimi zmysłami w jak najlepszej formie. Wsiedli do windy i po niecałej minucie trzeszczenia dojechali na dziesiąte piętro. Ekipa kryminalistyczna pracowała tutaj już od wczoraj, drzwi i część korytarza zabezpieczono taśmami. Weszli do środka.

Mieszkania nic nie wyróżniało. Normalna kawalerka w mrówkowcu. Wszystko wskazywało na to, że należała do równie przeciętnego mężczyzny w średnim wieku. Półkotapczan, stół, cztery krzesła, telewizor, malutki aneks kuchenny. Wnętrze niezbyt zagracone, urządzone z pewnością wiele lat wcześniej, w peerelowskim duchu.

Marek szukał nietypowych przedmiotów w mieszkaniu albo wręcz przeciwnie – braku czegoś, co powinno się w nim znaleźć. Na pewno najbardziej zwracały uwagę medale i puchary piłkarskie, ustawione starannie na półce. Część pochodziła z czasów młodości Skoka, kiedy sam grał jeszcze w drugiej lidze, a część otrzymał już jako trener młodzieży. Na stole stał brudny kubek z niedopitą kawą,

w której fusach zdążyła już wyrosnąć dorodna biało-zielonkawa pleśń. W kuchennym zlewie piętrzyły się talerze umazane keczupem, a w koszu na śmieci puszki po pepsi i kartony po gotowych pizzach do odgrzania. Typowe jedzenie kawalera, nic istotnego dla śledztwa. W lodówce znaleźli czteropak piwa, parówki i kilka dużych słoików z rosółem, fasolką po bretońsku, bigosem i klopsami, które zapewne denat otrzymał od mamy.

Bondys podszedł do kolegi zabezpieczającego ślady z zagrybionego kubka.

– Znaleźliście coś ciekawego?

– Na razie nic nadzwyczajnego. Nie ma śladów krwi. – Mężczyzna rozejrzał się dookoła. – Z pewnością denata przetrzymywano, torturowano i zabito gdzieś indziej.

Komisarz rozglądał się dalej, a Beata szła za nim trochę jak cień. Nie przeszkadzało mu to jednak zbytnio – wychodził z założenia, że każdy musi się jakoś nauczyć swojej pracy.

Podszedł do szafy obok tapczanu. Otworzył drzwi, które głośno zaskrzypiały, omiótł wzrokiem ubrania i zwrócił się do koleżanki.

– Nie wygląda, jakby gdzieś wyjeżdżał. Rzeczy zostawił, na dole leży spora torba sportowa. – Wskazał ręką granatowego jamnika na zamek. – Same męskie ubrania.

Beata pokiwała głową, robiąc notatki, a Marek kontynuował.

– Do tego brudne naczynia w zlewie i śmieci w kuchennym koszu.

– Czyli wyszedł gdzieś tylko na chwilę albo nie zdążył wrócić z pracy, bo po drodze...

Policjantka nie dokończyła.

– Ktoś go zaatakował – uzupełnił jej myśl komisarz.

Głos Beaty lekko drżał, wyczuwało się w nim zdenerwowanie, ale Bondys i tak doceniał, że młoda policjantka mimo stresu wyciąga logiczne wnioski i stara się angażować.

Przeszli do łazienki, gdzie również nic nie wskazywało na obecność drugiej osoby. Jedna szczoteczka do zębów, ręcznik, maszynka do golenia, mydło w kostce, szampon, a na lince nad wanną rozwieszona bielizna. Skromne wyposażenie, ale typowe i wystarczające dla samotnego mężczyzny.

Rozejrzeli się jeszcze po mieszkaniu i Bondys uznał, że nic więcej na razie nie widzi. Sierżant potwierdziła jego odczucia, więc pożegnali się z ekipą.

Kiedy wyszli z kawalerki Pawła Skoka i skierowali się do windy, nagle otworzyły się drzwi mieszkania obok i drobna staruszka wysunęła z nich równie drobną głowę.

– Przepraszam przystojnego pana milicjanta. Już wiadomo coś w sprawie śmierci Pawełka? – spytała konspiracyjnym szeptem, ale ewidentnie podekscytowana sensacją sąsiedzką.

Nie czekając na odpowiedź, otworzyła szerzej drzwi i gestem zaprosiła ich do środka. Było to trochę dziwne, że sąsiadka już wiedziała, co się stało, ale z drugiej strony – tragiczne wieści zwykle rozchodziły się najszybciej ze wszystkich, a dodatkowo kobieta wyglądała na bardzo wścibską.

Podeszli bliżej, a starsza pani mówiła dalej, nie podnosząc głosu.

– Ja to dużo wiem o Pawełku i całej jego rodzinie, i o Pawełku, znam ich od lat. Proszę wejść, proszę. Eugenia Konstantynowicz, miło mi, Konstantynowicz.

Przy przedstawianiu się podniosła ostentacyjnie pomarszczoną dłoń do pocałunku. Bondys udawał jednak, że nie widzi wystawionej

ręki, ominął kobietę i wszedł do mieszkania, świadomy cienia w osobie Beaty.

– Pawełka to od takiego małego znam, o takiego. – Pokazała ręką na wysokości kolan. – Siadają państwo milicjanty, siadają. Herbaty zrobię. Tak rzadko mam gości, rzadko.

Bondys zastanawiał się, czy postępuje słusznie, wchodząc do mieszkania kobiety. Czuł się jak rozrywkowy przerywnik w emeryckiej monotonii, nie tak, jakby mieli się dowiedzieć czegoś istotnego. Konsekwencją poprzedniego ustroju był dystans do policji, ludzie raczej niechętnie rozmawiali z funkcjonariuszami, a już na pewno nie zapraszali ich na herbatki. Pani Konstantynowicz albo nad wyraz się nudziła, albo była w jakiś sposób związana z policją.

Komisarz usiadł obok Beaty przy stole.

– Za herbatę dziękujemy. Milicji już nie ma, droga pani. Co może nam pani powiedzieć na temat Pawła Skoka?

– Ach, no tak! Zawsze zapominam, bo mój świętej pamięci mąż był milicjantem i to dlatego tak mi zostało. – Zaśmiała się w głos, wyjaśniając przy okazji zagadkę swojej życzliwości dla policjantów.

– Mówiła pani, że może powiedzieć coś o ofierze?

– A, tak, tak. Pawełek to dobry dzieciak. I zakupy pomógł wnieść, i „dzień dobry” zawsze grzecznie mówił, dobry dzieciak. Szkoda go. Herbaty ja i tak zrobię.

Kobieta z zaskakującą jak na swoje lata zwinnością wysmyknęła się z pokoju, zanim ponownie zdążył zaoponować.

Beata wyglądała na skonsternowaną całą sytuacją, ale też trochę rozbawioną. Marek zaś przewrócił oczami i westchnął głęboko.

- Czy mi się zdaje, czy ona mówi wszystko podwójnie? - zapytał koleżankę.

- Nie zwróciłam uwagi. - Wzruszyła ramionami. - Ale może coś wiedzieć na temat denata.

- No tak, nie ma większej skarbnicy wiedzy o kimś niż życzliwa wścibska sąsiadka - odpowiedział ogólnikowo. - Nawet powtarzająca wyrazy sąsiadka.

- Przynajmniej od razu powtórzy zeznania.

Uśmiechnęli się oboje.

Beata podniosła rękę, jakby chciała się podrapać, ale w tym momencie Bondys wyciągnął rękę po notes i musnęli się dłońmi.

- Przepraszam - wybąkała zmieszana.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo niefortunną sytuację przerwała wchodząca do pokoju gospodyni.

- Herbatę z syropem malinowym zaparzyłam, malinowym. Najlepszy na trawienie. - Postawiła na stole srebrną tacę z trzema filiżankami z białej porcelany ze złotymi ozdobnikami. - Cukru już nie przynosiłam, bo syrop słodki, tak że bez cukru. No chyba że państwo milicjanty sobie życzą, to przyniosę.

- Mówiła pani, że coś wie na temat Pawła Skoka? - spytała Beata i ochoczo chwyciła filiżankę z parującym jeszcze napojem. W pokoju apetycznie zapachniało malinami.

- A tak, tak. Pawełek to dobre dziecko, pomocne. Takie dobre dziecko, i zakupy wniósł, i...

Komisarz tracił już cierpliwość do starszej pani. To przykre, że mieszka sama i nie ma z kim porozmawiać, a jej chęć nawiązania kontaktu z drugim człowiekiem jest wręcz desperacka, tylko że oni pracowali nad sprawą zabójstwa i to ona stanowiła w tej chwili



najwyższy priorytet. Zwłaszcza że sprawca wciąż przebywał na wolności i mógł w każdej chwili kogoś jeszcze skrzywdzić.

– Droga pani, my nie piszemy oceny moralnej życia Pawła Skoka, tylko próbujemy się dowiedzieć, kto go zamordował i dlaczego... Zamordował.

Nie mógł się powstrzymać przed tą drobną złośliwością, staruszka jednak zdawała się jej nie zauważyć, Beata za to zachichotała.

– Boże, zamordował, to takie straszne słowo. Biedna Janinka, ona tego nie zniesie. Zamordował. Dobrze, że ma jeszcze Zosię. Zosię jeszcze ma. Chociaż wiadomo, córka to nie to samo, co syn. Ja mam córkę, ale syna nie mam. Zawsze chciałam mieć syna.

Komisarz przewrócił oczami i spojrzał wymownie na koleżankę. Przy każdym zabójstwie zgłaszały się na policję całe rzesze takich osób – marnujących czas i środki, a zupełnie nic niewnoszących do śledztwa. Marek starał się szybko odsiewać takich ludzi, ale mozolność tego zajęcia przypominała dziewiętnastowieczne wyplukiwanie złota w ogromie mułu i kamieni.

– A co może pani nam powiedzieć o zmarłym Pawle Skoku? – spytała znów Beata, najwyraźniej czując się coraz pewniej.

– Pawle, a tak, o Pawle. – Pani Konstantynowicz wzięła spory łyk herbaty, siorbiąc przy tym niemiłosiernie. – To dobre dziecko, bardzo dobre, ale życia to ułożyć sobie nie umiał, oj, nie umiał. Spotykał się z tą kobitką, Ewką, przychodziła tu czasem i owszem, ale on tak za nią nie był, za tą Ewką znaczy. Od początku to było widać. No mnie się wydaje, że on z nią to dla matki, dla Janinki się spotykał. I to matka chciała ślubu, nie Pawełek. Jego to inne rzeczy

interesowały, oj, inne rzeczy. Boże, biedna Janinka, co ona teraz pocznie, biedna...

– Co ma pani na myśli, mówiąc „inne rzeczy”?

– No wiedzą państwo, takie ify, ejse, jak to w telewizji teraz mówią, ciągle mówią. Boże, jakie czasy, Boże! Koniec świata bliski! – Kobieta wzniosła rękę.

– Jakie ejse? – Sierżant zawiesiła rękę z filiżanką w połowie drogi do ust.

Komisarz nawet nie tknął swojej herbaty, stała dalej na srebrnej tacy i stygła malinowo. Pomyślał, że może jednak się pomylił i starsza pani okaże się dorodnym samorodkiem cennego kruszcu pośród mułu nieprzydatnych świadków.

– Ma pani na myśli gejów?

Eugenia Konstantynowicz przeżegnała się dwa razy.

– O Chryste eleison, Kyrie eleison, Święta Panienko z Ostrej Bramy, chroń nas!

– Droga pani, nie każdy homoseksualista od razu ma HIV czy AIDS.

– Przecież ja tego nie mówię! Ale jak w telewizji gadają, to chyba coś w tym jest, Boże chroń nas! Przecież to biblijna Sodomia i Gomora. Archaniołowie, chrońcie nas od złego!

– Wracając do tematu, widziała pani, czy do Pawła przychodzili jacyś mężczyźni?

Beata nakierowała rozmowę na właściwe tory, za co komisarz był jej szczerze wdzięczny, bo sam czuł już tylko opary z wyschniętego źródła swojej cierpliwości.

– Boże broń! Święty Józefie, Aniele Strózu, Józefie Święty! – Kobieta chwyciła krzyżyk z łańcuszka na szyi i pocałowała go. Dwa

razy. – Po prostu widziałam, jak jacyś chłopcy czasem przyszli, odwiedzili Pawła, może to uczniowie. Ja tam nie wiem, ja tam nic nie mówię. Młodzi tacy. Czasem krócej, czasem dłużej byli. Młodzi. Może ciasta ze śliwkami państwo milicjanty zjedzą? Wczoraj upiekłam.

– Jacy chłopcy? Ile mogli mieć lat, dorośli już? – Bondys wyjął notes i zignorował propozycję poczęstunku. – O której godzinie zwykle przychodzili i na ile?

Staruszka wpatrywała się w niego i zaczął się obawiać, że nic więcej im nie powie. Jednak po krótkiej chwili odezwała się ponownie.

– Nie wiem, młodzi tacy. Mogli mieć szesnaście lat, może osiemnaście, młodzi. Dzisiaj to trudno wiek u młodzieży rozpoznać, ubierają się tak dziwacznie.

– A o której zwykle przychodzili i na ile? – powtórzył pytanie.

– Różnie, ja też ciągle przez wizjer to nie patrzę, oj, nie.

W to akurat dość trudno było Bondysowi uwierzyć.

– Tak po *Wiadomościach* zwykle – dodała. – Czasem tuż przed *Zbliżeniami*.

– Czyli między dwudziestą a dwudziestą pierwszą trzydzieści? – sprecyzowała Beata.

– Tak mogło być.

– A może pani coś więcej na temat tej Ewy powiedzieć? – dopytywał komisarz.

– Hmm, Ewę widziałam kilka razy przez judasza. To znaczy wtedy, gdy akurat myłam drzwi, bo ja to nie podglądam nikogo – zastrzegła.

Komisarz pomyślał, że w poprzednim ustroju staruszka z pewnością odnalazłaby się w ORMO. Kto wie, może nawet blaszana odznaka ciągle leżała gdzieś tutaj w mieszkaniu.

– Zwyczajna dziewczyna, chociaż nie wiem, czy nie zbyt skromna dla Pawła. Widać było, że Ewka wpatrzona w niego jak w obrazek, a Paweł to wyglądał jak z krzyża zdjęty przy niej.

– Kiedy widziała pani Pawła Skoka po raz ostatni? – spytała Pachniewicz.

– Jakies dwa tygodnie temu. Tak, dokładnie dwa tygodnie temu we wtorek, dwudziestego czwartego września, bo wtedy przypadały urodziny mojej córki. Jaki piękny tort miała. Czekoladowy, ale taki nie za słodki. – Staruszka spojrzała w sufit i nagle krzyknęła. – O, właśnie! Przyniosę ciasto, bo to nie wypada gości bez poczęstunku trzymać. Po ciasto pójdę.

– Dziękujemy pani, pójdziemy już. Do widzenia!

Bondys wstał i ruszył ku drzwiom, nie odwracając się, słysząc tylko, jak Beata podąża za nim.

Nie był w stanie dłużej znosić ekscentrycznej staruszki z jej uprzedzeniami, plotkarstwem, wścibstwem, siorbaniem, modłami, powtarzaniem się i gadaniem, co tylko ślina na język przyniesie. Najchętniej pewnie wszystkich gejų by do egzorcysty wysłała albo od razu spaliła na stosie, spaliła. Z drugiej strony – co zaskakujące – dowiedzieli się całkiem sporo o denacie, a teoria o homoseksualizmie wydawała się coraz bardziej prawdopodobna. Robaki powoli wypełzały spod pierwszej klepki.



## 11

Tuż przed dziesiątą, po godzinie jazdy, minął białą tablicę z nazwą miasta. Jednak o tym, że zbliża się do Świecia, zdążył już komisarza poinformować charakterystyczny nieznośny odór pochodzący z fabryki celulozy, który wdarł się do samochodu pomimo zamkniętych okien. Cóż, Bydgoszcz miała swój skażony Zachem, Śląsk kopalnie, a Świecie – cuchnące zakłady przemysłu papierniczego.

Przejechał wąskimi uliczkami i zaparkował niedaleko barokowego kościoła Niepokalanego Poczęcia NMP, o ścianach w kolorze kości słoniowej, niczym baśniowa wieża księżniczki z *Niekończącej się opowieści*. Wsiadł z samochodu i skierował się w stronę Wojewódzkiego Szpitala dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych.

Pamiętał, jak przyjechał tutaj po raz pierwszy wiele lat temu, żeby odwiedzić Esterę. Powitały go wtedy dostojne budynki z czerwonej cegły. Świeciło piękne majowe słońce, ogród przed szpitalem kwitł różnymi kolorami, ptaki śpiewały, fruując wesoło między drzewami i krzewami. Marek w pierwszej chwili pomyślał wówczas, że musiał pomylić adres i trafić do jakiegoś pałacu, dworku albo do kolejnych gmachów kościoła, ale wtedy dojrzał tablicę informującą, że znajduje się przed głównym wejściem do

szpitala psychiatrycznego. Potem zapoznał się z długą i burzliwą historią tego miejsca.

Szpital w Świeciu powstał na początku XIX wieku i mało kto wiedział, że to najstarsza i najdłużej działająca tego typu placówka w kraju. W czasie swojej ponad stuletniej historii była świadkiem wielu różnych, także tych najokrutniejszych wydarzeń. Eksterminacja chorych psychicznie w czasie drugiej wojny światowej nie ominęła pacjentów ze Świecia. Ponad tysiąc osób, w tym dzieci, wywieziono na rozstrzelanie przez SS. Ówczesny dyrektor szpitala, Józef Bednarz, którego imię dzisiaj nosił szpital, nie opuścił placówki i został ze swoimi pacjentami do końca – Niemcy dokonali jego egzekucji. W 1980 roku z kolei w zamiejscowym oddziale szpitala w miejscowości Grupa Górna, oddalonej niecałe dwadzieścia kilometrów od Świecia, wybuchł pożar. Zginęło wówczas pięćdziesięciu pacjentów oddziału zamkniętego, którzy w momencie wybuchu ognia zostali uwięzieni w swoich zamkniętych pokojach z kratami w oknach i ginęli żywcem w płomieniach, bez jakiegokolwiek możliwości ucieczki. Pacjenci zostali pochowani we wspólnej mogile w Świeciu.

Komisarz dotarł do właściwego budynku, przedstawił się kobiecie w rejestracji i czekał na lekarkę Agaty Lewińskiej. Umówił się z nią z samego rana telefonicznie. Po chwili przyszła najwyżej trzydziestoletnia drobna kobieta. Najpierw usłyszał stukot jej białych drewnianych chodaków, a dopiero po chwili ujrzał szczupłą sylwetkę w białym fartuchu. Podeszła do niego, energicznie wyciągnęła dłoń na przywitanie i uśmiechnęła się sympatycznie, acz dość machinalnie. Miała krótkie czarne włosy i okulary w dużych

oprawkach. Mimo skromnego ubioru i braku makijażu przykuwała wzrok.

– Joanna Rechlicka. – Uścisk miała zaskakująco silny, jak na tak drobną posturę. – Podobno chce pan porozmawiać o jednej z moich pacjentek.

Mówiła szybko i rozglądała się nerwowo dookoła. Przez tę krótką chwilę zdążyła również dwukrotnie spojrzeć na zegar ścienny. Nietrudno było domyślić się, że wizyta policjanta była jej nie w smak.

– Komisarz Marek Bondys, Wydział Kryminalny, Komenda Wojewódzka w Bydgoszczy. – Odwzajemnił uśmiech. – Tak jak mówiłem przez telefon, mam kilka pytań dotyczących Agaty Lewińskiej.

– Skoro fatygował się pan tutaj aż z Bydgoszczy, to może przejdźmy do mojego gabinetu, zapraszam – powiedziała to trochę zbyt serdecznym, a przez to sztucznym w odbiorze tonem, po czym odwróciła się do gościa tyłem i ruszyła, nie oglądając się za siebie.

Policjant posłusznie podążył za nią.

Jak się po chwili okazało, określenie „gabinet” było sporą przesadą, weszli bowiem do maleńkiego pokoju, w którym z trudem mieściło się biurko, dwa krzesła i kozetka w rogu. Nad biurkiem wisiał regał z podręcznikami o psychiatrii, żółtym katalogiem leków Pharmindex i kilkoma roślinami w doniczkach, błagającymi o podlanie. Na ścianie wisiał duży kalendarz z nazwą jakiejś firmy farmaceutycznej, jednak to kolorowe obrazki dookoła poszczególnych miesięcy przykuwały od razu uwagę – malunki, podpisane tylko imionami lub inicjałami, a na górze przedstawione

jako „Dzieła naszych pacjentów – Szpital dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych w Świeciu”.

– Co chciałby pan wiedzieć o mojej pacjentce? Przypominam tylko, że obowiązuje mnie tajemnica lekarska.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko, ale Bondys cały czas miał wrażenie, że niezbyt szczerze.

Kiedys Anita – jego była dziewczyna, psycholog – tłumaczyła mu, jak rozróżnić, gdy ktoś uśmiecha się na siłę. Wówczas w grymasie uśmiechu uczestniczą tylko mięśnie ust i dookoła nich, a pozostała mimika pozostaje niewzruszona. Innymi słowy – jakby zasłonić usta, to na twarzy takiej osoby nic się nie dzieje. I komisarz miał wrażenie, że właśnie obserwuje książkowy przykład takiego zachowania.

– Wczoraj rano Agata Lewińska podczas spaceru z psem prawdopodobnie odnalazła zwłoki zamordowanego mężczyzny – zaczął.

– Boże... – wtrąciła lekarka i przyłożyła dłoń do ust.

Przez jej twarz przebiegł grymas autentycznej troski, nawet dość przesadnej jak na relację lekarz–pacjent. Po chwili jednak naturalna reakcja zniknęła i wrócił wymuszony uśmiech. Czekwała na dalszy krok z jego strony, miała chyba nadzieję, że zakończyli właśnie rozmowę. Musiał jednak ją rozczarować.

– Pani pacjentka być może również widziała zabójcę albo... – próbował dokończyć, ale rozmówczyni znów mu przerwała.

– Albo sama nim jest? – dokończyła za niego z oburzeniem, którego nie była w stanie już przykryć uśmiechem. – Oczywiście, jeśli chora psychicznie, to z pewnością też kryminalistka!



Bondys przyjrzał się kobiecie – otworzyła szerzej oczy, jej oddech przyspieszył, a broda delikatnie drżała. Nie musiała nic dodawać, ciało mówiło za nią.

– No cóż, to pani powiedziała.

– Nie, pan to zasugerował! – prychnęła. – Najłatwiej jest kogoś zaszufładkować!

– Nic nie sugeruję – powiedział spokojnie. – A już na pewno na tak wczesnym etapie śledztwa nic nie zakładam. Agata Lewińska jest dla policji przede wszystkim ważnym świadkiem.

Doktor Rechlicka spojrzała na niego ze zdziwieniem i niepewnością, jakby badała, czy jej rozmówca ironizuje, czy jednak mówi poważnie.

– W takim razie czego pan ode mnie oczekuje? – powiedziała dużo ciszej i w bardziej przyjazny sposób, ale mimo to skrzyżowała ręce na drobnych piersiach w znanym geście zamknięcia.

– Pozwolenia na rozmowę z Agatą Lewińską.

Lekarka wstała i odwróciła się w stronę okna. Nie ponaglał jej, czekał cierpliwie na odpowiedź. Oglądał obrazki pacjentów na kalendarzu; szczególnie zainteresował go jeden, przedstawiający ludzki szkielet na pustyni i klęczącą obok postać.

– Agata została przywieziona w stanie ciężkiego szoku, być może spowodowanego wydarzeniami, o których pan właśnie wspomniał – mówiła Rechlicka, nadal odwrócona tyłem do komisarza. – Ta dziewczyna przeszła już bardzo dużo, ma delikatność szklanej bańki, a kiedy się stłucze, to rozpada się na dziesiątki kawałków.

Kobieta ponownie usiadła za biurkiem. Przez chwilę komisarzowi zdawało się, że dojrzał łzy w jej oczach – nie był tego

pewien, jednak sam fakt, że kobieta się odwróciła, mógł potwierdzać jego spostrzeżenie.

– Proszę pani, okaleczono i zamordowano młodego mężczyznę, a pani pacjentka jako jedyna może coś wiedzieć w tej sprawie. – Starał się, żeby nie zabrzmiało to bezdusznie. – Rozumiem ciężki stan psychiczny pani Lewińskiej, ale naprawdę muszę z nią porozmawiać.

– Nic pan nie rozumie! – Kobieta niespodziewanie wrzasnęła, ale od razu głęboko odetchnęła, jakby pożałowała swojego wybuchu. – Przepraszam. Po prostu schizofrenicy to grupa zupełnie wykluczona społecznie, zresztą jak większość chorych psychicznie i mało kto jest w stanie zrozumieć ich sytuację.

Pokiwał głową. W tym względzie akurat w pełni podzielał usłyszaną opinię i sam nie znosił szufladkowania ludzi na podstawie ich wyglądu, płci czy choroby.

– Zgadzam się z panią, ale muszę o to zapytać. – Zrobił krótką pauzę. – Czy pani zdaniem Agata mogła mieć atak schizofrenii i stać się niepoczytalną?

– Jak pan doskonale wie, zabić może każdy.

Wpatrywała się w niego tak przenikliwym wzrokiem, że w innych okolicznościach poczułby się podrywany, za to w tej sytuacji widział drugie dno tej rozmowy. Na pewno lekarka nie mówiła mu wszystkiego, a pacjentka wyraźnie nie była jej obojętna. Pytanie tylko, czy miało to jakiś związek ze śmiercią Pawła Skoka.

– Oczywiście, ale czy pani zdaniem Lewińska mogła na przykład mieć omamy wzrokowe, słyszeć głosy i w wyniku choroby dopuścić się morderstwa? – Szukał odpowiednich słów.

Rozmówczyni westchnęła ciężko.

- Schizofrenia to potworna choroba, bardzo podstępna. Agata cierpi na odmianę paranoidalną, jednak podczas jej ostatniego pobytu udało się dobrać farmakoterapię. Dobrze reagowała na leczenie, zrobiła ogromne postępy i dawno nie miała epizodów chorobowych, dlatego wypisałam ją do domu. Przyjaciel ma również doskonały wpływ na Agatę, uspokaja ją i daje poczucie bezpieczeństwa. - Zamyśliła się. - Jednak jak pan zapewne wie, ludzki umysł jest nieprzewidywalny.

- Jaki przyjaciel? - zainteresował się i wyjął notes zza pazuchy, próbując sobie przypomnieć, czy Beata i Radek wspominali, że ojciec dziewczyny mówił o kimś bliskim córce.

- Przyjaciel to imię psa Agaty, owczarka niemieckiego. - Po raz pierwszy lekarka uśmiechnęła się całą twarzą. - Terapeutycznie czyni dla niej cuda, Agatka bardzo przeżywa rozłąkę z nim.

Bondys zastanawiał się, w jaki sposób sformułować kolejne pytanie. W końcu uznał, że nie wymyśli nic innego, i spytał:

- A czy pani pacjentka mówiła o sprawach ostatecznych? O śmierci? - Nadal szukał odpowiednich słów. - Czy miała myśli samobójcze? Czy rozmawiała z panią o zabiciu siebie lub kogoś?

- Nie mogę udzielać takich informacji. - Rechlicka sięgnęła po długopis i zaczęła nim nerwowo stukać o blat biurka. - Powiem tak: moim zdaniem na obecnym etapie leczenia Agata nie jest bardziej niebezpieczna dla otoczenia niż ja czy pan.

Komisarz miał dość tych lakonicznych odpowiedzi. Lekarka albo robiła to nieświadomie, albo doskonale wiedziała, jak odpowiadać wymijająco. Postanowił sprowokować Rechlicką.

- Ale hipotetycznie, czy w przypadku ataku choroby Lewińska byłaby w stanie okaleczyć, poderżnąć gardło i powiesić na drzewie

dorosłego mężczyznę?

Kobieta nie zareagowała na opis ofiary. Większość osób na taką informację wyraża przerażenie, obrzydzenie, strach... A tutaj nic, jakby podał jej przepis na ciasto czekoladowe. To mogło oznaczać, że znała już wcześniej obrażenia denata i jej nie zaskoczyły, bo na przykład usłyszała je od pacjentki, albo mogło to być kompletnie bez znaczenia.

- Hmm... To, co potrafi zrobić osoba w trakcie epizodu schizofrenicznego, nieustająco zaskakuje lekarzy. Ich siła w ataku szалу czasem przewyższa prawa fizyki czy wyobraźnię. Jednak proszę mi uwierzyć, że w przypadku Agatki nigdy nie widziałam aktu agresji ani nie zaobserwowałam nawet takich tendencji. U niej sytuacje stresowe zawsze objawiały się przerażeniem, płaczem. Może jeszcze uwierzyłabym w przejawy autoagresji, gdyby dotarła do granic własnej wytrzymałości, ale trudno mi uwierzyć w akt przemocy wobec drugiej osoby.

- Widziałem kilka przypadków samobójstwa schizofreników, które na początku uznano za zabójstwa. Pamiętam drobno zbudowaną dwudziestolatkę, która zadała sobie kilkanaście ran nożem kuchennym, zanim poderżnęła sobie nim gardło tak długim i głębokim cięciem, że trudno było uwierzyć w brak udziału osób trzecich. Albo mężczyznę, który wbił sobie siekierę w środek czoła z taką siłą, że rozpołowił czaszkę.

Rechlicka przymknęła na chwilę powieki.

- Jak już mówiłam, ludzki umysł jest nieodgadniony, panie komisarzu. - Odłożyła długopis i pochyliła się do rozmówcy. - Może chodźmy już do Agaty. Tylko proszę o możliwie krótką i delikatną rozmowę.

Bondys podziękował lekarce za poświęcony czas i udał się za nią w stronę drzwi. Wyszli z budynku i w milczeniu udali się do skrzydła szpitalnego z tabliczką „Oddział zamknięty”. Na horyzoncie za linią drzew, po drugiej stronie Wdy, dostrzegł okrągłą, ceglana wieżę zamku krzyżackiego.

Dochodziło południe. Majestatyczny budynek szpitala wyglądał bajecznie w barwach przebijającego się przez chmury słońca. Marek spojrzał jeszcze raz na gmach i stwierdził, że istnieje niebywały kontrast między kunsztem architektury a krwawą historią tego miejsca i ogromem ludzkiego nieszczęścia zamkniętym za jego murami.



## 12

Joanna Rechlicka odprowadziła komisarza pod właściwą salę na oddziale zamkniętym. Starła się iść żwawym, ale nie nerwowym krokiem, choć i tak miała wrażenie, że niemal biegnie. Gdy dotarli na miejsce, nalegała na obecność przy rozmowie, ale policjant upierał się, że chce zostać z potencjalnym świadkiem w cztery oczy. Wbrew sobie zgodziła się, nie chciała wzbudzać podejrzeń, jednak po otwarciu drzwi weszła sama do środka i uprzedziła Anuszkę – jak zwykła do niej zdrobniale mówić – o co policjant będzie ją pytał, w jakiej sprawie przyjechał, dlaczego i co powinna mu powiedzieć. A co najważniejsze – czego kategorycznie nie wolno jej mówić. Miała nadzieję, że to wystarczy. Ufała Anuszcze w stu procentach, ale mimo to denerwowała się, że komisarz coś zauważy. Dziewczyna była w słabej formie i przez to łatwiej można było ją zmanipulować. Po telefonie z bydgoskiej komendy wierzyła, że przyjedzie jakiś znudzony szeregowy policjant, szybko spisze zeznania i tyle, a okazało się, że miała na głowie docieklivego gliniarza z powołania.

Czekała pod salą i próbowała się uspokoić. Poszła do łazienki i delikatnie otarła twarz chusteczką, aby nie było widać kropelek potu

na skroniach. Następnie wyszła przed budynek zapalić. Spojrzała na zegarek – komisarz rozmawiał z Anuszką od dwudziestu minut.

Długo.

Cholernie długo.

Za długo.

Zaciągnęła się łapczywie i uspokoiła oddech. Niedaleko widziała grupę stłoczonych pacjentów w szlafrokach, którzy palili papierosy i stali w ciszy, nie rozmawiając ze sobą. Mimo że nie widziała tabliczki, to doskonale wiedziała, przed jakim oddziałem się znajdują – budynek terapii uzależnienia od alkoholu. No tak, nic dziwnego, że palą – jeden nałóg łatwiej zastąpić innym, aby się od tego pierwszego uwolnić. Nie bez przyczyny w dawnych czasach heroinistów na odwykach leczono morfiną.

Zaciągnęła się kolejny raz, ale ją zemdliło. Zgasiła więc peta i wróciła do środka, gdzie spotkała komisarza wychodzącego z sali.

– Już po rozmowie? – Starła się mówić w jak najbardziej naturalny sposób, ale z doświadczenia wiedziała, że zwykle przynosi to zupełnie odwrotny efekt. – Muszę zamknąć drzwi.

Bondys znów przystanął i wpatrywał się w nią niczym anakonda w swoją ofiarę tuż przed atakiem.

– Sanitariusz już to zrobił. – Uśmiechnął się uprzejmie. – Tak, już po. Dowiedziałem się całkiem sporo. Na razie tyle wystarczy, ale nie wykluczam ponownej wizyty u państwa.

Jej serce zaczęło tłuc się jak oszalone w piersi, poczuła, jak zaczynają jej drżeć dłonie, które natychmiast odruchowo zacisnęła w pięści.

– Doprawdy? – Próbowała odwzajemnić uśmiech. – A co takiego Agata panu powiedziała, komisarzu? – spytała niby od niechcienia,

choć zżerała ją ciekawość.

Schowwała ręce do kieszeni lekarskiego kitla, żeby ukryć drżenie. Policjant wkładał akurat duży czarny notes w skórzanej oprawie do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Przeszła jej przez głowę absurdalna myśl, że w tej chwili bardzo chciałaby umieć czytać w zamkniętych księgach – a w tym wypadku notesach.

– Podobnie jak lekarzy, obowiązuje mnie tajemnica zawodowa, pani doktor. – Ukłonił się i skierował do wyjścia.

– Tylko proszę o uprzedzenie telefoniczne przed ewentualną następną wizytą.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem, a może podejrzliwością, więc szybko dodała:

– Agata może być na przykład na terapii albo badaniach. Ja też mogę przebywać poza placówką. Albo nas obu może nie być.

Bondys nie skomentował, tylko ponownie kiwnął głową. Szczerze ucieszyło ją, że już wychodził. Bała się, że za chwilę nie wystarczy jej sił, żeby dłużej udawać spokojną, jeśli jeszcze jej się to udawało.

– Oczywiście jakby świadek Lewińska sobie coś przypomniała, to proszę do mnie zadzwonić. – Policjant zatrzymał się i znów patrzył na nią tym bazyliżkowym wzrokiem. – Gdyby pani sobie coś przypomniała, to również proszę o kontakt. Do widzenia, pani doktor.

Kiedy tylko śledczy opuścił szpital, ruszyła pędem do sali. Dziewczyna siedziała w kącie na podłodze i wpatrywała się w swoje stopy w grubych wełnianych skarpetach, trzymając się kurczowo za kolana. Miała na sobie pasiastą piżamę, a na niej grubą podomkę w kwiaty, wyraźnie gryzące się z biało-niebieskim wzorem. Włosy miała niechlujnie związane w kitkę, a twarz nieumalowaną i bladą.



- Anuszka, już dobrze! - zawołała lekarka, kucnęła obok pacjentki i pogłaskała ją po głowie. - Nie denerwuj się. Przepraszam, musiałam go wpuścić.

Dziewczyna spojrzała na nią i pokiwała delikatnie głową.

- Powiedziałaś mu coś?

Podniosła wzrok z podłogi i spojrzała na Rechlicką.

- Nie, Asiu - wyszeptała.

- To dobrze. Byłaś bardzo dzielna, wiesz? Moja kochana!

Usiadła koło napiętego i skulonego ciała Lewińskiej na podłodze i przytuliła się do niej. Ciężko odetchnęła z ulgą. Wyglądało na to, że komisarz niczego się nie domyślił.

- Chciałabym zobaczyć Przyjaciela - powiedziała cicho Agata.

- Wiem, Anuszka, wiem. Już niedługo - odpowiedziała, nadal czule ją głaszcząc.

Siedziały tak jeszcze przez chwilę na podłodze i nawzajem się uspokajały bez słów. W końcu Joanna zaprowadziła podopieczną na łóżko, przykryła i poczekała, aż ta zaśnie. Trzymała ją za rękę i gładziła po przetłuszczonych włosach. Tak bardzo chciałyby pomóc Anuszcze, ale nie potrafiła. Nie mogła. Nikt nie mógł.

Teraz najważniejsze było, aby nikt jej nie zaszkodził.



Zakład Medycyny Sądowej przy szpitalu imienia doktora Jurasza znajdował się dziesięć minut drogi piechotą od komendy. Bondys umówił się na miejscu o piętnastej – miał zatem jeszcze dwadzieścia minut i mógł spokojnie się przespacerować. Po tym, jak wrócił ze Świecia, uznał, że przyda mu się ruch i świeże powietrze. Co prawda październikowa słońca zdawała się robić wszystko, aby zniechęcić go do tego pomysłu, ale i tak postanowił postawić na swoim. Miasto w deszczu wyglądało na jeszcze bardziej szare, ponure i smutniejsze niż zwykle. Jak stary kundel przywiązany na łańcuchu, którego buda przecieka, sierść stroszy się od deszczu, a on tylko szczyrzy kły na obcych ze strachu i żalu albo już sam nie wie, z jakiego powodu.

Chociaż komisarz chyba właśnie za tę nostalgię i brzydotę kochał swoją Bydgoszcz. Owszem, czasem przeklinał to miasto, ale też, a może przede wszystkim, kochał. Na szorstki i specyficzny sposób. Nie przypominała zabytkowego Torunia, chlubiącego się sztuką, architekturą, piernikami, turystami i Kopernikiem, który odkrył teorię heliocentryczną. I co jeszcze? Może pismo, koło i piramidy to też zasługi torunian? Tylko dla przypomnienia – Szwedzi nie oszczędzili za dużo budynków w Bydgoszczy, Niemcy nie zostawili

przy życiu zbyt wielu wykształconych ludzi, którymi można by się chwalić, a w obecnym Zachemie mieli swoją fabrykę broni dla Wehrmachtu.

Bydgoszcz nie miała tylu studentów i nie tętniła życiem jak Poznań z kolorowymi kamienicami i włączącymi w siebie koziółkami na rynku, nie rozwijała się tak dynamicznie jak Trójmiasto. Tylko co to za sztuka, kiedy masz dostęp do morza, słynne molo, festiwal piosenki, Wałęsę, stocznię i pół Polski zostawiające kupę kasy w wakacje za pamiątki, kartki, muszelki-srelki i ryby smażone na starym, śmierdzącym oleju?

Jeżeli w ogóle kojarzono Bydgoszcz, to jako miasto niedaleko Torunia, lokalną siedzibę przemysłu albo z drużyną żużlową Polonia. No, tylko czasem słysząc nazwę miasta, ktoś pomyślał o ostatniej mszy księdza Popiełuszki, którą odprawił w którymś tam bydgoskim kościele.

A czy ktoś pamięta dziś, że Bydgoszcz kiedyś miała piękny zamek z murami obronnymi? Nie, bo został wysadzony podczas potopu szwedzkiego, później rozebrany do końca przez hitlerowców. Zostało z niego tak niewiele ruin, że dziś można je było pomylić z krzywym murowanym ogrodzeniem którejś z pobliskich kamienic, straszących swoim zaniedbaniem. Kraków ma zamek z całym wzgórzem, smokiem i truchłami królów, Warszawa może pochwalić się zamkiem królewskim, wiadomo, a Malbork ma zamczysko – co prawda krzyżackie, ale za to jakie okazałe. Tak, tylko nikt im nie zniszczył tych budowli. Oczywiście Warszawę też zniszczono w czasie wojennej zawieruchy, ale o tym to wiersze pisano, piosenki śpiewano; każdy zna „lecą bomby, lecą, na moją Warszawę”. I starano się odbudować miasto za wszelką cenę, bo to stolica, bo

ukochana, bo piękna, bo serce kraju – Bydgoszcz wszyscy mieli w dupie. Bondys kiedyś pomyślał nawet, natchniony psem sąsiada, który załatwiał się na środku chodnika przed blokiem, że jeżeli Bóg istnieje, to w Bydgoszczy tylko się wysrał, podtarł, przykrył to miejskie gówno kawałkiem szarego papieru, poszedł dalej i zapomniał o tym mieście raz na zawsze.

Komisarz stanął przed bramą szpitala, jeszcze raz spojrzął na swoje ukochane brzydkie miasto, oderwał się od przemyśleń na temat lokalnego patriotyzmu i wszedł do środka, chuchając w dłonie. Tuż za nim wbiegł naczelnik Rybacki, przeklinając pod nosem pogodę i dysząc jak parowóz. Musiał szybko biec, bo pomimo zbliżającej się sześćdziesiątki kondycją mógłby zawstydzić niejednego młokosa. Przywitali się i przystanęli na chwilę.

– Czego dowiedziałeś się od tej wariatki ze Świecia? Myślisz, że to ona zaszlachtowała Skoka? – spytał, łapiąc oddech.

Bondys zaczynał się powoli przyzwyczajać do określenia „wariatka”, choć nadal go drażniło.

– Hmm, Agata Lewińska z pewnością jest przerażona całą sytuacją, w dodatku dostała silne leki. Na razie nie jest w stanie rzeczowo mówić o wczorajszym poranku. Musimy poczekać jakiś czas z ponownym przesłuchaniem.

– Maras, nie mamy czasu – dodał naczelnik stanowczo, ale bez złośliwości.

– Wiem o tym, ale kobieta nic nie pamięta i wybucha histerycznym płaczem po kilku pytaniach.

– A może tylko twierdzi, że nie pamięta?

– Niewykluczone. – Bondys zastanawiał się czy chce powiedzieć przełożonemu o jeszcze jednej kwestii. Podjął decyzję. – Jest coś, ale

może to tylko moje przypuszczenia...

- No mów! - zachęcił go Rybacki, klepiąc po ramieniu.

- Odniosłem wrażenie, że lekarka Lewińskiej coś ukrywa. Zachowywała się... - Szukał odpowiedniego słowa - nerwowo. Zwłaszcza gdy zablefowałem, że Lewińska powiedziała mi coś istotnego.

- Może być wiele powodów jej zdenerwowania. Wizyta policjanta, jej pacjentka przesłuchiwana w sprawie zabójstwa, choć być może nie powinna była pozwolić na opuszczenie szpitala. Poza tym niby co miałyby ukrywać?

- Nie wiem, ale było coś dziwnego w tej kobiecie.

- Dla ciebie to większość ludzi jest dziwna. - Rybacki się zaśmiał.

- Ale faktycznie, porozmawiaj jeszcze raz z Lewińską i na wszelki wypadek przyjrzyj się też tej lekarce.

Zaczęli iść korytarzem w stronę trupiarni - jak zwykli nazywać na komendzie prosektorium. W budynku panował chłód, ale nie aż tak przejmujący jak na dworze, i przynajmniej nie dęło ani nie padało. Lekarz medycyny sądowej, Marcin Rudnicki, czekał już na nich w środku. Znali się od lat, a Bondys mało kogo lubił i cenił tak, jak tego niskiego, korpulentnego pięćdziesięciolatka z uśmiechem na twarzy, spokojem ducha, umiłowaniem do polszczyzny i pogardą dla przekleństw. Ta ostatnia cecha w środowisku policyjnym należała naprawdę do rzadkich, wręcz niemożliwych. Czasami spotykali się z Marcinem i Aleksem przy wódce. W dawnych czasach dołączał do nich Zygmunt, ale kiedy jeszcze żył jako wybitny śledczy i beztroski kawaler.

Rudnicki uśmiechnął się, zaplótł dłonie w koszyczek na swoim pokaźnym brzuchu i kręcąc kciukami powolne młynki poczekał, aż

goście ściągną ociekające wodą ubrania wierzchnie.

– Witam szanownych kolegów! Chociaż jak tak na was patrzę, to raczej zmokłe policyjne kury.

– Siedzisz w tej trupiarni cały dzień, to nawet nie wiesz, jaka jest pogoda na zewnątrz. Może chociaż byś zaparzył kawy kolegom? – mruknął Rybacki.

– Zygi, chyba nie wątpisz w moją gościnność! Kawa świeżo zaparzona czeka już na was, wraz z pokrojonym ciałem Pawła Skoka na deser – odparł z uśmiechem gospodarz.

– Dzięki – odburknął naczelnik, ale wyraźnie ucieszył się z usłyszanej wiadomości.

Bondys również wziął swój kubek z kawą, zanurzył w niej usta i lekko się skrzywił. Wszystko poniżej trzech czubatych łyżeczek sypanej kawy zalanych wrzątkiem nie było godne nazywania kawą. Ale darowanemu koniowi i tak dalej.

– Co możesz nam powiedzieć po sekcji? – spytał komisarz, ukrywając grymas wywołany kawopodobnym posmakiem w ustach.

– Zapraszam szanownych kolegów.

Trzej mężczyźni weszli do prosektorium. Na środku stało kilka stołów, wszystkie poza jednym były puste. Zimna biel kafelków, metalowe stelaże stołów i wdzierający się w nozdrza zapach formaliny nie pozostawiały wątpliwości co do przeznaczenia miejsca, w którym się znajdowali. Stalowe rury i zlewy pod ścianą, ciągnące się wzdłuż całej jej długości, wyglądały jak ciemne glisty wijące się i oplatające nawzajem. Zazwyczaj panowała tutaj nieznośna cisza, ale dziś przerywało ją upiorne wycie wiatru za oknem, niczym z horroru. Na stole przy oknie leżało ciało denata przykryte prześcieradłem. Rudnicki podszedł do niego i jednym

sprawnym ruchem ręki odsłonił ciało, opierając się przy tym okazałym brzuchem o stół. To wyjaśniało kilka zaschniętych, brązowo-niżakich plam na fartuchu lekarza. No cóż, kucharz ma fartuch brudny od żurku czy bigosu, salowa w szpitalu od tego, co wyleci z basenu pacjenta, a lekarz medycyny sądowej – od zwłok. Taka specyfika zawodu.

– Z rzeczy oczywistych: ofiara została zamordowana. Ale po kolei. – Rudnicki wziął długopis i zaczął nim machać jak dyrygent batutą, pokazując pierwsze obrażenia na ciele denata. – Otóż napis „Homo” wykonano cienkim ostrzem, prawdopodobnie skalpelem lub żyłką. Napis wykonano za życia ofiary. Tak że auć.

Przez lata wspólnej pracy komisarz zdążył przywyknąć do specyficznego poczucia humoru kolegi i szczerze je polubił. Miał świadomość, jak trudno uporać się z ciężarem okrucieństwa w ich profesji, nie oceniał zatem metod kolegów, dopóki te nie szkodziły śledztwu. Jedni pili na umór, drudzy wpadali z jednego romansu w kolejny, on sam palił jak smok, jeszcze inni ćwiczili boks czy podobne mordobicie po godzinach, a Rudnicki żartował. Sposób jak sposób, na tle pozostałych dość niewinny.

– Czyli morderca chciał poprzez napis przekazać coś światu i torturował w ten sposób swoją ofiarę – uzupełnił Rybacki, który najwyraźniej również przywykł do stylu pracy Marcina.

Gospodarz pokiwał twierdząco głową i kontynuował:

– Jeśli chodzi o te maleńkie, liczne nacięcia na skórze, to myślę, że wykonano je tym samym ostrzem co napis. – Lekarz wymachiwał dalej swoją batutą, pokazując drobne rany na całym ciele ofiary. – Oczywiście pojedyncze, tak niewielkie przecięcie, byłoby zupełnie

nieszkodliwe i niemal niewyczuwalne, ale w takiej ilości sprawiły ofierze na pewno sporo bólu. Tak że znowu auć.

– A co z przyczyną zgonu? – zapytał Zygmunt, dopijając ostatni łyk kawy.

– Po kolei, drogi kolego! Wy, pracujący z żywymi, to zawsze tacy niecierpliwi. – Rudnicki spojrział z politowaniem na naczelnika, który tylko westchnął ciężko. – Chciałbym jeszcze chwilę poświęcić tym artystycznym cięciom.

– Jakim, kurwa? – Rybacki spojrział na niego, wytrzeszczając oczy. – Artystycznym?!

Sądząc po jego żywiołowej reakcji, może jednak przełożony nie do końca przyzwyczał się do sposobu pracy Marcina.

– Ja nie oceniam samego aktu torturowania czy zabijania tego tutaj biedaka, to wasza rola. Mówię tylko, że same cięcia wykonano nad wyraz równo i precyzyjnie, co świadczy o kunszcie osoby wykonującej. Ale z tymi cięciami wiąże się jeszcze jedna ciekawostka. – Rudnicki, kompletnie niezrażony oburzeniem kolegi, uśmiechał się jak dziecko, które chce pokazać rodzicom swój rysunek. – Zaciekawilo mnie, dlaczego są takie czerwone i zaognione.

Wpatrywał się w nich, jakby oczekiwał odpowiedzi, ale nikt się nie odezwał.

– Otóż, znalazłem w każdej z losowo wybranych dziesięciu ran kwas octowy i rozpuszczony chlorek sodu – dokończył opowieść z nieukrywaną satysfakcją.

– Możesz mówić jaśniej? – skrzywił się Zygmunt.

– To oznacza, że rany Pawła Skoka posypywano solą i polewano octem, zwielokrotniając ból – odpowiedział tym razem Bondys.



- Dokładnie tak. Przez co z niewinnego cięcia powstała wymyślna tortura. A teraz do meritum! Przyczyna zgonu! - Lekarz podszedł od strony głowy denata, która do tej pory pozostawała zasłonięta prześcieradłem, i niczym maestro na koniec koncertu płynnym ruchem zerwał materiał. - Tutaj niespodzianki nie ma. Przyczyną zgonu jest poderżnięcie gardła.

- Wykonano je tym samym ostrzem co napis i te drobne rany? - spytał komisarz.

- Nie. Gardło zdecydowanie poderżnięto dłuższym i grubszym ostrzem, prawdopodobnie nożem rzeźnickim lub wojskowym. Za to cięcie nie jest równe, jakby sprawca się zawahał albo na przykład... - Zamyślił się.

- Albo jakby zabijał po raz pierwszy - uzupełnił cicho Bondys, a Marcin pokiwał głową. - Znalazłeś coś jeszcze?

- Tak. Z tyłu głowy mamy rozciętą skórę i krwiał, więc prawdopodobnie nasz nieboszczyk najpierw dostał porządnie w łeb.

Rudnicki odsłonił włosy ofiary i pokazał gościom solidnego guza nad potylicą.

- Tak go ogłuszono? - spytał Zygmunt.

Wyciągnął z kieszeni okrągłe pudełko i nałożył grubą warstwę maści mentolowej pod nos. Większość policjantów stosowała ją przed wejściem do prosektorium, ale pewnie naczelnik o niej zapomniał albo zemdleł go dopiero widok roztrzaskanej czaszki.

- Podejrzewam, że tak. - Lekarz spojrział w swoje zapiski umieszczone przy łóżku denata. - Na wyniki toksykologii trzeba jeszcze poczekać. Narządy wewnętrzne nieuszkodzone. Raport podrzucę wam jeszcze dzisiaj.

- Dzięki, Marcin. - Bondys pochylił się nad ofiarą i zaczął przyglądać uważnie ciału. - A ile jest tych cięć?

- Jak widać, drogi kolego, dużo!

Rudnicki zaśmiał się i spojrzał na komisarza, którego twarz bynajmniej nie wyrażała podobnych emocji.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Ty mówisz poważnie, Bondys? - upewnił się Rudnicki. Zrzędnęła mu mina i grymas zdziwienia zastąpił uśmiech.

Naczelnik też spojrzał na komisarza spode łba.

- Te cięcia są zbyt precyzyjne, żeby to mógł być przypadek. Ich liczba może mieć znaczenie - wytłumaczył komisarz.

- Bez jaj - włączył się Zygmunt. - Chyba nie myślisz, Maras, że ktoś jest aż takim dewiantem, żeby liczyć rany?

Marek sam uwielbiał liczyć, choć za dewianta się nie uważał. Nie przyjął jednak uwagi przełożonego osobiście.

- Jeśli jest takim dewiantem, żeby pociąć kogoś na żywca, posypać rany solą, potem poderżnąć gardło, a ze zwłok wykonać inscenizację w lesie, to liczenie przecięć przy tym wydaje się dość niewinne i normalne.

- Drogi kolego, będę to liczył tydzień, nie każdy jest takim fanatykiem liczb, jak ty...

Rudnicki zwiesił głowę i podszedł do zwłok.

- Podaj mi wskaźnik, policzę za ciebie.

Marcin oddał mu przedmiot z wyraźną ulgą.

Naczelnik pożegnał się i wyszedł, a Rudnicki rozsiadł się wygodnie na stołku i dopijał kawę, o dziwo bez żadnego deseru. Lekarza często można było zastać w trakcie posiłku przy pracy, co

zresztą logicznie tłumaczyło jego tuszę. Czy Marcina to jeszcze odrzucało albo brzydziło? Po tylu latach z pewnością już nie, przywykł do jedzenia przy zwłokach. Każdy by się przyzwyczaił. Człowiek jest jak karaluch – adaptuje się do każdego środowiska.

Po kilku minutach i przeliczeniu ran trzy razy Bondys wyjął notes i zapisał wynik.

Sto dziewięćdziesiąt dziewięć.

Dziwne. Spodziewał się okrągłej liczby, jednak przy trzykrotnym liczeniu nie mogło być mowy o pomyłce. To mogło mieć ogromne znaczenie dla rozwiązania sprawy.

Albo być kompletnie nieważne.



Przed kilkoma godzinami zapadł zmrok, więc tylko latarnie i nieliczne o tej porze samochody rozjaśniały bydgoskie ulice żółtym punktowym światłem. Marzena wracała z kółka teatralnego do domu. Szczerze nie znosiła prób spektaklu, a sama sztuka nudziła ją okropnie. Kto to widział, zabijać się z miłości! Jakie bzdety! Ale rolę Romea grał Grzesiek – najpopularniejszy chłopak w całej szkole, koszykarz, z ciałem wyrzeźbionym jak u atlety, a jej udało się zostać Julią, tak więc przyświecał jej wyższy cel. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zostanie dziewczyną Grześka, otrzyma dzięki temu status gwiazdy w szkole i wszyscy będą jej zazdrościć. Taka szansa może się nie powtórzyć. Dlatego już prawie nauczyła się tekstu na pamięć i starała się zagrać tę idiotkę Julię najlepiej, jak potrafiła. I najładniej, jak potrafiła, trzepotała przy tym rzęsami, uśmiechając się do Romea.

Na próby nosiła torbę z ciuchami i kosmetykami, żeby wcześniej przebrać się i umalować w szkolnej łazience. Jakoś musiała zwrócić uwagę Grześka, a obcisła mini, dekolt i wysokie obcasy zrobią wrażenie na każdym chłopaku. Na szczęście stary polonista od kółka teatralnego ślinił się na widok ładnych dziewczyn, więc nie zabraniał

jej wyglądać wyzywająco. Co innego ta gruba dyrektorka z wąsem pod nosem, ona to skreśliłaby pewnie aferę na pół szkoły, jakby ją zobaczyła w tym stroju. Stara zazdrośnica, za nią nikt się już nie oglądał i dlatego tak goniła młode dziewczyny chcące pokazać co nieco swoich wdzięków. Marzena mogła pochwalić się zgrabną sylwetką, małymi, ale jędrnymi, piersiami i nogami do samej szyi. Tyłek miała trochę płaski, ale nikt nie jest idealny. Wiedziała, że swoim wyglądem może dużo ugrać w życiu i zamierzała z tego skorzystać.

Po próbie zazwyczaj wychodziła jako ostatnia, bo musiała jeszcze zmyć makijaż i z powrotem się przebrać w normalne, nudne ciuchy, żeby matka niczego nie zauważyła. W przeciwnym razie miałyby przechlapane i dostałaby szlaban. A zakaz wychodzenia byłby w jej sytuacji najgorszy na świecie. Matka to w ogóle ostatnio zrobiła się nie do wytrzymania, ale tak to już jest, jak się zaczyna rozwiązywać problemy alkoholem i udaje przy tym, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Marzena teraz miała ważniejsze rzeczy na głowie. Chciała jak najszybciej uwieść swojego Romea. Grzesiek miał dziewiętnaście lat, o rok więcej od niej, chodził do klasy maturalnej i prowadził samochód, więc może uda jej się nawet go namówić na podwożenie do szkoły. Szkolnego Romea można było już bardziej nazwać facetem niż chłopcem, nie to, co tego niedojrzałego Sebastiana z pierwszej klasy, z którym chodziła ostatnio. Nikt nie zwracał na nich uwagi, a nawet miała wrażenie, że wstyd jej przynosił, zwłaszcza jak się kiedyś publicznie poryczał, bo dostał pałę z matmy.

W ogóle nie miała ostatnio szczęścia z facetami, a opinię w szkole trudno się buduje. Raz spotykała się ze starszym i dojrzałym

Piotrem, który kupował jej fajne prezenty i zabierał na wycieczki, ale okazał się żonaty i dzieciaty, a ta jego głupia żonka o mało nie pobięła do jej matki na skargę. Przecież ona z Piotrem zaledwie na kilku randkach była i tylko się całowali, skąd mogła wiedzieć, że ma żonę! Jakby znała jego stan cywilny, to przecież by się w życiu z nim nie umówiła – nie chciała nikomu rozbijać małżeństwa. A, i był jeszcze ten pedałek z obozu... Istne pasmo klęsk!

Za to teraz to się jej naprawdę pofarciło. Grzesiek był spełnieniem marzeń każdej laski i jeszcze przed premierą sztuki miała zamiar z nim chodzić, aby później móc chwalić się przed całą szkołą. Na pewno koleżanki zzielenieją z zazdrości. No i to odwróci uwagę od tego, co dla niej najważniejsze i o czym nikt nie mógł wiedzieć. Na razie już udało jej się dwa razy z Grześkiem pogadać, z czego za każdym razem sprytnie pochyliła się, aby mógł dokładnie zajrzeć w jej głęboki dekolt. Zauważyła, że uległ pokusie i zerknął na jej jędrny biust. To dobrze wróżyło.

Spojrzała na zegarek. Dochodziło wpół do dziewiątej, na pewno nie zdąży na autobus o dwudziestej trzydzieści trzy z placu Kościeleckich.

Zeszła schodami na dół, pod Rondo Jagiellonów, poszła prosto i skręciła w lewo. Zwykle się nie bała, ale o tej porze panowały tu egipskie ciemności. Wszystkie budki i sklepiki zamykano o osiemnastej, więc straszyły w nich tylko kraty. Kilku bezdomnych ogrzewało się w kącie przy płonących w śmietniku gazetach. Przyspieszyła, chcąc jak najszybciej dostać się do wyjścia. Za zakrętem niemal wpadła na dwóch kibiców Zawiszy.

– Ej lala, gdzie tak pędzisz?! – ryknął jeden i pociągnął spory łyk piwa z puszki.

– Może cię do domu odprowadzić, bo już późno? – zarżał drugi i obaj podeszli bliżej dziewczyny.

– Nie, dzięki – wybąkała.

– Ale taka panna nie powinna po nocy sama chodzić.

Marzena zaczęła biec. Czuła, jak mocno bije jej serce. Spojrzała przez ramię – mężczyźni ruszyli za nią. Odwróciła się ponownie i ruszyła pędem w górę po schodach. Kibice doganiali ją, a jeden zaczął gwizdać. Pokonała stopnie i wbiegła na chodnik, gdzie zderzyła się z impetem z mężczyzną w czarnym płaszczu.

– Błagam, niech mi pan pomoże, jacyś chuligani mnie gonią!

Oszołomiony mężczyzna rozglądał się dookoła.

– Ale tu nikogo nie ma...

Odwróciła się. Kibice zniknęli, jakby zapadli się pod ziemię. Rozejrzała się jeszcze raz. Odetchnęła z ulgą. Miała ochotę uściskać nieznanego, ten odszedł już jednak w kierunku ulicy Stary Port, do zaparkowanego tam samochodu.

– Proszę pana, proszę zaczekać! – wołała, biegnąc w jego stronę.

Za pierwszym razem chyba nie usłyszał jej wołania, ale po chwili zmniejszyła dystans między nimi i powtórzyła prośbę, która tym razem wywołała pożądaną reakcję – jej wybawca odwrócił się do niej.

– Tak? – zapytał zdziwiony.

– W jakim kierunku pan jedzie? Może mógłby mnie pan podwieźć na Wyżyny albo chociaż do góry Kujawską? Ci chuligani na pewno się gdzieś zaczaili. Proszę pana, błagam!

Nieznanomy rozejrzał się dookoła.

– No, nie wiem... – Odetchnął ciężko. – Dobrze, wsiadaj.

- Dziękuję!

Marzena poczuła ogromną ulgę. Znowu jej się poszczęściło w życiu. Kiedy ruszyli, obejrzała się jeszcze. Nie zobaczyła nikogo z tyłu. W radiu leciała cicho muzyka, Ace of Base śpiewali swój hit – All That She Wants. Pomyślała, że to piosenka o niej – faktycznie ostatnio dostawała wszystko, czego chciała. Los podejrzanie często się do niej uśmiechał.

W tym momencie spostrzegła, że nie wjechali na górę do Kujawskiej, tylko zawrócili na Rondzie Bernardyńskim i kierowali się z powrotem w stronę Jagiellońskiej.

- Dlaczego pan nie pojechał do góry? Myślałam, że jedzie pan na Wyżyny!

Złapała spojrzenie kierowcy w lusterku.

- Muszę jeszcze coś załatwić – odpowiedział, nie odwracając się do niej.

- No dobrze. Chciałabym tylko wrócić przed dziewiątą do domu, bo mama będzie zła. Zdążymy?

- Z całą pewnością.

Marzenę uspokoiło zapewnienie nieznajomego, ale mimo wszystko coś w tym mężczyźnie ją niepokoiło, było coś dziwnego w jego głosie.

Gdy mijali Rondo Jagiellonów, dojrzała znów dwóch kibiców, przed którymi uciekała. Zaczepiali właśnie starszą kobietę. Marzena przełknęła ślinę i cieszyła się, że to nie ona była na jej miejscu.

Okazało się, że mężczyzna musiał nadać jakąś przesyłkę z Poczty Głównej, na której nietypowo jak na tę godzinę była wielka kolejka. W efekcie Marzena teraz biegła co sił między domkami przy ulicy Barcińskiej, gdyż jej zegarek wskazywał już kwadrans po dwudziestej



pierwszej. Miała żal do siebie – mogła iść spokojnie na przystanek albo wziąć taksówkę, a nie czekać, aż nieznajomy wróci z poczty. Była idiotką!

Nagle zza rogu wyłoniła się postać, w którą biegnąca dziewczyna niemal wpadła. Wybąkała przeprosiny, jednak w tym momencie zobaczyła stalową rurkę pędzącą w stronę jej głowy. Nie zdążyła się uchylić.



## 15

Wrócił do domu dobrze po dwudziestej trzeciej, ale wiedział, że Estera Rosenberg to nocny marek, więc poszedł odebrać Kodeksa. Zapukał według ustalonego kodu, a po dłuższej chwili drzwi się uchylily.

– Cześć, śliczna.

Musnął ustami policzek sąsiadki i wszedł do środka. W tym momencie pies rzucił się z radością na swojego pana. Machał ogonem, lizał go po twarzy i zdawał się cieszyć na jego widok całym swoim psim ciałem.

– Dobrze, że jesteś. – Kobieta zaprosiła sąsiada do środka. – Tego biednego psiaka nic nie cieszy, jak ciebie nie ma. Leży nieruchomo i wpatruje się w drzwi. W życiu nie widziałam tak tęskniącego zwierzęcia.

Pogłaskała Kodeksa, który położył się tuż przy nogach swojego pana.

Sąsiadka miała na sobie spódnice i sweter z golfem, więc komisarz odetchnął z ulgą i potwierdził swoje przypuszczenia, że z pewnością Estera nie szykowała się jeszcze do snu.

– Raz już stracił pana, myślę, że przez to ma uraz. Mam nadzieję, że z czasem będzie lepiej. – Nie przestawał głaskać pupila. – I tak

zrobił duże postępy.

- No tak, przynajmniej już nie warczy na mnie i nie szczyrzy kłów, jakby chciał mi przegryźć tętnicę. - Zaśmiała się. - Podgrzeję ci kolację, komisarzu, bo jak znam twoje zwyczaje, to czerpałeś dzisiaj energię z kilku pączków, litra kawy i paczki tych twoich kopciuchów.

- Jak ty mnie znasz - odpowiedział, ale gospodyni zniknęła już w kuchni, więc poczłapał za czworonogiem do dużego pokoju.

Dzieliła ich blisko dwudziestoletnia różnica wieku, jednak łączyła dziwna, silna więź. Przyjaźnili się, bo chyba tak najtrafniej można by to nazwać, od blisko dwóch dekad. Połączył ich najpierw wspólny wróg, a potem pewien mroczny sekret z przeszłości - zdarzenia, o których już później nie rozmawiali, a które scaliły ich bardziej niż więzy krwi, pisane umowy czy składane obietnice. Pewnej marcowej nocy w siedemdziesiątym siódmym ich losy spleły się w sposób nieodwracalny. Ona stała się jego dłużniczką, a z czasem - on jej.

Po kilku minutach z kuchni zaczął dochodzić smakowity zapach, a na talerzu policjanta pojawiły się dwa kotlety mielone z cebulą, ziemniaki posypane koperkiem i mizeria.

- Twoje mielone są najlepsze na świecie, powinnaś otworzyć jakąś knajpę!

- Przestań, zwykły domowy obiad. - Estera machnęła ręką, ale wyraźnie ucieszyła się z komplementu. - Mów lepiej, jak w pracy.

- Wiesz, że nie mogę za dużo powiedzieć. - Widelec zapiszczał o talerz i Bondys aż się skrzywił. - Ale nie złapaliśmy zabójcy. A poszlaki i ślady są tak rozbieżne, że właściwie każdy scenariusz jest możliwy.

Komisarz delectował się posiłkiem, choć w tyle głowy kołatały mu szczegóły śledztwa. No cóż, w jego słowniku pojęcie nieprzynoszenia pracy do domu nie istniało.

- Trzeba mieć bardzo ważny powód, żeby popełnić taką zbrodnię. Naprawdę ważny - powiedziała Estera i ponownie w pokoju zapadła cisza.

Marek wrócił myślami do wydarzeń sprzed lat, które raz na zawsze zmieniły życie ich obojga i połączyły ich dożywotnio tą dziwną, nierozzerwalną więzią. Wiedział, że Rosenberg też o tym pomyślała, ale żadne z nich się nie odezwało. Nie było sensu o tym mówić - zamknęli tamtą historię wiele lat temu i nie zamierzali już nigdy do niej wracać.

Bondys poprosił o dokładkę, zjadł, po czym pożegnał sąsiadkę serdecznym uściskiem. Nie chciał jednak jeszcze wracać do domu, więc ku ogromnej ucieście Kodeksa postanowił pójść z nim na długi spacer.

Po północy w mieście panowała niemal grobowa cisza, a osiedlowe uliczki pokrywała smolista ciemność. Taką Bydgoszcz komisarz lubił najbardziej. Wybierał się wtedy na przechadzkę zwykle w najciemniejsze tereny - albo spacerował po parku przy szpitalu, albo niedaleko działek i po gęstym lesie za nimi. Często też przechodził przez zadrzewienia i docierał do bram Zachemu. Niewielu bydgoszczan zapuszczało się w te rejony po zmroku - oczywiście nie licząc drobnych pijaczków, ćpunów czy bezdomnych. Chociaż w Bydgoszczy były i takie miejsca, które nawet te grupy wolały omijać. Bondys nie bał się spacerować w takich rejonach, wręcz lubił je najbardziej. Czuł się bezpiecznie z Kodeksem przy

nodze. Zresztą znał każdy zakamarek tego osiedla, każdy kąt, każdego narkomana, chuligana, dziwkę i kibola.

Podszedł pod bramę i zadarł głowę, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Pomyślał, że Zachem przeżywał apogeum rozwoju wtedy, kiedy on sam. W siedemdziesiątym piątym roku, gdy Bondys miał dwadzieścia jeden lat, tętnił życiem i siłami witalnymi, a jego ojciec jeszcze żył, fabryka również przeżywała lata swojej świetności. W Zakładach Chemicznych Zachem wówczas zatrudniano ponad siedem tysięcy pracowników, a prawie drugie tyle pracowało w zachemowskich firmach podwykonawczych. Każdy miał w rodzinie, wśród znajomych czy sąsiadów kogoś, kto pracował w Zachemie. Zakłady dawały pracę, żywiły i utrzymywały pewnie średnio co dwudziestą rodzinę w mieście. Dzięki nim kwitł eksport chemikaliów, przemysł, a przy okazji wybudowano stadion i halę sportową Chemik.

Co prawda nikt w tamtych czasach nie zastanawiał się nad ochroną środowiska, ale na takie dodatkowe problemy i tak nie starczyłoby środków. W efekcie rosły składowiska odpadów, zanieczyszczenie rzeki oraz powietrza. Ale czy ktoś się kiedyś zastanowił, jak wyglądałoby to miasto, gdyby nie fabryki? To bydgoski przemysł: Zachem, Jutrzenka, Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego, Bydgoskie Fabryki Mebli, Zakłady Rowerowe Romet, Pomorskie Zakłady Przemysłu Skórzanego Kobra, Zakłady Radiowe Eltra i inne zapewniały rozwój tego miasta. Czy bez przemysłu Bydgoszcz dałaby radę w ogóle podnieść się po wojnach i rozwinąć? Może bieda by piszcziała jak ogromna mysz pod miotłą niedostatku, zarazy opanowałyby miasto, z którego ludzie by uciekali, zostawiając po sobie tylko nędzę, brud, ubóstwo, szczury i robactwo? Jego ojciec

też był, jaki był, ale może gdyby jego zabrakło, Bondys musiałby pracować jako dziecko albo żebrac i kraść na ulicy? Kto wie. Dlatego nie miał pretensji ani do ojca, ani do Zachemu.

Wrócił z długiego spaceru z psem i pomimo zmęczenia cieszył się nadchodzącymi godzinami. Delektował się wieczorami, w które – jeśli akurat nie służył społeczeństwu jako policjant – mógł odprawiać swój domowy rytuał. Uwielbiał siadać w dużym pokoju na szarej, wytartej kanapie, z papierosem w ręce i układać kolejne puzzle albo w półmroku słuchać ciężkiej muzyki. Kodeks kładł się wówczas obok niego na kanapie i nadstawiał kudłatą kufę do głaskania. Po kilku utworach zwykle usypiał z pyskiem na kolanach swojego pana. Bondysowi wydawało się, że pies się wtedy uśmiecha.

Znalazł Kodeksa dwa lata temu, podczas jednej z interwencji. Grupa czterech młodocianych chuliganów skatowała starszego bezdomnego za działkami na bydgoskim Czyżkówku przy Brdzie. Najpierw rozebrali mężczyznę, skrępowali mu kończyny sznurami, zanurzali wielokrotnie głowę w mulistej rzece, a później pobili do nieprzytomności i zostawili na pewną śmierć. Jego psa przywiązali do drzewa i skopali. Mimo to dzielny zwierzak wył i szczekał z całych sił tak długo, aż jeden z działkowiczów się zainteresował i przyszedł zobaczyć, co się dzieje. Jak się okazało dwa tygodnie później – po odnalezieniu sprawców – pies nie tylko zaalarmował sąsiada, lecz także dotkliwie pogryzł dwóch napastników w obronie swojego pana.

Pomoc przyjechała od razu po telefonie działkowicza, jednak obrażenia były zbyt poważne i mężczyzna zmarł następnego dnia w szpitalu. Kiedy Bondys przyjechał na miejsce, mężczyznę zabierała już karetka, trwały oględziny miejsca i tylko psiak nadal był

przywiązany do drzewa. Jednak już nie był ani nie czekał. Leżał bez ruchu i wpatrywał się martwym wzrokiem w punkt, gdzie jeszcze przed chwilą leżał jego skatowany pan. Nawet nie zwrócił uwagi, że komisarz odwiązał go i wziął ostrożnie na ręce. Sierść miał czarną w białe łaty i przypominał owczarka border collie. Marek od razu zobaczył ślady pobicia na jego ciele – pies miał zaschniętą krew przy pysku i na przedniej łapie.

Bondys nie chciał ani nie mógł mieć psa. Mieszkał sam, nie miał czasu wychodzić na spacer, często pracował po kilkanaście godzin dziennie, zmianowo, do tego nie chciał ponosić odpowiedzialności za żywą istotę. Jednak nie potrafił zostawić tego psiego nieszczęścia na pastwę losu, który i tak do tej pory nie okazał się dla niego zbyt łaskawy. Najpierw zawiózł psa do weterynarza, gdzie okazało się, że trzeba słono zapłacić za leczenie oraz za szczepienia i odrobaczenie, których zwierzę nigdy nie przeszło. Więc zapłacił.

Później trzeba było siedzieć przy psie i zmieniać mu opatrunki na sączących się ciągle ranach. Więc siedział i zmieniał.

Potem trzeba było zapewnić psu dom tymczasowy do momentu całkowitego wyleczenia. Więc zapewnił.

Ze względu na osłabienie i uraz łapy pies nie mógł chodzić po schodach i trzeba było go nosić. Więc go nosił.

A następnie, gdy wyzdrowiał, trzeba było go zawieźć i oddać do schroniska. Zawiózł go więc.

Przy bramie placówki, policjant po raz drugi zobaczył te puste oczy, pozbawione blasku i choćby krzty nadziei, w których gościły tylko smutek, tęsknota za panem i żal do ludzi. Pies dokładnie tak samo wpatrywał się kilka tygodni wcześniej w miejsce, gdzie leżało skatowane ciało jego właściciela. Fizycznie wyzdrowiał, ale psychikę

miał złamaną jak żebra swojego pana. Kiedy Bondys zostawiał go w schronisku, pies spojrzał mu prosto w oczy tym samym martwym wzrokiem i poczłapał za pracownicą do swojego nowego kojca.

Nazajutrz policjant zabrał psa i postanowił znaleźć dla niego nowy dom. Szukał, pytał wśród znajomych, rodziny. Nie znalazł. Zostawił go zatem u siebie i nazwał Kodeks, ponieważ w pierwszą noc czworonóg zasnął z głową właśnie na kodeksie karnym, który Bondys odłożył na podłogę przy łóżku przed snem.

Kodeks przez pierwszy rok spał tylko na podłodze, niewiele się ruszał, głównie leżał i wpatrywał się w drzwi. Nic go nie cieszyło, a na obcych ludzi reagował szczerzeniem kłów i jeżeniem sierści na grzbiecie. Jednak po dwunastu miesiącach zaufał swojemu nowemu panu i zaczął powoli odzyskiwać radość życia. Najpierw były to drobne gesty – podniesienie łba czy delikatne machnięcia ogonem, gdy komisarz wracał z pracy. Później zdarzało się, że powoli przyczłapał pod drzwi na powitanie. A teraz dobiegał do wejścia, gdy tylko jego czujny słuch wychwycił przekręcanie klucza w zamku, z ogonem wirującym ze szczęścia. A co najważniejsze, jego smutne, psie oczy odżyły i błyszczały z radości na widok swojego nowego pana. Razem jedli, spali, chodzili na spacer. I tak Kodeks mieszkał z Markiem od blisko dwóch lat. W sytuacjach kryzysowych, kiedy komisarz musiał zostać dłużej w pracy, Kodeksem zajmowała się Estera.

Teraz zwierzę wtuliło ufnie łeb w swojego pana i zasnęło. Zdawało się, że psu ciężka muzyka nie przeszkadza w najmniejszym stopniu.

Ciężkie brzmienia odprężyły i kołysły nerwy całego tygodnia. Marek czuł, że naprawdę odpoczywa, a wszystkie spięte mięśnie



rozluźniają się. Ostatnio najbardziej lubił słuchać wielkiej czwórki thrash metalu. Miał w swojej kolekcji wszystkie albumy Metalliki, Anthrax, Megadeth i Slayera, poukładane alfabetycznie według nazw zespołów, a dalej według chronologii wydania. Rozpierała go duma, gdy patrzył na swoją kolekcję. Jego siostra zwykła mówić, że w tej muzyce, oprócz wycia i walenia w bębny, w tle szepcze głos szatana. Odpowiadał wtedy Agnieszce, że w takim razie gratuluje szatanowi gustu muzycznego.

Dzisiaj włączył pierwszy album Slayera – Show No Mercy. Gdy zabrzmiały początkowe riffy pierwszego utworu – Evil Has No Boundaries – pomyślał o tym, co krążyło mu po głowie, od kiedy tylko ujrzał zwłoki Pawła Skoka. Nie potrafił tego nazwać. Ta myśl kiełkowała w nim niczym ziarnko fasoli w ziemi. Jako dziecko jeździł często z rodzicami na działkę i siał z matką fasolę. Przez wiele dni dopytywał się, kiedy wreszcie fasola urośnie, a gdy mijały kolejne dni podlewania i czekania, w końcu zaczynał wątpić, czy w ogóle roślina się pojawi. Kiedy z gasnącą nadzieją szedł kolejnego ranka sprawdzić grządki, oto nagle nad ziemią wesoło zieleniły się dwa listki na cienkiej łodyżce.

Tak samo teraz, po blisko dwóch dobach od odnalezienia ciała, nagle złapał tę myśl, która w nim zakiełkowała na widok ofiary i dojrzewiała w głowie aż do teraz. Pomyślał wówczas, że ten, kto zabił Pawła Skoka, to zło samo w sobie, pozbawione granic. Bezkresne, niezmierzone, działające bez zasad i jakichkolwiek barier. I że na pewno powróci. O tak, morderca właśnie rozsmakował się w zabijaniu, delektował się nim, niczym dziecko pełnomleczną, rozpływającą się w ustach czekoladą.

Zabije po raz kolejny. Komisarz nie miał co do tego wątpliwości.

Kodeks zawył straszliwie przez sen. Zdarzało mu się to na szczęście coraz rzadziej. Bondys uspokoił psa, a Tom Araya właśnie charczał w refrenie, że zło zabierze twoją duszę.

Środa, 9 X 1996 r.

16

Po porannej odprawie przyjechali pod wieżowiec przy ulicy Ogrody na bydgoskich Wyżynach. Aspirant Miller prowadził, a Bondys kończył jeść drugiego pączka. Beata została tym razem na komendzie. Popeerelowskie wieżowce znajdowały się na wzgórzu i górowały nad miastem niczym drapacze chmur. No cóż, jaki Nowy Jork, takie drapacze chmur. Mieli przesłuchać eksnarzeczoną ofiary: mieszkała na ostatnim, jedenastym piętrze. Czy któryś ze świadków nie mógłby mieszkać dla miłej odmiany w domku jednorodzinnym na Miedzyniu albo na parterze kamienicy w centrum? Nie, wszyscy się uparli mieszkać w wieżowcach – i to jeszcze na wysokich piętrach. Co to za przyjemność? Owszem, mieszkania tańsze, ale robale i szczury biegające po całym pionie zsypami na śmieci, śmierdzące uryną, wiecznie zacinające się windy, no i pierdyliard sąsiadów, czyli znacznie zwiększone prawdopodobieństwo, że ktoś będzie rył wiertarką w którejś ze ścian, słuchał disco polo na cały regulator albo robił pijackie awantury po nocach.

Podeszli do ostatniej klatki przy skraju wzgórza. Bondys zerknął w prawo, skąd roztaczał się widok niemal na całe miasto. Musiał przyznać, że gdyby nie lęk wysokości, to panorama Bydgoszczy z tego miejsca naprawdę by mu się podobała, chociaż szare blokowiska widziane z góry, czarne ulice i chodniki spływające

brudną wodą po porannym deszczu oraz Brda w kolorze rdzawo-buro-niżakim pewnie nie znalazłyby poza nim zbyt wielu koneserów.

Spojrzał w górę. Budynek zdawał się nie kończyć. Na dziesiątym piętrze jakieś dziecko wychylało się przez okno i beztrasko machało. Odwrócił się odruchowo, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze znajduje się w pobliżu, czy to on jest obiektem dziecięcej radości. Szybko okazało się, że to jednak nie do niego malec machał, tylko do kobiety z siatkami, zmierzającej do klatki obok. Kobieta, prawdopodobnie matka małego ryzykanta, weszła do klatki, a dziecko zniknęło w mieszkaniu, czekając zapewne przy drzwiach, beztraskie i nieświadome tego, że właśnie uniknęło tragicznej śmierci.

Wszedł do klatki, a Radek wbiegł za nim.

– Cholera! Winda się zepsuła – wysapał Miller i wskazał kartkę umieszczoną na drzwiach dźwigu, informującą o awarii. – Numer mieszkania dziewięćdziesiąt siedem. Ciekawe, które to piętro.

– Jedenaste – odpowiedział bez zastanowienia komisarz. Pasja do liczenia od zawsze miała swoje zalety.

– O kurwa. – Młodszy kolega przewrócił oczami. – To zastąpi mi dzisiaj siłownię.

– Chodzisz na siłownię? – spytał komisarz, patrząc na posturę Radka, której nie określiliby jako atletyczna.

– Potencjalną siłownię – odburknął Radek.

Dwieście siedem schodów. W takich momentach Bondys szczerze cieszył się z częstego bywania na basenie. Dzięki regularnemu pływaniu miał całkiem niezłą kondycję, więc teraz nawet nie dostał zadyszki, mimo wypalania dziennie paczki poznańskich. Oddychał w miarę równo, dopóki niechcący nie

spojrzał przez okno. Wtedy serce zaczęło mu galopować – szczególnie gdy dostrzegł na dole ludzi wielkości robaków.

– Cholera, uduszę się zaraz – wychrypiał aspirant i wsparł się ręką o barierkę. – Chyba jednak przynajmniej raz w tygodniu będę ćwiczył.

Bondys tymczasem podszedł do właściwych drzwi i zadzwonił. Rozległ się głośny, irytujący dźwięk. Komisarz pamiętał, że dokładnie taki sam dzwonek mieli w domu, gdy mieszkał jeszcze z rodzicami i siostrą. Ojciec zawsze się wściekał, kiedy ktoś dzwonił do drzwi, gdy on odsypiał nockę w Zachemie. Syn zastanawiał się, dlaczego Zdzisław Bondys nigdy nie zmienił tego dzwonka. Ale cóż, może nie miałby wtedy na co narzekać.

Otworzyła szczupła kobieta w długim szlafroku i z ręcznikiem na głowie.

– Pani Ewa Braun? – zapytał aspirant.

Bondysowi cisnęło się na usta pytanie, czy Adolf w domu, czy nie wrócił jeszcze z frontu.

Kobieta okryła się szczelniej szlafrokiem, chociaż gruby materiał frotte i tak dokładnie zasłaniał.

– Tak, to ja. A o co chodzi?

– O pani byłego narzeczonego, Pawła Sko...

Twarcz kobiety natychmiast poczerwieniała.

– Nie chcę mieć z tym podłym człowiekiem nic wspólnego i nie mam najmniejszej ochoty o nim rozmawiać! – przerwała Radkowi w pół słowa i zaczęła zamykać drzwi.

– Ten podły człowiek, jak go pani nazywa, został brutalnie zamordowany, droga pani, więc będzie musiała pani o nim

porozmawiać tutaj albo na komendzie – wtrącił się Marek i zablokował drzwi nogą.

Kobieta zaniemówiła, rozchyliła usta, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Chwilę stali tak, jakby zawieszeni w czasie i przestrzeni. W końcu Ewa Braun przestała się siłować z komisarzem i wpuściła policjantów do mieszkania.

Weszli do niewielkiego salonu, którego kolorystyka tak raziła w oczy, że Bondys aż zmrużył powieki. Znajdowali się w istnym różowym królestwie. Żarówiastoróżowy obrus na stole, pudroworóżowy dywan, jasnoróżowe tapety w czerwone róże, spłowiałe, różowe goździki w wazonie – chwała Bogu niebieskim. Usłyszeli miauczenie. Komisarzowi przeszło przez myśl, że zaraz do pokoju wbiegnie stado różowych kotów. Na szczęście weszło tylko jedno zwierzę, a jego sierść okazała się biała. Uff. Kot ostał się jako jeden z ostatnich bastionów walki z różową zarazą, chociaż białe zwierzę i niebieski wazon zdawały się mieć marne szanse przeciwko destrukcyjnej sile dominującego koloru lalki Barbie.

Ewa Braun dołączyła do nich po chwili, z opakowaniem chusteczek w dłoni. Usiadła na fotelu, a policjanci naprzeciwko niej na kanapie.

„Już nigdy nie zjem lodów truskawkowych”, pomyślał Marek i starał się skupić wzrok na białym kocie, który w najlepsze mył przednią łapę. „Koty muszą być daltonistami albo ten akurat jest ślepy, inaczej dostałby tutaj dawno kota w kocią głowę”, skonstatował jeszcze komisarz.

– Kiedy po raz ostatni widziała pani Pawła Skoka? – wyrwał się z pytaniem Miller.

- Dawno. Odkąd mnie rzucił pierwszego kwietnia, nie mieliśmy kontaktu.

- Bardzo dokładnie pani pamięta datę – zauważył Marek. Wyjął swój notes z kieszeni płaszcza i zanotował termin podany przez kobietę.

- Tak, pamiętam dobrze, bo myślałam na początku, że sobie ze mnie żartuje, w końcu wypadał wtedy prima aprilis. Najpierw śmiałam się do rozpuku, a kiedy dotarło do mnie, że Paweł mówi poważnie, to dopiero dopadła mnie fala rozpacz i smutku. Aż czułam fizycznie, jak serce mi pęka! – Pokazała dłońmi, jakby rozrywała niewidzialny przedmiot na pół. – A kilka dni później wypadał Wielki Piątek, więc poszłam do kościoła na drogę krzyżową i cierpiałam wraz z naszym panem Jezusem Chrystusem ukrzyżowanym.

- A dlaczego się państwo rozstaliście?

- No cóż, podejrzewam, że Pawełek miał kogoś. Innego powodu nie mogło być. Tworzyliśmy idealną parę, zgadzaliśmy się we wszystkim, planowaliśmy ślub i mieliśmy wkrótce razem zamieszkać. W moim mieszkanku, wiadomo, bo tutaj przytulniej.

Przytulniej? To określenie jako ostatnie przychodziło Bondysowi do głowy, gdy patrzył na ten koszmarek. Bez wahania wolałby zamieszkać w pustawej kawalerce Pawła Skoka.

- Inną kobietę? – dopytał aspirant Miller.

- No przecież nie mężczyznę! – Zaśmiała się w głos. – Myślę, że jakaś uczennica go zbałamuciła. Te dziewczuchy teraz to wstydu nie mają, nie szanują się w ogóle. Ladacznicę małe. Ja to nawet w bieliźnie się Pawłowi nie pokazywałam! Pawełek pod tym względem

też miał zasady i doceniał moją powściągliwość. Nigdy nie nalegał na cudzołożenie przed ślubem.

Marek nie znał Skoka przed śmiercią, ale jakoś czuł podskórnie, że z tą cnotliwością u denata mogło być różnie.

– No tak... – zaczął Radosław.

Bondys podejrzewał, że kolega próbuje delikatnie zapytać o orientację ofiary. Nie pomylił się.

– Czyli Paweł Skok lubił kobiety?

– A który mężczyzna nie lubi? Adam, mój braciszek, to zawsze mi powtarza, że wszyscy faceci to psy na baby.

– Co pani robiła wieczorem w sobotę piątego października? – zapytał komisarz, wpatrując się w kota, który po toalecie rozłożył się teraz wygodnie na pudroworóżowym dywanie, zamknął oczy i chyba drzemał.

– Wyjechałam już w piątek po pracy do mojej mamy, do Szczecina. Jestem muzykiem z zawodu i pasji, uczę dzieci rytmiki w przedszkolu i akurat w piątki szybciej kończę lekcje. Dopiero w niedzielę na wieczór wróciłam.

Wydmuchała głośno nos. Chusteczka nie wytrzymała i krople wydzieliny wraz z paprochami chusteczki trafiły wprost na komisarzowe kolana. Kobieta zdawała się tego w ogóle nie zauważać.

– A czy pani brat też jechał wtedy odwiedzić matkę?

– Adam nie mógł, pracował. Biedulek tak przeżywał, że Paweł mnie zostawił! Jak teraz o tym myślę, to na pewno jakaś małolata musiała zawrócić mojemu Pawłowi w głowie. Chociaż był tylko o rok starszy ode mnie, więc dziwne, żeby takie siksy go interesowały. No sama już nie wiem...



Bondys próbował nadażyć za logiką i sposobem rozumowania Ewy Braun, ale nie potrafił. Można być naiwnym, ale kobieta zdawała się żyć w innym świecie – cnót, dobroci i mnichów.

– A gdzie pracuje pani brat? – spytał Bondys.

– W oczyszczalni ścieków Kapuściska. Ma różne zmiany, w tym tygodniu chodzi na przykład na popołudniówki. Przepraszam na chwilę!

Ewa wstała raptownie i pobiegła do łazienki.

– A może Paweł miał dosyć tego rzygliwego różu – mruknął Bondys pod nosem, gdy gospodyni wyszła.

– Faktycznie kobieta wydaje się dziwna, ale naprawdę myślisz, że to ona mogła go zabić? – zapytał szeptem młody policjant, akcentując wyraźnie ostatnie słowo.

Bondys spojrzał na młodszego kolegę.

– Dziwny to jest śnieg w lipcu, a ta baba jest zdrowo jebnięta w dekiel. Tylko się rozejrzyj po tym pokoju, to wygląda jak połączenie pokoiku dla lalek i stoiska z watą cukrową. – Wskazał ręką na kolekcję różowych figurek na regale. – Ale w moim odczuciu ona nie pasuje do tego zabójstwa, choć oczywiście jej alibi trzeba sprawdzić. Natomiast oficjalna narzeczona z takimi pokładami łatwowierności idealnie wpasowuje się w przykrywkę jego homoseksualizmu.

– Kryptogej? Racja, żadnego seksu przed ślubem, nie mieszkali razem... – Aspirant pokiwał głową.

– Matka i siostra nie truły więcej, żeby się ożenił, bo miał narzeczoną, w pracy nikt się nie czepiał, a wieczorami denat mógł sprowadzać sobie chłopców na kwadrat. Układ idealny – uzupełnił komisarz.

– To dlaczego z nią zerwał? Myślisz, że chciał się ujawnić ze swoją orientacją? – zapytał Radek.

– Niewykluczone. Albo dowiedziała się prawdy. Może powiedziała bratu i to Adam tak załatwił Skoka?

– W sumie miałyby silny motyw. Zemsta za krzywdę siostry. Z jej opowieści wynika, że są ze sobą blisko.

– Dobra, Radek, i tak już nic więcej od niej nie wyciągniemy, chodźmy. Pojedziemy pogadać z tym braciszkiem, wrażliwym na krzywdy swojej siostry.

Mężczyźni wstali, krzyknęli „Do widzenia!” z przedpokoju i skierowali się do wyjścia.



## 17

Siedziała przy biurku i wpatrywała się bezmyślnie w punkt na ścianie. Od wczoraj kompletnie nie mogła się na niczym skoncentrować. Bolał ją ściśnięty żołądek. Wiedziała, że powinna coś zjeść, ale nie potrafiła nic przełknąć, czując niewidoczną pętlę zaciśniętą wokół przełyku.

Dochodziła czternasta. Za chwilę miała spotkanie z zastępcą dyrektora szpitala, a prywatnie swoim dobrym kolegą – psychiatrą Patrykiem Żukowskim. Wczoraj nie mogli porozmawiać, bo Żuk miał urlop i pojechał z ciężarną żoną świętować rocznicę ślubu, za to dzisiaj miała nadzieję rozwiązać swój problem, a przynajmniej otrzymać od kolegi wsparcie i radę, co robić dalej.

Kwadrans później usłyszała pukanie, a po chwili drzwi się otworzyły i zobaczyła w nich smukłą twarz Żuka. Duże okulary i łysina stanowiły jego cechy charakterystyczne.

– Cześć, Aśka! – Uśmiechnął się na powitanie i usiadł naprzeciwko. – No, co to za sprawa życia i śmierci, o której nie chciałaś powiedzieć przez telefon?

Pomimo upływających lat i pięćdziesiątki stojącej u drzwi Patrykowi udawało się nie przytyć i utrzymywać całkiem niezłą

formę. Poznali się przed laty, kiedy Joanna robiła specjalizację na jego oddziale, a Patryk się rozwodził. Zakolegowali się, stając się dla siebie nieocenionym wsparciem podczas wielogodzinnych rozmów. Na początku Rechlicka myślała o nim nawet jako o kimś więcej niż przyjacielu, ale wtedy jego żona zachorowała na depresję i podjęła próbę samobójczą. Lekarz zrezygnował więc z rozwodu, a Joanna z niego jako kandydata na partnera. Wcześniej kilka razy przespali się ze sobą, a Żuk nawet wyznał jej miłość, ale sama zakończyła ten romans, żeby nie komplikować Patrykowi życia. Z perspektywy czasu cieszyła się, że tak się wszystko poukładało, bo przynajmniej ich dzisiejsza relacja miała swobodny charakter. Z drugiej strony przez lata patrzyła z żalem, jak przyjaciel męczy się w nieszczęśliwym małżeństwie – bynajmniej nie z powodu choroby, która cudownie zniknęła, gdy mąż zrezygnował z rozstania, tylko z powodu egoizmu, licznych manipulacji i zakochania jego żony przede wszystkim w samej sobie. Patryk twierdził, że to depresja tak ją zmieniła i w gruncie rzeczy to dobra osoba, ale Joannie ciężko było uwierzyć zarówno w tę tezę, jak i w samą chorobę.

– Policja węszy. Wczoraj tu był taki upierdliwy komisarz – mówiła szeptem, chociaż nikt nie mógł ich usłyszeć. – Chodzi o zabójstwo Pawła Skoka.

Podeszła do drzwi, żeby upewnić się, że są dobrze zamknięte, po czym wróciła do biurka.

Żukowski się zaśmiał.

– Tego twojego byłego fagasa?

– Bardzo śmieszne, stare dzieje. – Joanna machnęła ręką. – Zresztą pamiętasz, że Paweł potem... No wiesz.

- Tak, przypominam sobie, że... - Mężczyzna szukał odpowiednich słów. - Lubił coś, czego nie mogłaś mu dać.

Lekarka wróciła na chwilę wspomnieniami do tamtych dni. Bardzo wtedy cierpiała przez Pawła. Chyba dotąd mu nie wybaczyła... Jednak teraz wydawało się to kompletnie bez znaczenia - miała poważniejsze zmartwienie na głowie.

- To wszystko nieważne. Chodzi o Anuszkę i naszą sprawę.

Mężczyzna po raz pierwszy spoważniał. Pochylił się w jej stronę, wyraźnie zaniepokojony.

- A co ona ma z tym wspólnego? Myślisz, że ktoś wie? Że ten policjant coś zauważył?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, mam nadzieję, że nie - dodała.

- A jeśli...

- No właśnie. A jeżeli ktoś wie albo się domyśla, to co zrobimy? - Wstała i podeszła do okna, znów wpatrując się w bliżej nieokreślony punkt. Po chwili usiadła z powrotem. - Kiedy Paweł pojawił się pół roku temu, Anuszka widziała, jak się z nim kłóć - powiedziała na jednym wydechu.

- Co?! - Patryk niemal krzyknął. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?!

- Uznałam, że to nic ważnego.

- Nic ważnego?! - Mężczyzna wstał z krzesła i kilka razy energicznie pogładził się po głowie, jakby nadal rosły na niej włosy. - Myślisz, że mogła to zrobić? No wiesz, zabić Pawła?

- Oszalałaś?! Anuszka?!

Mężczyzna podszedł do niej i delikatnie chwycił ją za rękę. Miał ciepłe dłonie i przyjemną w dotyku skórę.

– Jeśli akurat miała epizod, a do tego wiedziała, że facet kiedyś mocno cię skrzywdził, to może...

Wyrwała rękę z jego uścisku i kręciła przecząco głową.

– Nie, to niemożliwe!

– A sprawa z Tomaszem sprzed lat?

– To zupełnie coś innego! On chciał ją zgwałcić! – wrzasnęła.

– Nie wygląda to dobrze, Asiu. – Spojrzał na nią poważnym wzrokiem, jak rodzic na dziecko podczas rozmowy wychowawczej. – Może tym razem też poczuła zagrożenie, tylko chciała bronić ciebie, nie siebie?

Joanna zastanawiała się nad tym, od kiedy tylko usłyszała o śmierci Pawła i znalezieniu jego ciała niedaleko domu Anuszki. Znały się jednak tyle lat, że wydawało jej się to niemożliwe, aby dziewczyna mogła kogoś skrzywdzić – nawet w jej obronie. Tylko ta historia sprzed lat nie dawała jej spokoju...

Słyszała, jak serce tłucze jej w piersi, a po chwili poczuła łzy w kącikach oczu i mokre ślady na policzkach. Patryk podszedł do niej i przytulił ją mocno, a ona przyjęła czułość. Jego silne ramiona przynosiły jej ulgę, spokojny oddech koił.

Po chwili odsunęła się od kolegi, przypominając sobie, że w każdym momencie ktoś może wejść do gabinetu, a sytuacja, w której się znajdowali, była przynajmniej dwuznaczna. Otarła twarz i pociągnęła nosem, po czym z powrotem usiadła przy biurku.

– Nie wierzę, że byłaby do tego zdolna – zaczęła dużo spokojniej.  
– Teraz trzeba tylko dopilnować, żeby przeszłość się nie wydała.

- To nie jest dobry pomysł. Przecież policja dotrze do tamtej sprawy.

- A może nie? Na razie ten komisarz zdawał się nic nie wiedzieć o Tomaszu.

Lekarz pokiwał głową, choć nie wydawał się przekonany ani co do pomysłu Joanny, ani niewinności Agaty. Wiedziała, że naraża również jego na konsekwencje, ale nie miała wyboru - Anuszka nie wytrzyma kolejnego ciosu.

Patryk wstał i skierował się do wyjścia, ale przy samych drzwiach zatrzymał się jeszcze i dodał:

- W takim razie teraz musimy zachować szczególną ostrożność.

Żukowski wyszedł, a lekarka wyjęła z kosmetyczki puderniczkę, żeby zakryć wszelkie ślady płaczu. Bała się i czuła, jak niewidoczna pętla na jej szyi zacieśnia się coraz bardziej.



## 18

Adam Braun pracował w oczyszczalni ścieków Kapuściska niedaleko Zachemu. Na miejsce dojechali dziurawą ulicą Toruńską około siedemnastej i zaparkowali tuż przy głównej bramie. Bondys cieszył się, że przynajmniej nie będzie musiał znów mierzyć się ze swoją niechęcią do wind. Ponadto po kwadransie spędzonym w królestwie rózu i kiczu szczerze się ucieszył, widząc wysokie, pordzewiałe ogrodzenie oczyszczalni i czując smród wdzierający się wprost do nozdrzy, gdy tylko wysiedli z samochodu. Siąpił drobny deszcz, który bynajmniej mu w niczym nie przeszkadzał. Zapalił poznańskiego i zauważył kątem oka, jak Miller dyskretnie smaruje się kolejną warstwą mentolu pod nosem.

W budce ochrony dowiedzieli się, że Adam Braun pracuje przy grubych sitach w sekcji oczyszczania mechanicznego. Nie prosząc o dalsze wyjaśnienia, poszli w kierunku wskazanym przez ochroniarza. Kiedy dotarli na miejsce, stanęli przed zbiornikiem sięgającym wysokością dwóch pięter, a przy nim odnaleźli pracującego mężczyznę słusznej postury, w wieku około trzydziestu lat.



- Pan Adam Braun? Jesteśmy z policji. Możemy chwilę porozmawiać? - spytał Radek, który mimo sporej warstwy mentolu pod nosem zaczął oddychać ustami i mówić, jakby był przeziębiony.

- Tak, to ja. Skończę tylko ostatnią partię z sita i możemy wyjść na zewnątrz pogadać.

Był ubrany w fartuch roboczy i gumowe kalosze sięgające aż do ud, przypominające wędkarskie wodery. Miał maseczkę ochronną opuszczoną poniżej brody - nos pozostawał odsłonięty, ale zdawało się, że mu to nie przeszkadza. Komisarza najbardziej uderzyło jego podobieństwo do siostry, widoczne w rysach twarzy, układzie oczu i ust.

- Dobrze - odparł Bondys. - Proszę skończyć.

- Wiedzą panowie, o ile mniej roboty miałbym, gdyby ludzie przestali wrzucać do kibla te jebane patyczki do uszu? Tak trudno wrzucić do kosza na śmieci? Mam nadzieję, że panowie nie wrzucają ich do klopa. A w ogóle kto sobie te paskudztwa do uszu wtyka? Chyba lepiej przemyć uszy wodą, co nie? - perorował Braun, demonstrując policjantom jeden z winowajczych patyczków, cały owinięty włosami i czarną, lepką mazią, pewnie mieszanką fekaliów i wszystkiego, co spływa przez muszle klozetowe, zlewy i wanny z miejskich domów. Esencja egzystencji bydgoszczan w płynnej postaci.

- Pana niedoszły szwagier Paweł Skok nie żyje. Został zamordowany.

Marek zapalił kolejnego papierosa, który w tych okolicznościach nie szkodził zdrowiu, tylko wręcz chronił drogi oddechowe, a na pewno zmysł węchu. Albo chociaż pomagał zatrzymać zawartość żołądka na swoim miejscu.

Mężczyzna przerwał wywód o niestosownych zwyczajach sanitarnych mieszkańców miasta i spojrzał na komisarza.

– Dobrze tak temu sukinsynowi! Tak skrzywdzić moją Ewunię! Nogi z dupy bym mu powyrywał! Gdyby żył, oczywiście. – Braun siłował się ze zużytą podpaską, chcąc wyciągnąć ją z kratki. Podciągnął rękawy ubrania roboczego i kontynuował walkę gołymi rękoma. Nie dało się nie zauważyć muskulatury jego przedramion. Kiedy napinał mięśnie, wyglądały jak wyrzeźbione z kamienia. – Czy te baby nie mogą wyrzucać podpasek i tamponów do kosza? O pampersach, kurwa, nie wspomnę. Nasze matki i babki używały tetrowych pieluch i wszyscy jakoś żyli. Od tych pampersów to tylko dupa dziecka się odparza. Koleżanka z pracy mi mówiła, że jej dzieciakowi to całe płyty skóry schodziły od tych świństw. Po lekarzach się nachodzili, żeby ten parch wyleczyć.

– Jest pan dość umięśniony. Ćwiczy pan coś? – zapytał komisarz, jednocześnie spisując skwapliwie wszystko w swoim czarnym notesie.

W tym momencie dostrzegł, że Radek oddalił się, stał jedną nogą i całym torsem za drzwiami. Nie palił regularnie, ale właśnie zaciągał się zachłannie papierosem. Bez wątpienia z trzech obecnych mężczyzn to Miller miał najbardziej wrażliwe nozdrza. Adam Braun pewnie zawdzięczał odporność na smród doświadczeniu, Bondysowi natomiast lata palenia pozwalały radzić sobie z różnorodnymi odorami. Czy to rozkładające się ciało, czy ścieki, czy sklep rybny, czy perfumy Pani Walewska jego sąsiadki z klatki obok – jeden papieros zwykle wystarczał, żeby poradzić sobie z fetorem.

- Jestem pięściarzem. Trenuję boks od piętnastu lat. Waga ciężka. - Braun wyraźnie ucieszył się, słysząc komentarz o swojej tężyznie. - Gdyby nie kontuzja barku, to mógłbym startować jak Gołota na igrzyskach w Seulu w osiemdziesiątym ósmym i pewnie wróciłbym ze srebrem albo złotem, a nie tylko z brązem jak Andrzej. A tak to muszę babrać się w tych gównach, żeby żyć uczciwie. Jebany los. W ogóle Gołota to ma słabe nogi. Dobry pięściarz musi być też szybki, żeby w odpowiednim momencie spierdolić przed ciosem.

- Kiedy po raz ostatni widział pan Pawła Skoka? - Bondys zaciągnął się solidnie i próbował skierować rozmowę na interesujący go temat.

- Hmm... W kwietniu albo maju. Jakoś krótko po tym, jak odwołał ślub z moją Ewunią. Świadkiem miałem być. W końcu to moja siostra bliźniaczka. Garnitur już sobie kupiłem. I krawat różowy, bo to Ewy ulubiony kolor - wyjaśnił Braun. - Śliczną sukienkę Ewunia miała kupioną, z różową wstążką w pasie i bukiet z różowych kwiatów miała nieść. Nos skurwielowi zламаłem, gdy przyjechał po swoje rzeczy do niej. Wie pan, że nawet chciał, żeby zwróciła mu pierścionek zaręczynowy? Wstydu nie miał, jaj też nie. Powinien mi dziękować, że go wtedy nie zajebałem!

Kąciki ust Adama zadrżały, a w oczach kipiała wściekłość. Motyw zabójstwa miał wręcz książkowy.

- Czy uważa pan, że Paweł Skok mógł być homoseksualistą?

Bokser zmarszczył brwi.

- Czym?

- Pytam, czy pana niedoszły szwagier mógł być pedałem - wyjaśnił komisarz językiem bardziej przystępnym rozmówcy i uważnie się mu przypatrywał.

Jeśli brat nieszczęśliwej narzeczonej nie dorabiał jako aktor po godzinach, to wyglądał na mocno zdziwionego.

– Nie, no kurwa, chyba nie. – Adam zastygł w bezruchu i przez moment myślał. – Chociaż z drugiej strony dziwne było, że rzucił Ewkę tak nagle. No i jakoś tak za babami się nie oglądał.

– Co ma pan na myśli? – spytał Marek.

– No wiesz pan, zdrowy facet to kobitę złapie za bok czy klepnie w tyłek, ogląda się, jak jakaś zdrowa dziunia idzie, w cycki spojrzy... A ten nic! – Mrugnął znacząco i uśmiechnął się pod nosem. – Może faktycznie baby go nie kręciły.

– A co pan robił w minioną sobotę, piątego października?

– W tę sobotę? – Adam zastanowił się chwilę. – W robocie byłem, możecie to sprawdzić. Poranna zmiana, od szóstej do czternastej.

– A później? Co pan robił po czternastej? – dopytywał komisarz, jednocześnie notując zasłyszane informacje.

Braun zaczął szybciej oddychać i nerwowo przygryzać wargę.

– Jak to co? Wróciłem do domu.

– Może ktoś to potwierdzić?

– Nie, sam mieszkam. Niedaleko stąd, to szłem pieszo. No ale przecież mówię, że nic nie zrobiłem temu skurwielowi, chociaż mu się należało. Chyba nie podejrzewacie, że to ja go zajebałem?!

Aspirant Miller wszedł z powrotem do wnętrza budynku. Przysłuchiwał się w milczeniu, nadal oddychając szeroko otwartymi ustami i wyglądając przy tym jak ziejący w upale pies.

– Nie ma pan alibi na dzień zabójstwa i miał pan silny motyw. Nie wygląda to najlepiej, panie Braun. Będzie pan musiał przyjechać jutro na komendę – podsumował aspirant.

– Kurwa! Jeszcze przez tego chuja po psiarniach muszę łązić! Bez urazy, panowie.

Braun ze złością rzucił kolejną pieluchę wydłubaną z kratki ściekowej na podłogę. Ciemna, mazista substancja rozprysła się dookoła. Bondys zauważył, że kilka czarnych kropelek ludzkich resztek życiowych ma teraz na butach.

– Niech się pan uspokoi, a jutro proszę przyjechać na komendę w celu złożenia wyjaśnień. – Marek zgasił peta i kopnął go do kratki, po czym od razu zapalił następnego.

Kilkaset metrów dzielące ich od samochodu pokonali szybkim marszem, aby jak najszybciej oddalić się od źródła smrodu. Następnie, pomimo niesprzyjającej, październikowej aury, całą drogę na komendę jechali z otwartymi oknami.

– Myślisz, że to on? – spytał Radosław.

– Sam nie wiem – odparł Bondys, licząc akurat, ile czasu stoi, żeby wjechać na Rondo Toruńskie. Dziewięć samochodów, pięćdziesiąt siedem sekund. Cztery samochody, ale tylko o trzy sekundy krócej niż ostatnio. – Miał silny motyw, jest bokserem, więc krzepy mu nie brakuje i ma ewidentny problem z agresją. Z drugiej strony wyglądał na szczerze zaskoczonego potencjalnym homoseksualizmem niedoszłego szwagra. Poza tym skrupulatnie zaplanowane zabójstwo i wyszukane metody tortur nie pasują do tego osiłka.

– Raczej zatłukłby Skoka gołymi rękami – potwierdził Miller. – Chyba że to ich wspólne zabójstwo z różową Ewunią?

– Może, niewykluczone. Tylko po co w takim razie napis „Homo”? Skoro to zemsta za siostrę, to kompletnie bez sensu.

- Jeśli on tak ubóstwia tę swoją Ewunię, to może uważa, że Skok mógł rzucić ją tylko dlatego, że był innej orientacji.

Ten argument przypadł Markowi do gustu - podobała mu się droga dedukcji Radka, chociaż nie mógł powiedzieć, że za nim samym przepada.

- No tak, ale on naprawdę zdziwił się tym, że Paweł Skok mógł być gejem. W dodatku Ewa Braun sugerowała, że denat rzucił ją dla jakiejś uczennicy. Tak czy owak, dziwaczne rodzeństwo Braun to na razie jedyny trop, jaki mamy.



Dochodziła siedemnasta trzydzieści, jednak październikowa szaruga wraz z mżawką sprawiały, że wydawało się, że jest dużo później. Słońce za pół godziny miało zniknąć z bydgoskiego horyzontu i pokryć miasto czernią. Większość tegorocznych liści z cmentarnych drzew zdążyła już spaść. Gdzieś jeszcze co jakiś czas ostatnie kasztany, żołądź i świerkowe szyszki spadały z głuchym uderzeniem na groby. Mokre liście wraz z igliwem kleiły się do granitów i marmurów, sprawiając wrażenie brunatnych, gnijących kołder dla zmarłych. W powietrzu unosił się zapach wilgoci, a ciężki, czarny dym z pobliskich fabryk snuł się po stalowoszarym niebie.

Mężczyzna szedł niespiesznie główną aleją, prowadzącą od bramy wejściowej przy ulicy Rynkowskiej aż do kaplicy cmentarnej. Świątynia, w której odbywały się msze pogrzebowe, ledwie odznaczała się od ciemności nieba, jednak on znał ten budynek na pamięć – jego pomalowane czarną farbą ściany i srebrną zaostrzoną wieżę przypominającą zatrutą strzałę ze śmiertelnym grotem. Lubił ten budynek, idealnie pasował do otoczenia.

Zza bramy dochodził ciężki, jednostajny dźwięk toczącego się pociągu towarowego. Nie licząc stukotu kół o tory, panowała błoga cisza. Pod płotem leniwie przechadzał się czarno-biały kot, a

właściwie kotka, która w końcu położyła się i ziewnęła przeciągle, ukazując rząd białych, ostrych zębów. Należała do stałych mieszkańców cmentarza – zimą dokarmiana przez odwiedzających, a w pozostałą część roku żywiąca się gryzoniami i drobnymi gatunkami ptaków. Wtedy do głosu dochodziła jej prawdziwa, dzika natura. Polowała nawet gdy była najedzona – wówczas bawiła się, podrzucając swoje jeszcze żywe ofiary w łapach, a w końcu zadrezczając je na śmierć. Czasem przynosiła pod drzwi szopy z narzędziami martwe wróble, sikory czy rudziki i zostawiała je jako trofea. Siadała wówczas dumna obok drzwi i oczekiwała pochwały. Teraz popatrzył na wylegającą się kotkę i pomyślał, jak bardzo to zwierzę może zmylić wyglądem. W tej chwili wyglądała na najłagodniejsze stworzenie na ziemi, a w rzeczywistości była okrutnym drapieżnikiem.

Z powodu deszczu smętnie siąpiącego od czasu do czasu nie mógł dziś malować liter czy odświeżać nagrobków. Zajmował się zatem grabieniem liści przed kaplicą i na głównych alejach. Bolały go od tego krzyż i ramiona, piekły dłonie, na których pojawiły się pęcherze. Mimo że miał dobrą formę, podziwiał tężyznę grabarzy, którzy codziennie przekopywali tony ziemi bez najmniejszego grymasu na twarzy. I tak w ostatnich latach znacząco poprawił kondycję dzięki regularnym ćwiczeniom. Dorabiał czasem jako pomocnik kamieniarza, ale przede wszystkim zajmował się pracami porządkowymi i renowacją napisów nagrobnych. Kiedyś nawet lubił to zajęcie, ale od jakiegoś czasu zubożało mu wszystko i nic go nie cieszyło, nie sprawiało mu przyjemności ani nie dawało satysfakcji. Przez ostatnie miesiące zamienił się w wyczeranego z uczuć robota z wypaloną dziurą zamiast serca.



W połowie drogi do kaplicy skręcił w lewo. Przeszedł kilkanaście metrów i zatrzymał się przy świeżym grobie. Pogrzeb odbył się cztery miesiące temu, a większość kwiatów zdążyła już dawno uschnąć. Zresztą nie położono ich tutaj zbyt wiele. Pamiętał, jak obserwował ceremonię z boku, i wtedy złość aż z niego kipiała – jak na ironię, tego dnia świeciło piękne, czerwcowe słońce i ginęło w czarnych jak smoła ubraniach żałobników. Pamiętał te zakłamane twarze rodziny i kolegów ze szkoły. Cholerni hipokryci.

Spojrzał w dal.

Na zniszczonym krzyżu jakiegoś rodzinnego grobowca siedział gawron. Czarne pióra miał mokre i nastroszone od deszczu, a w dziobie trzymał okazałego orzecha włoskiego. Tłukł nim w ramię krucyfiksu tak długo, aż rozłupał skorupę i dostał się do smakowitego wnętrza.

Puste łupiny leżały teraz na środku grobu jak małe łódki, które nigdzie już nie popłyną. Wpatrywał się w resztki orzecha i czuł, jak krople deszczu spływają mu po twarzy. Mimo że miał na sobie tylko flanelową koszulę i dżinsy, a tanie sportowe buty dawno przemokły, nie czuł zimna. Właściwie od tamtego pogrzebu nie czuł już nic. Spojrzał ostatni raz na grób i ruszył w kierunku bramy, do szopy, w której trzymał narzędzia. Przed kanciapą leżały połamane płyty nagrobne i krzyże, które kamieniarz regularnie zwoził. Pomyślał o swoich planach na popołudnie, a właściwie o jedynym celu, dla którego jeszcze miał siłę codziennie rano wstać z łóżka. Poczuł nawet ekscytację i przyspieszone bicie serca.

Jednak uśmiechać się już nie potrafił.

Czwartek, 10 X 1996 r.

20

Po porannej odprawie pojechali z Beatą do szkoły, w której uczył denat. Milczeli, sunąc po ulicach budzącego się jeszcze miasta. Bondys nie tyle nie miał ochoty na rozmowę z koleżanką, ile potrzebował ciszy, aby skupić myśli i ułożyć wątki śledztwa, które do tej pory bardziej się rozgałęziały, niż łączyły. Na szczęście Beata siedziała bez słowa, wpatrzona w okno. Pomyślał, że mogła odebrać go jako gbura, jednak nie przejmował się tym zbytnio. Nie wszyscy muszą go lubić, nawet byłoby to niewskazane, żeby młodsza koleżanka z pracy darzyła go wielką sympatią.

Zaparkowali przy ulicy Szarych Szeregów na Kapuściskach. Po kilkuminutowym spacerze dotarli pod bramę V LO. Ohydny, bladoróżowy gmach z boiskiem otoczonym powyginanym i dziurawym płótem straszył jak wiele jemu podobnych, zgniłych jaj komunistycznej architektury. Wielki, niebieski napis „Jebać koty” na frontowej ścianie też nie zachęcał i wiele mówił o stosunku starszych uczniów do pierwszaków.

Wewnątrz za to nic nie przykuło specjalnie uwagi policjanta. Zwyczajne szkolne korytarze. Uczniowie snujący się po nich i oblegający na przerwach parapety.

Policjanci weszli do gabinetu dyrektora; później mieli porozmawiać z nauczycielami i uczniami. Mężczyzna wstał z trudem

z fotela, a raczej zwlókł z niego swoje wielkie cielsko. Gdy się wyprostował, głową mniej więcej dosięgał barków Bondysa, na oko miał ze sto pięćdziesiąt kilo – jak nie więcej. Mógł być rówieśnikiem komisarza, chociaż przez swoją tuszę wyglądał na znacznie starszego. Miał na sobie gładką błękitną koszulę, która – gdy z powrotem usiadł – napięła się tak, że pomiędzy guzikami mogli dostrzec gołą skórę gęsto pokrytą czarnymi włosami.

– Antoni Szprota. Niech państwo siadają – przedstawił się dyrektor. Kiedy mówił, kropelki śliny wylatywały z jego ust, pstrząc maleńkimi kropkami koszulę walczącą dzielnie o nierozzerwanie się.

Zasiedli po drugiej stronie biurka na dwóch sfatygowanych krzesłach obitych czerwonym materiałem. Mogli przez chwilę poczuć się jak krnąbrni uczniowie, którzy coś przeszkrobali i teraz muszą tłumaczyć się na dywaniku u dyrektora.

– Komisarz Bondys, starsza sierżant Pachniewicz. Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa Pawła Skoka.

– No tak, domyśliłem się.

Dyrektorowi zniknął uśmiech z twarzy, wyglądał na przejętego. Jednak trudno było wyczuć, czy jego emocje są szczere.

– Co może pan powiedzieć na temat zmarłego? – spytała policjantka.

Dyrektor pomyślał przez moment.

– Paweł był dobrym pedagogiem, choć niepokornym pracownikiem. Taki fanatyk sportu, jak to się mówi. Zdziwaczały, jak oni wszyscy, taka trochę sekta. – Ostatnie słowo wypowiedział konspiracyjnym szeptem. – Ja tam wolę słuchać swojego organizmu, jak to się mówi. Zresztą przez ten jego fanatyzm miałem skargi od rodziców, że za bardzo męczy uczniów na lekcjach wychowania

fizycznego. Z drugiej strony dzięki jego rygorowi mieliśmy aż trzech laureatów olimpiad sportowych w zeszłym roku, a drużyna piłki nożnej zajęła drugie miejsce na zawodach wojewódzkich. Mieliśmy też szansę na...

- Co pan rozumie poprzez męczenie uczniów? - Beata zawróciła dyrektora na właściwą ścieżkę rozmowy.

- Źle się wyraziłem - odpowiedział powoli, jakby zastanawiał się nad sensem swoich słów. - Czasem po prostu dużo wymagał, jak to się mówi, a niektórzy rodzice twierdzili, że oczekiwał od dzieci wysiłku ponad ich siły. Na pewno lubił dyscyplinę. Na przykład, jak ktoś się spóźnił choćby minutę na trening, to musiał obieć szkołę dziesięć razy dookoła. Niezależnie od pogody. Taka wojskowa musztra, jak to się mówi. Ja oczywiście nie pochwalam takich metod i takie sytuacje były każdorazowo rzetelnie przeze mnie wyjaśniane.

Komisarz właśnie przekonał się, że Antoni Szprota z pewnością najbardziej ceni i poważa swoje własne metody.

- Kiedy widział pan Pawła Skoka po raz ostatni? - spytał Bondys.

Mężczyzna niebezpiecznie odchylił się do tyłu na krześle i złożył usta w dzióbek, zastanawiając się intensywnie. Albo udając, że to robi.

- Hmm, w czwartek spotkałem Pawła na korytarzu podczas długiej przerwy, rozmawialiśmy chwilę o nadchodzącej wywiadówce.

- A w piątek nie widzieliście się przez cały dzień? - dopytywała sierżant.

Dyrektor już w trakcie zadawania pytania intensywnie kręcił przecząco głową.

- Piątki w tym semestrze Paweł miał wolne - dodał pewnie.

Bondys zastanawiał się, czy każdy dyrektor szkoły na początku roku szkolnego wie, jaki dzień wolny ma który nauczyciel, ale uznał to za prawdopodobne.

– A czy wie pan coś na temat orientacji seksualnej Pawła Skoka? Czy przejawiał skłonności homoseksualne?

– Skłonności ho-mo-sek-su-al-ne? – Dyrektor przesylabizował przymiotnik, jakby pierwszy raz w życiu go wymawiał, po czym oblizał wargi. – Prawdę mówiąc, nie zauważyłem.

Teraz Szprota wyglądał na prawdziwie zdziwionego. Marek szukał w nim oburzenia czy dyskryminacji, ale nic takiego nie odnalazł – jedynie zaskoczenie.

– A czy zachowywał się dziwnie wobec chłopców, których uczył? Ktoś się skarżył? – spytał komisarz.

– Niby nie. Ale jak tak teraz o tym myślę, to Paweł faktycznie patrzył na mnie w taki... Lubieżny sposób. Może gustował w takich, jak to się mówi, dobrze zbudowanych mężczyznach, jak ja. A i o żonie nigdy nie słyszałem. Chyba miał jakąś dziewczynę, ale krótko. No tak, teraz to się wszystko zgadza.

– Tego jeszcze nie wiemy, na razie rozważamy różne możliwości – doprecyzowała policjantka.

– Wiedzą państwo, ja tak generalnie to jestem nowoczesny i tolerancyjny. Chociaż, jak mój siostrzeniec we wrześniu pojechał na koncert Michaela Jacksona, to jakoś, jak to się mówi, zaniepokoiłem się o niego.

Dyrektor „jak to się mówi, jestem najlepszy we wszystkim” zaczął już orkiestralnie grać na nerwach komisarza. Przede wszystkim jednak Bondys czuł, że marnują czas na rozmowę z Antonim Szprotą, który albo nic nie wiedział, albo nic nie chciał powiedzieć.

- Gdyby pan sobie jeszcze coś przypomniał, to proszę o kontakt z komendą. A, i ze względu na dobro śledztwa, niech pan zachowa dyskrecję w tej sprawie – powiedział komisarz i wstał z krzesła.

Beata od razu zrobiła to samo.

Po wyjściu z gabinetu postanowili się rozdzielić. Policjantka miała porozmawiać z uczniami z klasy, w której denat był wychowawcą, a Marek udał się do pokoju nauczycielskiego. Najbardziej chciał zgłębić sprawę rzekomego dręczenia uczniów przez denata. To był akurat doskonały motyw do zabójstwa.



Bondys spojrział w niebo, które groźnie chmurzyło się od rana. W południe ciemnostalowe chmury wisiały już nisko nad miastem, kłębiąc się niczym brudna wata cukrowa. Wraz z Beatą skończyli właśnie przesłuchanie w liceum. Po rozmowie z uczniami, nauczycielami i dyrektorem wyszli w milczeniu z budynku i szli nieśpiesznie do samochodu.

Komisarz zapalił papierosa, a Beata wyjęła z wewnętrznej kieszeni kurtki opakowanie miętowych gum do żucia i wzięła od razu dwie do ust. Bondys cenił w koleżance to, że potrafiła milczeć i nie zalewała go potokiem słów. Ta jakże cenna umiejętność zanikała powoli u ludzi, podobnie jak dobre maniery i godność osobista. Znali się od niedawna, ale zdawało się, że po wielogodzinnych rozmowach ze świadkami oboje muszą poukładać własne myśli i odczucia. Później w komendzie wymienią się uwagami i zrobią burzę mózgów, jednak teraz Bondys potrzebował kilku minut błogiej ciszy i spokoju.

Delektował się papierosem, zaciągając się powoli, wręcz z namaszczaniem, i dając odpocząć swojemu umysłowi. Co prawda równocześnie liczył kroki od budynku do samochodu, ale nie obciążało to jego mózgu – raczej także relaksowało, jak niektórych

odpręża układanie kostki Rubika czy rozwiązywanie krzyżówek. Czterdzieści jeden, czterdzieści dwa, czterdzieści trzy...

Zerwał się wiatr. Pusta torebka po chipsach zdawała się wesoło tańczyć na chodniku, a woreczek foliowy poszybował w górę i zaczepił się na gałęzi drzewa obok suchego ptasiego gniazda. Po chwili zaczął siąpić drobny deszcz.

Nagle policjanci usłyszeli krzyk i niemal jednocześnie odwrócili się za siebie. To by było na tyle, jeśli chodzi o chwilę wytchnienia i kontemplacji.

– Proszę zaczekać! – powtórzył mężczyzna biegnący w ich stronę.

Jak się okazało, zmierzał do nich nauczyciel biologii, Dariusz Grzybowski – jeden z pedagogów, z którymi Bondys przed chwilą skończył rozmawiać w pokoju nauczycielskim. Komisarz pytał go kilkakrotnie o denata, gdyż inni koledzy z pracy twierdzili, że panowie kolegowali się, ale niczego ciekawego się od niego nie dowiedział. Podczas krótkiej rozmowy policjant odniósł jednak wrażenie, że biolog wie o wiele więcej, niż mówi. Spuszczał wzrok, wydawał się niespokojny, wręcz roztrzęsiony, a na pytania odpowiadał szybko i nerwowo.

– Czy coś się panu przypomniało? – zapytał teraz.

Biolog dotarł do policjantów i dopiero teraz komisarz dostrzegł jego nietęgą minę. Jego poprzednie zdenerwowanie przerodziło się teraz w roztrzęsienie.

– Wahałem się, czy powinienem to w ogóle mówić, w końcu kolegowaliśmy się z Pawłem, zresztą nie chciałem poruszać tego tematu przy innych osobach... – Grzybowski dostał zadyszki od biegu albo może z nerwów. – Ale ostrzegałem go wiele razy.



Mówiłem, że to się źle skończy, że w końcu się wyda i będzie miał kłopoty...

– To może być ważna informacja, proszę mówić – zachęcił Bondys z papierosem w ustach.

Padało coraz mocniej. Nauczyciel zdawał się nie zauważać zmiany aury, patrzył w ziemię i zaczął się rumienić. Właściwie zrobił się purpurowy jak burak. Poza tym tak bardzo ściszył głos, że policjanci musieli przybliżyć się do niego i wyteńczyć słuch. Komisarz miał wrażenie, że nauczyciel zaraz ucieknie biegiem z powrotem do szkoły. Spojrzeli po sobie z Beata, która próbowała spokojnie skłonić świadka do mówienia.

– Proszę powiedzieć, co pan wie. Może nam to pomóc złapać zabójcę pana kolegi. – Uśmiechnęła się ciepło, jak cierpliwa matka tłumacząca po raz kolejny coś swojemu dziecku.

– Paweł często przesadzał podczas lekcji i treningów. Dużo wymagał zwłaszcza od najsłabszych – wykrztusił biolog.

„Czyli dyrektor nie koloryzował. Zresztą surowość Skoka potwierdziło też kilkoro innych nauczycieli”, pomyślał Bondys.

– Znęcał się nad nimi? – spytała Beata, osłaniając się nieudolnie kołnierzem kurtki przed deszczem.

– No cóż... – westchnął mężczyzna. – Wiem, że nieładnie tak o koledze mówić, ale Paweł podczas lekcji zachowywał się czasami jak sadysta.

– Kojarzy pan, którego dokładnie ucznia czy uczennicę męczył szczególnie? – spytał Bondys.

– Wszystkie najsłabsze osoby. – Grzybowski spuścił wzrok, jakby wstydził się za kolegę. – Drobne, szczupłe, niewysportowane, no i te

z nadwagą. Ale chyba najgłośniejsza okazała się sprawa z Julką Gniewko. Jej ojciec przyszedł do szkoły i groził Pawłowi.

Komisarz zapamiętywał wszystkie szczegóły, które ze względu na deszcz – coraz mocniej dający się we znaki – zamierzał zapisać dopiero, gdy dotrą do samochodu. Papierosa też już zgasił, bo i tak papierowa tutka zdążyła namoknąć.

– Co wydarzyło się dalej? – dążyła sierżant.

– Później to się jakoś rozmyło. Ojciec Julii jest samotnym rodzicem, słyszałem też plotki, że miał jakieś problemy z prawem w przeszłości, więc pewnie nie chciał ryzykować. Ale myślę, że takich uczniów mogło być więcej.

– Wie pan, o co dokładnie chodziło z tymi problemami ojca Julii?  
– dopytywała Beata, ale mężczyzna tylko pokręcił przecząco głową.

Marek spojrzał w oczy nauczyciela, który od razu spuścił wzrok na chodnik.

– Coś jeszcze chce nam pan powiedzieć?

– Nie, to wszystko.

Pomimo dość sporej postury w tej chwili wyglądał jak mały chłopiec, który coś zbroił i tłumaczy się przed rodzicami.

– Na pewno? – dopytał Bondys.

– Na pewno. Przepraszam, muszę wracać na lekcje.

Mężczyzna odwrócił się na pięcie i pobiegł do szkoły. Policjanci również ruszyli szybkim krokiem do samochodu, żeby nie zmoknąć do reszty.

– Na pewno nie – powiedział Bondys.

– Słucham? – Beata spojrzała na niego, jakby niepewna, czy dobrze usłyszała.

- Dariusz Grzybowski z pewnością nie powiedział nam wszystkiego – wyjaśnił komisarz.

- Dlaczego tak uważasz? Przecież sam wybiegł ze szkoły, żeby z nami porozmawiać.

- Wydaje mi się, że chciał nam powiedzieć znacznie więcej, niż usłyszeliśmy. – Spojrzał na koleżankę. – Odwiozę cię do domu.

- Teraz?

- Tak, przez ostatnie dni dużo pracowałam. A poza tym przemokłam, dziewczyno.

- Ale... – wyjąkała Beata.

- Bez dyskusji.

Gdy tylko wsiedli do samochodu, na horyzoncie pojawiła się błyskawica, a później huknął piorun. Dokładnie dwie sekundy później. Bondys od zawsze liczył czas od błyskawicy do pioruna i zastanawiał się, czy faktycznie są równe odległości od burzy w kilometrach. Spojrzał jeszcze na gałęzie drzewa, o które zahaczyła się torebka foliowa, łopocząca teraz jak flaga na maszcie, jednak ptasiego gniazda obok już nie dostrzegł. Wiatr i ulewa musiały zakończyć żywot piskląt, zanim te na dobre zdążyły go rozpocząć.



Młoda policjantka mieszkała razem z Adrianną Romanowską – przyjaciółką ze szkoły średniej. Obie pochodziły z małych miejscowości i uwielbiały sport – zwłaszcza bieganie, siatkówkę i jazdę na rowerze, co szybko je połączyło w czasach licealnych. W efekcie przyjaźniły się od dziesięciu lat, a od pięciu wynajmowały razem dwupokojowe mieszkanie w bydgoskim Fordonie, pod samym lasem. Lokal położony był daleko od centrum, ale za to miały spokój i mnóstwo terenów zielonych dookoła. No i płaciły za wynajem mieszkania znacznie mniej niż w Śródmieściu czy innych dzielnicach miasta.

Ada ukończyła biotechnologię na Wydziale Rolniczym bydgoskiej Akademii Techniczno-Rolniczej, pracowała jako asystent w katedrze botaniki i w tym roku akademickim przygotowywała się do obrony swojego doktoratu. Beata uwielbiała wybierać się na spacerzy czy wycieczki rowerowe z przyjaciółką, która opowiadała jej o napotykanym gatunkach roślin i zwierząt. Robiła to z taką pasją, że mogłaby spokojnie zastąpić Krystynę Czubównę w programach przyrodniczych. Ada i Beata rozmawiały jednak przede wszystkim na temat facetów, problemów sercowych, kolejnych zauroczeń i

rozczarowań. Doktorantka, bardziej kochliwa i otwarta niż Beata, ostatnio nie widziała świata poza jednym doktorem z Wydziału Chemicznego.

Gdy tylko Beata otworzyła sobie drzwi, przyjaciółka stała już w korytarzu – najwyraźniej usłyszała dźwięk przekręcanego klucza w zamku.

– Chryste, Becia, jak ty wyglądasz! Wpadłaś do Brdy czy postanowiliście z komisarzem dać porwać się chwili i potańczyć do *Deszczowej piosenki*? – rzuciła współlokatorka na widok Beaty, jednocześnie zabierając od niej mokrą kurtkę.

– Bardzo śmieszne – odparła policjantka, rozwiązując sznurowadła w mokrusieńkich, jakby wyjęła je prosto z wanny, butach. – Musieliśmy przesłuchać ważnego świadka, który właściwie sam wybrał miejsce rozmowy, chodnik przed szkołą. Wtedy zaczęło padać, potem przyszła burza, a efekt właśnie oglądasz.

Ada rozwiesiła ubrania przyjaciółki na suszarce w przedpokoju i weszła do kuchni.

– No widzę, widzę! – krzyknęła, nalewając wody do czajnika. – Zaparzę herbatę z cytryną i podgrzeję zupę, żebyś zapalenia płuc nie dostała.

– Dzięki! Mówiłam już, że jesteś moją najlepszą współlokatorką?

– Chyba dlatego, że jedyną! – Ada się zaśmiała. – Mnie dzisiaj odwołano zajęcia ze studentami, ale co pani starsza sierżant robi o tak wczesnej porze w domu?

– Bondys odwiózł mnie do domu. Powiedział, że przeziębiona i zmęczona do niczego mu się nie przydam.

Adrianna wyszła z kuchni, oparła się o framugę i zawadiacko uśmiechnęła. Beata z dużym trudem ściągała mokre, lepiące się do

ciała spodnie, a kiedy została już w samej bieliźnie, spojrzała na przyjaciółkę.

– No co?

– Nic, absolutnie nic – rzuciła tamta, nadal szczerząc zęby. – Popatrz, jaki miły i szarmancki ten komisarz. A przy okazji taki przystojny i...

– Oj, przestań! Tylko pracujemy razem! – Beata rzuciła w przyjaciółkę mokrymi skarpetkami zwiniętymi w kulkę. – Idę wziąć prysznic.

– Dobrze, dobrze, nic już nie mówię!

Beata wzięła czyste ubrania z szafy i poszła do łazienki. Dopiero gdy gorąca woda lała jej się strumieniami po plecach zrozumiała, jak bardzo przemarzła. Miała dreszcze, gęsią skórę na całym ciele, a palców u stóp prawie nie czuła. Stała tak długo pod prysznicem, aż przyjemne ciepło zaczęło rozgrzewać jej skórę, a duże łazienkowe lustro całe zaparowało. Umyła jeszcze włosy, otuliła się ręcznikiem i dopiero wtedy poczuła ulgę. Dokończyła toaletę i wróciła do kuchni, gdzie przyjaciółka czekała już na nią z parującą zupą kalafiorową i gorącą herbatą.

– Dziękuję, kochana jesteś! – Usiadła i od razu zaczęła łapczywie się zajadać. – Przepyszne!

– Nie ma za co, Becia. Ale robisz pranie przez najbliższy tydzień.  
– Ada mrugnęła porozumiewawczo, biorąc swój kubek z herbatą w rękę.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała z uśmiechem policjantka. – Co to jest?

Wskazała na swoją łyżkę, na której wisiały dziwnie wyglądające liście w ciemnozielonym kolorze. Z początku skojarzyły jej się ze

szpinakiem albo szczawiem, ale kształtem nie pasowały do żadnego z tych warzyw.

– Liście *Plantago lanceolata*, babki lancetowatej. Świetne na odporność, układ moczowy, wzmacniają ścianki naczyń...

– Dobra, dobra! – Beata powstrzymała Adę przed wymienianiem kolejnych zalet. – Mnie wystarczy informacja, że to zielsko nie truje i jest smaczne. Bo nie truje, prawda? Wiesz, trochę niepokoi mnie, że ty nie jesz! – Zjadła kolejną łyżkę zupy.

– Raczej nie jest trujące. – Doktorantka zachichotała. – A wracając do tematu twojej pracy, to jeśli nie chcesz opowiedzieć nic o komisarzu, może chociaż wspomnisz coś o Radziu? Umieram z ciekawości!

Beata pochłonęła ostatnie łyżki zupy i poczuła błogą sytość i ciepło rozlewające się od środka po ciele.

– Tego mi było trzeba! – Wstawiła talerz po lancetowato-kalafiorowej mieszance do zlewu. – A odpowiadając na twoje pytanie, to Radek jest tylko kolegą. Bardzo go lubię, ale to wszystko.

Zmyła talerz, a następnie kolejne naczynia tworzące całkiem sporą stertę w drugiej komorze zlewu. Adrianna podeszła do niej ze ścierką – odbierała czyste talerze od przyjaciółki, wycierała i układała w szafce.

Beata spojrzała głęboko w oczy współlokatorce.

– Tak dociekasz, co u mnie, a ja nie wiem nic nowego o twojej wczorajszej randce z doktorem od kwasów i zasad...

– Gwoli wyjaśnienia, kwasy i zasady to chemia nieorganiczna, a Mateusz zajmuje się organiczną. Okazał się całkiem sympatyczny, ale niestety dość zdziwaczały. Przez cały czas mówił na temat nowych nawozów naturalnych na bazie koziego obornika...

Ostatnie słowa wypowiedziała z wyraźnym niesmakiem. Głęboki talerz, który akurat przecierała, wysmyknął jej się z rąk, ale ostatecznie zdołała go utrzymać.

– Zdziwaczały, co ty nie powiesz? Myślałam, że akurat tobie to się spodoba, przecież też jesteś... – Beata zaczęła śmiać się w głos i szukała odpowiedniego określenia. – Pasjonatką różnych zielsk i robali! Więc powinniście się dogadać!

– O, wypraszam sobie! To zupełnie coś innego! – oburzyła się Ada. – Ja nie opowiadam bez przerwy o swojej pracy i nie zanudzam nikogo szczegółami swoich badań!

Policjantka na te słowa roześmiała się tak mocno, że aż oczy zaszkliły jej się łzami. Dopiero po chwili dostrzegła oburzoną minę Ady.

– Oj, już dobrze, nie wkurzaj się. – Wytarła załzawione oczy wierzchem dłoni. – Przecież ja uwielbiam te twoje opowieści z mchu i paproci.

Przytuliła serdecznie przyjaciółkę, która przez chwilę jeszcze udawała urażoną, ale odwzajemniła uścisk.

Dokończyły mycie naczyń i zasiadły na kanapie w pokoju Ady. Obydwie sypialnie były podobnej wielkości, ale ta miała wyjście na balkon, stąd utarło się, że to w niej zwykle spędzały czas. Beata od razu zaproponowała ten pokój Adzie, gdyż sama pracowała więcej od współlokatorki i nie mogłaby tyle czasu spędzać na balkonie, a poza tym doktorantka uwielbiała obserwować i nasłuchiwać ptaki w pobliskim lasu, siedząc skoro świt na balkonie z lornetką i aparatem. Dodatkowo hodowała różnego rodzaju zioła i inne rośliny w donicach balkonowych.

– A jak śledztwo? – spytała.



Beata okryła się kocem i sięgnęła po kubek z herbatą.

– Mam mieszane uczucia. Z jednej strony cieszę się, że przydzielono mnie do tak ważnego śledztwa, to duża szansa.

– Ale?

– Ale rozmowy z rodziną w żałobie i natężenie ludzkiego okrucieństwa w tej zbrodni mnie przerażają.

Ada pokiwała głową ze zrozumieniem.

– No tak, czytałam w gazecie o tych licznych ranach i poderżniętym gardle...

– To nie wszystko. Okazało się, że rany ofiary posypywano solą i polewano octem, żeby zwiększyć cierpienie.

Policjantka odstawiła kubek na szafkę przy kanapie i wtuliła głowę w ramię przyjaciółki. Nie powinna zdradzać nikomu szczegółów śledztwa, ale czasem wymyknęło jej się to i owo. Ufała jednak współlokatorce jak nikomu innemu.

Ada głaskała ją po głowie, a Beata czuła, jak napięte, zmęczone mięśnie powoli zaczynają się odprężyć.

Jeszcze chwilę rozmawiały, jednak już nie na temat śledztwa, śmiejąc się i żartując. W końcu włączyły *Wiadomości* na Jedyńce, jednak Beata szybko usnęła. Najwyraźniej jej organizm domagał się odpoczynku. Obudziła się dopiero późnym wieczorem, przykryta starannie kocem. Wstała i odczytała kartkę, którą Ada zostawiła jej na stole:

*Poszłam na randkę, Śpiąca Królewno. W lodówce są pulpety z buraków i pestek słonecznika, smacznego!*

PS Nie zapomnij o praniu!

*Ściskam!*

*Ada*



Ojciec Julii Gniewko mieszkał wraz z córką przy ulicy Morskiej na bydgoskich Bartodziejach. Bondys pojechał przesłuchać mężczyznę zaraz po tym, jak odwiózł Beatę do domu. Pomimo gorącego nawiewu, który komisarz włączył w samochodzie, ubrania nadal miał przemoczone. Na szczęście prawie przestało już padać. Zostawił samochód przy ulicy Kijowskiej i dalej szedł pieszo. Zastanawiały go w tej chwili dwie rzeczy. Po pierwsze, czym kierowano się, nazywając ulicę przed nim Morską? Kto tu widział piasek, muszelki i słoną wodę? Kto tu czuł zapach ryby smażonej na starym oleju i słyszał szum morskich fal? To miejsce miało tyle z Bałtykiem wspólnego, co on z primabaleriną z moskiewskiego baletu. A po drugie, jak to możliwe, że już trzeci świadek w sprawie mieszka w wieżowcu na ostatnim piętrze? To zaprzeczało wszelkim prawom statystyki, było wbrew zdrowemu rozsądkowi, o jakimkolwiek farcie czy darze losu nie wspominając.

Wszedł do klatki. I znowu to samo, *déjà vu*. Smród moczu, nikotyny i kotów, ciasna, trzeszcząca winda i pomazane kolorowymi sprejami ściany. Tym razem to WKS Zawisza miał koronę, a BKS Polonia szubienicę, obok dodano też hasło „Młoda Elana, będzie

łamana” – tyle, jeśli chodzi o sympatię Bydgoszczy do Torunia. Na ścianie obok napisano „Kocham Cię Kotku!” oraz „Gruby to pizda”. Świat jest jednak mały, Bydgoszcz jeszcze mniejsza, a windy wszystkie takie same.

Po dłużących się czterdziestu dziewięciu sekundach Bondys dotarł z głośnym tapnięciem na miejsce. Przy wejściu nie znalazł dzwonka, zapukał więc solidnie pięścią w drzwi. Mimo że dochodziła trzynasta, mężczyzna, który otworzył, wyglądał na zaspanego.

– Komisarz Bondys, Wydział Kryminalny. – Pokazał odznakę i legitymację. – Pan Arkadiusz Gniewko?

– Coś się stało? – odpowiedział pytaniem na pytanie i ziewnął.

– Chciałbym porozmawiać o nauczycielu pańskiej córki.

– Chyba nie muszę z panem rozmawiać. – Gniewko skrzyżował ręce w wyjątkowo czytelnym geście, który brzmiał: spadaj pan. – Czy to oficjalne przesłuchanie? Jestem o coś podejrzany?

– Nie, chcę panu zadać tylko kilka pytań. – Komisarz zrobił krótką pauzę. – Ale oczywiście możemy pojechać na komendę, jeśli pan woli.

Arkadiusz Gniewko westchnął, pokręcił przecząco głową i wpuścił policjanta do środka, nie kryjąc przy tym swojego niezadowolenia. Niewielki salon, jeszcze mniejszy pokój nastolatki, maciupenka kuchnia i łazienka składające się na całe mieszkanie przytłaczały klaustrofobiczną ciasnotą. W (umownym) dużym pokoju na środku stała rozłożona kanapa z pościelą na wierzchu – a więc Gniewko faktycznie był zaspany. Mężczyzna zaprosił nieproszonego gościa do kuchni – a właściwie klitki z dwoma palnikami, pojedynczym zlewem pełnym brudnych naczyń, starym

piekarnikiem, małą lodówką Polar i kilkoma szafkami. Przy blacie stały dwa taborety, pamiętające z pewnością Gierka albo jeszcze wcześniejsze czasy. Odłóżąca od ściany, a nad palnikami mocno pożółkła tapeta w beżowo-szare pasy dopełniała popeerelowskiej, odrażającej konwencji pomieszczenia. Jednak pomimo widocznej biedy i cuchnącego oddechu komunizmu wyczuwalnego w mieszkaniu komisarz określiliby je jako przytulne, a na pewno rodzinne. Zdążył już zauważyć sporo pamiątek i zdjęć trzyosobowej rodziny oraz poczuć zapach domowego jedzenia.

– Jestem po nocce, czwartej z rzędu. Pracuję jako magazynier w Bydgoskich Fabrykach Mebli.

Mężczyzna opadł ciężko na taboret, a komisarz spojrzął na swoje ciągle jeszcze mokre ubranie i uznał, że postoi.

– Gdzie jest Julia? W szkole?

Ojciec nastolatki spojrzął na plan zajęć przyczepiony do lodówki magnesem w kształcie uśmiechniętej truskawki.

– Wyszła rano, miała dziś na drugą lekcję.

– Sam pan wychowuje córkę? – Bondys chciał sprawdzić informację uzyskaną od Grzybowskiego.

– Tak. Julka to moje oczko w głowie, największy skarb, wszystko, co mi zostało na tym świecie.

Markowi wydawało się, że rozmówcy na chwilę zaszkliły się oczy.

– A co z matką Julii?

– Moja żona zmarła trzy lata temu na białaczkę. Nie jestem najlepszym ojcem, bywa ciężko, ale nie narzekam. Mamy z Julką tylko siebie.

Przetarł rękawem oczy, które ponownie zaszyły łzami.

Nastąpiła chwila ciszy, po której komisarz zmienił zupełnie temat rozmowy.

– Mówi panu coś nazwisko Paweł Skok?

– Czy mówi?! – Arkadiusz Gniewko momentalnie poczerwieniał na twarzy i przyjął surowy ton głosu. – To ten sadystyczny nauczyciel WF-u ze szkoły Julki. Kutas jebany wziął się na moją córkę, która tak nie ma łatwo w szkole po śmierci mamy!

– Córka ma problemy z nauką? – zaciekał się komisarz.

Gospodarz westchnął, jakby pożałował swojej wylewności, którą musiał teraz wytłumaczyć.

– Julka to bardzo mądre i zdolne dziecko. – Zrobił krótką pauzę, jakby szukał odpowiednich słów. – Po prostu nie ma talentu do niektórych przedmiotów, nie wchodzi jej do głowy. Mnie też nie wchodziły. Język polski czy historia to nie dla niej. Biegać, skakać czy robić fikołków też nie lubi. Za to uwielbia plastykę, muzykę i wszystkie artystyczne lekcje. Chce w przyszłości zostać malarką albo piosenkarką. Jej mama też pięknie śpiewała.

– Mhm... – Bondys zapisywał skrzętnie wszystkie informacje. – A co pan miał na myśli, mówiąc, że Paweł Skok wziął się na pana córkę?

Tym razem Gniewko zastanowił się chwilę nad odpowiedzią.

– Widział, że Julka jest wątłej budowy ciała i sportowcem nigdy nie będzie, a mimo to wymagał od niej nie wiadomo czego. – Mężczyzna zacisnął pięści. – Gnoj wyzywał ją od leni i chuderlaków. Kazał jej biegać przez całą lekcję albo wykonywać po sto przysiadów. Wyobraża pan sobie? Raz nawet zwymiotowała od tych jego wojskowych ćwiczeń. Gdybym mógł, rozwalilibym mu tę uśmiechniętą gębę!

- Ale nie może pan, prawda?

- Nie mogę - wycedził przez zęby. - Przecież dobrze pan wie, że mam zawiasy.

- Wiem - przytaknął komisarz. Czyli jednak Dariusz Grzybowski i w tej kwestii miał rację. - Proszę mi przypomnieć za co, czyżby za pobicie i groźby?

Blefował, żeby dojrzeć reakcję mężczyzny, ta jednak go zadziwiła. Ojciec dziewczyny uspokoił się i wyglądał na zawstydzonego.

- Nie. Kiedyś dałem się namówić koledze na włamy do aut. Kradliśmy radia, akumulatory, kołpaki, taką drobnicę. Dorobić chciałem dla rodziny. Młody i głupi byłem. Ale teraz muszę uważać, bo pobiję szmaciarza i pójde siedzieć jak za człowieka. A z kim wtedy córka zostanie? Żadnej rodziny nie ma oprócz mnie.

- Czy groził pan Skokowi?

- A co? Już się poskarżył? Taki z niego chojrak! Znęcać się nad dzieciakami to pierwszy, ale po męsku załatwić sprawę to już nie. Tchórz jeden!

Mężczyzna zacisnął mocniej pięści, aż zbieleły mu kłykcie.

Jeśli Gniewko nie udawał, to nie wiedział o śmierci ofiary. Albo chciał się właśnie w ten sposób oczyścić z podejrzeń.

- Czyli groził pan Skokowi - skwitował komisarz.

- Powiedzmy, że porozmawialiśmy sobie po męsku. - Ojciec nastolatki odchrząknął. - Wytłumaczyłem panu wuefście, jak ważna jest dla mnie Julka, i od tego czasu dał jej spokój.

- Dlaczego nie zgłosił pan dyrektorowi szkoły, że nauczyciel znęca się nad pana córką?

Gniewko machnął ręką.

- Ten grubas to dopiero wygląda na obleśnego typa. Pewnie nie widzi niczego złego w męczeniu młodzieży czy macaniu młodych dziewczyn.

Komisarz nie wysnuł takich wniosków po rozmowie z dyrektorem Szprota, ale istotnie - nie robił dobrego wrażenia, a na pewno nie zachęcał do zwierzeń.

- Mógł pan też zgłosić to na policję, drogi panie. Na to jest paragraf.

Obserwował pięści Arkadiusza, które rozmówca nieustająco zaciskał, aż niebieskie żyły na dłoniach i zgięciach łokciowych się uwidoczniły.

- Z całym szacunkiem, ale nie sądzę, żeby to coś dało. Mam wyrok w zawiasach, więc jestem dla was recydywą i patologią, a ten bydlak to nauczyciel, wyższe studia, pedagog, z czystą kartoteką. Komu byście uwierzyli?

W myślach policjant musiał przyznać rację Arkadiuszowi, ale nie wyraził tego na głos.

- Kiedy ostatni raz widział pan Pawła Skoka?

- Właśnie wtedy, jak rozmawiałem z nim o Julce. To mogło być z miesiąc, może dwa temu. - Gniewko zaczął obgryzać paznokcie prawego kciuka.

Po chwili komisarz usłyszał charakterystyczne kliknięcie, gdy mężczyźnie udało się odgryźć fragment paznokcia i połknąć. Teraz, po akcie tego drobnego kanibalizmu, odłamek trafi do żołądka, gdzie enzymy zaczną trawić część swojego własnego organizmu. Ohyda.

- A właściwie to dlaczego pan pyta o tego całego Skoka? Złożył doniesienie na mnie? Czy znów zrobił coś mojej córeczce?!



Marek odczekał moment z odpowiedzią i odparł spokojnym tonem:

– Paweł Skok nie żyje. Został brutalnie zamordowany.

– Czyli wreszcie ktoś dorwał tego gnoja. Komuś zalazł za skórę i doigrał się wreszcie! Wcale nie jest mi go żal!

– Co pan robił w sobotę, piątego października, w godzinach popołudniowych?

– W soboty zwykle pracuję na drugą zmianę. Dorabiam sobie na pobliskim parkingu jako stróż. Idę na czternastą i zostaję do dwudziestej drugiej.

Gniewko przeszedł teraz do gryzienia skórek. Nagle zasyczał, gdy z palca środkowego poleciała kropelka krwi, którą od razu zlizął.

– A gdzie pan poszedł po pracy?

– Do domu. I wyprzedzę pana pytanie, nikt nie może tego potwierdzić, bo Julka poszła wtedy na imprezę.

– Na jaką imprezę? – Pytając, wbił wzrok w notes, żeby nie widzieć dalszego znęcania się nad zakrwawioną skórką.

– Urodzinową, jej najlepszej koleżanki Justyny. Czy to wszystko?

– Gdzie się odbyło to przyjęcie? – zapytał Bondys, ignorując drugą część wypowiedzi ojca nastolatki.

– W Fordonie przy ulicy Rataja, w domu Justyny. Julka została tam na noc. Chyba nie podejrzewacie mojej córki? – Mężczyzna wstał, czerwony na twarzy. – To złote dziecko, muchy by nie skrzywdziła! Pół klasy ją widziało na urodzinach i z pewnością może to potwierdzić! Poza tym bała się tego gnoja!

Gniewko chodził teraz w tę i z powrotem po niewielkiej kuchni, miotając się jak dzikie zwierzę w klatce.

- Czy może mi pan zapisać nazwisko i adres tej Justyny?

Bondys podsunął mężczyźnie swój notes i pióro, a ten zanotował namiary na koleżankę córki.

- Ostatnie pytanie. - Wpatrywał się w Arkadiusza Gniewkę, aby dostrzec każdą zmianę na jego twarzy. - Czy pana zdaniem Paweł Skok mógł być homoseksualistą?

- Kim? - Gniewko zmarszczył czoło.

- Gejem. - Policjant nadal widział konsternację na twarzy mężczyzny, więc ujął to inaczej: - Pedalem.

- Nie wiem. - Mężczyzna wyglądał na szczerze zdziwionego. - I nic mi do tego. Chciałem tylko, żeby przestał dręczyć moje dziecko. Co i z kim robił, mnie nie obchodziło.

Bondys skinął głową, zamknął notes i udał się do wyjścia. Tym razem postanowił zejść po schodach. Zastanawiał się nad wszystkim, co usłyszał od ojca nastolatki. Bez wątpienia Arkadiusz Gniewko aż gotował się od urazy, żalu i złości wobec zamordowanego. Otwarte pozostawało pytanie, czy gotów był zabić, ryzykując przy tym utratę córki.



## 24

Kiedy Marek wracał na komendę, rozpadało się znowu. Zaczęło się od kilku nieśmiałych kropli, a już po chwili lało jak z cebra. Wycieraczki nie nadały zbierać wody, a jedna z nich – pechowo ta od strony kierowcy – nadawała się już do wymiany, bo zostawiała półokrągłą, moką smugę na szybie. Na szczęście z Bartodziejów na komendę miał tylko kilka minut drogi.

Mimo że z parkingu policyjnego do głównego wejścia miał do pokonania najwyżej kilkadziesiąt kroków, zdążył w trakcie tej drogi ponownie przemoknąć. Wytarł porządnie buty przed wejściem, ale idąc korytarzem do biura, i tak czuł, że zostawia za sobą mokre ślady.

– Wyglądasz jak zmokły pies! – zaśmiał się Kownacki, który akurat szedł z naprzeciwka.

– No cóż, istotnie jestem w tej chwili zmokłym psem. – Bondys zdjął kurtkę i przejechał ręką po mokrych włosach.

– No, nawet otrzepujesz się jak twój Kodeks!

– Nie za wesoło ci?!

Roześmiali się obaj i poszli dalej, każdy w swoją stronę. Komisarz wszedł do biura i zastał w nim Radka, siedzącego przy biurku.

Akurat wpadł też naczelnik, więc Marek opowiedział, czego dowiedzieli się z Beatą w liceum i o rozmowie z ojcem Julii.

– Trzeba sprawdzić alibi tej dręczonej uczennicy.

– A czego dowiedziałeś się od jej ojca? – spytał Rybacki.

– Gość na pewno nie darzył ofiary sympatią, ale zbyt wiele miałby do stracenia. W moim odczuciu nie zaryzykowałby, żeby córka została sama. W dodatku twierdzi, że w wieczór zabójstwa pracował jako stróż na parkingu strzeżonym na Bartodziejach.

– Jak cię znam, Maras, to już to sprawdziłeś – skomentował naczelnik.

– Trochę to niepokojące, ale znamy się lepiej niż niejedno małżeństwo – odpowiedział z powagą komisarz. – Faktycznie poszedłem na ten parking i nazwisko Arkadiusza Gniewki widnieje w księdze rejestru pracowników. Jego zmiennik również potwierdza, że ojciec Julii pracował w sobotę od czternastej do dwudziestej drugiej, ale późniejsze godziny spędził sam w domu, czego już nikt nie może potwierdzić. Teoretycznie więc zdążyłby zamordować nauczyciela.

Bondys podszedł do tablicy, aby rozpisać nowe informacje. Przy pierwszym przyłożeniu pisaka do tablicy ten zapiszczał niemilosiernie. Komisarz aż się wzdrygnął, zmienił kąt położenia markera i kontynuował pisanie.

– A pytałeś go o domniemywany homoseksualizm ofiary? – odezwał się po raz pierwszy Radosław.

Bondys musiał przyznać w duchu, że Miller zadaje celne pytania i ma odwagę wypowiadać je przy przełożonych, co dobrze wróży na przyszłość.

- Tak, ale Gniewko powiedział, że nic nie wie na ten temat i nic mu do tego. - Usiadł za biurkiem i wytarł twarz ręcznikiem, który zawsze trzymał w szafce na wypadek, gdyby śledztwo się przedłużyło i musiał nocować na komendzie. - Za to wygląda na to, że nasza ofiara faktycznie znęcała się nad słabszymi uczniami. Ojciec Julii potwierdził słowa nauczyciela biologii, że Paweł Skok wprowadzał niemalże wojskową musztrę dla osób nieradzących sobie w sporcie.

- A to kutas! - skomentował Rybacki, sam zwariowany na punkcie swojej córki.

- Pytanie, dlaczego tak robił - zastanowił się na głos Bondys.

- A co za różnica? Jakby taki gnój moją córcię dręczył, to...

- A może w jego mniemaniu wcale ich nie dręczył?

Teraz zarówno przełożony, jak i Miller spojrzeli na niego, jakby dopiero co wylądował na Ziemi i wysiadł ze swojego statku kosmicznego.

- Co ty bredzisz, Bondys? - oburzył się Zygmunt.

- Może uważał, że pomaga tym osobom.

Obaj nadal wpatrywali się w niego z niezrozumieniem.

- Może Paweł Skok też był w czasach szkolnych klasowym grubasem albo wątłym chłopcem, który nie radził sobie na WF-ie, i przez to go szykanowano. A potem ktoś, nauczyciel, ojciec albo ktokolwiek inny dużo od niego wymagał, właśnie tak go „dręczył” i dzięki temu Skok zmienił się i osiągnął sukcesy sportowe.

- No ale przecież znęcanie się to nie jest żadna metoda! Taki uczeń może się załamać, zrobić coś sobie i... - włączył się ponownie w dyskusję Radosław.

- Panowie, ja to wszystko wiem. - Komisarz podniósł obie ręce w geście poddania. - Przecież nie mówię, żeby wprowadzać w szkołach

takie sposoby nauczania rodem z reżimu północnokoreańskiego w celu pobudzenia ducha sportowego u słabszych uczniów. – Zobaczył ulgę na twarzach kolegów. – Mówię tylko, że denat mógł być kiedyś ofiarą i przez to w spaczony sposób mógł rozumieć wychowanie czy dyscyplinę.

– W sumie coś w tym jest, co mówisz, nie spojrzałem na to od tej strony. Chociaż to trochę naciągana teoria. – Zygmunt uniósł brwi.

– Zbiorę dotychczas uzyskane dane i usystematyzuję jakoś na poranną odprawę – odparł Bondys. – Radek, pojedziesz do tej koleżanki Julii, sprawdzić jej alibi na noc zabójstwa.

Chłopak pokiwał twierdząco głową i zebrał się do wyjścia. Rybacki też już wyszedł.

Bondys wyjął z szafki koszulkę, spodnie i bieliznę, które trzymał wraz z ręcznikiem, szczoteczką i pastą, a następnie poszedł się przebrać. Gdy wrócił, rozwiesił mokre rzeczy na krześle i usiadł do pracy. Za oknem zagrzmiało.



## 25

Gdy przed osiemnastą wyszedł z komendy, uznał, że nie oplaca mu się wracać do domu, gdyż i za trzy godziny wybierał się na basen. Pojechał więc na Dworcową do baru mlecznego na pomidorówkę i pierogi leniwe. Obsługiwała dziś sprzedawczyni o wątpliwej urodzie i szorstkim usposobieniu, która pracowała tutaj od niedawna i nie kryła niezadowolenia z przyjścia klienta kwadrans przed zamknięciem. Później powłóczył się trochę przy nabrzeżu Brdy, rozmyślając. Wpatrywał się w wartki nurt rzeki, przepływającej przez całe miasto niczym główna aorta z krwią w bydgoskim ciele.

Minęła dwudziesta trzydzieści, więc ruszył w stronę pływalni. Bywał tam, kiedy tylko mógł. Uzależnił się od pływania, które stało się jego drugim nałogiem, zaraz po paleniu. Pływać nauczył go jeszcze ojciec. Gdy Marek miał kilka lat, ojciec – jeśli tylko nie miał wtedy zmiany – co niedzielę zabierał jego i siostrę na basen. Siostra, pewnie z tego względu, że była starsza o cztery lata, prawie od razu nauczyła się pływać. Jemu zajęło to zdecydowanie dłużej. Kiedy po prawie roku regularnego chodzenia na basen nadal nie potrafił pływać bez koła ratunkowego czy deski, ojciec uznał, że spróbuje drastyczniejszej metody nauki. Pojechał z synem na basen Astorii,

niedaleko Dworca Głównego PKP – basen, w którym trenowali nurkowie, policjanci i strażacy, bo jako jedyna pływalnia w mieście miał głębokość ponad czterech metrów. Zaprowadził syna do najgłębszego miejsca przy basenie, kazał spojrzeć mu w dół i zanim chłopiec zrozumiał, co się dzieje, Zdzisław Bondys popchnął go. Zimna, chlorowana woda natychmiast wpadła mu do ust, nosa i oczu. Zaczął się dławić, machając rękoma i nogami. Miał wrażenie, że zaraz się utopi. Spojrzał na ojca, który stał na brzegu i przyglądał mu się. Po chwili do krawędzi basenu podbiegł ratownik, ale ojciec go zatrzymał. Chłopiec przestał machać wszystkimi kończynami, jego drobne ciało sześciolatka nie miało już sił – zaczął opadać na dno. Jednak w momencie, gdy rozluźnił mięśnie, przestał wykonywać nerwowe ruchy i chaotycznie rzucać całym ciałem, woda zaczęła go wypychać na powierzchnię. Marek wznowił ruch rękoma, ale tym razem wykonując delikatne, płynne kółka. Tym sposobem samodzielnie dopłynął do drabinki.

I tak Zdzisław Bondys nauczył syna pływać. Pływanie w pewnym sensie stanowiło spuściznę po ojcu, niematerialny spadek i wyraz jego miłości. Surowej, szorstkiej, czasem bezdusznej, ale miłości.

Dzisiaj komisarz odnosił wrażenie, że czuje się lepiej pod wodą niż na powierzchni. Żywioł ten stał się jego naturalnym środowiskiem. Woda go uspokajała, rozluźniała mięśnie, izolowała od problemów i wreszcie wygłuszała irytujący, znienawidzony przez niego hałas. Od kiedy tylko pamiętał, denerwowały go różne powtarzalne dźwięki, mikrohałasy, których większość ludzi w ogóle nie słyszała lub na które nie zwracała uwagi. Szczęśliwcy! Jego potrafiło doprowadzić do szału mlaskanie, siorbanie, pociąganie nosem, stukanie palcami, uderzanie długopisem czy stukot obcasów.



Spadające na talerz okruchy w jego uszach brzmiały jak głązy. Kiedy ktoś sięgał po chipsy czy orzeszki do porcelanowej miseczki, komisarz słyszał zetknięcie palca ze ściankami naczynia, jak gdyby dzwony kościelne biły mu tuż przy uchu.

Zastanawiał się kiedyś, czy może nie przebić sobie bębenków. Przestałby słyszeć hałas dookoła siebie, stałby się bardziej towarzyski, osiągnąłby wymarzony spokój, pewnie byłby zwyczajnie szczęśliwszym człowiekiem. Jednak ta opcja miała kilka wad – nie mógłby słuchać więcej muzyki, już nigdy nie pojechałby na koncert, no i pewnie straciłby pracę. Z pewnością samo przebijanie bębenków cienkim szpikulcem też do przyjemnych nie należało. No cóż, wybrał swoje dwie miłości – thrash metal i trupy, zostając przy tym poirytowanym dziwakiem i żyjąc nadzieją, że od częstego słuchania głośnej muzyki przynajmniej na starość pogorszy mu się słuch.

Także z powodu hałasu chodził częściej na basen. Kiedy bowiem zanurzał głowę i wydychał powietrze pod powierzchnią, świat nad taflą wody przestawał istnieć. Jego ciało współgrało z wodą, a woda z ciałem. Nie przeszkadzały mu nawet glony, rosnące w najgłębszych miejscach basenowego dna. One też były wodnymi stworzeniami, całkowicie milczącymi i niewidocznymi z powierzchni. Nie wchodzili sobie więc w drogę, raczej żyli w cichej symbiozie.

Komisarz zazwyczaj pływał na torze szóstym, lubił parzyste liczby. Zwykle przepływał sześćdziesiąt długości basenowych, w zależności od dnia i nastroju zmieniał za to style pływania. Kiedy chciał się wyżyć i rozładować nerwy, pływał dynamicznie kraulem lub delfinem. Gdy potrzebował rozluźnić mięśnie, wybierał styl

grzbietowy, a jeśli wolał porozmyślać, pływał żabką, zanurzając całą głowę przy długim wydechu. Jeżeli pragnął odciąć się od świata zupełnie, zakładał płetwy i nurkował, licząc kafelki na dnie basenu. Wszystkie problemy wraz z natrętnymi bodźcami dźwiękowymi zostawały wówczas nad powierzchnią. Dzisiaj pływał grzbietem. Czuł, jak spięte mięśnie odpuszczają, a ciało rozluźnia się. Patrzył w sufit i liczył lampy, które mijał. Liczył też ruchy ramion, potrzebne do przepłynięcia jednej długości.

W pewnym momencie, w trakcie czternastej długości, dojrzał kątem oka jakieś zamieszanie na drugim końcu basenu. Zatrzymał się i spojrzał w tamtą stronę. Na co dzień nosił okulary, więc niezbyt dobrze widział, co się dzieje, ale dostrzegł w zamazanym przez krótkowzroczność obrazie, jak młody ratownik wyciąga z wody starszego pana. Dopłynął więc szybko w to miejsce i pomógł wyciągnąć staruszka. Pomimo drobnej budowy ciała starszy pan po utracie przytomności okazał się zaskakująco ciężki. W końcu udało im się położyć mężczyznę na brzegu basenu.

Nie oddychał.

Ratownik zaczął robić sztuczne oddychanie, a komisarz pobiegł wezwać karetkę.

Pogotowie przyjechało po trzynastu minutach.

Reanimowano starszego pana jeszcze przez długie dwadzieścia dwie minuty.

Trzydzieści uciśnień klatki piersiowej. Dwa wdechy. Trzydzieści uciśnień. Dwa wdechy.

O dwudziestej drugiej jedenaście lekarz z karetki stwierdził zgon. Przyczyna zgonu – rozległy zawał mięśnia sercowego.

I chuj, że staruszek pływał regularnie.

I chuj, że miał całkiem niezłą kondycję jak na swój wiek.

I chuj.

Bondys wyszedł przed budynek, przystanął przy bramie, zapalił papierosa i zaciągnął się nim tak mocno, jak tylko potrafił.

Nagle ktoś położył mu rękę na ramieniu. Odwrócił się i ujrzał stróża z basenu.

– Poczęstuje mnie pan szlugiem, bo mi się skończyły? – wychrypiał.

Nie odpowiedział, podał tylko mężczyźnie otwartą paczkę poznańskich i zapalniczkę. Ten skinął głową w podziękowaniu. Komisarz znał go z widzenia od lat, jednak zawsze mówili sobie tylko „dzień dobry” i „do widzenia”.

W tym momencie z budynku wyniesiono ciało zmarłego.

– Niedobrze, wynoszą chłopą głową do przodu – odezwał się stróż i zakaszłał. – Nieboszczyka to tylko nogami do przodu trza wynosić, bo inaczej pociągnie kogoś za sobą.

– Nie wierzę w takie zabobony.

– Może i to są zabobony, ale lepiej losu nie kusić. Dzisiaj czwartek, nie? – Mężczyzna spojrzał na Bondysa, jakby chciał ujrzeć kalendarz w jego źrenicach.

– Tak, a na to też są jakieś gusła?

– To zależy. Jeśli zdążą do soboty pochować, to nie. Ale jeśli przeleży przez niedzielę w kostnicy, to na sto procent zabierze kogoś ze sobą. Umarli nie lubią leżeć sami przez niedzielę. Zobaczysz pan, w przyszłym tygodniu wspomnisz moje słowa.

– Spokojnej nocy – pożegnał się policjant, zmęczony słuchaniem o samotnych duszach, szukających towarzystwa.

- Panu też.

Nie chciał jednak jeszcze wracać do domu, miał głowę zbyt pełną kłębiących się w niej myśli. Poszedł w stronę Brdy. Wypalony popiół z papierosa spadł, zanim zdążył go strzepnąć. Patrzył, jak kupka szaroczarnego pyłu znika w mroku. Wiał silny wiatr i rzeka w ciemności wyglądała jak smoła, która wylewa się prosto z trzewi miasta.

Panowała martwa cisza. Bondys zgasił papierosa o balustradę mostu, włożył zmarzniętą rękę do kieszeni i poczłapał w stronę parkingu.

Piątek, 11 X 1996 r.

26

Dzień wcześniej Bondys zebrał wszystkie uzyskane dotąd informacje i usystematyzował na tablicy, wypisując dane w kolumnach. Nie nazwałby siebie pedantem, ale lubił porządek, a na pewno taki system ułatwiał pracę i oszczędzał czas. Wsypał trzy łyżeczki jacobsa do swojego emaliowanego kubka, a po chwili namysłu dosypał jeszcze pół.

Punktualnie o dziewiątej przybyli młodzi policjanci, a z pięciominutowym poślizgiem zjawił się również naczelnik.

– Maras, widzę, że miałeś pracowity wieczór, no, no! – zagwizdał Rybacki, spoglądając na zapiski, po czym zaśmiał się i usiadł na jednym z kilku krzeseł. – Czasem przeraża mnie twój pedantyzm. Myślę, że byłbyś zdolny zamordować kogoś za bałagan.

Radek zaśmiał się lekko, komisarz natomiast z całkowitą premedytacją przemilczał uwagę szefa, a także „Marasa”. Nie miał czasu, chęci ani żadnego powodu, aby wchodzić w tego typu dyskusje z przełożonym od rana. Wziął łyk kawy i podszedł spokojnie do tablicy. Po przeciwnej stronie siedzieli jak w szkolnej ławce Beata i Radek, a Bondys czuł się niczym nauczyciel podczas lekcji.

Dzień wcześniej podzielił informacje na pięć kategorii, rozpisane w odpowiedniej liczbie kolumn: pierwsza zawierała ślady i dowody,

druga – to, co wiedzieli lub podejrzewali na temat sprawcy, trzecia – dane dotyczące denata, kolejna kolumna przedstawiała listę osób podejrzanych, przy których stworzył podkolumnę zatytułowaną „Alibi”. Piąty słupek, „Motyw”, pozostawał na razie pusty. Do odpowiednich wersów w kolumnach dołączył zdjęcia, opinię patomorfologiczną, opisy dowodów oraz komentarze, jeśli takowymi dysponował. Dodatkowo połączył kolorowymi strzałkami podejrzanych wraz ze śladami i odpowiednimi informacjami dotyczącymi ofiary, a także podejrzanych między sobą, jeżeli istniały jakieś korelacje. Pod tabelą rozpisał też cele i zadania z miejscem do przydzielenia osób z zespołu.

– No dobrze. Zacznijmy od dopisania tego, czego udało wam się dowiedzieć. – Wziął do ręki czarny pisak. – Co z alibi tej uczennicy dręczonej przez denata, Julii Gniewko?

Uznał, że nie będzie wywoływać współpracowników do odpowiedzi. Każdy wiedział, jakie miał zadania do wykonania, więc nie powinno być problemu z odpowiedziami.

– Wszyscy jak jeden mąż potwierdzają alibi dziewczyny. – Radosław wyjął z kieszeni plik karteczek i teraz szukał tej właściwej wśród pozostałych i mnóstwa paragonów sklepowych.

– Kup sobie notes, chłopaku. – Marek pokręcił głową.

– Nie każdy jest taki poukładany i dobrze zorganizowany jak ty, Maras – skomentował naczelnik i się zaśmiał.

– Zgubię każdy notatnik. Kiedyś zginął mi wielki, żółty segregator A4. I co wtedy? Wszystkie zapiski szlag trafi! A tak, nawet jeśli zgubię jedną kartkę, to reszta się ostanie. Poza tym mamy tablicę. O, jest! – ucieszył się Radek i rozprostował ostatni świstek papieru z przeglądanej kupki.

- Julia Gniewko w sobotę, piątego października, od godziny osiemnastej przebywała na urodzinach koleżanki z klasy, Justyny Chrzanowskiej. Impreza odbywała się w mieszkaniu rodziców solenizantki, przy ulicy Rataja w Fordonie. Julia wraz z trzema innymi koleżankami zostały do rana. W mieszkaniu była też obecna starsza siostra Justyny Chrzanowskiej, Matylda, i ona również potwierdza obecność Julii.

Radosław zmiął kartkę i wcisnął z powrotem do kieszeni spodni, po czym pozbierał pozostałe papierki i wyrzucił do kosza. Komisarz w tym czasie dopisał alibi na tablicy obok nazwiska nastolatki.

- Czyli możemy wstępnie wykreślić córkę Arkadiusza Gniewki z kręgu podejrzanych. - Bondys skreślił nazwisko dziewczyny na tablicy. - Za to zostaje nam jej ojciec, który od godziny dwudziestej drugiej w sobotę nie ma alibi.

Zaznaczył godzinę w kolumnie „Alibi” przy nazwisku mężczyzny i zakreślił całość czerwonym kółkiem.

- A co z tą kobietą, która znalazła ciało? - spytał naczelnik.

- Ma alibi na sobotni wieczór. Mieli rocznicę ślubu z mężem i cały wieczór spędzili w Filharmonii Pomorskiej i restauracji Pod Papugami przy Staszica, co potwierdza wiele osób - odpowiedział komisarz, dopisał dane przy nazwisku Heleny Malickiej, i podobnie jak Julię, wykreślił z kolumny „Podejrzani”. - Niestety nic nie wie. Jak już otrząsnęła się z pierwszego szoku, porozmawialiśmy z nią po raz drugi, ale nic to nie wniosło.

- Pozostaje rodzeństwo Braunów - uzupełniła Beata.

Marek pokiwał głową i wpatrywał się w personalia obydwu osób na tablicy.

- Kto to? - spytał naczelnik.

- Eksnarzeczona denata i jej brat – wyjaśniła policjantka. – Paweł Skok porzucił kobietę pół roku temu i z pewnością jest dość rozżalona.

- Adam Braun też nie wypowiadał się pochlebnie na temat niedoszłego szwagra – uzupełnił Radosław.

Naczelnik prychnął i machnął ręką.

- Ech, same problemy przez te głupie baby. – Rybacki, jeszcze mówiąc to, zreflektował się i dodał: – To znaczy, nie wszystkie. Bez urazy, Beata.

Dziewczyna uśmiechnęła się, ale poczerwieniała na twarzy.

- Ewa rzekomo pojechała do Szczecina w odwiedziny do matki. Sprawdziliśmy, faktycznie tak było – dodał Bondys i dopisał wspomniane alibi. – Jej brat za to twierdzi, że od godziny czternastej w sobotę, kiedy to skończył pracę, był w domu, ale nikt tego nie może potwierdzić.

Zaznaczył czerwonym kółkiem również to nazwisko i godzinę.

- A tak poza sprawą... ona nazywa się Ewa Braun? – Naczelnik wyciągnął szyję w stronę tablicy, żeby lepiej dojrzeć personalia kobiety.

- Tak ją rodzice uszczęśliwili; bliźnięta Adam i Ewa, miało być biblijnie, wyszło jak wyszło – wyjaśnił krótko Bondys, nie chcąc zbaczać z tematu.

Naczelnik zaśmiał się, jednak także nie kontynuował wątku nazistowskich upodobań bądź nieświadomości rodziców Ewy. Wpatrywał się w kolumnę „Podejrzani” i skupiał na czymś innym. Lista się skracała, został już tylko jeden podejrzany – a właściwie podejrzana.



– No i widzę, że jako ostatnia osoba na liście widnieje ta wariatka ze Świecia. – Rybacki wskazał palcem na nazwisko Agaty Lewińskiej.

Marek pomyślał, że to określenie zaczyna go już naprawdę męczyć. Co wszyscy mają z tymi wariatami?!

– Istotnie, dziewczyna też nie ma alibi na wieczór zabójstwa, bo jej rodzice wyszli wówczas do znajomych i wrócili około północy. A poza tym Agata ma pokój na parterze, więc mogła równie dobrze wyjść oknem niezauważona – odpowiedziała Beata.

– Planuję jeszcze raz porozmawiać z Lewińską, jak tylko poczuje się lepiej – wyjaśnił komisarz. – Ta kobieta może wiedzieć coś bezcennego w sprawie. No i cały czas pozostaje też w kręgu podejrzanych.

Bondys zakreślił czerwoną elipsę wokół Lewińskiej, po czym spojrzał na całość i domalował czwarty, pusty okrąg pod spodem.

– A to co, Bondys? Nakrycie dla niespodziewanego gościa na Wigilię? – spytał Rybacki i uśmiechnął się.

Komisarz pokiwał głową. Może i nie zawsze zgadzali się ze sobą, ale musiał przyznać, że to sformułowanie Rybackiego, które królowało w komendzie już od kilku lat, nieustannie go bawiło.

– Co takiego? – zapytał Radosław i spojrzał zdezorientowany na koleżankę, która też zdawała się nie rozumieć służbowej anegdoty.

– To takie nasze określenie na nieznanego sprawcę, którego nie mamy wśród podejrzanych. Ktoś z zewnątrz – wyjaśnił Bondys.

Młodzi policjanci spojrzeli znów na siebie. Pachniewicz uśmiechnęła się, a Miller pozostawał niewzruszony żartem.

– Czyli podsumowując: mamy trójkę podejrzanych bez alibi plus kogoś spoza tego kręgu. – Naczelnik pokazał cztery palce, odpowiadające liczbie podejrzanych. – Dużo.

Marek pokiwał głową w odpowiedzi. To, że osób w czwartej kolumnie było dużo, to jeden problem, ale większym był fakt, że żadna z nich nie pasowała do sprawcy tej zbrodni. Nie miał na to żadnych dowodów, ale tak podpowiadała, a właściwie krzyczała intuicja.

– Co dalej?

Komisarz wziął znów czarny pisak do ręki i wskazał na ostatni słupek.

– Porównamy ślady traseologiczne siedmiu osób znalezione przy denacie z wszystkimi podejrzanymi, których mamy. – Dopisał krótkie notatki przy odpowiednich śladach w pierwszym słupku. – Musimy też ustalić motyw, aby móc iść naprzód. Naszym głównym tropem pozostaje napis „Homo”, czyli zabójstwo jako kara za homoseksualizm.

– „Homo” może oznaczać coś innego. Morderca mógł chcieć ukarać Skoka nie za bycie gejem, tylko za nieprzyznawanie się do tego.

– Za tchórzostwo? – Bondys próbował potwierdzić, że dobrze rozumie.

– Mógł faktycznie wypierać się swojej orientacji, może nawet wstydić – odpowiedziała Beata.

Komisarz dopisał wymienione argumenty, które brzmiały całkiem sensownie i realnie. Z pewnością mało który nauczyciel miałby odwagę otwarcie przyznać się do swojego homoseksualizmu.

– Musielibyśmy dotrzeć do tych chłopców, których spraszał sobie Skok do domu – powiedział Miller.

– Jeśli to, co mówi sąsiadka plotkara, w ogóle jest prawdą – zripostował Marek. – Mamy coś jeszcze?

– Tak, są już wyniki z laboratorium. – Radek sięgnął po teczkę leżącą na biurku. – W krwi denata nie stwierdzono obecności żadnych substancji narkotycznych, alkoholu, leków czy trucizn.

Komisarz dopisał tylko krótką notatkę „krew – czysta” w pierwszym słupku.

– A co z tymi kroplami krwi z jego dłoni? – spytał naczelnik.

– Nie należą do ofiary. Paweł Skok miał grupę krwi A Rh plus, a zabezpieczone krople to B Rh minus, więc mogą należeć do sprawcy – odpowiedział Radosław, czytając z raportu Rudnickiego, a komisarz dopisywał wymienione grupy krwi na tablicy.

– Rzadka grupa. Niecałe dwa procent populacji w Polsce ma taką – skomentował Bondys.

Naczelnik spojrzał na niego podejrzliwie.

– Skąd to wiesz?

– Prosiłem kiedyś Marcina o takie statystyki i jakoś zapamiętałem. – Wzruszył ramionami. – Wiesz, że lubię liczby.

Rybacki pokiwał głową z uznaniem i wrócił do głównego tematu:

– Pytanie tylko, czy ta krew należy do sprawcy.

– Należy na pewno do kogoś, kto miał kontakt z denatem, więc i tak musimy znaleźć tę osobę. – Bondys w końcu usiadł i mógł delektować się kawą, do której wyjął sobie drożdżówkę z budyniem. – Trzeba będzie zlecić badanie krwi wszystkich podejrzanych.

Spotkanie trwało jeszcze przez kilka minut, aż w końcu podzielili się zadaniami. Śledztwo płynęło swoim tempem, na pewno nie tak szybkim, jak by chcieli tego śledczy. Nie był to wartki nurt rzeczny – raczej mozolne przedzieranie się przez cuchnące bagna.

Poniedziałek, 14 X 1996 r.

27

Bondys po godzinie pracy odkrył, że skończyły mu się papierosy – niemal wybiegł z komendy, tylko w narzuconym w pośpiechu płaszczu, bez czapki i szalika. Szedł szybko do kiosku przy przystanku. W południe miał odbyć się pogrzeb ofiary, w którym zamierzał uczestniczyć, a na cmentarz musiał jeszcze dojechać, więc nie chciał tracić czasu. Rzadko paczka kończyła mu się tak znieenacka. Poznańskie pomagały mu myśleć, a nikotyna może i zatruwała płuca, ale z pewnością równocześnie oczyszczała umysł i ułatwiała patrzenie na ofiary jak na manekiny, na których należy szukać śladów pozostawionych przez zabójcę, aby go złapać, a nie jak na ludzi z krwi i kości, którzy mieli rodziny, przyjaciół, bliskich, plany i marzenia. Gdyby poszedł tym drugim tokiem rozumowania, musiałby oddać odznakę, załamać się, płakać dniami i nocami, pić na umór, a w końcu pewnie się powiesić, bo nie byłby w stanie udźwignąć zła tego świata i ludzkiego okrucieństwa. Dlatego podczas śledztwa palił dużo, żeby tylko funkcjonować jako śledczy.

Gdy podszedł do zielonego kiosku RUCH, rzuciły mu się w oczy tytuły gazet. „Express Bydgoski”, „Gazeta Pomorska”, „Gazeta Wyborcza” i „Ilustrowany Kurier Polski” krzyczały do niego czerwonymi nagłówkami z pierwszych stron:

„Morderca nauczyciela grasuje!”

„Nieudolność bydgoskiej policji!”

„Zabójca z Bydgoszczy wciąż na wolności!”

„Jeden do zera dla zabójcy!”

Przy okienku stało troje starszych ludzi – dwie kobiety i mężczyzna. Pierwsza staruszka kupowała właśnie cztery kupony Multilotka i dwa Dużego Lotka po dziesięć zakładów. Odkąd na początku roku Polsat zaczął transmitować losowania na żywo, ludzie oszaleli na punkcie zakładów Totalizatora Sportowego. I mimo że śmiano się z trzyosobowej Komisji Kontroli Gier i Zakładów, podając w wątpliwość, czy jej członkowie nie są tylko kukłami, bo nic nigdy nie mówili, tylko kiwali głowami, to i tak grała większość społeczeństwa. Staruszka też.

Oprócz tego poprosiła o papierosy i zapałki.

I kalendarz do kuchni na nowy rok, chociaż była dopiero połowa października. Zrywany. Z przepisami.

I landrynki.

I papier toaletowy. Dwie rolki.

I „Express Bydgoski” – chyba artykuł o nieudolności bydgoskiej policji skutecznie ją zachęcił.

I dwa bilety ulgowe.

I „Poradnik Domowy”.

I „Dobre Rady”.

I krzyżówki „Jolki”.

I „Życie na Gorąco”.

I nowego harlequina.

Czyżby postanowiła wykupić cały asortyment niewielkiego kiosku, może oprócz „Twojego Weekendu”, lepu na muchy i

prezerwatyw? A nie, to jednak koniec listy zakupów.

Poszukiwanie portmonetki w pojemnej torebce zdawało się trwać wieki. Bondys zapiał guziki w płaszczu i postawił kołnierz, chroniąc się przed przenikliwym wiatrem. Przeształ z nogi na nogę i wymachiwał rękoma na boki, żeby choć odrobinę się rozgrzać.

Do okienka podeszła druga kobieta. Może nie będzie musiał długo czekać, w końcu co można kupować w kiosku? Zresztą nie za dużo zostało, skoro poprzedniczka wykupiła większość zaopatrzenia.

– Dzień dobry, kochanieńka! – Druga staruszka niepokojąco czule przywitała się z kioskarką, po czym położyła torebkę i dwie siatki z warzywami na wąskiej ladzie, jakby miała zabawić tutaj na dłużej. – Poproszę rajstopy bez klina, cieliste, ale żeby grube były, kochanieńka, takie na zimę.

Ekspedientka, również leciwa pani, co komisarz teraz mógł już dojrzeć, podała kobiecie opakowanie z rajstopami. Ku jego zdziwieniu klientka zaczęła rozpakowywać rajstopy, a następnie szponiastymi paznokciami rozciągała je w różne strony. Aż dziw, że nie pękły od razu – jednak solidne te rajstopy dziś robili! Sprawdzała też ich grubość pod światło i czy kolor pasuje do torebki. W końcu – Bondys z trudem wierzył własnym oczom! – zadarła obszerną spódnicę i porównywała rozmiar i odcień nowych rajstop do tych, które miała na sobie.

– A nie! Te jakieś malutkie wypadają. Grube są, ale malutkie. Jednak daj mi, kochanieńka, z pojedynczym klinem i ciut jaśniejsze, takie jak mam na sobie. Te są tak o pół tonu za ciemne.

Kobieta, o zgrozo, ciągle podnosiła spódnicę, żeby sprzedawczyni mogła dostrzec kolor. Ta z kolei wychyliła się z okienka, żeby lepiej

się przyjrzeć, i zaczęła szukać odpowiedniego odcienia.

Kolejne rajstopy po odpakowaniu, rozciągnięciu, sprawdzeniu pod słońce i porównaniu z tymi na nogach kobiety okazały się dobre. Całe szczęście. Bondys już na zmianę masował płatki uszu, które marzyły mu teraz najbardziej, i chuchał w dłonie, jednocześnie pocierając nimi o siebie i wspinając się na Himalaje swojej cierpliwości.

– I sześć zakładów Multilotka na chybił trafił poproszę, kochanieńka – rzekła staruszka, uśmiechając się i pakując rajstopy do torebki. – Może los się do mnie dzisiaj uśmiechnie.

W końcu zapłaciła. Marek spojrział na zegarek. Sterczał tutaj od jedenastu minut. Kobieta usunęła się na skraj lady, wyjęła wczorajsze kupony Lotto, rozłożyła gazetę i zaczęła sprawdzać po kolei numery, przesuważąc po nich swoim szponiastym paznokciem.

– Dzień dobry, pani Elwirko! Dwa Duże Lotki i jeden Multi, sam skreślę numery. Może do mnie też się los dziś uśmiechnie – zaskrzypiał staruszek.

Teraz Elwirka z kiosku oraz dwójka starszych państwa uśmiechali się do siebie wzajemnie. Wyglądali jak wyjęci z jakiejś sekty, opętani kultem boga Lotto. Komisarz zaczął ostentacyjnie chrząkać, ale zdawali się go nie słyszeć.

Ekspedientka szybko podała starszemu panu zakłady, ten dość sprawnie skreślił odpowiednie numery i zapłacił. Dawka nikotyny kusząco zbliżała się do płuc. Może obędzie się też bez odmrożenia uszu i palców...

Jednak kiedy starszy pan płacił, staruszka sprawdzająca numery nagle krzyknęła i machnęła ręką w geście zwycięstwa. W tym

momencie spadła jedna siatka z jej zakupami, w rezultacie ziemniaki, cebule i pomidory rozsypały się na chodniku.

– Wygrałam! Wygrałam! – krzyczała, jednocześnie zbierając warzywa. – Gram dalej! Kolejne dwa zakłady poproszę!

Komisarz wziął trzy głębokie wdechy i odszedł. Pewnie mógłby się wyklócić ze staruszką, że teraz jego kolej, ale bał się. Bał się swojej reakcji. Obawiał się, że za chwilę zrobi całej trójce krzywdę. Uderzy śmiertelnie któreś z nich ziemniakiem uciekinierem albo udusi rajstopami z pojedynczym klinem.

Do następnego kiosku miał kilka minut drogi. Pomyślał, że dobrze mu zrobi, jak się przejdzie – przynajmniej rozładuje złość i trochę się rozgrzeje.

„No żesz kurwa ich starych ludzi mać! Co to za banda emerytowanych hazardzistów!”, przeklął głośno, gdy odszedł już kilka kroków od RUCH-u. „Urządzili tutaj sobie bydgoskie Las Vegas. Nic dziwnego, że potem narzekają na niskie emerytury, jak wszystko rozpieprzają na lotki-srotki!”

Na szczęście przy następnym kiosku nie było nikogo. Wykupił wszystkie siedem paczek poznańskich i zapalił łapczywie, niemal jeszcze przy okienku. Wrócił na komendę zmarznięty, ale uspokojony nikotyną. Zdaży jeszcze przejrzeć dane świadków przed pogrzebem.





Nie mógł pojąć, dlaczego cmentarze cieszyły się zwykle złą sławą, wzbudzały strach, przygnębienie i same pesymistyczne odczucia. Oczywiście, były to miejsca specyficzne, nie służyły rozrywce czy zabawie, ale uważał za przesadne opisywanie ich tylko w negatywny sposób. Przecież zazwyczaj na terenie nekropolii żyło wiele gatunków ptaków, rosły drzewa, kwitły liczne kwiaty – głównie samosiejki z grobów. Poza tym cmentarze miały jeszcze jedną ważną zaletę – ciszę. Idealną do kontemplacji i skupienia myśli. No i tak naprawdę znicze i piękne wiązanki na płytach nagrobnych stanowiły świadectwo miłości oraz pamięci o bliskich zmarłych.

Najbliższy pogrzeb miał się odbyć dopiero za godzinę, a jesienna słońca skutecznie zniechęcała ludzi do odwiedzania grobów, wskutek czego jego jedynym towarzyszem była pani Eulalia Wrońska – wdowa odwiedzająca grób męża, który zginął w czasie drugiej wojny światowej, rozstrzelany przez hitlerowców podczas egzekucji bydgoszczan na Starym Rynku. Nie znał osobiście pani Wrońskiej, ale poprzedni proboszcz kiedyś opowiedział mu jej historię. Pomimo że Eulalia i Stanisław przeżyli razem zaledwie dwa lata jako mąż i żona, a od jego śmierci minęło ponad pół wieku, to kobieta nie tylko nie wyszła ponownie za mąż, lecz także przynajmniej dwa razy w

tygodniu przychodziła na grób zmarłego małżonka. Zazwyczaj najpierw zmiatała mogiłę drucianą miotełką, następnie zapalała świeżą świeczkę w zniczu i w końcu siadała na niewielkiej drewnianej ławeczce pod brzozą, wpatrując się w napisy na kamieniu. Mogła mieć koło siedemdziesięciu lat, choć drobna budowa, chusta na głowie i przygarbiona postura sprawiały wrażenie, że jest starsza. Jeśli wierzyć w opowieść proboszcza, to jako owdowiała dwudziestolatka o niezwykłej urodzie cieszyła się dużym zainteresowaniem wśród mężczyzn, jednak konsekwentnie odrzucała zaloty wszystkich adoratorów, uparcie powtarzając, że ona już ma męża, któremu ślubowała miłość i wierność, a jego śmierć nic nie zmieniła.

Kiedys uważał, że nie ma miłości ponad wszystko. Od jakiegoś czasu wiedział już, że takowa istnieje, a Eulalia Wrońska stanowiła doskonały jej przykład.

On zresztą też.

Skończył czyszczenie nagrobka, wstał z kolan i spojrzał na efekt, a później na siebie. Miał mokre i brudne spodnie od klęczenia na wilgotnej, twardej płycie. Bolały go stawy, a ręce piekły. Gdy zdjął rękawiczki, dostrzegł krwawe obtarcia przy paznokciach. Nie przejął się tym, otrzepał tylko zabrudzone miejsca na spodniach i dalej wpatrywał się w grób.

### **Śp. Andrzej Milewski**

Ur. 28 XII 1956 r.

Zm. 5 XII 1988 r.

### **Śp. Robert Milewski**

Ur. 6 XII 1978 r.

2Zm. 6 VI 1996 r.

Obaj odeszli za młodo. Ojciec nie dożył trzydziestych drugich urodzin, a syn osiemnastych. We dwóch nie przeżyli nawet pięćdziesięciu lat.

Pamiętał zaskakującą śmierć Andrzeja, wykończonego przez raka w kilka tygodni. Poszedł nawet na jego pogrzeb, chociaż zmarły bynajmniej nie należał do grona bliskich mu osób. Nie dla niego tam był i to nie jego było mu żal. Z tamtego dnia najbardziej w pamięci utkwił mu obraz małego Roberta, który trzymał się kurczowo matczynej ręki i płakał przez całą ceremonię. Miał czerwoną twarzyczkę mokrą od łez, a jego drobnym, wątłym ciałkiem wstrząsały spazmy. Widok tego dziecka rozrywał serce. Ten biedny chłopiec nie mógł wtedy przypuszczać, że śmierć ojca dopiero zapoczątkuje lawinę nieszczęść, które los dla niego szykował. Ktoś mógłby powiedzieć, że Bóg przygotował taką ścieżkę dla Roberta jako sprawdzian, jego drogę i życiowy krzyż, jednak czy Bóg w takim wypadku w ogóle istnieje? Czy miłosierny, łaskawy Bóg mógłby naprawdę pozwolić na wszystko, co spotkało tego chłopaka?

Wiele razy płakał nad tym grobem, jednak od jakiegoś czasu jego żałoba przeszła w inne stadium. Właściwie nie miał przekonania, czy ten stan nadal można było nazwać żałobą. To, co czuł w środku, trafniej określało zlodowacenie. Każdego kolejnego dnia stawał się coraz bardziej odarty z emocji i człowieczeństwa, niczym drzewo zaatakowane od środka przez pasożyty, które nie łamie się tylko dzięki zdrewniałej łodydze, ale wewnątrz jest martwe. Wiedział też, że w końcu mrok i rozpacz pochłoną go całkowicie i nastąpi to prędzej niż później, a wtedy całe zżerające go od środka robactwo nagle wypełźnie i nie będzie już odwrotu.



Komisarz Bondys przebrał się, wyszedł z komendy i udał się do samochodu. Pogoda nadal nie rozpieszczała. Wsiadł, włączył ciepły nawiew, a następnie radio. Ze względu na pełną godzinę – punkt dwunastą – na każdej stacji rozpoczynały się wiadomości, w których omawiano planowane zmiany w rządzie Cimoszewicza. Miały one takie samo znaczenie dla Marka jak to, czy prezydent Kwaśniewski miał wykształcenie wyższe czy też nie. Poszukał w schowku kasety i zamienił polityczny, radiowy bełkot na *Tatę Kazika Kultu*. Przewinął pierwszy utwór i w samochodzie rozbrzmiał drugi – *Dziewczyna się bała pogrzebów*.

Ruszył w stronę Fordonu. O tej porze ruch w mieście był stosunkowo niewielki, więc jechał płynnie. Palił, wydmuchując dym przez ledwo uchylone okno, żeby nie zmarznąć, ponieważ nawiew dopiero się rozgrzewał i na razie bardziej chłodził, niż grzał. Kazik właśnie śpiewał do niego ze starych, ale na całe szczęście nietrzeszczących głośników:

*Bo ona się bała pogrzebów  
Jak pajak po twarzy pełzł strach  
Gdy chude jak szczapy*

*Szły złe kare szkapy  
Z czarnymi kitami na łbach.*

Lubił ten utwór, chyba najbardziej z całego albumu. W dodatku akurat pasował doskonale do okoliczności.

Zaparkował w mało uczęszczanym miejscu niedaleko ujścia Brdy. Nie chciał być widziany, poza tym wolał się przejść niż rzucić w oczy na parkingu. Cmentarz przy ulicy Wiślanej był największą nekropolią w Bydgoszczy, gdyby więc zostawił samochód przy głównej bramie, prawdopodobieństwo, że ktoś go zobaczy, znacznie by wzrosło.

Bondys uczęszczał na pogrzeby ofiar od swojej pierwszej sprawy i traktował ten rytuał jako część każdego śledztwa w sprawie zabójstwa. Czasem przychodził z którymś z młodych policjantów, zdarzało mu się wysłać kogoś, choć zwykle chodził sam. Co prawda nie robił filmowych szopek w postaci przebierania się, naciągania kaptura na głowę, zakładania ciemnych okularów czy chowania za krzakami, ale starał się trzymać z tyłu i nie wyróżniać z tłumu. Ubierał się jak typowy żałobnik, w garnitur i białą koszulę, a w zimniejsze dni, takie jak ten, wkładał też czarny płaszcz. Najlepiej było, jeśli równocześnie odbywał się inny pogrzeb – wówczas podłączał się do tej drugiej ceremonii, obserwując z daleka pogrzeb ofiary. Patrzył przede wszystkim na zachowanie rodziny, przyjaciół i najbliższego otoczenia. Kto wygląda na załamanego, kto przyszedł, bo wypadało, kto już patrzy zalotnie na wdowę po nieboszczyku, kto przebiera niecierpliwie nogami, kto przyniósł największy wieniec i roni krokodyle łzy przy wszystkich, kto nie przyszedł, a ile osób przyszło, dlaczego ktoś stał w pierwszym rzędzie, choć nie należał

do rodziny i tak dalej. Zazwyczaj nie za dużo to wносиło do sprawy, ale kilka razy naprowadziło śledztwo na właściwy trop, a raz czy dwa przyniosło rozwiązanie jak kelner danie na srebrnej tacy.

Teraz Bondys zatrzymał się kilka metrów za ostatnimi żałobnikami i czekał. Podczas ostatniego pożegnania Pawła Skoka zebrały się prawdziwe tłumy. Tyle osób to widywało się na cotygodniowej giełdzie na stadionie Chemika, a nie na pogrzebach. Przyszła matka zamordowanego, jego siostra, eksnarzeczona i jej brat, sąsiedzi – na czele z najgłośniejszą śpiewającą pieśni żałobne panią Konstantynowicz – oraz obecni i byli uczniowie, nauczyciele, pracownicy szkoły, drużyna, którą trenował, koledzy i mnóstwo ludzi, których komisarz nie znał. Nie zabrakło też dziennikarzy, polujących chciwie na smakowite kąski w postaci zdjęć zapłakanej rodziny czy mdlejącej matki bestialsko zabitego syna. W ostatniej drodze zamordowanego uczestniczyła grupa licząca pewnie grubo ponad sto osób. Jak dotąd bez odpowiedzi pozostawało pytanie, czy pośród nich znajdowała się także ta jedna, najbardziej interesująca Bondysa: morderca.

Komisarz trzymał się na uboczu i delektował kolejnym papierosem. Spokojnie obserwował ceremonię. Siostra trzymała matkę pod rękę i obie wyglądały na przynajmniej dziesięć lat starsze niż jeszcze tydzień temu. Dyrektor „Piątki” wygłosił krótkie przemówienie w imieniu szkoły i całego grona pedagogicznego, nad którą to mową chyba najbardziej się skupiał podczas uroczystości. Jego przesadne wzruszenie, łamiący się głos i wręcz teatralne gesty wyglądały na wielokrotnie przećwiczone przed lustrem. Po okrągłych, ale kluczowych zdaniach, takich jak „Zostaniesz w naszych sercach i pamięci na zawsze!” czy „Teraz w niebie uczysz

wychowania fizycznego” robił pauzy, jak gdyby musiał powstrzymać łzy. Nie omieszkał też wspomnieć o olimpiadach sportowych oraz innych sukcesach szkoły i swoich własnych. Większość uczniów wyglądała na smutnych i przejętych, część na znudzonych przemową Szproty. Bondys nie widział ani jednej osoby, która wyglądałaby na zadowoloną, szczęśliwą, uśmiechniętą czy zachowywałaby się podejrzanie, chociaż z doświadczenia wiedział, że zabójcy często potrafią doskonale ukryć swoje emocje.

Starał się zapamiętywać twarze, skanować jedną po drugiej i dyskretnie robić zdjęcia żałobników. Na koniec uroczystości, kiedy wszyscy uczestnicy ceremonii już się rozeszli, komisarz podszedł do samego grobu Pawła Skoka. Zobaczył wbity w ziemię drewniany krzyż ze złotą tablicą imienną i napisem „Bóg tak chciał”.

– Raczej zabójca tak chciał – powiedział cicho i przykucnął, żeby zobaczyć każdy szczegół z bliska.

Grób pokrywały liczne wieńce i wiązanek, przetykane pojedynczymi kwiatami i oplecione czarnymi wstęgami. Pewnie za pieniądze wydane na te wszystkie ozdoby dałoby się odmalować rozpaczliwie wołającą o remont salę gimnastyczną w „Piątce” i nazwać ją imieniem zmarłego nauczyciela. Zapewne wszyscy byliby dużo bardziej z tego zadowoleni. To znaczy, Pawłowi Skokowi to już w sumie było wszystko jedno, ale przynajmniej byłby jakiś pożytek z jego śmierci. A tak to może kwiaciarki kupią sobie nowe bluzki, spódnice, kosmetyki albo porcelanowy zestaw kawowy po utargu miesiąca, ale większego sensu ta inwestycja nie miała. Ot, kolejna bezsensowna śmierć okraszona bezwartościowymi kwiatami ułożonymi na grobie.

Uczniowie przynieśli zmarłemu nauczycielowi piłkę, podpisaną ich nazwiskami. Leżała teraz na środku, między kwiatami, i przypominała odciętą głowę albo makabryczną kukłę. Grób wyglądał bogato, dostojnie, trochę kiczowato, a przez piłkę też awangardowo, ale nic nie odróżniało go od innych świeżych.

Wstał z przysiadu, otrzepał płaszcz, który ubrudził się od świeżo rozkopanej gleby i po raz ostatni spojrzął na grób.

Nic ciekawego.

Odwrócił się i chciał odejść, ale unosząc stopę, trafił butem w coś, jakby szklany lub metalowy przedmiot. Cofnął nogę. Zobaczył zaokrąglone szkło. Butelkę? Słoik? Nachylił się i rękoma rozkopał delikatnie ziemię dookoła przedmiotu.

Tego na pewno nie spodziewał się tu znaleźć.



Wtorek, 15 X 1996 r.

30

Bondys skończył przeglądać gazetę, którą znalazł na swoim biurku. Czasem Aleks podrzucał mu dzienniki, które zdążył już rano przejrzeć. W dzisiejszym numerze „Gazety Pomorskiej” już na pierwszej stronie znalazł artykuł „Kolejna śmierć na basenie Astorii”. Ku jego zdziwieniu stróż, z którym rozmawiał w czwartek tuż po zgonie starszego pana, potknął się w poniedziałek rano na schodach przy wejściu do pływalni i upadając, śmiertelnie uderzył głową w barierkę. Stróż wypowiedział prorocze słowa sam dla siebie.

Nie chciał więcej czytać o przykrych, smutnych wydarzeniach – miał ich wystarczająco dużo w pracy. Odłożył dziennik i podszedł do tablicy. Wypisał informacje dotyczące wczorajszego znaleziska.

Pusta butelka po denaturacie wraz z liścikiem wciśniętym do środka została zabezpieczona przez technika kryminalistyki. Zebrano ślady, jednak zważywszy na liczbę uczestników pogrzebu, ustalenie na tej podstawie osoby, która podłożyła przedmiot, zdawało się niemożliwe. Odcisków butów odkryto dziesiątki, podobnie rozrzuconych petów czy odbitek linii papilarnych na wieńcach. Umieszczony na etykiecie butelki piktogram czaszki z pizczelami, ostrzegający przed spożywaniem denaturatu, ktoś pokolorował na krwistoczerwono. List wciśnięty do środka niczym szczególnym się nie wyróżniał. Ot, zwykła biała kartka, a na niej

równo naklejone litery wycięte z gazet. Napis niedługi, ale jednoznaczny w swojej wymowie, brzmiał: „DOBRZE ŻE ZDEHŁEŚ GNOJU!!!”.

Błąd ortograficzny stanowił jeden z najważniejszych tropów dotyczących autora. Marek nie mógł sobie przypomnieć momentu pogrzebu, w którym ktoś nachyla się przy grobie, niespokojnie kręci czy zachowuje w podejrzanym sposób, co zresztą nie dziwiło przy tak dużej grupie żałobników i stosunkowo niewielkich gabarytach butelki, którą z łatwością można było ukryć w torebce, plecaku czy pod kurtką. Przypuszczał, że podrzucono ją podczas rozkładania kwiatów na grobie, kiedy na małej powierzchni tłoczyło się wiele osób i panowało takie zamieszanie, że pewnie można by i całą zgrzewkę takich butelek podrzucić.

Naczelnik oparł się pośladkami o biurko Radka, które aż zatrzeszczało i wpatrywał się w komisarza wertującego teczkę z wynikami laboratoryjnymi.

– Co mamy? – spytała z ciekawością Pachniewicz.

– Oczywiście cała masa śladów butów i paluchów na wiązankach, ale to specjalnie nie dziwi przy takiej liczbie żałobników i nic nam nie daje. Jednak jest coś jeszcze. Nasz romantyk od listu nie tylko nie uważał na lekcjach polskiego, lecz także zapomniał założyć rękawiczki, zakręcając butelkę. Na nakrętce ujawniono wyraźne ślady linii papilarnych. – Bondys się uśmiechnął.

– No i kim on jest? – Miller oparł łokcie na swoim biurku i złożył dłonie w koszycek.

– Ślady nie pasują do nikogo z bazy. Ale myślę, że wiem, kim ona jest. – Bondys zaakcentował wyraźnie ostatnie wyrazy.

– Ona?! – Radosław zastanowił się chwilę, kręcąc młynki kciukami. – Hmm... Jeśli to ona, to może to być tylko jedna osoba.

– Zgadza się.

– Pytanie, co dalej? – włączyła się Beata. – To, że podrzuciła butelkę na grób, wcale nie znaczy, że zabiła Pawła Skoka. Po co miałyby to robić? Tylko zwróciłyby tym gestem naszą uwagę.

Bondys zgadzał się z sierżant. Amatorskie wykonanie numeru z butelką i pozostawienie wyraźnych śladów potwierdzało personalia wykonawczynie i świadczyło raczej o chęci wyrażenia swoich uczuć niż potwierdzeniu, że jest zabójczynią.

Bondys zdążył zadzwonić już do prawdopodobnej autorki listu i poprosić o przyjazd na komendę. Zbliżała się dziesiąta, przed chwilą otrzymał telefon, że dziewczyna dotarła.

– Chodź, już czeka na nas w sali obok. – Wskazał głową na Beatę.

Kiedy wybrał Pachniewicz, zauważył w oczach Millera rozczarowanie. Nie miał jednak zamiaru się tym przejmować. Potrzebował kobiecej delikatności, która może się przydać przy przesłuchaniu.

Zeszli schodami na dół i weszli do niewielkiej sali. Przestraszona Julia Gniewko siedziała na krześle i nerwowo bawiła się bransoletką z różnokolorowych drewnianych koralików nawleczonych na cienką gumkę. Marek od razu, gdy tylko wszedł, odnotował nieprzyjemny dźwięk uderzania koralików o siebie, kiedy dziewczyna rozciągnęła gumkę i puściła. Po kilku powtórzeniach głęboko westchnął i zaprzagnął zakończyć przesłuchanie jak najszybciej.

Policjanci usiedli po przeciwnej stronie stołu. Prawdopodobnie była to pierwsza wizyta osiemnastolatki na komendzie, nic więc dziwnego, że jej twarz przybrała kolor ściennej bieli.

- Czyli co, cieszysz się, że twój nauczyciel nie żyje? A może raczej, cytuję: „ten gnój zdechł”, droga Julio?

Bondys zaczął rozmowę, ale dziewczyna nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w stół.

- Wiemy, że list w butelce przy grobie Pawła Skoka to twoje dzieło. Zaraz zostaną pobrane od ciebie odciski palców i z pewnością wynik potwierdzi, że to ty podrzuciłaś butelkę podczas pogrzebu.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Komisarz wyjął z teczki zdjęcia butelki, pokolorowanego rysunku czaszki oraz list zabezpieczony folią.

Beata siedziała bez słowa, ale kiedy Bondys spojrzał na młodą policjantkę, widział w niej duże współczucie dla przesłuchiwanej. Może jednak pomylił się przy wyborze współprzesłuchującego? Julia Gniewko nie odezwała się słowem. Patrzyła na zdjęcia i trudno było określić jej emocje, oczywiście oprócz przestraszenia całą sytuacją. Komisarz postanowił jednak iść dalej - nie było czasu na sentymeny, musiał wyrzucić na Julii presję, aby zaczęła w końcu mówić.

- Twój tata wspominał, że masz problemy z językiem polskim. - Bondys wskazał palcem na list z pogróżką. - Nietrudno było więc zgadnąć, kto popełnił taki błąd ortograficzny. Zdychać piszemy przez „ch”, Julio.

Dziewczyna zaczerwieniła się i mocniej szarpnęła bransoletką.

- Dobrze mu tak - powiedziała cicho, prawie nie otwierając ust i wpatrując się w kolorowe koraliki. - Tyle osób męczył. Wyżywał się na nas! Znęcał!

Bondys wpatrywał się w dziewczynę i szczerze współczuł jej tego, że musiała tyle przejść. Śmierć matki, problemy w szkole, ciągłe

wiązanie końca z końcem przez ojca. Miał przekonanie graniczące z pewnością, że to nie ona odpowiadała za zabójstwo nauczyciela, ale sprawdzić dziewczynę i tak było trzeba.

– Słyszeliśmy, że twój ojciec też nie przepadał za Skokiem – skomentował prowokacyjnie.

– Mój ojciec nie ma z tym nic wspólnego!

– Przecież nie twierdzimy, że ma – wtrąciła starsza sierżant łagodnym tonem. – Po prostu słyszeliśmy, że groził twojemu nauczycielowi za to, że cię dręczył.

Beata właśnie udowodniła, że Bondys jednak podjął słuszną decyzję, zabierając ze sobą młodą policjantkę – zgrabnie przejęła rolę dobrego gliny. Jemu pozostawała ta druga.

– A to dobry motyw, żeby kogoś zamordować – dodał spokojnie.

– To ja go zabiłam! Ja! – wykrzyczała nagle dziewczyna, zrywając się z miejsca.

Komisarza aż zdziwiło, że z tak drobnego ciała może się wydobyć taki krzyk.

– Usiądź, Julio.

Marek wskazał ręką krzesło, na którym przed chwilą siedziała dziewczyna. Nastolatka posłusznie wykonała polecenie.

– Tylko widzisz, nie mogłaś go zabić, bo masz niepodważalne alibi na noc zabójstwa. Na imprezie urodzinowej Justyny widziało cię wiele osób.

– Oni kłamią, prosiłam ich o to! Mówię wam, że to ja go zabiłam! Przyznaję się, chyba nie potrzeba nic więcej. – Czerwony koralik bransoletki strzelił w niebieski.

Komisarz zrobił krótką pauzę, a po chwili kontynuował:

- Dobrze. Załóżmy, że mówisz prawdę. Opowiedz zatem, jak zabiłaś swojego nauczyciela, Pawła Skoka.

Bondys starał się patrzeć dziewczynie prosto w oczy. Po pierwsze, po tylu latach pracy był w stanie u niektórych osób zauważyć kłamstwo. A po drugie, nie patrzył na rozciąganą bransoletkę i nie zaciskał zębów, kiedy po raz kolejny gumka naprężała się przed uderzeniem koralikiem w pozostałe.

- Yyy, no jak to jak? - wyjąkała Julia. - Przecież wiecie jak, chyba widzieliście ciało.

Trudno wymagać od nastolatki, aby znała się na procedurach, skoro przesłuchania i śledztwa widziała prawdopodobnie tylko w filmach. Jeśli w ogóle.

- Droga Julio, to nie wystarczy. Skoro przyznajesz się do zabójstwa, to możemy od razu jechać na miejsce odnalezienia zwłok w celu przeprowadzenia wizji lokalnej z podejrzanym, a na miejscu opiszesz szczegółowo przestępstwo, które, jak twierdzisz, popełniłaś. Pragnę tylko ci przypomnieć, albo jeśli tego nie wiesz, to poinformować cię, że składanie fałszywych zeznań i utrudnianie śledztwa jest karalne.

Gniewko zaczęła ciężko oddychać i wiercić się na krześle, patrząc naprzemiennie to na Beatę, to na komisarza. Wyglądała, jakby w jej umyśle toczyła się teraz zacięta walka przeciwstawnych argumentów. W końcu wygrało brnięcie dalej w bagno kłamstw.

- Nie ma sensu tam jechać... - Ściszyła głos i zrobiła się tak czerwona na twarzy, jakby ktoś ją pomalował. - Ogluszyłam go, torturowałam, zabiłam i powiesiłam na drzewie. Przecież tam go znaleźliście. Na tej polanie przy lesie, gdzie odbywały się treningi.

- Tak, a potem poszłaś przerzucać tony węgla i pojechałaś na zawody w podnoszeniu ciężarów. - Bondys uderzył pięścią w stół. - Dziewczyno, zacznij mówić prawdę, bo nie pomagasz ani ojcu, ani sobie!

Przesłuchiwana aż podskoczyła. Beata chciała oponować, ale Marek powstrzymał ją ruchem ręki.

- Przecież mówię prawdę... - Gniewko jeszcze bardziej ściszyła głos.

Przesuwała koraliki po kolei, jeden po drugim, jakby chciała policzyć, ile ich jest. Komisarz znał tę liczbę już od kilku minut, właściwie od pierwszych chwil, kiedy przyszli do pokoju przesłuchań. Dwadzieścia siedem. Jedenaście czerwonych, dziewięć zielonych, cztery niebieskie i trzy żółte.

- Spokojnie, Julka, chcemy tylko poznać prawdę. Chcemy dowiedzieć się, kto odpowiada za zabójstwo twojego nauczyciela - powiedziała spokojnym tonem Beata, ale w tym momencie do rozmowy włączył się z powrotem Bondys.

Wiedział, że są blisko wyciągnięcia z Julii właściwych zeznań.

- A wiesz, co ja myślę? Że ten liścik i całe twoje przyznanie do winy służą tylko odwróceniu uwagi od twojego ojca. Ponieważ twój tatuś, w przeciwieństwie do ciebie, nie ma alibi na noc zabójstwa, z pewnością ma wystarczająco siły, aby podnieść dorosłego mężczyznę, a dodatkowo miał już konflikt z prawem i co najważniejsze, miał mocny motyw. Najmocniejszy z możliwych. - Komisarz wstał z krzesła, oparł się rękoma o stół i pochylił nad nastolatką. - Miłość. Do ciebie.

Po twarzy Julii popłynęły łzy niemal tak duże i okrągłe jak koraliki bransoletki. Szlochała, a wodnisty, przezroczysty katar

spływał dwoma zawieszistymi strużkami. Kiedy osiadł na jej pełnych ustach, dziewczyna przetarła go ręką, jednak trzymała też ciągle tą ręką dwa paciorki bransoletki. Pod wpływem gwałtownego rozciągnięcia gumka z hukiem strzeliła, a wszystkie dwadzieścia siedem koralików rozsypało się po biurku i podłodze.

Julia jakby ocknęła się ze snu.

– Przepraszam. Rozsypały się...

Wstała i rzuciła się do zbierania koralików.

– Twoje życie się rozsypie, dziewczyno, jak nie przestaniesz kłamać, żeby chronić ojca! – ryknął Marek, zamknął z hukiem notes i wyszedł.

Idąc korytarzem, słyszał powtarzający się w głowie natrętny dźwięk pękającej bransoletki. Wzruszała go trochę lojalność Julii wobec ojca i ich silna więź. Jego siostra nigdy by nie skłamała, żeby chronić ich ojca. Ani matka. On chyba też nie. I może właśnie dlatego Zdzisław Bondys się rozsypał. Może dlatego się zapił na śmierć. Może właśnie dlatego, że nie miał bliskiej osoby, która potrafiłaby dla niego kłamać.

Wrócił do biura, gdzie czekali aspirant Miller i naczelnik.

– I co? – spytał od wejścia Rybacki.

– Julia Gniewko z całą pewnością jest winna podłożenia butelki na grób, ale niczego innego. – Komisarz spojrzął na tablicę. – Za to jej ojciec, Arkadiusz Gniewko, właśnie stał się głównym podejrzanym o zabójstwo.

Zaznaczył drugi czerwony krąg wokół nazwiska mężczyzny, a jego córkę wykreślił z listy podejrzanych.

W tym momencie dotarła również Beata i usiadła przy biurku z posępną miną. Komisarz spojrzął na policjantkę.



- Co Julia powiedziała o znalezieniu zwłok?

Sierżant wyglądała na zdziwioną pytaniem. Zastanowiła się, a po chwili zaczęła mówić:

- Że ogłuszyła, torturowała i powiesiła na drzewie zwłoki nauczyciela.

- Też. Ale powiedziała coś jeszcze. Że powiesiła go tam, gdzie miał treningi - uzupełnił Marek i dopisał tę informację na temat miejsca znalezienia zwłok w kolumnie „Ofiara”.

- Czyli ciało pozostawiono dokładnie w miejscu, w którym Paweł Skok trenował dzieciaki - odezwał się naczelnik. - To nie może być przypadek.

Komisarz zatrzymał się i spojrzał w twarz Zygmunta.

- Tylko co to ma wspólnego z homoseksualizmem ofiary?

- A może Paweł Skok dokuczał tylko dziewczynom? - spytała Beata.

Bondys pomyślał, że miałyby to sens. Homoseksualista, nieradzący sobie ze swoją orientacją i nienawidzący płci przeciwnej.

- Na miejscu Arkadiusza Gniewki też bym chciał rozszarpać takiego bydlaka. - Rybacki poklepał Marka po ramieniu i wyszedł z biura.

Bondys znał go dobrze i wiedział, kiedy w przełożonym wzbierała złość. Wiedział również, że ten solidaryzuje się z ojcowską miłością mężczyzny. Dla córki Zygmunt zrobiłby wszystko. Jednak to, że mieli dzieci, często odbierało obiektywizm policjantom, stąd dla równowagi najlepiej było dobierać do grupy dochodzeniowo-śledczej przynajmniej jednego bezdzietnego funkcjonariusza.

Czwartek, 17 X 1996 r.

31

Po informacji, że ciało Pawła Skoka powieszono w miejscu treningów, polanę sprawdzono jeszcze raz. Bezskutecznie. Od czasu zabójstwa minęły blisko dwa tygodnie, a śledztwo nie posunęło się naprzód. Na tablicy nadal widniała trójka podejrzanych, chociaż grupa krwi żadnego z nich nie pasowała do kropli znalezionych na ręce ofiary. No i cały czas brano pod uwagę jeszcze kogoś spoza listy – chociaż na całe szczęście wizja seryjnego zabójcy oddalała się z każdym kolejnym dniem.

Bondys wszedł po schodach i chciał iść dalej prosto korytarzem do biura, jednak usłyszał jakiś lament i krzyk na komendzie. Głos wydał mu się znajomy. Cofnął się na parter, gdzie zobaczył dwóch funkcjonariuszy prowadzących Arkadiusza Gniewko. Mężczyzna łkał i krzyczał, żeby go wypuścili. W pewnym momencie ich wzrok się spotkał i ojciec Julii spojrzał na Marka tak, jakby go prosił o pomoc. Miał w oczach przerażenie i żal.

Komisarz wpadł do biura i zobaczył, że naczelnik siedzi nieruchomo, tyłem do wejścia, wpatrując się w okno.

– Wnioskowałeś o areszt dla ojca Julii? – wykrzyczał od progu pytanie.

– Nie, też dopiero przed chwilą się dowiedziałem. – Odwrócił się w jego stronę. – Zatrzymano go wczoraj wieczorem, teraz tylko go

przenoszą do aresztu. Sąd na wniosek prokuratora Gaury wydał wczoraj nakaz aresztu tymczasowego.

– Przecież jego krew nie pasuje do tej znalezionej na dłoni denata!

Zygmunt pokręcił przecząco głową.

– Owszem, Gniewko ma grupę 0 Rh plus, co go wyklucza.

– To na jakiej podstawie go aresztowano? Przecież on ma córkę, kto się nią zajmie?! Zabiorą ją do policyjnej izby dziecka! – Bondys opadł ciężko na krzesło.

– Julia miesiąc temu szczęśliwie skończyła osiemnaście lat, więc nie potrzebuje prawnego opiekuna. Dobrze by było, gdybyś się uspokoił i przestał wrzeszczeć. Jeden krzyżący w komendzie wystarczy.

– Sorry, stary. – Bondys przetarł twarz dłońmi. – Po prostu ta dziewczyna tak dużo przeszła... Jest niedużo starsza od córki Aleksa, mojej chrześniaczki, Hani. To delikatny wiek. Grizli mógł się jeszcze wstrzymać z tym aresztem.

– Nie mógł. – Bondys patrzył teraz na przełożonego z niedowierzaniem, ale nie skomentował. – Osobiście nie sądzę, że to Arkadiusz Gniewko zabił Skoka, ale ojciec Julii nie ma alibi na noc zabójstwa i miał silny motyw. Do tego groził ofierze, więc nic dziwnego, że sąd zdecydował o jego areszcie.

– No i ma zawiasy – przypomniał Marek.

– Tak, to na pewno też nie pomaga mu w obecnej sytuacji.

Komisarz zapalił papierosa i poczęstował naczelnika, który nie odmówił. Przez chwilę palili, delektując się nikotyną i panującą ciszą.

- A co z napisem „Homo”? - spytał Marek. - Myślisz, że Arkadiusz Gniewko mógł chcieć nas zmylić tym tropem? Przecież to bez sensu.

- Albo uważał, że Skok znęcał się nad jego córką, bo był homoseksualny i nie lubił dziewcząt.

- Według mnie Gniewko kompletnie nie pasuje na mordercę. On by zabił gościa raczej w afekcie, ta cała szopka z powieszeniem ciała, cięciem ran, napisem „Homo” się zwyczajnie nie trzyma kupy.

- Tak czy owak, na razie zostaje w areszcie.

- Maras, a co myślisz o naszej młodzieży? Będą z nich ludzie?

- Mówisz o Beacie i Radku?

Zygmunt skinął głową w odpowiedzi.

- Na razie w porządku, reszta wyjdzie w praniu - odpowiedział lakonicznie. Zbyt krótko pracował z dwójką młodych policjantów, aby móc pełniej się wypowiedzieć na ich temat.

- Wiesz, obawiam się tylko jednego. - Naczelnik przybliżył się jeszcze bardziej do niego. - Że zaczną ze sobą romansować. Nie to, żeby mi to przeszkadzało, nic mi do tego, ale nie chcę, żeby wpłynęło to na ich pracę.

Bondys pokiwał głową. Już jakiś czas temu zaobserwował, jakie maślane oczy Miller robi na widok Beaty, ale na razie postanowił zachować tę refleksję dla siebie i nic nie powiedział.

- To naturalne, większość dwudziesto-, trzydziestolatków szuka wrażeń, przelotnych znajomości i tak dalej. Ja, kiedy miałem tyle lat co Radosław, z pewnością nie myślałem głową. - Zygi uśmiechnął się na samo wspomnienie.

- Każdy dwudziesto-, trzydziestolatek... - powtórzył na głos komisarz i spojrzał bez celu w dal. Coś przyszło mu do głowy.

Kiedy opuścił z powrotem wzrok, zauważył, że Rybacki patrzy na niego z niezrozumieniem i wyczekiwaniem.

– Przez ile lat Skok był związany z Ewą Braun? – spytał, podchodząc do tablicy.

Naczelnik milczał. Najwyraźniej nie znał odpowiedzi.

– Rozstali się w kwietniu, a byli parą przez trzy lata – przeczytał na głos z tablicy Bondys. – Czyli poznali się, gdy denat miał trzydzieści dwa lata.

– Maras, wiem, że lubisz cyferki, ale po co te wyliczenia? – Rybacki skrzyżował ręce na zapadniętej klatce piersiowej.

– Sam przed chwilą powiedziałeś, że każdy dwudziesto-, trzydziestolatek szuka partnera czy przygód. Trzeba by zatem sprawdzić historie miłosne ofiary sprzed związku z Braunówną!

– Naprawdę uważasz, że wśród nich może być sprawca?

– Albo sprawczyni. – Komisarz pokiwał głową. – Dlaczego nie? Może nie tylko różowa Ewcia miała żal do Skoka o złamane serce.

Rybacki ciągle nie wyglądał na przekonanego.

– Ale myślisz, że ktoś by się mścił po takim czasie?

– Ludzie bywają pamiętliwi. Może jakaś porzucona kobieta dowiedziała się przypadkiem, że Paweł jest gejem, i postanowiła go ukarać?

Bondys zapisał w kolumnie „Denat” uwagę „Poprzednie związki” i postawił znak zapytania obok. Przyszedł mu do głowy nowy pomysł:

– Istnieje jeszcze inna możliwość. Może Paweł Skok był w ukrytym związku z mężczyzną, po czym go zakończył? I to porzucony kochanek się zemścił? Poza tym, być może jego była czy

też były będą nam w stanie coś ważnego powiedzieć na temat jego przeszłości – argumentował dalej komisarz.

– Dobrze, Maras, może i to nie jest zły pomysł, żeby pogrzebać w przeszłości Skoka. – Rybacki ruszył do drzwi. – Powiedz zatem Pachniewicz i Millerowi, żeby się tym zajęli, przy okazji sprawdzimy naszych żółtodziobów.

– A co z Arkadiuszem Gniewką? – spytał Zygmunta, ale ten tylko pokręcił przecząco głową.

– Nie musiał nic dodawać.

Poniedziałek, 21 X 1996 r.

32

Mieszkali kwadrans drogi od siebie, więc Aleks postanowił wybrać się do przyjaciela na piechotę. Dochodziła dziewiętnasta trzydzieści, a kilka dni wcześniej nastąpiła awaria oświetlenia, więc Kownacki miał wrażenie, że nie idzie po osiedlu, a brodzi w smole. W przeciwieństwie do Bondysa nie przepadał za mrokiem. Kiedyś żartowali nawet, że ich przyjaźń bazuje głównie na przeciwieństwach. Poznali się jeszcze w czasach studenckich i mimo rozbieżnych gustów, szybko polubili. A różniło ich niemal wszystko. Aleks uwielbiał towarzystwo, Bondys należał raczej do samotników. Kownacki szybko się ożenił i doczekał córki, przyjaciel pozostawał nadal bezdzielnym kawalerem. Psycholog trenował siatkówkę i słuchał muzyki rozrywkowej, Marek pływał i należał do fanów ciężkiego brzemienia. I tak dalej, i tak dalej.

Szedł ostrożnie, szczególnie przez lasek przy szpitalu, żeby nie wybić sobie zębów, potykając się o korzeń. Bliżej bloków spacerowało się lepiej, światło padające z mieszkań dawało bowiem bladą poświatę. Po drodze w osiedlowym monopole kupił dwa czteropaki piwa i dużą paczkę paprykowych chipsów. Dotarł za dziesięć ósma. Mimo niewielkiej odległości zdążył zdrowo przemarznąć.

– Cześć, stary! – przywitał przyjaciela stojącego w drzwiach. – I ty, Kodeks!

Pies podleciał sprawdzić, kto przyszedł do domu, chociaż nie witał gościa zbyt ciepło. Obwąchał, lekko pomerdał ogonem i wrócił na swoje posłanie w korytarzu.

Marek się zaśmiał.

– Chyba wyczuwa, że nadal się go boisz.

– Nie boję się! – oburzył się Aleks. – Na początku byłem po prostu zachowawczy, bo trudno przewidzieć, co zrobi zwierzę po takiej traumie.

Bondys nie przestawał się śmiać, ale najwyraźniej postanowił już nie dręczyć kolegi. Obaj wiedzieli, że Aleks bał się psów, zwłaszcza dużych, i należał zdecydowanie do kociarzy. Z początku, gdy Marek przygarnął Kodeksa, ten faktycznie był bardzo nieufny, ale według nowego pana tylko na widok Kownackiego szczyrzył kły i warczał.

Komisarz postawił na stoliku miskę z chipsami przyniesionymi przez przyjaciela oraz puszkę orzeszków. Rozsiedli się na dwóch końcach kanapy.

– Co teraz układasz? – spytał Aleks, wychylając się w stronę stołu, na którym leżały rozłożone puzzle.

– Widok na Manhattan, tysiąc elementów Trefla. Dopiero przed chwilą zacząłem, ale przyszedłeś i mi przerwałeś. – Uśmiechnął się.

– Ty to masz cierpliwość do tych układanek, mnie by szlag trafił po kwadransie szukania odpowiednich kawałków. – Aleks również się zaśmiał. Znali się na tyle długo i dobrze, żeby móc pozwalać sobie na drobne uszczypliwości i żarty. – Swoją drogą, chętnie bym zobaczył Nowy Jork – powiedział i sięgnął po kilka orzeszków. – Moja Wandzia marzy, żeby zobaczyć Central Park i Manhattan.



- Hmm, akurat z wszystkich stanów Nowy Jork chyba najmniej mnie ciekawi. Nie przepadam za drapaczami chmur, może dlatego, że lubię otwartą przestrzeń. Zdecydowanie wolałbym zobaczyć Michigan, Utah czy Alaskę.

- Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej! Zawsze wolałeś odludzia i pustkowia. Na Alasce to byś pewnie chętnie i zamieszkał! - Aleks zaśmiał się i zaraz odkaszlnął, zakrztusiwszy się orzeszkiem. - Swoją drogą, jak kiedyś zaczną nas interesować podobne rzeczy, to będzie od razu powód do martwienia się o nas obu.

- Coś w tym jest! - Bondys sięgnął po kilka chipsów, nie przestając się uśmiechać. - Jak ułożę, to podkleję jakąś dyktą i będziesz mógł powiesić w sypialni te betonowe wieżowce na wyspie.

- O, super, Wandzia na pewno się ucieszy, dzięki!

Gospodarz włączył telewizor i nastawił program TVP2, gdzie miał rozpocząć się zaraz hit ostatnich miesięcy - *Z archiwum X*. Z psychologicznego punktu widzenia fenomen popularności serialu zaskakiwał. Agentka Dana Scully i agent Fox Mulder potrafili wciągnąć jak nikt inny w świat zagadek o kosmitach i zjawiskach nadprzyrodzonych. Nikt nie wierzył w fabułę czy zdarzenia przedstawiane w serialu, a jednak wszyscy oglądali. Być może ludzie chcieli oderwać się od swoich przyziemnych problemów i szarej codzienności, wchodząc w nierealny świat science fiction i absurdalnych śledztw?

Po pierwszej scenie na ekranie pojawiła się czołówka, a w tle zabrzmiała charakterystyczna melodia. Następnie pojawiła się pierwsza scena odcinka zatytułowanego *Krew*.

- Zawsze wiedziałem, że windy nie są bezpieczne - skomentował treść zbrodni rozpoczynającej odcinek Bondys.

- No tak, zwłaszcza jak trafisz na takiego gościa, który gołymi rękoma potrafi zatłuc kilka osób po komunikacie w windzie. - Aleks otworzył sobie piwo, spojrzał pytająco na kolegę, ale ten tylko zaprzeczył ruchem głowy. - Ale bardziej podobał mi się odcinek w zeszłym tygodniu.

- O mutancie z kanałów? Mam nadzieję, że nie oglądałeś tego odcinka z małżonką? Średni nastrój na romantyczny wieczór.

- Coś ty, Wandzia uwielbia takie klimaty! Hania zresztą też. Zawsze razem oglądamy horrory.

- Chyba że akurat oglądasz je przy piwie u kumpla z roboty.

- No tak. Ale dzisiaj zrobiły sobie babski wieczór, więc wilk syty i owca cała.

Kownacki odstawił swoje piwo i sięgnął po kilka paluszków.

Kodeks leżał pod kanapą, przy swoim panu, z biało-czarnym łbem ułożonym na łapach i wpatrywał się w gościa nieufnym wzrokiem. Komisarz od czasu do czasu głaskał pupila, który okazywał swoją radość z pieśczoły machaniem ogona. Aleks szczerze podziwiał przyjaciela za adopcję tak poranionego psiaka i uważał, że zwierzę miało niebywałe szczęście, trafiając właśnie na niego. Z czasem zauważył też, jak doskonale Kodeks wpływa na swojego pana. Bondys zawsze mimowolnie uśmiechał się, głaszcząc psa, troszczył się o niego i opiekował najlepiej, jak potrafił. Kownacki miał kiedyś taką refleksję, że ten ludzko-psi duet miał same zalety, oprócz jednej straszliwej wady - kiedyś jednego z nich zabraknie, a wówczas drugiemu pęknie serce.

Czwartek, 24 X 1996 r.

33

Starsza sierżant Pachniewicz i młodszy aspirant Miller siedzieli na komendzie, pracując intensywnie od rana. W pomieszczeniu panował nieprzyjemny zaduch od kaloryfera, ale rano tak przemarzli, czekając na dwóch kolegów denata z liceum, że teraz chcieli się rozgrzać. Od tygodnia z polecenia komisarza Bondysa próbowali ustalić poprzednie związki ofiary, wliczając w tę listę przelotne romanse. Na razie odnaleźli pierwszą miłość Pawła Skoka jeszcze z czasów szkoły średniej. Związek przetrwał tylko kilka miesięcy, a była dziewczyna, Patrycja Adamska – dzisiaj Hermann – mieszkała w Hamburgu wraz z rodziną. Jak zdążyli ustalić, w czasie zabójstwa również przebywała w Niemczech.

Beata odkreślała kolejne punkty z listy, którą przygotowali sobie po otrzymaniu zadania.

– Dobrze, czyli porozmawialiśmy po raz kolejny z matką i siostrą denata, które nic nie wiedzą o sympatiach ofiary z dawnych lat.

– Albo nie chcą nam powiedzieć – dopowiedział Radosław.

– Może i tak. Na szczęście koledzy z ogólniaka okazali się bardziej rozmowni i podali nam Patrycję Hermann. Sprawdzona, wykluczona.

– Czyli znowu nic nowego to nie wniosło. – Radek westchnął ciężko i upił herbatę, którą zaparzyła dla nich obojga Beata.

- Zostali nam jeszcze do rozmowy koledzy ze studiów i dwaj przyjaciele z dzieciństwa, ci, których wskazała siostra Skoka.

- Bez sensu - mruknął Miller.

Policjantka odnosiła wrażenie, że kolega neguje pomysł z szukaniem śladów w przeszłości już od momentu, gdy tylko otrzymali takie polecenie. Nie rozumiała tego i coraz bardziej podejrzewała, że przyczyną może być zwyczajna personalna niechęć Radosława wobec Bondysa. Sama niezmiennie ekscytowała się i cieszyła z nowych zadań, wiedząc, że może dużo się nauczyć podczas tego śledztwa, za to Radek zdawał się nie dostrzegać możliwości rozwoju dzięki uczestnictwu w tak ważnym śledztwie albo nie zależało mu na tym. Tak czy owak, niezależnie od przyczyny, zaczynało ją szczerze drażnić zrządzenie kolegi i czuła, że udziela jej się jego negatywne nastawienie.

- Może wykażmy inicjatywę i na przykład porozmawiajmy jeszcze raz z nauczycielami pracującymi ze Skokiem? - Próbowała zarazić kolegę werwą do działania i dopisała taki punkt na liście. - Ten biolog wyglądał, jakby wiedział coś więcej.

- Inaczej sobie wyobrażałem pracę w Wydziale Kryminalnym. Nie jestem chłopcem na posyłki czy prywatnym detektywem, żeby łączyć za jakimiś pannami czy prowadzić sobie pogaduszki z belframami - odpowiedział z miną obrażonego dziecka.

- Ale to akurat naprawdę może być dobry trop! Grzybowski ewidentnie coś ukrywał.

- Może Bondysowi tak się tylko wydawało.

- Czy mógłbyś przestać zrządzić, do ciężkiej cholery?! - Beata nie wytrzymała. - Co ty myślałeś, że będziemy codziennie biegać z bronią za bandytami i zbierać laury za rozwiązane w kilka godzin

sprawy?! To nie film sensacyjny! Jak ci się nie podoba, to zmień pracę, ale nie utrudniaj mojej! I nie zabieraj mi satysfakcji, którą ta praca mi przynosi!

Radosław chyba nie spodziewał się takiej wybuchowej reakcji, bo spojrzał na koleżankę wyraźnie zaskoczony. Odniosła wrażenie, że zrobiło mu się głupio. I dobrze, ile można słuchać takiej marudy? Może coś wreszcie do niego dotrze.

- Przepraszam, Beatko, może faktycznie przesadzam - wybełkotał, spuszczać wzrok.

- Może?! - rzuciła trochę spokojniejszym tonem, ale bynajmniej nie zamierzała go oszczędzać. - Źle się pracuje z kimś, kto nie ma żadnych pomysłów i jeszcze bez przerwy zrzędzi jak stara baba! Chyba wolałabym sama szukać tropów w przeszłości denata niż robić to z takim partnerem!

- Naprawdę przepraszam. Nie pomyślałem, że może utrudniać to pracę tobie, to ostatnia rzecz, jakiej bym chciał. Nie gniewaj się na mnie...

- Oj, nie gniewam się, po prostu zmień nastawienie i tyle.

Pomyślała, że chyba trochę przesadziła, ale skończyła jej się cierpliwość. Być może to zmobilizuje Radka do pracy, byłoby jej wtedy z pewnością lżej... Rozmyślenia przerwał jej Miller, który nagle wstał z krzesła.

- Muszę wyjść na chwilę! - krzyknął, właściwie już wychodząc.

- Ale... - Wstała raptownie, jednak nie dokończyła zdania, bo drzwi za kolegą już się zamknęły.

Westchnęła ciężko i opadła z powrotem na krzesło. Przedtem pracowała z marudą, a teraz przyjdzie jej wykonywać zadania z obraźliwym dzieciakiem, którego męską dumę uraziła zwróceniem

uwagi. Sto razy bardziej wolałaby pracować sama. Albo z Bondysem...

Zaparzyła sobie jeszcze jedną herbatę z cytryną i zabrała się do pracy, wypisując kolejne potencjalne osoby z otoczenia denata do sprawdzenia. Teraz przynajmniej miała ciszę i spokój. Po jakichś trzydziestu minutach usłyszała kroki na korytarzu. „O, pewnie pan obraźalski wraca”, pomyślała i nawet nie uniosła głowy znad biurka, kiedy usłyszała otwieranie drzwi. „Ciekawe, czy się pierwszy odezwie, czy będzie nadal zachowywał się jak rozkapryszony pięciolatek”. Nagle dostrzegła nieruchomy cień o dziwnym kształcie. Podniosła wzrok i ujrzała morze białych róż przed sobą.

– No co ty teraz? – spytała speszona. – Nie trzeba było...

– To dla ciebie, w ramach przeprosin – wybąkał Miller i wręczył jej kwiaty.

Przyjęła bukiet, kompletnie nie wiedząc, co powiedzieć. Pożałowała swojej reakcji i zrobiło jej się zwyczajnie głupio. W dodatku źle oceniła Radka, myśląc, że wyszedł z powodu obrażenia się. Chłopak poleciał do kwiaciarni i kupił największy bukiet, jaki w życiu dostała. Wstawiła róże do prowizorycznego wazonu zrobionego z wysokiego słoika po kawie i postawiła na biurku. Może i kwiaty w ramach przeprosin to banalna metoda, ale wyjątkowo skuteczna.

– Jeszcze raz dziękuję. Są przepiękne.

– Nie ma za co. To co, zabieramy się do roboty? – spytał policjant z uśmiechem.

Również uśmiechnęła się do kolegi i wróciła do listy na swoim biurku.

Piątek, 1 XI 1996 r.

34

Znów wybudziła się ze snu zlane potem. Była sama w pokoju. Usiadła na brzegu łóżka, zwieszając z niego szczupłe nogi. Śnił jej się ten sam sen, prześladowający ją co noc od blisko dwóch tygodni – mężczyzna z poderżniętym gardłem, wiszący za ręce na drzewie, który otwiera oczy, wpatruje się w nią i nagle, tocząc krwistą pianę z ust, zaczyna charczeć dwa słowa: „Zabiłaś mnie!”. Agata natomiast zaczyna biec na oślep między drzewami, a chwilę później budzi się przerażona.

Wstała i na bosy podeszła do zakratowanego okna. Czuła chłód podłogi i ziarenka piasku pod stopami. Objęła się ramionami. Wiedziała, że prędko nie zaśnie, ale nie chciała wołać pielęgniarki i brać kolejnych leków. Pobyty w szpitalu miały to do siebie, że często zaburzały rytm dobowy. Zbyt mały wysiłek fizyczny i drzemki w ciągu dnia, kłębowisko myśli oraz balans na granicy świadomości po farmaceutykach nasilały bezsenność. Jeśli teraz wzięłaby coś na sen, padłaby jak zestrzelona kawka i spałaby do rana, ale obudziłaby się zmęczona i z bólem głowy.

W uszach ciągle brzęczały jej słowa mężczyzny. „Zabiłaś mnie, zabiłaś mnie, zabiłaś mnie”. Przymknęła na chwilę oczy, po kilku sekundach ponownie je otworzyła. Przerażający sen zlewał się z

mroczną jawą w jedną, piekielną całość. Trudno było jej określić, które z nich jest gorsze – w obydwu stanach czuła się jak w pułapce.

Od czasu, gdy trafiła do szpitala, wielokrotnie rozmawiała o zaistniałej sytuacji z Asią. Lekarka pocieszała ją i twierdziła, że według niej niemożliwe jest, żeby kogoś skrzywdziła. Tylko dlaczego w takim razie sama czuła inaczej? Zresztą już raz to zrobiła przed laty, co prawda w akcie samoobrony, ale jednak...

Była morderczynią.

Gdyby nie zeznania Asi, kto wie, co by się z nią wtedy stało. W najlepszym wypadku trafiłaby na oddział zamknięty dożywotnio, w najgorszym do więzienia.

Tym razem wszystko wyglądało dokładnie tak samo – schemat powtarzał się co do joty. Nawiedzały ją senne koszmary z udziałem ofiary, samego wydarzenia zaś kompletnie nie pamiętała – miała sporą lukę we wspomnieniach newralgicznego dnia i coraz bardziej ją to niepokoiło. Z niedzieli sprzed dwóch tygodni w jej pamięci utkwiło bowiem zaledwie poranne wyjście z Przyjacielem. Później pamiętała, jak stoi przed furtką domu rodzinnego, owczarek ujada, ojciec otwiera drzwi, wybiega, opatula ją swoim swetrem i prowadzi do środka. Następne kadry to roztrzęsiona matka ściągająca z niej brudne i przemoknięte ubranie, ojciec dzwoniący do szpitala i nieodstępujący jej na krok Przyjaciół, zlizujący krew z jej dłoni. Nawet nie wiedziała, czyja to była krew.

Rodzice twierdzili, że przebywała ponad godzinę poza domem, a w tym czasie mogło się zdarzyć wszystko...

Odetchnęła ciężko. Nie miała już sił płakać, analizować minionych zdarzeń czy wyszarpywać strzępów wspomnień z zakamarków podświadomości. Czuła pustkę i wiedziała, że choroba



wygrała kolejną bitwę, a koniec wojny zdawał się przesądzony i bliższy niż kiedykolwiek. Teraz przy życiu trzymało ją tylko jedno marzenie – nazajutrz miała dostać przepustkę i spotkać się z Przyjacielem. Z rodzicami również, ale na nich nie była w stanie patrzeć w czasie przepustek, ponieważ ich twarze stanowiły lustro jej cierpienia i bezsilności. Kochała ich ponad wszystko, podobnie oni ją, ale wiedziała, że zabija ukochane osoby. Widziała, jak przez lata rozwoju jej choroby ojciec siwieje z dnia na dzień, matka traci na wadze, a życie obojga zamienia się w wegetację. Zrezygnowali z własnych zainteresowań, pasji, wakacji, mało co ich dziś cieszyło. Stopniowo przestali spotykać się ze znajomymi, po kilku uwagach na temat córki wariatki matka przestała rozmawiać z sąsiadkami, oddalili się także od siebie nawzajem. W końcu przerodzili się w dwa martwe duchy w wątych ludzkich ciałach, mijające się w domu i snujące po nim, walczące w życiu tylko o jedno – zdrowie córki. Inne cele, marzenia i plany zniknęły. Jej rodzice gaśli, przytłoczeni ciężarem schizofrenii swojego jedyne dziecko.

Wiele razy chciała skończyć ze sobą. Nie bała się śmierci, piekła, bólu – i tak stanowiły jej codzienność. Czasami czuła się, jakby już umarła. Przed zabiciem się powstrzymywali ją głównie rodzice, a raczej świadomość, co się z nimi stanie po jej śmierci. Samobójstwo obciążałoby ich na zawsze poczuciem winy, wyrzutami sumienia i żałobą. Z drugiej strony, żyjąc, również raniła ich swoją chorobą. Dobre rozwiązanie w tej sytuacji nie istniało. Tak bardzo chciałyby teraz mieć przy sobie żyłkę... Nacięcia, wykonywane z precyzją, w równej liczbie na każdym udzie, zawsze dawały jej ukojenie, chociaż na chwilę....

Potrzebowała powiewu radości, jakiegoś drobnego promienia ciepła, żeby choć na chwilę poczuć ulgę i zapomnieć o klatce z lodu, w której się znajdowała. Uśmiechnęła się delikatnie na myśl o spotkaniu z psem. Przyjaciel dawał jej to, czego ludzie nie mogli – bezwarunkową radość na sam jej widok, ciepło i wierność, nieokraszone współczuciem, litością czy troską. Nie miał wobec niej oczekiwań ani nadziei, że kiedyś wyzdrowieje. Nie oceniał jej postępów, zachowania czy sytuacji życiowej. Tylko przy nim dotykała ulotnego szczęścia, strzępków jakiegokolwiek radości.

Usiadła z powrotem na łóżku, zarzuciła kołdrę na plecy, podkuliła kolana i objęła je ciasno rękoma. Słyszała przyspieszone bicie swojego serca i czuła nieprzyjemny puls w skroniach. Nie płakała już. Łzy stanowiły luksusowe ukojenie tylko na początku choroby, po latach pojawiały się coraz rzadziej. Aby się choć trochę uspokoić, zaczęła nucić zwrotkę kołysanki, którą w dzieciństwie tata śpiewał jej do snu:

*Już ci Wojtuś nie uwierzy,  
Iskiereczko mała.  
Chwilę błysniesz, potem gaśniesz,  
Oto cała bajka.*

Sobota, 2 XI 1996 r.

35

Na bydgoskim cmentarzu przy ulicy Rynkowskiej zbierali się żałobnicy. Ze względu na datę, Zaduszki, na cmentarzu świeciło się wiele zniczy, a na grobach leżały świeże wiązanki kwiatów. O siódmej czterdzieści pięć, kwadrans przed pogrzebem córki zastępcy prezydenta miasta, Romana Kisiewicza, przy kaplicy cmentarnej zebrała się już prawie cała śmietanka bydgoskiego ratusza, rodzina zmarłej, dziennikarze, koleżanki i koledzy ze studiów.

Magdalena Kisiewicz studiowała anglistykę w bydgoskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej i skończyłaby dzisiaj dwadzieścia trzy lata. Wraz z siostrą i matką organizowała w ostatnich dniach przed śmiercią swoją imprezę urodzinową dla rodziny i przyjaciół. Zamówiła tort, kupiła elegancką czerwoną sukienkę, a mama obiecała z tej okazji upiec dla córki sernik z brzoskwiniami. Rodzina przy wszystkich spotkaniach imieninowo-urodzinowo-świętecznych wychwalała sernik pani Kisiewicz. Magdalena niedawno zdała egzamin na prawo jazdy, w dodatku za pierwszym podejściem. Rodziców przepęłniała duma i zdecydowali, że kupią córce wyjątkowy prezent urodzinowy – samochód. Czerwonego malucha. Mieli już przygotowaną niespodziankę, prezent na czterech kołach

czekał na działkę, przyozdobiony złotą kokardą przyczepioną do maski.

Magdalena nie zdążyła ucieszyć się z prezentu.

Magdalena nie zdążyła wyprawić imprezy urodzinowej.

Magdalena nie zdążyła posmakować sernika matki.

Magdalena zginęła w wypadku samochodowym dwa dni przed swoimi urodzinami. W czwartkowe popołudnie wracała ze sklepu z zakupami.

Zmierzchało. Przechodziła na pasach. Na ulicę wybiegł kot. Kierowca poloneza chciał ominąć zwierzę. Pojazd wpadł w poślizg.

W wyniku uderzenia dziewczyna przeleciała trzy metry i upadła na chodnik, uderzając głową w krawężnik.

Na ulicę wyturlała się puszka z brzoskwiniami na sernik, wysypały ciastka maślane, mieszanka wedlowska, kolorowe balony i serpentyny. Butelka z szampanem stłukła się, a alkohol pieniącymi się strużkami spływał po ulicy.

Magdalena Kisiewicz zginęła na miejscu w wyniku urazu głowy.

Kierowca poloneza, w szoku i ze złamaną ręką, trafił do szpitala.

Kotu nic się nie stało.

Teraz Maria Kisiewicz trzymała ich sześciolatniego brata za rękę. Miała wrażenie, że tylko dzięki opiece nad małym Zbyszkiem jest w stanie przetrwać śmierć Magdy, swojej starszej o rok siostry. Bała się, że gdy tylko puści dziecięcą rękę, to rozsypie się i już nigdy nie pozbiera.

Matka wybrała dla córek imiona – dla młodszej Maria, a dla starszej Magdalena, co stanowiło rodzinną anegdotę i nieustannie wywoływało uśmiech na twarzach samych sióstr. A teraz Maria stała przed kaplicą cmentarną i czekała na pogrzeb swojej ukochanej

siostry. Już nigdy nie usłyszy żartów o biblijnej Marii Magdalenie. Została tylko ona. Maria.

Jesionową trumnę powoli opuszczano na linach do grobu. W tle na trąbce grano *Ave Maria*, gdy ksiądz święcił zmarłą kropidłem i znakiem krzyża. Maria słyszała cichy płacz swojej matki, schowanej w ramionach ojca. Roman Kisiewicz, na co dzień stanowczy i poważny polityk, dzisiaj był tylko ojcem zmarłej córki i mężem zrozpaczonej żony.

Padał drobny deszcz, a jednocześnie świeciło słońce. Na horyzoncie za kaplicą pojawiła się podwójna tęcza. Maria wpatrywała się w pasy obydwu kolorowych łuków. Pierwsza tęcza świeciła mocno, wyraźnie można było rozróżnić czerwień, pomarańcz, żółć, zielen, błękit, granat i fiolet. Druga ledwie się tliła w cieniu pierwszej, a barw nie sposób było w niej odróżnić. Po chwili całkowicie zniknęła. Na niebie pozostała tylko pierwsza tęcza. Dalej świeciła, ale jakby słabiej. Trudno było o dosadniejszą symbolikę. Maria uznała, że Bóg w tym momencie zabiera Magdalenę do siebie. Ścisnęła tak mocno rączkę brata, że aż mały Zbyszek syknął z bólu, więc natychmiast poluźniła chwyt.

– Boże, taka młoda! – zawołała nagle histerycznie starsza kobieta.

Maria jej nie znała. Pewnie była to jakaś urzędniczka z ratusza, która znalazła się na pogrzebie jej siostry, bo tak wypadało. Zresztą przyszło wiele osób, a znakomitą większość z nich Maria widziała po raz pierwszy w życiu.

– Oj tak, biedna Madzia, skończyłaby dziś dwadzieścia trzy lata... Takie nieszczęście, droga pani... – wyszlochała ciotka Emilia, najstarsza siostra ich matki, po czym wydmuchała głośno nos.

- No ale skąd pani właściwie wie, jak ta dziewczyna miała na imię i ile miałaby lat?

- Ale jak to skąd wiem, jak Madzia miała na imię? Co też pani...?

Maria obróciła się do starszej pani i skierowała wzrok w stronę, w którą ta patrzyła. Usłyszała najpierw wrzask ciotki, a później kolejnych osób. Ktoś pobiegł wezwać pomoc. Zrobiło się straszliwe zamieszanie. Matka powtarzała tylko, żeby Maria zakryła oczy Zbysiówi, ale ta nie była w stanie nic zrobić. Stała jak sparaliżowana, nie potrafiła nic powiedzieć ani wykonać żadnego ruchu, ścisnęła tylko mocno rączkę braciszka.

Wpatrywała się w dziewczynę, która siedziała bezwładnie przy grobie jak źle usadzona lalka, wsparta plecami o kamienny krzyż. Głowę miała opartą o jedno z jego ramion, oczy szeroko otwarte, a wzrok skierowany przed siebie. Ubrana była jedynie w bieliznę, całe jej ciało pokrywały drobne skaleczenia, a na szyi błyszczała wielka rana. To wydawało się tak nierealne, jak jakiś ponury żart. Inscenizacja znajdowała się zaledwie kilkanaście metrów od otwartego grobu jej siostry.



Nastroje na komendzie panowały, delikatnie mówiąc, średnie. Arkadiusz Gniewko przebywał w areszcie, a oni nie posunęli się w śledztwie ani o krok. Siedzieli w trójkę w biurze w całkowitej ciszy. Radek jeszcze raz sprawdzał cały materiał dowodowy, który zgromadzili do tej pory, Beata próbowała ustalić historię związków denata, a Marek przeszukiwał archiwum w poszukiwaniu podobnych spraw. Dzień wcześniej przesłuchali jeszcze raz ojca Julii, ale ten nie przyznawał się do zabójstwa. Każdy z policjantów był przekonany o niewinności Gniewki, rozmawiali już o tym wcześniej, jednak nie mogli nic zrobić w tej sytuacji. Bondys nie przestawał się zastanawiać nad tym, jak radzi sobie Julia. Po aresztowaniu jej ojca pojechał pod błahym pretekstem do mieszkania przy ulicy Morskiej, żeby sprawdzić, czy u nastolatki wszystko dobrze, ale zarzekła się, że tak.

W tym momencie do biura przyszedł oficer dyżurny. Kiedy wysłuchali, co ma do powiedzenia, Bondys przymknął powieki i powiedział tylko:

- Już jedziemy.

Dostali zgłoszenie o kolejnym zabójstwie. Komisarz przeczuwał, że ten morderca powróci, ale z każdym kolejnym dniem mijającym od pierwszego zabójstwa rosła w nim nadzieja, że tym razem się pomylił.

Tymczasem morderca wyprzedzał ich już o dwa okrążenia, o dwa zabójstwa.

Dziesięć minut i dwa wypalone przez Bondysa oraz Millera papierosy później jechali na miejsce zdarzenia.

Kiedy dotarli do cmentarza od strony ulicy księdza Putza i zaparkowali na piaszczystym, dzikim parkingu, Marek zobaczył przed oczami ten mroźny poranek tuż po Bożym Narodzeniu przed dziesięcioma latami. Jego umysł przypominał mu, co czuł tamtego dnia. Na pogrzeb przyszedł ksiądz, bo komisarz mu zapłacił, a poza kapłanem tylko cztery osoby przybyły dobrowolnie. On, Aleks, Marcin i Estera. Tylko cztery osoby. Jego ojciec żył sześćdziesiąt osiem lat, pracował w jednym z największych zakładów w mieście, miał żonę, córkę, syna, sąsiadów, kolegów, znajomych, a na jego pogrzeb przyszły cztery osoby. Jego syn i troje znajomych syna. Czyli trzy osoby przyszły dla jego syna, nie dla niego. Innymi słowy, gdyby Zdzisław Bondys nie miał syna, nie przyszedłby nikt, ksiądz nie wyprawiłby pogrzebu, a zmarłego pochowano by z urzędu.

Kurwa niesprawiedliwa tego świata mać.

Może i Zdzisław nie był najlepszym ojcem, może i nie był wzorowym mężem, może i nie był poprawnym pracownikiem, może i chlał, palił, wyrzucili go z roboty za wóde, czasem zrobił awanturę albo wywinął coś głupiego, a ostatnie lata żył jako bezdomny. Może i tak, ale też przez lata harował w Zachemie jak wół, wstawał o czwartej nad ranem i nierzadko pracował po dwanaście godzin.



Wracał wieczorami, wykończony, nie mając nic z życia. A wypadek matki? Jak sama nazwa wypadek wskazuje, nie ma w nim winnego. Dlaczego nieszczęśliwy upadek podczas kłótni został przekształcony w brutalny czyn męża-kata? Dlaczego nikt nie pamięta o jej winie? Społeczeństwo oskarżyło i skazało ojca nieoficjalnie, bez procesu, bez możliwości obrony, bez skrupułów. Żaden sąd tak nie funkcjonuje. Kto dał ludziom prawo do oceny życia Bondysa seniora? A czy znalazła się chociaż jedna osoba, która chciała mu pomóc? Albo przynajmniej spróbowała, choć raz z nim porozmawiała? Dlaczego matka nie próbowała mu pomóc wcześniej, skoro widziała, że idzie nachlany do roboty? Dlaczego zdradziła go z sąsiadem? Dlaczego żaden z kolegów nie powiedział: „Stary, weź się w garść, bo to się źle skończy”? Zdzisław Bondys starał się z całych, kurwa jego robotnicza mać, sił i żył, jak umiał. Nie miał łatwego życia, właściwie miał całkiem beznadziejne. Rozzalenie to przychodziło jako pierwsze do głowy Markowi, gdy myślał o dniu pogrzebu.

Potrząsnął lekko głową. Nie chciał teraz o tym myśleć. Nie mógł. Musiał skupić się na śledztwie, a nie na niesprawiedliwości świata i bezsensownej śmierci ojca, będącej zwieńczeniem bezsensownego życia.

Przeszli przez bramę i szli pomiędzy nagrobkami w stronę zamieszania. Nietrudno było zauważyć, w jakim kierunku powinni podążać. Ludzie zlecieli się już jak gołębie do kukurydzy rzucanej przez dzieci na Starym Rynku. Część z nich weszła na płyty nagrobne i stawała wysoko na palcach, żeby jak najwięcej dojrzeć. Kilka osób wspięło się nawet na co większe krzyże, żeby lepiej widzieć. Ciekawe, czy jakby taka sensacja wydarzyła się w hospicjum, to ludzie też by wspinali się na łóżka, trzymając się

stojaków od kroplówek i depcząc po chorych, wgapiając się w potencjalne widowisko.

– Maras, Maras! – Naczelnik, którego spotkali przy wejściu na teren nekropolii, klepnął zdrowo podwładnego w ramię. – Słuchasz mnie w ogóle?!

– A tak, słucham, Zygi, zamyśliłem się.

– Obrażenia wskazują na tego samego sprawcę, co w przypadku Pawła Skoka. Ponownie do pleców ofiary przybito karteczkę z personaliami: Marzena Pogorzelska, osiemnaście lat, uczennica.

Podeszli bliżej do ciała. Rodzaj i liczba obrażeń istotnie przypominały do złudzenia poprzednie morderstwo. Dziewczyna poza bielizną nie miała na sobie ubrań. Na wysokości mostka miała wycięty ostrzem nieduży napis „HOM”. Trudno było odczytać końcówkę wyrazu ze względu na opuchliznę. Całe ciało pokrywały znane już policjantom ze zwłok poprzedniej ofiary niewielkie cięcia, intensywnie zaczerwienione i opuchnięte. Pewnie również otwierane i posypywane przez zabójcę solą i polewane octem. Najbardziej w oczy rzucała się zaschnięta rana w kolorze ciemnobrunatnym, kontrastującym z jasną skórą szyi.

– Nawet bez sekcji można z łatwością wywnioskować, że dziewczyna zginęła przez poderżnięcie gardła – zabrzmiał niski głos prokuratora Gaury.

– Zastanawia mnie inna rzecz. Skąd nagle wzięło się tylu gapiów?

– Bondys rozejrzał się po osobach tłoczących się dookoła. – To chyba dość odludne miejsce, a oni wyglądają, jakby z co najmniej dziesięciu pogrzebów się zebrali.

– Akurat odbywał się pogrzeb córki Kisiewicza, która zginęła w wypadku samochodowym w zeszłym tygodniu. Straszna tragedia –

powiedział smutno Grizli.

– Słyszałem o tym wypadku. – Marek odwrócił się w stronę stojącego obok Radosława. – Trzeba będzie tych wszystkich gapiów przesłuchać i spisać zeznania.

– Wszystkich? – spytał z przerażeniem aspirant, rozglądając się wymownie po tłumie.

– Chodź, zabierzmy się od razu do pracy – zaproponowała Beata, ciągnąc kolegę ze sobą.

Gaura wskazał ręką na zdeptaną ziemię dookoła, która wyglądała jak po trzecim dniu festiwalu rockowego.

– Pewnie ślady, jeśli jakieś w ogóle były, zostały dawno rozdeptane i zatarte przy takiej rzeszy ludzi.

– Na pewno buty całej śmietanki politycznej Bydgoszczy nie pomogły, ale nie sądzę, że sprawca zostawiłby jakiekolwiek ślady. On doskonale wie, co robi. – Marek rozglądał się dookoła. – Jak to możliwe, że nikt nie zauważył ciała dziewczyny wcześniej? Mało prawdopodobne, żeby sprawca podrzucił zwłoki w takim tłumie i pozostał niezauważony.

– Dziewczynę idealnie schowano za grobami, a wcześniej jeszcze zasłaniał ją baldachim zakładu pogrzebowego. – Naczelnik wskazał ręką miejsce, gdzie uprzednio znajdował się czarny materiał. – Zresztą to pierwszy pogrzeb dzisiaj.

– Pozostaje też pytanie, co zamordowany nauczyciel WF-u miał wspólnego z tą dziewczyną. O ile coś w ogóle. – Bondys podszedł do technika. – Na kiedy szacujesz czas zgonu?

– Wczoraj wieczorem.

– To przynajmniej możemy wykluczyć ojca Julii, siedzi w areszcie od tygodnia – zwrócił się do prokuratora Marek.

W tym momencie rozległa się melodia *Anielskiego orszaku*. Zdecydowano się najwyraźniej kontynuować pogrzeb córki Kisiewicza. No cóż, morderstwo morderstwem, ale coś trzeba zrobić z martwą dziewczyną w trumnie. Ta druga martwa dziewczyna – oparta o grób – poczeka. Po kolei, tamten trup był pierwszy. Dół wykopany, goście zebrani, ksiądz opłacony, karawan już odjechał, pewnie stypa opłacona na kilkaset osób, więc trzeba dokończyć ceremonię. W tle usłyszeli jeszcze komentarze dwóch starszych pań.

– Dobrze, że wreszcie zdecydowali się kontynuować ceremonię, bo ja później do fryzjera umówiona jestem.

– Właśnie, Wandziu. Nieszczęście nieszczęściem, wiadomo, ale każdy ma swoje plany, ja też całego dnia na pogrzeb bratanicy nie mam.

Niedziela, 3 XI 1996 r.

37

Komisarz Bondys wstawał codziennie o szóstej rano. Zawsze miał nastawiony budzik, dzisiaj jednak kwadrans przed alarmem obudziły go szufle uderzające w twardą powierzchnię chodników. Niedziela, trzeciego listopada, okazała się bowiem pierwszym dniem, w którym spadł śnieg. Marek próbował osłonić uszy poduszką, ale szufle tłukły głośniejszym niż kilofy w kopalni. Gorszym dźwiękiem od uderzenia w chodnik było tylko szuranie po nim, które następowało chwilę później.

Szybki prysznic, dwa papierosy i kawę później policjant zabrał Kodeksa na spacer. Kiedy wychodził z klatki, zobaczył kilka centymetrów świeżego puchu. Odsnieżane chodniki wyglądały jak niskie korytarze wydrążane przez korniki w białym drewnie, a ludzkie śniegozjadacze pracowały, w pocie czoła zbierając kolejne hałdy śniegu. Dobrze, że Kisiewiczowie chowali córkę wczoraj, bo dzisiaj fatalnie kopałoby się grób w przysypanej śniegiem ziemi. Śnieg oznaczał jeszcze jedno: że nieuchronnie, dużymi czerwonymi butami Gwiazdora zbliżało się Boże Narodzenie. Wspaniały, rodzinny czas, tuzin wyśmienitych potraw na przystrojonym stole, blask choinki, cudowne prezenty pod nią, zapach sianka pod obrusem, a to wszystko przy akompaniamencie najpiękniejszych polskich kołęd.

Tylko Boże Narodzenie miało jedną zasadniczą wadę, o której większość pochłoniętych gorączką świąteczną zapomniała – osoby samotne, nieszczęśliwe lub w żałobie w okresie świątecznym czuły się jeszcze samotniejsze, jeszcze bardziej nieszczęśliwe i jeszcze bardziej przeżywały swoje problemy niż w pozostałe dni. Kontrast bożonarodzeniowego szau przygotowań oraz rozlewającego się szczęścia innych przytłaczał i dusił jak torba foliowa zaciśnięta na głowie wigilijnego karpia. Kipiąca z telewizji, radia, gazet i witryn sklepowych świąteczna nachalność nie pozostawiała chwili wytchnienia. Przed Bożym Narodzeniem nie dawało się uciec czy schować, dlatego Bondys zwykle brał służbę w Wigilię, a odkąd miał Kodeksa, chodził z nim w nocy na długi spacer zamiast na pasterkę. Zresztą dwudziestego czwartego grudnia bardziej niż urodziny Syna Bożego komisarz obchodził kolejną rocznicę śmierci ojca.

Wrócił zmarznięty ze spaceru z psem, ubrał się ciepłej i pojechał do pracy, a punktualnie o ósmej siedział już za biurkiem na komendzie. O dziewiątej mieli odprawę z naczelnikiem. Kiedy wszedł do gabinetu za pięć dziewiąta, okazało się, że jest pierwszy. Dopiero po chwili zjawił się przełożony. Zygmunt Rybacki wszedł jak zawsze żwawym krokiem, a za nim dwoje młodych policjantów.

– Mamy zatem już dwie ofiary. – Marek otworzył swój notes. – Regularne rany cięte na całym ciele, napis „Homo” wryty ostrzem na klatce piersiowej, rozebranie do bielizny i śmierć przez poderżnięcie gardła. Dokładniejsze informacje znajdziecie w raporcie z Zakładu Medycyny Sądowej.

Przesunął teczkę z dokumentem po stole w stronę Beaty.

– Czy ofiary coś łączyło? – zapytał Radosław, spoglądając na naczelnika, jakby oczekiwał docenienia.

- Na razie nie ustaliliśmy żadnego powiązania między ofiarami. Marzena uczęszczała do prywatnego liceum, a Paweł Skok uczył w piątym liceum ogólnokształcącym. Nie ma żadnych przesłanek, że mogli się znać.

- Jaki macie plan? - odezwał się Rybacki.

- Trzeba przesłuchać wszystkich uczestników pogrzebu córki Kisiewicza, podczas którego znaleziono zwłoki Marzeny Pogorzelskiej i niech to robią dalej Beata i Radosław. - Bondys podał im kolejną teczkę ze spisem żałobników. - A ja porozmawiam z rodziną Marzeny. Naszym priorytetem jest odnalezienie powiązania między ofiarami. Musimy zdążyć przed kolejną.

- Nie kracz! - krzyknął Rybacki.

- Nie kraczę - odpowiedział spokojnie komisarz. - Druga ofiara sama na to wskazuje. To seryjniak, który rozsmakował się w zabijaniu.

- A co z motywem? - Beata spisywała wszystko skwapliwie w zeszycie, czym zaplusowała już u Marka. - Może to zemsta?

- Może. Na razie nie możemy wykluczyć również tego motywu.

- Słowo ode mnie: sąd na wniosek prokuratora Gaury zdecydował o zwolnieniu Arkadiusza Gniewki z aresztu - uzupełnił naczelnik.

- No nareszcie! - Marek nie krył zadowolenia.

- Dobra, bierzcie się do roboty - powiedział przełożony, a wszyscy wstali, żeby udać się do wyjścia. - Otrzymacie wsparcie naszego psychologa, Aleksa Kownackiego.

- Świetnie, Aleks to fachura - dopowiedział komisarz.

- No tak, przecież wy się znacie, zapomniałem zupełnie. - Uśmiechnął się Rybacki.

Beata i Radek zdążyli już wyjść, komisarz cofnął się do biurka po papierosy i również odwrócił w stronę drzwi. Naczelnik jednak przytrzymał Bondysa za ramię i zbliżył twarz do niego. Stanowczo za blisko.

– Złap mi tego pojeba jak najszybciej, Maras, zanim wybuchnie panika w całym mieście. Pismaki już zwietrzyły sensację i urządzają nam medialne piekielko, zaraz odbędzie się kolejna konferencja prasowa.

– Zrobię, co będę mógł. – Podszedł do drzwi. – Jednak przygotuj się, że jeśli go nie złapiemy, to będą kolejne ofiary. On nie odpuści.

Zygmunt spojrział na podwładnego, ale nie odpowiedział. Komisarz miał świadomość, że Rybacki prowadził zbyt wiele spraw, aby tego nie rozumieć.





Śnieg przestał padać, pozostawiając warstwę puchu na trawnikach, a szarawej, śliskiej mazi na chodnikach i ulicach. Marek postanowił skorzystać od razu z tego, że przydzielono Aleksa do śledztwa; cenił sobie fachowość i profesjonalizm przyjaciela. Teraz więc we dwóch jechali na osiedle domków jednorodzinnych, do matki Marzeny Pogorzelskiej.

Kobieta mieszkała na Glinkach wraz z córką i nowym mężem. Dwupiętrowa willa z ogrodem, dwoma garażami i zdobioną bramą musiała kłuć sąsiadów w oczy. Na domu wisiała złota tabliczka z tytułami pana domu – kolejny doskonały powód do zawiści: „Lek. med. ortopeda Sławomir Szadz dr n. med.”

Kiedy Aleks nacisnął dzwonek, do furtki błyskawicznie podbiegł ogromny doberman, warcząc i szczerząc kły. Marek widział kątem oka, jak przyjaciel automatycznie cofa się o krok na widok przedstawiciela groźnej rasy. Nic nie powiedział, nie chciał dokuczać Aleksowi – sam miał swoje natręctwa i lęki.

Po dłuższej chwili z domu wyszedł wysoki, postawny mężczyzna. Mógł dobiegać pięćdziesiątki, ale nadal można było określić go

mianem przystojnego. Szpakowata, gęsta fryzura, mocne rysy, okulary, szczupła, ale umięśniona sylwetka, szerokie ramiona.

– W czym mogę pomóc? – odezwał się ciepłym, niskim głosem, w którym jednak można było wyczuć zdecydowany ton.

– Komisarz Marek Bondys, psycholog policyjny Aleks Kownacki, Wydział Kryminalny. Chcielibyśmy porozmawiać z panią Katarzyną Pogorzelską-Szadź.

– Dzień dobry, proszę.

Otworzył szeroko drzwi, jednak goście się zawahali. Patrzyli na dobermana, który zdawał się bynajmniej nie podzielać zaproszenia swojego pana.

– Mógłby pan zabrać psa? – zapytał Aleks.

– A, tak, oczywiście. Przepraszam, jest zupełnie niegroźna. Aspirynka, waruj.

Weszli do środka. Jak się okazało, przepych zewnątrz willi dorównywał bogatemu wystrojowi wewnątrz. Złoczone klamki i balustrady, w salonie skórzana kanapa i fotele, a na ścianie replika Słoneczników van Gogha w starozłotej ramie.

– Kasieńko, panowie z policji do ciebie.

Kobieta zerwała się z kanapy.

– Czy wiecie, co z moją Marzenką? Znaleźliście ją?

Miała figurę nastolatki, a na sobie elegancki szary kostium i bordowe szpilki. Bondys zastanowił się, kto chodzi w takim stroju po domu – chyba tylko aktorzy seriali obyczajowych.

– Niestety tak – odparł ciepłym tonem Kownacki.

– I co? Co z nią?

– Przykro nam. Pani córka nie żyje – dokończył psycholog.

– Co?! To nieprawda, to niemożliwe! Mylicie się! – wykrzyczała kobieta.

Sławomir podszedł do żony i mocno ją objął.

– Jesteście pewni? – spytał lekarz.

– Dla pewności poprosimy panią o identyfikację, ale wszystko na to wskazuje, że Marzena została zamordowana. – Marek wziął głęboki oddech. – Jej ciało zostało znalezione wczoraj na cmentarzu na Ludwikowie.

– Na cmentarzu?! Zamordowana?! – Katarzynie zaświeciły się w oczach łzy. – Wiedziałam, że musiało jej się coś stać! Już przy zgłoszeniu jej zaginięcia to mówiłam!

– Kiedy widziała pani córkę po raz ostatni?

Bondys wyjął notes, chociaż znał już szczegóły zgłoszenia z komendy, a teraz jedynie chciał je potwierdzić. Od razu po zapoznaniu się z personaliami na kartce pozostawionej na ciele sprawdzili Marzenę w rejestrze zaginięć.

– Ponad trzy tygodnie temu. – Matka ofiary łkała. – Marzenka nie wróciła z kółka teatralnego do domu, od razu zgłosiliśmy to z mężem.

– A co z ojcem Marzeny? – spytał Aleks.

– Sławek to jedyny ojciec Marzenki. – Kobieta wtuliła się jeszcze mocniej w męża.

– Droga pani, ale co z biologicznym ojcem Marzeny? – spytał Bondys.

Nie chciał wyjść na bezdusznego, jednak musiał zapytać o wszystkie szczegóły – mogło od tego zależeć ludzkie życie. Na szczęście ojczym dziewczyny zdawał się rozumieć sytuację, bo już po chwili odpowiedział:

- Były mąż zostawił Kasieńkę, kiedy Marzenka miała kilka lat. Wyjechał do Niemiec i słuch po nim zaginął. Dobrze, że papiery rozwodowe zdążył podpisać. Powrócił dwa miesiące temu. - Szadź podszedł do barku ze złotym kluczykiem i wyjął karafkę z whisky. Nalał sobie i żonie. - Panowie na służbie, więc nie proponuję, ale może zrobię panom coś innego do picia?

- Nie, dziękujemy - powiedział Marek i pomyślał, że ta whisky kosztowała zapewne z połowę jego pensji. Pewnie pan doktor dostał od jakiegoś pacjenta. Bondys miał kiedyś znajomego neurologa, który mówił, że używa whisky jako płynu do spryskiwaczy, bo dostaje alkohol od wdzięcznych pacjentów w takiej ilości, że nie wie, co z nim robić. - Kontaktował się z pani córką?

- Tak, znalazł się troskliwy tatuś po latach. - Katarzyna przechyliła szklankę i wypila połowę zawartości bez najdrobniejszego grymasu na twarzy. - Marzenka bardzo chciała go poznać, bo prawie nie pamiętała ojca. Odradzałam jej, ale się uparła, że to więzy krwi, geny i tak dalej. Raz się z nim spotkała. Wróciła wtedy cała zapłakana.

- Co się stało?

Bondys zauważył, że doktorowa z dużą wprawą przechyliła szklankę z trunkiem. Chyba oprócz rozpacy kierowało nią również doświadczenie w picciu mocnego alkoholu.

- Ten bydlak miał czelność prosić Marzenkę o pieniądze! Łajdak skończony bez honoru!

Komisarz zapisywał wszystko. Zaskakujące, jak szybko rodzinne sekrety wypełzały z szafy i rozbiegały się niczym stado karaluchów.

- A czy Marzena spotykała się z kimś? Może miała chłopaka? - zapytał Aleks spokojnym głosem.

Marek obserwował matkę zmarłej, gdy ta ponownie żwawo przechyliła szklankę i wskazała mężowi puste naczynie, aby je uzupełnił.

– Miała, takiego Sebastiana, ale chyba się rozstali, bo nie przychodził jakoś ostatnio.

– Wie pan, jak ten Sebastian ma na nazwisko albo gdzie mieszka?

Lekarz pokręcił przecząco głową. No cóż, zwykle rodzice nie wiedzą zbyt wiele na temat sercowych perypetii swoich dzieci.

Bondys zapisał informację o chłopaku i zamknął notatnik.

– Mogę zobaczyć pokój Marzeny?

– Tak, proszę, zaprowadzę pana – zaproponował ojczym zmarłej.

Bondys poszedł za nim. Kownacki za to został z pijącą drugą szklankę whisky Katarzyną. Doktor zaprowadził komisarza na piętro, do pokoju nastolatki, którego metraż przekraczał rozmiar przeciętnej kawalerki.

Zaczął się rozglądać. Pokój typowej licealistki. Plakaty na ścianach, kolorowa narzuta na łóżku, puchate poduchy i duży pluszowy miś z kiczowatym serduszkim i napisem „I love you”. Trochę książek, biurko, boombox i kasety obok. Marek obejrzał zdjęcia w ramkach, przedstawiające Marzenę z rodzicami, koleżankami, Aspirynką, oraz klasowe fotografie. Na jednym zdjęciu denatka pozowała z chłopakiem, na jego twarzy dorysowano jednak przekreślone serce. Zajrzał pod poduszkę, gdzie znalazł złożone na cztery zdjęcie zmarłej z rówieśniczką. Dziewczyny obejmowały się i szczyrzyły zęby do zdjęcia, a w tle słońce odbijało się w tafli jeziora. Szczęście i młodzieńcza beztroska aż kipiały ze zdjęcia.

Pokazał je lekarzowi.

– Kto to jest?

- Natałka, najlepsza przyjaciółka Marzenki. Poznały się jeszcze w podstawówce i od tego czasu były nierozłączne. - Ojczym uśmiechnął się, patrząc na fotografię. - Zresztą chyba to o nią Marzenka pokłóciła się z Sebastianem.

- Co ma pan na myśli?

Sławomir Szadź zmieszał się na to pytanie, jakby pożałował swojej wylewności, jednak odpowiedział.

- To nieładnie podsłuchiwać, ale kiedyś drzwi do pokoju Marzenki były uchylone i usłyszałem, jak kłóciła się z Sebastianem o Natalię. Chłopak zarzucał jej, że spędza więcej czasu z koleżanką niż z nim.

Komisarz uznał, że nie będzie silił się na dyplomację. Jeśli doktor okaże się nietolerancyjny i o zaściankowych poglądach, to dobór słów i tak nie pomoże.

- A czy myśli pan, że znajomość z Natalią to mogło być coś więcej niż przyjaźń?

- Szczerze mówiąc, czasem się nad tym zastanawiałem. Jednak pewności nie miałem, w końcu spotykała się z Sebastianem. Bardziej obstawiałbym skłonności biseksualne u Marzenki. - Lekarz ściszył głos. - Tylko Kasi nic nie mówiłem. Mnie by to nie przeszkadzało w niczym, ale żona, jak by to powiedzieć, na pewno wolałaby tradycyjną ścieżkę rozwoju rodzinnego dla córki.

- Rozumiem. - To był najładniejszy opis nietolerancji, jaki Bondys w życiu słyszał. - Wie pan, jak się nazywa albo gdzie mieszka ta Natalia?

- Nie pamiętam nazwiska. Nie znam też adresu. Chyba wyprowadziła się jakiś czas temu z rodzicami za miasto.

- Czy mogę pożyczyć to zdjęcie?

- Tak, proszę.

Kiedy zeszli na dół, kobieta drzemała na kanapie. Na stoliku, obok pustej szklanki, stała niemal opróżniona karafka. Lekarz podszedł do żony i opiekuńczo przykrył ją kocem, a następnie usiadł obok i pogłaskał ją po głowie.

Psycholog czekał przy drzwiach. Pożegnali się z gospodarzem skinieniem głowy i wyszli. Aspirynka leżała grzecznie przy budzie, jednak spojrzała na mężczyznę znacząco, jakby chciała podkreślić, że ciągle czuwa.

- Udało ci się czegoś jeszcze dowiedzieć, zanim pani doktorowa się upiła? - zapytał Bondys, gdy wsiedli do auta, po czym przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył.

Aleks pokazał przyjacielowi karteczkę z adresem.

- Mam tymczasowy adres biologicznego ojca Marzeny, Ryszarda Pogorzelskiego.

- To wyrzucę cię przy komendzie, a ja pojedę pogadać z tym ojczulkiem - stwierdził komisarz. - A swoją drogą, czy mi się zdawało, czy pani doktorowa przechyła szklankę z whisky jak profesjonalistka?

- Trudno powiedzieć, właśnie się dowiedziała o śmierci własnego dziecka. Ludzie różnie reagują na taką wiadomość. - Kownacki jęknął, bo właśnie wjechali w potężną dziurę w nieutwardzonej drodze, której pod śniegiem nie można było dojrzeć. - Ale faktycznie wyglądała na dość oswojoną z alkoholem. Może przez to też mniej wiedziała na temat życia swojej córki.

- Może. - Marek skupiał się na prowadzeniu auta i starał się lawirować między kolejnymi dziurami. - Za to pan Sławomir

wiedział zaskakująco dużo na temat swojej pasierbicy. Podejrzewał u niej orientację biseksualną.

– No proszę. Czasami zdarza się, że macocha albo ojczym mają lepszy kontakt z przysposobionym dzieckiem niż biologiczny rodzic. Umysł ludzki jest nieodgadniony.

– Zabawne, już słyszałem takie sformułowanie. – Zastanowił się przez chwilę. – Z ust pewnej psychiatry.

– No cóż, zawsze miałeś słabość do terapeutek!

– Bardzo śmieszne. Akurat z doktor Rechlicką łączą mnie stosunki wyłącznie zawodowe. To lekarka świadka, a właściwie podejrzanej w sprawie pierwszego zabójstwa.

Aleks roześmiał się w głos, rozbawiając również Marka.

– Od czegoś trzeba zacząć!

Jechali ulicą Cmentarną, przecinając po drodze ulicę Bagienną, Podmokłą i Krecią. Bondys pomyślał, że autor tych nazw musiał mieć wyjątkowo pogodne i radosne usposobienie. Określenia doskonale pasowały do wyboistych i nierównych dróg, których nawierzchnia bardziej przypominała powierzchnię księżyca niż ulicę.





Bondys zaparkował niedaleko ogródków działkowych w Łęgnowie. Wydzielone, przemysłowe osiedle za Zachemem nie cieszyło się dobrą sławą i raczej nikt nie zapuszczał się w te rejony, jeśli nie musiał. Próbował znaleźć numer działki, na której miał przebywać Ryszard Pogorzelski, jednak większość z nich pozostawała nie tylko bez numeru, lecz także bez ogrodzenia, a czasem z dyktami zamiast okien i drzwi. Na wielu działkach groźnie czekały uwiązane na łańcuchach psy, przy których Aspirynka państwa Szadź wydawała się sympatycznym kanapowcem. Właśnie mijał posesję, która wyglądała jak dzikie wysypisko śmieci. Leżały tam części samochodowe, stary odkurzacz, pralka Frania, butelki, puszki i sterta innych odpadów. Do tego z działki dochodził odór jak ze śmietnika, którego nie opróżniano przez kilka tygodni.

W końcu za kolejnymi trzema domkami, na zardzewiałej bramce dostrzegł właściwy numer. Budynek wyglądał jak rudera, która rozpadłaby się po pierwszym dmuchnięciu przez wilka z bajki o trzech świnkach. Brama okazała się otwarta.

Zapukał do drzwi. Nic. Drugi raz. Cisza. I kolejny. Nic.

Pomyślał, że może mężczyzny nie ma w domu. Rozejrzał się jednak po podwórku i dostrzegł, że z komina wydobywa się strużka dymu, a za domem stoi stary składak oparty o boczną ścianę budynku. Rower nie był oprószony śniegiem, ktoś nim zatem dzisiaj jechał. Komisarz przypuszczał, że rower to pewnie jedyny środek lokomocji Pogorzelskiego, więc gospodarz powinien być w domu.

W końcu drzwi się uchyliły i ukazał się w nich mężczyzna, wyglądający na jakieś sześćdziesiąt lat – aż trudno było uwierzyć, że ma niewiele ponad czterdzieści. Kilkudniowy zarost, gruby, rozciągnięty sweter z golfem, ciemne spodnie dresowe i zużyte rękawiczki z obciętymi palcami, nawet z daleka ukazujące czarną żałobę za paznokciami, zbliżały mężczyznę wyglądem do kłozarda. Zniszczone adidas, stanowczo za lekkie jak na obecną porę roku, dopełniały całości.

– Ryszard Pogorzelski? Policja, chciałbym porozmawiać o pana córce.

Machnął odznaką przed twarzą gospodarza i wszedł do środka.

– O Marzence? A co z mo-ją Ma-rzenką? – Czknął głośno Pogorzelski. – Jak coś narozrabiała, to musicie rozmawiać z jej matką, to ona nie umie wy-, wy-chować dziecka. Albo z tym jej doktorkiem od stu boleści. Na jego pieniądze poleciała, kurwa zwykła! Nigdy się nie szanowała! Dziw-ka!

– Pana córka nie żyje – wystrzelił Marek, mając od razu dość pijackiego, bełkotliwego wywodu ojca Marzeny. – Została zamordowana. Kiedy pan po raz ostatni widział się z córką?

– Co? Mo-ja Marzenka nie ży-je?! – Mężczyzna opadł na krzesło i zaczął płakać, zawodzić jak dziecko. – Mo-ła có-e-czka, mo-ła ma-ła có-e-czka!

– Panie Pogorzelski, pytam, kiedy ostatni raz widział pan Marzenę. – Bondys nachylił się nad mężczyzną i jego nozdrza zostały zaatakowane przez ostry fetor alkoholu, potu i brudu. Albo inaczej: poczuł zapach swojego własnego ojca.

– Co?

Starał się skupić wzrok Pogorzelskiego na sobie.

– Kiedy widział pan Marzenę?

– Bo ja wiem. Jakiś mie-siąc temu. Dzwoniłem do niej, a potem poszedłem do Ma-rzenki do szkoły, chciałem tylko pogadać i żeby pomogła swojemu sta-re-mu oj-cu, w końcu ten doktorek to śpi na pieniądzach.

Pociągnął mocno nosem. Bondys nie chciał mu przerywać, żeby go nie spłoszyć.

– Ale powiedziała, że nie może, że nie ma pieniędzy. Kła-ma-ła! Łgała jak matka! Moja córeczka, moje dziec-ko!

Bondys stwierdził, że nic tu po nim. Dopóki mężczyzna nie wytrzeźwieje, niczego więcej się nie dowie. Wyszedł z zamiarem ściągnięcia patrolu na teren działek.

Dotarł do bramki, osłaniając się przed silnym wiatrem, który zerwał się nagle nie wiadomo skąd, gdy Ryszard Pogorzelski niemal wybiegł z domu i zaczął krzyczeć. Żywo przy tym gestykulował, a nieliczne, przetłuszczone włosy zaczęły tańczyć pod wpływem wiatru na wszystkie strony. Policjant cofnął się w jego stronę.

– Ja wiem, kto ją zabił! Ja wiem! To na pewno ten je-ba...

W tym momencie Ryszard Pogorzelski potknął się o własne nogi i upadł jak długi.

Bondys pomógł mu wstać i zobaczył kilka czerwonych kropek na ziemi. Mężczyzna rozciął sobie czoło o rozbitą butelkę po piwie.

– Skaleczył się pan, lekarz powinien to obejrzeć – powiedział i podał mu chusteczkę higieniczną. – Proszę sobie przyłożyć i uciskać.

– Co? A, tak. – Pogorzelski dopiero teraz zauważył skaleczenie. – To nic, głupota, po żadnych ko-no-wa-łach nie będę chodził! No właśnie. Bo to ten gad na pewno zabił mo-łą có-łe-czkę.

– Jaki znowu gad?

– No ten gad, co mi ro-chinę roz-bił!

– Sławomir Szadz? O nim pan mówi?

– Właśnie, Sia-dź, Sia-dź ją zabił! Bo ta kurwa w ciąży, to spokoju chciał.

– Kto jest w ciąży? – Bondys chwycił mężczyznę za ramiona, starając się mówić wyraźnie i głośno. – Panie Pogorzelski, pana była żona jest w ciąży?

– Yhy. Ma-rzenka mi mówiła.

Mężczyzna kiwał dynamicznie głową, aż mu trzymana chusteczka spadła z czoła. Podniósł ją z ziemi i znów przyłożył, akurat tą brudną stroną prosto na ranę. Komisarz aż się skrzywił. Wyobraził sobie, jak laseczki tęcza właśnie wbiegają ochoczo przez otwartą ranę do krwiobiegu Ryszarda.

– Dziękuję. I proszę jednak pomyśleć nad zgłoszeniem się do lekarza. Zszyją ranę i dostanie pan zastrzyk przeciwțęcowy.

Wyszedł z terenu działki.

Zapalił.

W drodze do samochodu minął grupę dzieciaków z umorusanymi twarzami, które grały w piłkę. Za bramki służyły im puste butelki po piwie. Spojrzał jeszcze w stronę działek, zobaczył kruczoczarny, gęsty dym dochodzący z jednego z budynków.

Komisarz zaciągnął się po raz ostatni, rzucił niedopałek pod nogi i przydeptał dokładnie.

Kolejne robaki wypełzały spod tynku.



Chociaż Bondys wrócił już z pracy, nadal miał umysł zaprzątnięty śledztwem. Wolałby się pomylić, ale jego najgorsze obawy już się sprawdziły – zabójca powrócił. Inna płeć i wiek ofiar nie miały znaczenia. Seryjni mordercy są jak artyści – koneser pozna od razu, że dwa obrazy malował ten sam malarz czy dwie rzeźby wykonał ten sam rzeźbiarz. Nie da się pomylić *Słoneczników* van Gogha z *Guernicą* Picassa czy *Trwałością pamięci* Salvadora Dalego. Nikt nie byłby w stanie aż tak dobrze upozorować morderstwa Marzeny Pogorzelskiej na wzór pierwszej ofiary. Ten zabójca to charakterystyczny artysta, ale też wyjątkowo bezwzględny. Jeżeli ktoś w tak okrutny, sadystyczny sposób morduje młodą dziewczynę, a następnie układa jej ciało niczym lalkę w chorej inscenizacji, to nie ma żadnych skrupułów. Przy drugiej ofierze widać było też wyraźnie, że zabójca dopiero się rozkręca. Jest żądny składania ofiar niczym Bóg w Starym Testamencie. Tylko dlaczego zabija? Jaki ma motyw? Czy jest psychopatycznym sadystą? Z pewnością tak, ale raczej nie zabija dla zabawy. Ma jakiś powód, cholernie ważny powód. Czy morduje z nienawiści? Z miłości? Z zemsty? Z pogardy? A może buntuje się przeciwko czemuś?

Napis „Homo” wyryty na klatce piersiowej sugeruje, że zabójca zostawia piętno, przedstawia swój motyw. Z drugiej strony nie znaleziono jak dotąd żadnych dowodów na homoseksualizm Pawła Skoka. Istnieją przesłanki, że druga ofiara mogła być biseksualna. A może w ogóle błędzili, a napis dotyczył czegoś innego?

W niedzielny wieczór komisarz postanowił wyciszyć umysł i posłuchać trzeciego albumu Anthrax. Włączył muzykę i przypatrywał się okładce. Tłum identycznych ludzi, patrzących w ziemię i wśród nich jeden starszy mężczyzna, rozświetlony poświata, uśmiechający się i unoszący kapelusz. Pomyślał, że tak właśnie wygląda ich zabójca. Uśmiecha się i macha do niego, a jednocześnie zachowuje anonimowość i nieuchwytność wśród reszty społeczeństwa.

Rozsiadł się w fotelu, zamknął oczy i głaszcząc Kodeksa, wczuł się w muzykę. Pierwszy utwór, a jednocześnie również tytuł całego albumu, *Among the Living* należał do jego ulubionych w całej twórczości Anthrax.

Relaks przerwał natrętny dźwięk telefonu. Po czterech dzwonekch Marek dotarł do przedpokoju i podniósł czarną słuchawkę.

– Halo?

Agnieszka miała pobudzony, zdenerwowany głos.

– Cześć. Mamie się pogorszyło, przyjeźdź natychmiast do szpitala!

– Nie mogę teraz, prowadzę ważne śledztwo. – Oparł się łokciem o szafkę w przedpokoju, wiedząc, że rozmowa szybko się nie zakończy. – A co się stało?

– Chyba te twoje trupy mogą poczekać, prawda?! – Siostra zaczęła łkać. – Nasza matka umiera!

- Proszę cię, nie dramatyzuj, Aga. - Westchnął ciężko. - Już trzeci raz w tym roku panikujesz, że matka umiera.

Wiedział, że zirytuje ją tym stwierdzeniem, ale nie miał już siły na wysłuchiwanie kolejnych lamentów starszej siostry.

- Jesteś bez serca! Jak możesz tak mówić?! - W słuchawce na chwilę zapadła cisza, przerywana tylko głośnym szlochem kobiety. - Jesteś taki sam jak on, pewnie jeszcze odwiedzasz jego grób, co?! Już nie pamiętasz, jak podczas awantury z ojcem mama upadła?!

- Pamiętam doskonale. Matka przewróciła się i uderzyła głową, biegnąc w stronę ojca z zamiarem spoliczkowania go.

- Nic dziwnego, miała dosyć męża pijaka! To jego wina! - Agnieszka coraz bardziej podnosiła głos. Krzyk przechodził powoli w histeryczny wrzask. - Chłał jak świnia! Jak jakiś żul! Pijak i degenerat!

- Wiesz, matka mogła go nie zdradzać z sąsiadem. Może wtedy ojciec by nie zaczął chlać! - Nie wytrzymał i też krzyknął.

Cisza. Słysząc było tylko szloch Agnieszki i przyspieszone oddechy obojga. Pożałował swojej gwałtownej reakcji, niestety już od dłuższego czasu nie potrafił rozmawiać z siostrą. W sumie nigdy nie byli blisko.

- Dzięki za informację, Aga, jak będę mógł, to przyjadę. Na razie.

Odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź po drugiej stronie. Dalsza kłótnia z siostrą nic by nie zmieniła ani w niczym nie pomogła.

Wrócił do pokoju i stanął przy oknie. Mimo że tego nie chciał, to wspomnienia i tak wróciły.

Jesień. Wiatr wyjący za oknem, wywołujący niepokój i ostrzegający przed nieszczęściem. Opary wody i dym nikotynowy,



tworzący duszącą mgłę w pokoju. Ojciec wrzeszczący na matkę za to, że go zdradziła. Furia. Ojciec rzucający przedmiotami na lewo i prawo. Zbita doniczka z paprotką i wylana herbata, tworząca na białym obrusie coraz większą plamę. Ojciec wymachujący rękoma i próbujący łapać kolejne przedmioty do rzucania. Matka próbująca go powstrzymać, biegnąca w jego stronę z otwartą dłonią skierowaną w twarz męża. A chwilę potem matka upadająca głową prosto na rant stołu. Krew. Wrzask siostry. Zrozpaczony ojciec podbiegający do żony. Ciało nieprzytomnej matki. Syrena karetki.

I w tym wszystkim on. Dziesięcioletni. Stojący na środku pokoju i patrzący na oboje rodziców. Bondys kochał i matkę, i ojca, chociaż oboje byli średnimi rodzicami. Wtedy jeszcze tego nie wiedział, ale to właśnie tego dnia jego życie zmieniło się diametralnie. Nic nigdy już nie miało być takie jak wcześniej.

Płyta się skończyła. Popatrzył jeszcze przez chwilę na Zachem. Chociaż nie mógł w ciemnościach i z takiej odległości prawie nic dostrzec, to oczami wyobraźni widział stalowe rusztowania, metalowe silosy, słyszał hałas maszyn i wyobrażał sobie kolorowe strugi ścieków spływające do Wisły.

Wrócił do pokoju. Zmienił płytę na pierwszy album Alice in Chains i rozbrzmiał kawałek *We Die Young*. Utwór trwał zaledwie dwie minuty i trzydzieści dwie sekundy, ale zawsze był mu bliski. On też umarł młodo. Od tamtego dnia, szesnastego listopada sześćdziesiątego czwartego roku, czuł się na swój sposób martwy. Jego dzieciństwo się skończyło. Matka trafiła na wiele miesięcy do szpitala. Doznała wstrząśnienia mózgu, zrobił się krwiał, miała pękniętą czaszkę. Na początku, jak już wybudziła się ze śpiączki, nie wiedziała nawet, gdzie jest i nie poznawała własnych dzieci, patrzyła

tylko w ścianę martwym wzrokiem. Później nastąpiła niewielka poprawa, jednak została na stałe osobą z niepełnosprawnością.

Tamtego dnia jego ojciec stracił pracę, żonę, dzieci – a przynajmniej córkę – godność i człowieczeństwo. A więc została mu już tylko woda i fajki, czasem syn. Ojciec zaczął pić jeszcze więcej, palić jeszcze więcej, a Marek stracił rodziców, dzieciństwo i wiarę w ludzi.

Poniedziałek, 4 XI 1996 r.

41

O godzinie siódmej rano listopadowa Bydgoszcz topiła się jeszcze całkowicie w mroku i mówiła swoim mieszkańcom: „Zostańcie w domach!”. Po wczorajszym śniegu nie było ani śladu, pozostała za to brudnoszara, roztopiająca się maź.

Bondys zmierzał właśnie do Zakładu Medycyny Sądowej. Czuł się dobrze w ciemnościach, jak kret w swoim podziemnym królestwie. Brak towarzystwa też mu nie doskwierał – sam ze sobą czuł się znakomicie, a na pewno naturalnie. Aleks dzwonił o szóstej rano do niego oraz na komendę, że pojechał do szpitala, bo jego córka miała atak wyrostka robaczkowego. Szesnastoletnia Hania była oczkiem w głowie tatusia, więc nic dziwnego, że Aleks chciał być teraz z rodziną.

Na ulicy nie było żywej duszy. Całe miasto ucichło wraz z wczorajszym zachodem słońca, a teraz zaczynało dopiero budzić się do życia. Gdzieś w tej ciszy i ciemnościach ukrywał się morderca. Marek czuł, że zabójca też jest zwierzęciem miejskim, sprawnie poruszającym się po zakamarkach Bydgoszczy.

Po wejściu do prosektorium musiał przez chwilę przyzwyczajać wzrok do ostrego, białego światła i wyjątkowo duszącego dzisiaj smrodu formaliny. Rudnicki właśnie jadł drożdżówkę, krusząc lukrem wprost na nogi jednego denata, nieprzykryte do końca

prześcieradłem. Kubek z kawą odstawiał obok stóp, a na kolanach nieboszczyka trzymał książkę z serii Harlequin.

– Wiem, że można przyzwyczać się do tego smrodu, widoku rozkładu i obcowania z ciałami, ale jedzenie na trupich nogach i czytanie przy tym romansidła to już czysta perwersja, nawet jak na ciebie – powiedział Bondys, uśmiechając się. Ściągnął płaszcz i usiadł na stołku przy zlewie.

– Nie mam innego stołu, drogi kolego. Zresztą panu Zenonowi to nie przeszkadza. Wyskoczył przez okno wieżowca na drugi dzień po śmierci żony i spadł tak nieszczęśliwie na ulicę, że właściwie nie ma głowy. Można więc powiedzieć, że na starość stracił głowę dla miłości!

Rudnicki odsłonił to, co zostało z czaszki samobójcy, a komisarz machnął ręką i pokazał, żeby zakrył ciało z powrotem.

– Chcesz kawy?

Marek wyjął papierosa i zapalił.

– Nie, dzięki. Jeść przy twoim stole biesiadnym też nie zamierzam.

– Ależ tu nie wolno palić, drogi kolego!

– Jeść i pić chyba też nie. – Zaciągnął się mocno, a lekarz podał mu szkiełko laboratoryjne służące za popielniczkę. – Lepiej opowiedz mi o sekcji Marzeny Pogorzelskiej. To ten sam sprawca, co w przypadku Pawła Skoka?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Chyba że mamy do czynienia z wybitnym naśladowcą. – Podeszedł do stołu sekcyjnego pod oknem, zabierając ze sobą zjedzoną do połowy drożdżówkę, i opowiadał dalej. – Napis wykonano tym samym narzędziem, podobnie niewielkie cięcia na ciele. Istne arcydzieło, wszystkie

równiusieńkie i precyzyjnie wykonane. Myślę, że zabójca nie spieszył się i wykonywał swoją pracę nad wyraz skrupulatnie. Ostatnia litera napisu nie jest widoczna przez zasinienie, prawdopodobnie ofiara uderzyła się o coś, na przykład rant szafki, krzesła, no albo ktoś ją uderzył. W każdym razie uraz był na tyle silny, że ofiara ma pęknięte dwa żebra.

– Może próbowała uciec, przewróciła się i upadła na coś – zastanawiał się głośno Bondys.

– Może. – Ugryzł spory kawałek drożdżówki, a okazały kleks bladożółtego budyniu znalazł się na fartuchu. – O cholera! No nic, wracając do panny Marzeny, to podobnie jak Paweł Skok zginęła przez poderżnięcie gardła ostrym narzędziem, prawdopodobnie nożem.

– Rany też są opuchnięte i zaczerwienione, posypywano je solą i polewano octem? – zapytał komisarz, przypatrując się ciału ofiary i starając się nie zwracać uwagi na to, jak kolega oblizuje palce z lukru i upycha klejący się woreczek po drożdżówce do kieszeni fartucha.

Niektórym zwyczajnie Rudnickiego mogły się wydawać naganne, ale Bondys patrzył na to z innej perspektywy. Z doświadczenia wiedział, że człowiek pracujący wiele lat w określonych warunkach, nawet najbardziej obrzydliwych, w końcu adaptuje się jak karaluch. Studenci medycyny na początku zajęć w prosektorium mają kłopot, żeby w ogóle wejść do takiego pomieszczenia czy spojrzeć na zwłoki, a pod koniec semestru już żują gumę, piją colę i jednocześnie ochoczo grzebią w mózgach.

– Tak. Zbadałem około dwudziestu ran w różnych miejscach i w każdej odnalazłem chlorek sodu oraz kwas octowy. I nawet policzyłem je dla ciebie! – Rudnicki nie krył dumy.

- Tyle samo, prawda? Sto dziewięćdziesiąt dziewięć? - upewnił się Marek, a lekarz pokiwał głową. Bondys strzepnął do szkiełka popiół. - Masz coś jeszcze? Coś, co odróżnia zwłoki Marzeny od pierwszej ofiary?

- Nie, właściwie zabójstwa wyglądają niemal identycznie. - Marcin przykrył ciało prześcieradłem. - Z ciekawostek to panna Marzena z całą pewnością była aktywna seksualnie.

- Jesteś w stanie stwierdzić to na sto procent? Pamiętasz ten przypadek dziewczyny, która miała niewykształconą błonę dziewiczą i mylnie uznano, że już przeszła inicjację seksualną?

- Pamiętam, tylko tutaj mamy do czynienia z sytuacją niepozostawiającą żadnych wątpliwości, a błona dziewicza nie ma z nią nic wspólnego.

- Możesz jaśniej?

Rudnicki spojrział w swoje zapiski na tabliczce przy stole i powiedział:

- To siódmy tydzień. Marzena Pogorzelska była w stanie błogosławionym.

- Kurwa.

Bondys przymknął na chwilę powieki. Widział podczas swojej kariery zawodowej wiele zamordowanych kobiet w ciąży i zawsze wtedy jeszcze trudniej oddzielało się emocje od pracy.

Milczeli przez chwilę, nie uśmiechając się ani nie żartując. W końcu komisarz podziękował koledze skinieniem głowy, zabrał raport i wyszedł ze szpitala.



Bondys wrócił na komendę, gdzie zastał Zygmunta i Beatę, po chwili dołączył do nich Radek. Aleks przebywał w szpitalu u córki – miała atak wyrostka robaczkowego w nocy i musiała przejść operację, która na szczęście przebiegła pomyślnie.

Beata zaparzyła kawę w dzbanku i przyniosła szarlotkę, jak się szybko okazało – urodzinową. Po usilnych prośbach kolegów zdradziła również, ile skończyła właśnie lat. Komisarz próbował sobie przypomnieć, w jaki sposób świętował swoje dwudzieste ósme urodziny, ale tamte wspomnienia zdawały mu się dzisiaj mglistą prehistorią. Jedno pamiętał za to doskonale – miał wtedy przy sobie najwspanialszą kobietę na świecie. Nie chciał o tym teraz myśleć. Dawno zamknął za sobą tamte drzwi, a właściwie Anita je za niego zatrzasknęła z hukiem i pozostawiła wyrwę w sercu.

Złożyli życzenia solenizantce, skorzystali z poczęstunku, a Radek pochwalił wypiek koleżanki jakieś sto piętnaście razy. Jabłecznik istotnie smakował nieźle, ale to kawa zaskoczyła Bondysa pozytywnie – gorąca, dość mocna, taka, jaką lubił najbardziej. Po krótkim urodzinowym wstępie przyszedł czas na omówienie śledztwa. Komisarz zwięźle opowiedział, czego dowiedzieli się z Aleksem u matki i ojczyma Marzeny, a później o swojej wizycie u jej

biologicznego ojca. Podzielił się też raportem z sekcji, przekazując go pozostałym do wglądu. W czasie gdy zespół zapoznawał się z wynikami, Bondys powiększył tabelę na tablicy o kolejną ofiarę, przedłużając wszystkie kolumny, przy nazwisku Marzeny Pogorzelskiej dopisał na czerwono numer dwa, przy Pawle Skoku zaś – jedynekę. Po uzupełnieniu danych zaczął szukać wzrokiem, co mają wspólnego obie ofiary. W „Śladach/dowodach” powtarzała się liczba pięć – sto dziewięćdziesiąt dziewięć, sól i ocet w ranach oraz podejrzenie gardła. *Modus operandi* sprawcy w przypadku drugiej ofiary różnił się od pierwszej miejscem i sposobem ułożenia ciała. Powieszenie za ręce na gałęzi versus ułożenie na grobie z przywiązaniem do krzyża.

– Marzena była w ciąży! – wykrzyknęła zdumiona Beata, gdy dotarła do właściwego miejsca raportu.

Bondys potwierdził skinieniem głowy.

– Pytanie, czy wiedzieli rodzice albo ktokolwiek inny. A swoją drogą ciekawe, dlaczego ani Katarzyna Pogorzelska, ani jej mąż nic nie wspomnieli wam o ciąży matki Marzeny, dopiero jej były małżonek o tym powiedział? – spytał ni stąd, ni zowąd Zygmunt.

Marek zapalił papierosa i otworzył okno.

– Jeśli to, co ten pijak bełkocze, w ogóle jest prawdą. – Bondys wypisywał nowe informacje na tablicy. – Poza tym, nawet jeśli doktorowa jest w ciąży, to właściwie co to zmienia w śledztwie? Oprócz tego, że szkodzi płodowi karafkami wypijanej whisky? Nawet jeśli ojczym nie przepadał za Marzeną, a oprócz insynuacji ojca dziewczyny nie mamy żadnych podstaw, żeby tak myśleć, to i tak mamy jeszcze morderstwo Pawła Skoka. Wygląda na to, że szukamy jednego sprawcy dla obydwu zabójstw.



- Chyba że ktoś upozorował zabójstwo drugiej ofiary na wzór pierwszej, żeby odwrócić naszą uwagę, a jego cel stanowiła właśnie Marzena? - zaproponowała Beata. - Niestety wiele szczegółów wyciekło do prasy, więc możemy mieć do czynienia z naśladowcą.

Komisarz zdążył polubić starszą sierżant, dobrze mu się z nią pracowało, a takimi uwagami zyskiwała stopniowo jego uznanie. Niestety zabójca pozostawiał ciała w miejscach publicznych, więc nie byli w stanie zapobiec dziennikarskiej ciekawości. Dodatkowo część gapiów z miejsc znalezienia ciał chętnie udzielała wywiadów do gazet.

- Taka opcja też istnieje, aczkolwiek ktoś musiałby zadać sobie sporo trudu, żeby zabójstwo nastolatki wyglądało aż tak podobnie - dodał Radek, którego Bondys w myślach zaczął nazywać „Wszystko na nie”.

- Tylko kto aż tak nienawidził Marzeny Pogorzelskiej, żeby ją zabić?

- Raczej możemy wykluczyć nosiciela tężca.

Pachniewicz spojrzała na Marka z grymasem niezrozumienia na twarzy.

- Przepraszam, kogo?

- Ryszarda Pogorzelskiego. W tym stanie nałogu mógłby zabić, rozbijając butelkę o głowę, a nie porwać, przetrzymywać, torturować ofiarę i wykonać chorą inscenizację z jej zwłok. - Komisarz wcześniej dopisał najbliższych denatki w kolumnie „Podejrzani” i teraz wykreślił nazwisko ojca na czerwono. - Za to sprawcą z pewnością mógłby się okazać ojciec dziecka Marzeny, jeśli oczywiście uda nam się go ustalić.

Rybacki westchnął.

- Czyli tak naprawdę wracamy do punktu wyjścia.

- Na to wygląda. I jedyne, co mamy, to wątek homoseksualizmu lub sugerowanego przez doktora biseksualizmu – dokończył Bondys.

- Mówiłeś, że ani matka, ani ojczym Marzeny nie wspominali o ciąży córki. Czy to możliwe, że nic nie wiedzieli? – dociekała policjantka.

- Rodzice zwykle dowiadują się o takich rzeczach jako ostatni. Zresztą pani doktorowa nie wylewa za kołnierz, więc może nie spędzała za dużo czasu z córką. – Bondys zgasił papierosa i zamknął okno, bo zimne powietrze zdążyło już mocno wychłodzić pomieszczenie. – Biseksualność sugerował tylko ojczym. Musimy pogadać z koleżankami i kolegami Marzeny z klasy. Może ktoś wiedział, czy miała chłopaka oprócz tego byłego, albo może dziewczynę... No i co łączyło naszą ofiarę z tą Natalią. Przecież napisy „Homo” nie mogą być przypadkowe. Dodatkowo od teraz priorytetem jest ustalenie ojca dziecka Marzeny. Wezwijmy uczniów i nauczycieli na przesłuchanie, ktoś musi coś wiedzieć, do cholery.

- Kurwa, kręcimy się w miejscu, Maras! Przesłuchanie pierdyliarda świadków z pogrzebu, uczniów i nauczycieli ze szkoły Skoka, a teraz z liceum Marzeny – narzekał Rybacki. – To zajmie wieczność, a nie ma żadnej gwarancji, że coś da!

Marek już chciał zripostować, że gwarancję to można dostać na telewizor, ale uprzedził go inny głos.

- Ja też tak myślę! – wyrwał się Miller, którego komisarz w głowie odruchowo przechrzcił z „Wszystko na nie” na „Dupowłaz”. – Jeszcze to szukanie byłych dziewczyn denata, przecież to strata czasu i...

Bondys przerwał Radkowi wygłaszanie tej nic niewnoszącej opinii i zmienił temat.

– O właśnie, dobrze, że mówisz. Macie już gotowy spis osób związanych z pierwszą ofiarą?

– Tak, tak – odpowiedziała za kolegę Pachniewicz i podała komisarzowi listę nazwisk. – Jednak nie znaleźliśmy nic ciekawego – przyznała szczerze i zaczerwieniła się, spuszczać wzrok, jakby zrobiła coś złego.

– Bo co niby mielibyśmy znaleźć – burknął naburmuszony Dupowłaz.

Komisarz odłożył zapisaną od góry do samego dołu kartkę A4 na swoje biurko i podszedł z powrotem do tablicy.

– A czy sprawdzono znalezione przy ciele Pawła Skoka ślady traseologiczne tych siedmiu osób? – zapytał znów niespodziewanie naczelnik, wskazując palcem odpowiedni zapis w tabeli.

– Nie pasują do żadnej z podejrzanych osób oprócz Haliny Malickiej i Agaty Lewińskiej. Dlatego wykreśliłem Adama Brauna z listy – wyjaśnił komisarz. – Jednak ślady tych dwóch kobiet to akurat nic dziwnego, skoro obie znalazły denata. Malicka zresztą ma alibi na czas zabójstwa.

– A Lewińska? Gadałeś już z tą stukniętą w głowę? – spytał Rybacki.

Marek pokręcił głową, ignorując kolejne po „wariatce” obraźliwe określenie użyte przez przełożonego, i po chwili dodał:

– Nie. Dzwoniłem wczoraj do szpitala i nadal nie jest w stanie rozmawiać.

– Trochę długo... – skwitował Radosław.

„Że też zawsze znajdzie się taka maruda w zespole”, pomyślał komisarz i zripostował:

– Wiesz, Lewińska nie choruje na grypę, tylko na schizofrenię.

W biurze na chwilę zapadła cisza. Jako pierwszy wstał Rybacki i rzucił:

– Dobra, do roboty! – Klasnął w dłonie motywująco, chociaż sam nie wyglądał na przekonanego do sposobu prowadzenia śledztwa.

Naczelnik zniknął za drzwiami. Beata wstała energicznie, a za nią poczłapał niezadowolony z wszystkiego kolega. Mucha przeleciała Bondysowi przed twarzą i usiadła na oknie, wiercąc się na nim swoimi czarnymi odnóżami. „Mucha w listopadzie? Dziwne!”, pomyślał.

Wziął do ręki listę przygotowaną przez – jak to mawiał Rybacki – narybek. Jak się okazało, Beata miała równy, ale wyjątkowo nieczytelny charakter pisma, przez co odcyfrowanie nazwiska każdej kolejnej osoby stanowiło nie lada wyzwanie. Bondys w końcu z trudem dotarł do końca spisu, nie znajdując niczego ciekawego, poza faktem, że denat miał bogatą historię związkowo-romansową. Zdecydowana większość byłych miłostek Skoka miała dzisiaj swoje własne rodziny i mieszkała w innych miastach, no i na liście znajdowały się wyłącznie kobiety, więc wątek domniemanego homoseksualizmu znów wydawał się nieuzasadniony. O bycie gejem zamordowanego nie posądzał nikt poza zabójcą i starą sąsiadką plotkarą.

Komisarz westchnął i odłożył z rozczarowaniem kartkę na róg biurka, gdzie zdążył już uzbierać pokaźny stos papierów. Wstał, otworzył znów okno i zapalił dwunastego poznańskiego. Usiadł na parapecie i wpatrywał się w tablicę z danymi. Spojrzał na dolną jej

część i przyszła mu do głowy pewna absurdalna myśl – w tabeli było jeszcze miejsce na przynajmniej dwie kolejne ofiary.

Podbiegł do tablicy i zaczął stawiać czerwone ikсы w wolnych polach. Gwałtownie rysował kolejne kreski, jakby w jakiś irracjonalny sposób miało to pomóc zapobiec kolejnym zabójstwom. W tym momencie wiatr zawiał z taką siłą, że wszystkie dokumenty z biurka komisarza sfrunęły na podłogę.

Marek odwrócił się w stronę okna, rzucił „Kurwa jebanej pogody mać!”, odłożył pisak i ukucnął, aby pozbierać rozrzucone kartki. Kiedy tylko się nachylił, rzuciła mu się w oczy lista sporządzona przez Beatę i Radka. Nie zauważył wcześniej, że była dwustronna. Z tyłu kartki widniało tylko jedno nazwisko z krótkim komentarzem, o dziwo zapisane bardzo czytelnie:

*Joanna Rechlicka – 2 lata związku, 1984–1986 rok*



Znów gwałtownie wybudziła się ze snu. Czuła się tak zdezorientowana, jakby ocknęła się z wielodniowej śpiączki albo ze snu po upojeniu alkoholowym czy odurzeniu lekami. Usiadła na łóżku, spuszczać nogi na ziemię, a następnie powoli wstała. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, która może być godzina ani jak długo spała. Jej pamięć przypominała teraz gęste sito, przez które wspomnienia przelewały się boleśnie, a tylko niektóre fragmenty pozostawały na miejscu, tworząc nieapetyczną i bezkształtną papkę.

Im bardziej próbowała odnaleźć się w rzeczywistości, tym bardziej gubiła się i ogarniał ją paniczny lęk. W pomieszczeniu panowała prawie całkowita ciemność, przełamana jedynie bladym światłem księżyca dochodzącym z za okna. Niewielki pokój coś jej przypominał – zdawało jej się, że kiedyś już w nim była. Czy kogoś odwiedzała, a może nawet tutaj mieszkała? Czy dobrze jej się kojarzyło to pomieszczenie? Pokój nie przypominał surowej sali szpitalnej, gdzie więc się znajdowała?

Nagły, pulsujący ból w lewej skroni przerwał przeszukiwanie pamięci. Jęknęła z bólu, a wszystkie wspomnienia uleciały w jednym momencie, niczym spłoszone stado ptactwa.

Trzęsa się z zimna. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że ma na sobie tylko cienką koszulę nocną, podobną do tej szpitalnej. Nic już nie rozumiała. Położyła się z powrotem na wąskim łóżku, twarzą do ściany i przykryła kocem, pod którym wcześniej spała. Skuliła się. Serce waliło jej w piersi jak wystraszonemu królikowi.

Po tych wszystkich latach zmagania z chorobą miała już serdecznie dosyć. Nie potrafiła określić, gdzie się znajduje ani dlaczego, ba! Nawet pytana ostatnio nie pamiętała, czy kogoś zamordowała! Straciła kontrolę nad swoim umysłem. Być może stwarzała już zagrożenie dla innych albo dla siebie samej. Chciała zniknąć, zapaść się pod ziemię albo z powrotem wpaść w senną nicość. Potrzebowała pomocy, chociaż nie wiedziała, gdzie ma jej szukać i szczerze wątpiła, czy ktoś w ogóle byłby jej w stanie pomóc. Bo jak? Nikt nie może wejść do głowy drugiej osoby i uleczyć jej choroby!

Jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna. W tej chwili oddałaby wszystkie skarby świata, aby tylko przytulić się do Przyjaciela, choćby ten jeden ostatni raz wtulić twarz w jego gęstą, miękką sierść. Nie miała już siły dłużej walczyć o siebie. Po raz pierwszy poczuła, że jest bliżej podjęcia ostatecznej decyzji niż kiedykolwiek wcześniej. Tłąca się w niej coraz słabszym żarem wola życia przygasiała.

„Tak będzie lepiej”, pomyślała.

Nagle usłyszała ciepły, damski głos. Znała go, dobrze jej się kojarzył.

– Jak się czujesz, Agatko?

Powoli odwróciła się od ściany. Jaka niespodzianka! Myślała, że już nigdy się nie zobaczą! Ona jedna mogła jej pomóc!

– Martwiłam się o ciebie Agatko, wiesz?

Kobieta podeszła do łóżka, usiadła przy niej i chwyciła ją za rękę. Miała ciepłą dłoń i delikatną skórę, jakby dopiero co posmarowała się kremem.

Agata rozplakała się rzewnymi łzami, co nie zdarzało jej się ostatnio za często. Poczowała ogromną ulgę, jak gdyby wraz z płaczem wylewała swoje troski. Uśmiechnęła się, a po chwili zaśmiała w głos. Dziewczyna otarła jej łzawe strużki z policzków. Może jednak uda jej się i tym razem przejść przez to piekło, bo nie jest już sama. Bała się iskierki nadziei, która właśnie zapaliła się w jej sercu, bo tak bardzo nie chciała przeżywać kolejnego rozczarowania.

– Wstań, musimy iść! – Kobieta zaczęła ciągnąć Agatę za rękę, przerywając jej rozważania. – Nie ma czasu, musimy go odnaleźć i wiesz, co zrobić!

Ostatnie słowa wyszeptała konspiracyjnie.

– Nie mam siły... – wychrypiała.

– Wiem, ale naprawdę musimy już iść, teraz! Proszę, wstań!

Przyjaciółka mocniej pociągnęła ją za rękę i pomogła wstać. Lewińska zebrała wszystkie siły i z wysiłkiem poderwała się na równe nogi. Już nie czuła zimna, fala emocji i adrenaliny zrobiła swoje. Pokiwała głową. Ciągłe ściskając się za ręce, uśmiechnęły się do siebie i obie z Magdą ruszyły do drzwi.



Wtorek, 5 XI 1996 r.

44

Po porannej odprawie Bondys dopisał Joannę Rechlicką w kolumnie „Podejrzani”, zaznaczył jej nazwisko czerwoną elipsą oraz dorysował fioletową strzałkę biegnącą do Agaty Lewińskiej. Fiolet oznaczał „do sprawdzenia”. Kiedy wczoraj po południu zadzwonił do Świecia, umówił się z lekarką na rozmowę na przyszły piątek, gdyż jak poinformowała go recepcjonistka, Rechlicka przebywała obecnie na urlopie nad morzem i pozostawała poza zasięgiem. Komisarz szczerze wątpił w winę lekarki, ale jej dwuletni związek z ofiarą oraz opieka medyczna nad główną podejrzaną zdawały się dziwnym zbiegiem okoliczności. Potwierdzały za to skuteczność metody kopania w związkowej przeszłości denata.

Dzisiaj mieli zacząć przesłuchania osób z otoczenia Marzeny Pogorzelskiej. Ze względu na prawie setkę zapisanych świadków, Rybacki wyznaczył do tego zadania dodatkowych funkcjonariuszy. Komisarz również miał osobiście spisywać zeznania.

Pięćdziesięcioletnia Elżbieta Raus, dyrektor prywatnego liceum, przyjechała na komendę z samego rana. Razem z nauczycielami, uczniami i koleżankami Marzeny Pogorzelskiej czekała niecierpliwie na korytarzu bydgoskiej komendy. Gdy Marek kilkakrotnie przechodził tamtędy, kobieta zaczepiała go ponagleniami. Jej kanarkowo żółta garsonka nie dopinała się, a złote kolczyki w

kształcie koła i gruby złoty naszyjnik z medalikiem, spoczywający na sporym dekolcie, brzęczały głośno przy każdym ruchu głowy. Elżbieta wytarła spocone czoło chusteczką z wyhaftowanymi drobnymi różyczkami w rogach, otworzyła czerwoną torebkę i wyjęła szminkę w tym samym kolorze, którą nerwowo przejechała po ustach. Szminka znalazła się także na skórze dookoła ust i częściowo na zębach.

W końcu przyszła jej kolej.

- No wreszcie - mruknęła pod nosem kobieta, ewidentnie znużona godzinnym czekaniem, choć pozostał jeszcze kwadrans do wyznaczonej dla niej godziny.

Wstała energicznie, aż drewniane krzesło zaskrzypiało i ruszyła zwawym krokiem za funkcjonariuszem. Bondys zbyt wyraźnie słyszał dźwięk obcasów. Automatycznie przyspieszył.

Dotarli do właściwej sali, w której stał duży drewniany stół i kilka krzeseł. Świadek usiadła na wskazanym przez komisarza miejscu, a ten zajął krzesło naprzeciwko.

- Pani Elżbieto, proszę o okazanie dowodu tożsamości - zaczął Bondys.

Kobieta po chwili poszukiwań w torebce, odnalazła dokument i podała policjantowi.

- Zamordowana Marzena Pogorzelska uczęszczała do liceum, w którym jest pani dyrektorem. Czy może pani coś więcej powiedzieć o swojej uczennicy?

- Owszem, Marzenka to bardzo grzeczna, poukładana i zdolna dziewczynka, zresztą jak wszyscy nasi uczniowie. To elitarna szkoła.

Ostatnie zdanie Elżbieta Raus wyraźnie zaakcentowała oraz wyprostowała się na krześle, wypinając przy tym pokaźne piersi do

przodu.

„Oczywiście, zwłaszcza że ta dziewczynka miała chłopaka, być może dziewczynę i była w pierwszym trymestrze ciąży”, pomyślał Bondys i zaczął podejrzewać, że raczej zbyt wiele od dyrektorki się nie dowie.

– A czy Marzena w ostatnim czasie dziwnie się zachowywała? Coś pani zauważyła, jakąś zmianę u niej?

– Nie, nic takiego nie zauważyłam. Zachowywała się zwyczajnie, jak na porządną pannicę w jej wieku przystało.

Komisarz z trudem powstrzymał się przed przewróceniem oczami.

– A czy Marzena miała jakieś problemy w szkole?

– W naszej szkole uczniowie nie mają żadnych problemów, proszę pana.

– No tak. – Marek już wiedział, że źle zniesie panią „jestem od was lepsza i mam kij w dupie” dyrektor, bo miał jej dosyć już po tych kilku zdaniach. – A czym się interesowała Marzena? Uczęszczała na zajęcia dodatkowe, brała udział w jakichś konkursach pozaszkolnych?

– Marzenka to wyjątkowo zdolna, młoda osoba! – Elżbieta Raus wyraźnie się ożywiła. – Jeździła na turnieje szachowe i trenowała siatkówkę, dumnie reprezentując naszą placówkę w międzyszkolnych zawodach. Chodziła też na kółko teatralne, mamy rok Szekspira w naszej szkole i przygotowujemy się do kilku premier w grudniu. Ojej, trzeba będzie teraz znaleźć na cito Julię, skoro Marzeny już... No, skoro Marzenka już nie zagra.

Marek czuł, że osiąga wyżyny swojej cierpliwości. Nie znosił snobizmu, egoizmu i znieczulicy społecznej, a wszystkie te cechy

skumulowane w jednej krzykliwe ubranej dyrektor stanowiły nie lada wyzwanie. Przy niej dyrektor Szprota z piątego liceum był nad wyraz skromnym i empatycznym człowiekiem.

– A wie pani, czy Marzena miała chłopaka? – Komisarz postawił na drobną prowokację. – Albo dziewczynę?

– Jak to dziewczynę?! Co pan za głupoty wygaduje?! To porządna szkoła, bez takich zboczeństw i zbereźnictw! Cenyśmy sobie wartości katolickie, rodzinne i patriotyczne. Na chłopaków zresztą Marzenka też nie miała czasu, zajmowała się nauką, treningami i próbami do przedstawienia!

Elżbieta Raus poczerwieniała na twarzy, zaczęła dyszeć i trzymać się ostentacyjnie za serce.

– Spokojnie, proszę pani, to standardowe pytania.

– Jak mam być spokojna?! Nie dość, że to całe morderstwo pewnie zaszkodzi renomie szkoły, już dzwonią do mnie zaniepokojeni rodzice, a dwoje uczniów przeniosło się do innej placówki, to jeszcze imputuje mi pan jakąś sodomę i gomorę w mojej placówce! – Zaczęła machać rękoma.

W tyle głowy usłyszał huk. To resztki jego cierpliwości wybuchły.

– Proszę posłuchać, droga pani. Nie interesuje mnie ani pani szkoła, ani jej sukcesy, ani elitarność. Musimy sprawdzić wszystkie poszlaki. Osiemnastolatka została w brutalny sposób zamordowana, ktoś ją torturował, a jej półnagie ciało zostało porzucone na środku cmentarza, więc najważniejsze w tej chwili jest znalezienie sprawcy. Proszę chociaż spróbować pomóc z łaski swojej, a nie pieprzyć o teatrzykach szkolnych, Szekspirze czy renomie szkoły!

Kobieta głośno sapnęła, a jej twarz wykrzywił niemy grymas, przypominający Bondysowi ten z najsłynniejszego obrazu Muncha.

Postanowił dać jej czas na zebranie myśli i czekał cierpliwie na odpowiedź.

– No, jeżeli już jakieś ohydztwa działały się wśród uczniów, to na pewno na pseudosportowych obozach, organizowanych w ramach integracji z innymi szkołami – zaczęła już znacznie spokojniej, ciszej i bez gestykulacji, jednak po chwili wróciła na swoje poprzednie tory. – Zawsze twierdziłam, że narażanie naszych uczniów na kontakt z chuliganami ze zwykłych szkół to koszmarny pomysł. Przecież nie od dziś wiadomo, że mieszanie klas społecznych prowadzi do ruiny podwalin...

– O jakich obozach pani mówi?



## 45

Po dwudziestej, czyli po dwunastu godzinach pracy i przesłuchaniu kilkudziesięciu świadków, którzy przewinęli się przez komendę, Bondys zajechał pod swój blok. Czuł silne zmęczenie, ale przynajmniej złapali jakiś trop. Policzył kroki do samochodu. Rzadko zostawiał swoją toyotę w tej części parkingu, więc tylko mniej więcej oszacował, że będzie szedł jakieś osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt kroków. Zdziwiło go, że wyszło aż sto piętnaście, ale musiał ominąć po drodze całującą się na środku chodnika parę nastolatków. Nie oburzało go to, raczej miał na ich widok tylko jedną refleksję – Marzena Pogorzelska już nie będzie się całować na chodniku.

Wszedł do klatki. Na parterze irytująco syczała kończąca swój żywot żarówka. Nie przepadał za tym dźwiękiem, zwłaszcza kiedy towarzyszyło mu rytmiczne mruganie światła. Na szczęście ta umierająca żarówka tylko brzęczała. Ale i tak pokonał szybko czterdzieści schodów, żeby nie męczyć słuchu, i zapukał kodem. Po chwili Estera otworzyła.

– Cześć, śliczna. Przyszedłem po Kodeksa i wracam do siebie. Dzięki za opiekę nad zwierzem. – Nie zdążył skończyć zdania, kiedy

psiak zaczął czule skakać na niego, kręcić kółka z radości i merdać ogonem z taką siłą, że pewnie mógłby zasilić niejedną elektrownię. – Wezmę od razu tego łobuza na spacer, bo mi nie odpuści.

– Tylko wróć później do mnie, komisarzu Bondys, to zjesz normalną kolację. – Sąsiadka podała mu smycz i obrożę. – Jak cię znam, to pewnie nic oprócz tych przesłodzonych pączków dziś nie jadłeś. W twoich żyłach zamiast krwi to płyną kofeina, nikotyna i lukier.

Pół godziny później siedzieli razem w salonie Estery, która wpatrywała się w wieczorne wydanie *Panoramy*. Kodeks, zmachany spacerem, wylegiwał się z zadowoleniem na nogach swojego pana.

– W Stanach znowu wybrali Billa Clintona. To pierwszy prezydent z drugą kadencją, wybrany spośród Demokratów. – Sąsiadka miała rumieńce na twarzy, kiedy to mówiła. – Głosowało na niego prawie pięćdziesiąt milionów ludzi. To jakby wszyscy Polacy i wszyscy Belgowie oddali swój głos na Clintona! Chociaż Dole też dostał niemało, bo prawie czterdzieści milionów. Swoją drogą, wiesz, że w tym roku mamy największy wyż demograficzny w kraju? Ponad trzydzieści osiem milionów ludzi. A w ogóle słyszałam, że Clinton planuje przylecieć do Polski niedługo.

– Yhy. – Marek zajadał się zrazami z kaszą gryczaną i buraczkami. – Przepyszne te zrazy, chyba skuszę się na jeszcze jednego. I buraczki na ostro zrobione, pycha! A i Clinton też super.

– Czy cię w ogóle coś interesuje w świecie żywych? Poza trupami, tym łupaniem ciężkiej muzyki, Kodeksem, puzzlami i basenem, to chyba reszta mogłaby dla ciebie w ogóle nie istnieć. – Uśmiechnęła się i włożyła kolejnego zraza na jego talerz.

- Coś w tym jest. - Zabrał się ochoczo za dokładkę. - Jakoś w nosie mam rzeczy i zdarzenia, na które nie mam wpływu.

Estera dalej wpatrywała się w ekran, wysłuchując kolejnych wiadomości o świecie. Dopiero po zakończeniu programu informacyjnego odwróciła się do przyjaciela.

- A co u twojej siostry? - zmieniła temat. - No i jak mama?

- Aga dzwoniła przedwczoraj. Mówiła, że z matką gorzej, i panikowała jak zwykle, że mam rzucić wszystko i przyjechać, bo znowu umiera.

Wytarł usta serwetką i podał kawałek zraza pod stołem Kodeksowi, który wpatrywał się w niego podczas kolacji jak głuchy czy kulawy w obraz jasnogórski.

- To może powinieneś pojechać?

- Agnieszka to wykwalifikowana pielęgniarka, do matki przychodzi też opiekunka dwa razy w tygodniu. Po co ja tam? Nawet mnie nie pozna. Jest jej kompletnie obojętne, czy w odwiedziny przyjdzie syn, listonosz czy sanitariusz. Przelewam pieniądze na opiekę Agnieszce. Widziałem się z matką na Wielkanoc. - Zapalił papierosa. - Zresztą, jak ojciec umierał, to Aga jakoś specjalnie się nim nie interesowała. Jeszcze ma pretensje do mnie, że na jego grób chodzę.

- Ty chyba masz w sobie dużo żalu o Zdzisława. - Estera położyła dłoń na jego ręce. - Do matki, do siostry, do całego świata.

- Jego życie mogłoby się potoczyć zupełnie inaczej. Nie bronię go, ale też za krzywdzące uważam taką demonizację. Ojciec nie był potworem, za jakiego uważa go Agnieszka. - Marek odruchowo pogłaskał Kodeksa. - Matka też nie pozostawała bez winy. Zresztą nie trawię tego pajaca Lisockiego, mojego szwagra. Leń i obibok, ciągle



roboty szuka, a Aga utrzymuje pasożyta, naiwnie wierząc, że w końcu bidulek znajdzie pracę. Do tego on ma żonę kompletnie gdzieś, pewnie ma jakąś babę na boku, a ona ślepo go kocha i daje sobą pomiatać.

– Nie oceniaj jej tak surowo. Ludzie często boją się samotności, zwłaszcza kobiety. Wolą tkwić w chorych związkach, bez miłości, bez szacunku, nawet bez krzty własnej. Zresztą, gdy są dzieci, to też sytuacja wygląda inaczej, trudniej... – Estera zaciągnęła się papierosem i oddała go sąsiadowi. – Też taka głupia kiedyś byłam, zresztą sam wiesz.

– To co innego. Twój mąż... – Bondys zgasił papierosa. – Twój mąż nigdy nie był człowiekiem.

– Gdyby nie ty wtedy, to... – Głos jej zadrżał. – Zresztą, nie ma po co do tego wracać.

Marek przytulił starszą sąsiadkę, podziękował za kolację i poszedł na górę. Wykąpał się i położył, chociaż wiedział, że szybko nie zaśnie. Przypomniawszy sobie wydarzenia sprzed lat z mężem Estery w roli głównej. Potem pomyślał o siostrze i jej małżeństwie. Doszedł do wniosku, że chyba najgorsze, co jeden człowiek może dać drugiemu, to unieszczęśliwienie. Bycie ze sobą, kiedy nie ma się już wspólnych tematów, kiedy coraz więcej rzeczy denerwuje i przeszkadza w drugiej osobie, kiedy nie ma się nic do powiedzenia, a jedynymi wspólnymi mianownikami stają się rachunki, dzieci, zakupy, wyrzucanie śmieci, pies czy domowy budżet. Kiedy każda ze stron zaczyna coraz częściej spędzać czas sama, szukając nowych rozrywek i zapominając o potrzebach partnera. Czy nie lepiej rozstać się wcześniej? Nie próbować po raz kolejny na nowo rozniecać ognia w palenisku, w którym od dawna nic już się nawet

nie tli, a leży już tylko kupka zimnego popiołu? Czy nie lepiej dać sobie nawzajem szansę na ponowne ułożenie życia oddzielnie?

A później oczami wyobraźni ujrzał twarz Anity. Piękną, zmysłową, z delikatnym uśmiechem i brązowymi puklami włosów opadającymi na czoło. I natychmiast otworzył oczy. Nie chciał o niej myśleć. Nie mógł.

Zastosował swoją starą metodę na zasypianie. Nie zawsze okazywała się skuteczna, ale innej nie znał. Czytał kiedyś, że w amerykańskiej armii stosuje się taki sposób na pozbycie się natrętnych myśli, dla ukojenia zszarganych umysłów żołnierzy, aby mogli usnąć w skrajnie niesprzyjających warunkach. Spróbuje dziś. Nie ma nic do stracenia.

Wyobraził sobie czarną tablicę. Podszedł do niej i zapisał jedynkę. Potem zmazał. Zapisał dwójkę. Zmazał. Zapisał znów jedynkę. Zmazał. I tak w kółko.

Po dwóch godzinach i pewnie kilku tysiącach cyfr zapisanych na wyimaginowanej tablicy zapadł wreszcie w upragniony sen.

Piątek, 8 XI 1996 r.

46

Właśnie kończył się kolejny dzień przesłuchań, które trwały nieustająco od prawie tygodnia. Kilkadziesiąt osób z pogrzebu córki Kisiewiczza, a do tego całe otoczenie zamordowanej dziewczyny stanowiły nie lada wyzwanie dla policji. Większość nauczycieli i uczniów przesłuchanych do tej pory powtarzała to samo, co dyrektorka szkoły – że Marzena dobrze się uczyła, że była zawsze grzeczna, miła i uczynna, przynosiła dumę szkole, i tak dalej, i tak dalej. Banały i nic niewnoszące do śledztwa frazesy. Bondys już kiedyś zastanawiał się, dlaczego ludzie boją się powiedzieć coś złego o zamordowanej osobie. Przecież jak koleżanka z klasy powie, że nie lubiła ofiary, bo ta była wrednym i wyniosłym samolubem, to nikt nie zacznie podejrzewać jej o zabójstwo. Albo jak sąsiadka zezna, że zmarła puszczała głośno muzykę, nie mówiła „dzień dobry” i nosiła za krótkie spódniczki, to nie zostanie aresztowana.

Trop obozów sportowych, na który naprowadziła śledczych Elżbieta Raus, okazał się najbardziej interesującym, jaki do tej pory mieli. Istotnie, w maju Marzena pojechała z grupą trenującą siatkówkę na tydzień do miejscowości wypoczynkowej Funka nad jeziorem Charzykowskim w Borach Tucholskich. Na przesłuchanie wezwano trenerkę siatkówki i zarazem nauczycielkę wychowania fizycznego z liceum denatki.

Anna Chrapek okazała się wysoką, szczupłą blondynką, niewiele starszą od swoich uczniów, z falującymi włosami do pasa. Marek pomyślał, że z taką urodą musieli się w niej kochać wszyscy uczniowie, nauczyciele i pewnie pół dzielnicy, w której mieszkała. Gdy spojrział na tę kobietę, przyszło mu na myśl tylko jedno słowo – atrakcyjna. Pomyślał też, że jeśli nie jest głupią, pustą lalą, a na taką bynajmniej nie wyglądała, to musi mieć naprawdę przechłapanie w życiu. Znakomita większość osób uważała, że uroda to klucz do sukcesu, ale komisarz, którego siostra dostała od rodziców prezent w postaci naturalnego piękna, wiedział, że jest dokładnie odwrotnie. Mężczyźni ślinili się na widok Agnieszki jak bulteriery na kość, upatrując w niej głównie obiekt seksualny, a kobiety zieleniały z zazdrości od razu po poznaniu jego siostry, dostrzegając w niej potencjalne zagrożenie.

Anna usiadła skromnie na krześle w sali przesłuchań, ubrana w dżinsy, sportowe buty i bawełniany sweterek w beżowym kolorze. Prawie nie miała makijażu – jedynie usta muśnięte delikatnym błyszczkiem i pociągnięte tuszem rzęsy, ale i tak wyglądała olśniewająco, jakby wyszła wprost z wybiegu dla modelek albo dopiero tam się wybierała.

Bondys wyjął notes.

– Co może pani powiedzieć o śmierci Marzeny Pogorzelskiej?

– Że to przede wszystkim straszliwa tragedia.

Komisarz podniósł wzrok z zainteresowaniem, bo z taką reakcją podczas ostatnich przesłuchań spotykał się rzadko. Ludzie raczej zaczynali zeznania od „Nie mam z tym nic wspólnego” albo „Ja nic nie wiem”. Czyli Chrapek miała ludzkie odruchy i nie szukała taniej sensacji w śmierci nastolatki!

- Nie uczę w klasie Marzeny, ale znałam ją z treningów siatkówki  
- uzupełniła trenerka.

- A czy uczestniczyła pani w obozie sportowym z grupą Marzeny w maju?

- Tak, jako trener i opiekun. W sumie z naszej szkoły pojechało ponad trzydzieścioro uczniów, więc towarzyszyło mi troje nauczycieli. No i uczniowie z opiekunami z drugiej szkoły.

Komisarz spisywał wszystko skwapliwie.

- Czy Marzena zachowywała się jakoś inaczej? A może wydarzyło się coś szczególnego? Coś, co zapadło pani w pamięć?

- Nie przypominam sobie nic takiego. Uczniowie szybko się zintegrowali. Pogoda dopisywała, sprzyjała spędzaniu czasu na dworze podczas wspólnych meczów, treningów, dyskotek czy ognisk.

- Anna Chrapek spojrzała w sufit, jakby szukała tam odpowiedzi. Po chwili opuściła znów wzrok na rozmówcę i kontynuowała: - No może tylko ten chłopak z „piątki”, na którego się jakoś wszyscy uwzięli.

- Jaki chłopak?

- Nie pamiętam, jak się nazywał. Ale coś musiało się wydarzyć i to jakoś na początku wyjazdu, bo nikt nie chciał z nim od tego czasu siedzieć podczas posiłków, naśmiewali się z niego, a ostatniej nocy na drzwiach do jego pokoju napisano pastą do zębów jakąś inwektywę. Chyba „ciota”. - Anna nie kryła zażenowania, wymawiając to określenie.

- Powiedziała pani: z „piątki”?

- No tak, na obóz pojechali z nami uczniowie i nauczyciele z piątego liceum.

Dyrektorka wspominała tylko o innym „pospolitym” liceum, nie pamiętała dokładnie, o które chodziło. Marek ścisnął mocno długopis w palcach i starał się ukryć podekscytowanie nowym tropem.

– A czy wśród tych nauczycieli był wuefista Paweł Skok?

– Nie, nie przypominam sobie.

– Na pewno?

– Na sto procent. Z tamtej szkoły pojechały trzy nauczycielki, nie było wśród nich żadnego mężczyzny.

Rozczarowany Bondys wrócił do poprzedniego wątku, zwalniając uścisk na Bogu ducha winnym długopisie.

– Wiadomo, kto namazał „ciota” na drzwiach?

– Podejrzewaliśmy kilka osób, ale nikogo nie przyłapaliśmy na gorącym uczynku, nikt się nie przyznał. Po powrocie rozmawiałam z panią dyrektor, żeby zrobić pogadankę z uczniami na temat skutków dokuczania i nietolerancji, ale... – Urwała w połowie zdania, szukając odpowiedniego zwrotu. – Jakoś nie wyszło.

– Niech zgadnę. Pani Raus uznała, że nie ma takiego problemu w jej placówce?

Chrapek uśmiechnęła się, słysząc tę słabo ukrywaną złośliwość, i bynajmniej nie wyglądała na urażoną pytaniem.

– Cóż, ma pan sporo racji. Duża część uczniów to naprawdę mądra i zdolna młodzież, aczkolwiek niektórzy są rozpieszczeni pieniędzmi rodziców, a pani dyrektor dodatkowo utwierdza ich w przekonaniu o elitarności.

Trenerka spojrzała znów w sufit z takim zainteresowaniem, że komisarz również uniósł wzrok.

– Często miewam odmienne zdanie niż pani Raus, dlatego myślę, że nie zagrzeję miejsca w tej szkole zbyt długo. Pani dyrektor nie toleruje, gdy ktoś się z nią nie zgadza.

– Ale chyba nie spędza to pani snu z powiek? – spytał komisarz retorycznie, ale z uśmiechem. – A orientuje się pani, czy Marzena miała jakąś sympatię?

– Oficjalnie w szkole uczniowie mają zakaz łączenia się w pary. Pani dyrektor uważa, że w ten sposób mogą bardziej skupić się na nauce.

– Równie dobrze można by zakazać im oddychać – rzucił Bondys, a trenerka zachichotała. – A nieoficjalnie, wie coś pani na temat życia uczuciowego Marzeny?

– Nie zauważyłam, żeby jakiś chłopak odprowadzał ją na treningi albo przychodził po zakończonych zajęciach. Pomimo obowiązującego zakazu nietrudno zauważyć chłopaków czekających pod salą gimnastyczną. – Uśmiechnęła się z satysfakcją. – Marzena jednak zwykle wracała z Natalią, swoją najlepszą koleżanką. Natalka uczęszczała do naszej szkoły podstawowej, a teraz chodzi do innego liceum, ale czasem widywałam, jak przyjeżdżała do Marzeny. Chociaż ostatnio jakby rzadziej.

Komisarz pamiętał, że ojczym ofiary również o niej wspominał.

– A czy mogło być coś więcej między dziewczynami?

– Pyta pan, czy Marzena mogła być lesbijką? – upewniła się przesłuchiwana.

Bondys pokiwał twierdząco głową i zauważył, że trenerka była pierwszą osobą, której to słowo przeszło przez gardło bez obawy, że pochłonie ją za chwilę ogień piekielny.

- Nie zauważyłam. Na pewno były ze sobą blisko, spędzały dużo czasu razem, ale czy tworzyły parę? Tego nie wiem. Nawet jeśli, to na pewno w tej szkole by się nie ujawniły.

- No tak, pani Raus pewnie by od razu kazała publicznie spalić na stosie takie dwie wysłanniczki szatana. - Bondys pozwolił sobie na wyrażenie prywatnej opinii, a Chrapek tym razem nie zaśmiała się. - Wie pani, jak nazywa się ta Natalia i gdzie mieszka?

- Szura, Natalia Szura. Adresu niestety nie znam, wyprowadziła się z rodzicami po szkole podstawowej gdzieś za miasto, do jakiejś podbydgoskiej miejscowości od północy, Osielska czy Niemcza.

- Dziękuję pani bardzo.

- Nie ma za co. Chociaż tyle mogę zrobić dla Marzeny i jej bliskich.

Komisarz wstał i odprowadził trenerkę do wyjścia. Następnie poszedł na piętro i dopisał do listy zadań sprawdzenie adresu zamieszkania Natalii Szury oraz jej relacji z denatką. Podejrzenia ojczyma, spostrzeżenia Anny Chrapek i manifest zabójcy przestawały wyglądać na przypadek. Łączona wycieczka V LO, w którym pracował Paweł Skok, i prywatnego liceum, gdzie uczyła się Marzena Pogorzelska, również zdawała się dziwnym zbiegiem okoliczności, a on w takowe nie wierzył.



Niedziela, 10 XI 1996 r.

47

Przyjaciółki ostatnio rzadko spędzały niedzielne popołudnia razem. Ada zwykle jeździła do rodziny na wieś albo biegała po łąkach czy lasach w poszukiwaniu materiału badawczego na poniedziałkowe zajęcia, a Beata od momentu włączenia w śledztwo spędzała czas głównie na komendzie albo w terenie. Wspólne weekendowe popołudnia, takie jak to, prawie się nie zdarzały.

– Jak w pracy, pani sierżant? – rzuciła Adrianna, zbierając pranie z suszarki rozstawionej w przedpokoju.

– Właściwie nie powinnam rozmawiać o śledztwie... – odpowiedziała Beata, zamiatając podłogę.

Doktorantka podniosła rękę w geście poddania.

– No przecież wiem, nie pytam o tajemnice zawodowe! Tylko jak ty się w tym odnajdujesz, jak ci się pracuje z kolegami i w ogóle?

Beata zastanowiła się przez chwilę.

– Sama nie wiem. Z jednej strony takie śledztwo to ogromna szansa dla mnie, z drugiej obciąża mi psyche. Najbardziej zaskoczył mnie stopień skomplikowania przy takim śledztwie. Nie zdawałam sobie sprawy, że najdrobniejsze szczegóły, rzeczy na pozór nieważne, mogą decydować o powodzeniu albo fiasku całego śledztwa.

Beata zgarnęła zamieciony brud na szufelkę i wrzuciła do kosza w kuchni.

– Co masz na myśli? – spytała Adrianna. Złożyła suszarkę na pranie i obie usiadły na kanapie w pokoju Ady.

– Druga ofiara pojechała wiosną na obóz sportowy w Bory Tucholskie. W tym obozie brali udział też uczniowie szkoły, w której pracował pierwszy denat, i wygląda na to, że tam wydarzyło się coś ważnego, co może mieć wspólnego też z poprzednim zabójstwem...

– A wiesz, że Bory Tucholskie zostały pierwszego lipca parkiem narodowym?! – zawołała podekscytowana Ada, przerywając przyjaciółce w pół zdania. – Super, nie?!

– O matko, czy ty w ogóle mnie słuchasz? – Policjantka przewróciła oczami i rzuciła poduszką w przyjaciółkę. – Ja tu o śledztwie w sprawie dwóch zabójstw, a ty o tych swoich mchach i paprociach!

– Ależ to jest bardzo ważna informacja! Park narodowy to najwyższa forma ochrony obszarowej w kraju! A Bory Tucholskie są pięknym, unikatowym terenem i w dodatku tak blisko nas! Występuje tam mnóstwo rzadkich i ważnych gatunków fauny i flory! Jaszczurka żyworódka, traszka grzebieniasta, bielik, zimorodek i *Bubo bubo*! – wymieniała jednym tchem doktorantka.

– *Bubo bubo*? – Beata wybuchnęła śmiechem. Uwielbiała pasję przyjaciółki.

– No, ten... – Ada szukała odpowiedniego słowa, pstrykając palcami. – Puchacz zwyczajny!

– I ty ostatnio tego doktora od chemii nazywałaś dziwakiem?!

– Dobrze, już dobrze! Obiecuję nic nie mówić na temat żab i ropuch. Ale à propos ropuch, to może zrobimy sobie peeling na

twarz, nałożymy maseczki, ogórki na oczy, taki dzień piękności?

- Sama jesteś ropucha! Ja mam naturalne piękno w sobie! - Policjantka pogładziła się demonstracyjnie po twarzy i poprawiła włosy. - Ale w sumie dzień piękności możemy zrobić.

Kwadrans później przyjaciółki nakładały kawowy peeling na twarz, brudząc się przy tym i bawiąc jak małe dziewczynki. Następnie zrobiły maseczki z glinki i ogórka, przygotowane przez Adę, oczywiście z dodatkiem jakichś ziół, których nazw Beata zupełnie nie знаła. Z zielonkawą breją na twarzach i plastrami ogórka na powiekach siedziały w łazience - Adrianna na brzegu wanny, a Beata na podłodze.

- Dlaczego ta twoja mikstura tak szczypie?

- To maseczka ściągająca, oczyszczająca i zwężająca pory skórne. Może masz po prostu dużo łoju i zaskórników, bo na pewno ani ogórek, ani...

- Dobra, dobra, wystarczy tego wykładu, pani zielarko! - przerwała przyjaciółce Beata. - Poza tym nie mam łoju i zaskórników!

- Każdy ma, to naturalny proces...

- Ciiii! Dosyć!

Policjantka tak gwałtownie uniosła rękę, że strąciła przyjaciółce grudę maseczki z twarzy.

Obie znów zaczęły śmiać się. Beata dawno nie czuła takiej beztroskiej radości. Kochała swoją przyjaciółkę i traktowała niczym młodszą siostrę, której nie miała. Kobiety zmyły kosmetyki z twarzy, nasmarowały się własnoręcznie przygotowanym przez Adę balsamem i poszły do kuchni robić kolację. Po chwili toster wyrzucił

już z siebie kolejne grzanki, a czajnik głośno gwizdał. Beata zalała sobie czarną herbatę, przyjaciółce zaś jakąś mieszankę ziołową.

– Kurczę, sam kamień mamy w czajniku – narzekała, spoglądając na kubek, w którym oprócz liści o dziwnych kształtach pływały również beżowe drobiny. – Zaleję go octem...

Wyjęła z szafki butelkę i wlała blisko połowę jej zawartości do czajnika. W kuchni uniósł się ostry zapach kwasu.

– Blee, co za smród! Otwórz okno, Becia!

– A tak, tak, już otwieram! – Policjantka uchyliła mniejsze z okien i starła mokrą plamę z blatu. – Przepraszam, zamyśliłam się. Ocet mi się jednoznacznie kojarzy.

Współlokatorka spojrzała na nią z niezrozumieniem, ale po chwili skojarzyła fakty i pokiwała smętnie głową.

– Pewnie zużył cały zapas octu z dobrego laboratorium, żeby połączyć dorosłego mężczyznę i dziewczynę – rzuciła.

– No tak, takiej ilości nie kupi się w sklepiku osiedlowym! – krzyknęła Beata z podekscytowaniem. – A może kupił wszystkie butelki w jednym sklepie? Wtedy sprzedawca powinien to zapamiętać!

– Wiesz, ocet to jednak popularny produkt, o soli nie wspominając. Pytanie, o jakiej liczbie mówimy. Kilku czy kilkudziesięciu butelkach?

– Bondys podejrzewa, że będą następne ofiary, wtedy na pewno liczba by się zwiększyła – zastanowiła się policjantka. – W każdym razie jest to jakiś trop.

– Jakbym mogła w czymś jeszcze pomóc, to się polecam! – dodała dumnie Ada.

Wzięły kubki i usiadły na kanapie, żeby zjeść tosty i obejrzeć wspólnie *Pretty Woman*.

Wtorek, 12 XI 1996 r.

48

Bondys tym razem postanowił zabrać ze sobą do Świecia Aleksa, po cichu licząc, że jeśli stan zdrowotny Agaty Lewińskiej nie pozwoli na przesłuchanie, to może lekarka zgodzi się przynajmniej na rozmowę podopiecznej z psychologiem. Ponadto był ciekaw opinii Kownackiego na temat reakcji psychiatry, gdy spyta ją o związek z Pawłem Skokiem. Oprócz wiedzy, doświadczenia i pasji do badania ludzkich umysłów Aleks miał jeszcze jedną bardzo ważną cechę – szósty zmysł, intuicję, talent? Niezależnie od nomenklatury – potrafił widzieć więcej niż inni w zachowaniu drugiej osoby.

– Jak się czuje Hania? – spytał Bondys, prowadząc.

– Dzięki, ma się dobrze. Jeszcze nie doszła do pełni sił po operacji, ale już zaczyna pyskować, więc jest prawie zdrowa.

– Nie szkaluj mojej chrześniaczki! Ona prowadzi dyskusje merytoryczne, a nie pyskuje.

– Znalazł się obrońca nastolatek! – zaśmiał się Aleks. – A zmieniając temat, jak twoi siostrzeńcy?

– A wiesz, jak się wychodzi z rodziną. Najlepiej na zdjęciu. – Marek machnął ręką. – Nie mam specjalnie kontaktu z Agnieszką, nie licząc awantur o matkę.

– To kiepsko... – Kownacki się zamyślił. – Zrobisz jak uważasz, ale może schowaj czasem godność do kieszeni i sam wyciągnij rękę na

zgode?

- Myślałem o tym. Tylko ja mam wrażenie, że ten konflikt z Agą trwa za długo i zbyt wiele się wydarzyło w międzyczasie. Wypadek matki, śmierć ojca, scysje z tym jej mężem pajacem, no i w ogóle...

Bondys, mówiąc to, usiłował wyprzedzić ciągnik, wychylając się i wypatrując, czy coś nadjeżdża z przeciwka.

- Ale wiesz, dzieciaki nie są niczemu winne, może choć z nimi spróbuj utrzymać relacje.

- Czyli przekaz pieniężny na święta nie wystarczy?

- Mam nadzieję, że to pytanie miało charakter retoryczny. Nie możesz być aż tak zdziwaczałym odludkiem.

Zaśmiali się obaj, a Marek w końcu wykonał manewr wyprzedzania. Kwadrans później zaparkował na chodniku niedaleko głównej bramy do szpitala i udali się do wejścia.

- Kiedyś często tu bywałeś, odwiedzając Esterę.

- Tak, choć to dawne dzieje.

- Jak to się właściwie stało, że się zaprzyjaźniliście z panią Rosenberg? Ty jesteś wyjątkowo wybredny i ostrożny przy nowych znajomościach. Należysz do samotników z wąskim gronem przyjaciół, a z tą kobietą połączyła cię silna więź, niczym z własną matką.

- Dziękuję za psychoanalizę. - Marek poklepał przyjaciela po ramieniu. - Estera była sąsiadką moich rodziców, więc także moją. Któregoś dnia znalazłem się akurat na klatce schodowej i usłyszałem krzyki, kiedy mąż katował ją po raz kolejny. To wtedy ten sadysta próbował dźgnąć ją nożem, ale ostatecznie w szamotaninie to ona wbiła nóż jemu. Była przerażona, a gdy ją znalazłem, siedziała

skulona za łóżkiem, trzęsąc się jak galareta. Później trafiła tutaj, więc zacząłem ją odwiedzać. I tak już zostało.

– A czy przypadkiem ten psychopata nie miał też kiedyś romansu z twoją matką?

– To już w ogóle historia. – Komisarz ponownie machnął ręką. – Nie ma co do tego wracać. Zresztą, marnie to pamiętam, miałem wtedy kilka lat.

– Wiesz, nic tak nie jednoczy ludzi jak wspólny wróg.

– Dobra, Aleks, dość tego psychologicznego bełkotu, chodźmy do środka.

– Twoje omijanie tematu też mówi samo za siebie – zaśmiał się Kownacki.

Bondys przewrócił oczami.

Komisarz z racji wykonywanego zawodu bywał w różnych szpitalach. Wszystkie łączył wszechobecny smutek, cierpienie, ból i charakterystyczny zapach – mieszanina środków dezynfekujących, leków i chorego ciała. Jednak tylko w tym miejscu komisarz wyczuwał coś jeszcze – beznadzieję, wykluczenie społeczne i niezrozumienie. Jakby pacjenci szpitali psychiatrycznych należeli do innego gatunku, z łatką wariatów, niepoczytalnych i z wiecznym piętnem choroby psychicznej.

– Dzień dobry, Wydział Kryminalny Komendy Wojewódzkiej w Bydgoszczy. Chcielibyśmy porozmawiać z doktor Rechlicką – zaczął Bondys, a kiedy spostrzegł, że rejestratorka nie wygląda na przekonaną, dodał: – Byliśmy umówieni na dziś.

Uznał, że kobieta nie pamięta go z poprzedniej wizyty, tym bardziej że nie spojrzała na nich choćby przez moment. Wertowała kalendarz, w którym nawet zza lady było widać chaotyczne zapiski



prowadzone przynajmniej przez kilka osób. Po kilku chwilach głośnego przewracania kartek z udziałem oblizywanych palców w końcu stwierdziła:

– Obawiam się, że ta wizyta nie została wpisana do kalendarza, więc nie mogę panów wpuścić – powiedziała obojętnym tonem.

– A ja obawiam się, że w ogóle nas to nie interesuje – wyjaśnił stanowczo komisarz. – Jesteśmy tutaj w sprawie śledztwa dotyczącego dwóch zabójstw, a pani bałagan w tym zeszyciku nie ma tu nic do rzeczy.

Kobieta spojrzała spode łba na intruza, ale widząc, że ten nie odpuści, dodała:

– Dobrze, spytam panią doktor, czy możecie panowie wejść. Obawiam się jednak, że pani doktor będzie zajęta.

Luźny, biały kitel kobiety szybko zniknął w ciemnościach korytarza, a chwilę później ucichł również stukot jej drewniaków. Wróciła po długich siedmiu minutach z lekką zadyszka.

– Istotnie, doktor Rechlicka wiedziała o panów wizycie, ale nikt mi tego nie przekazał. – Wskazała ręką korytarz, którym przed chwilą przyszła. – Drogę z pewnością pan pamięta.

Jednak nie docenił pamięci do twarzy i spostrzegawczości rejestratorki.

– Chyba powinniśmy zapukać, w środku może być pacjent – zwrócił uwagę Aleks, gdy dotarli do gabinetu, a Marek sięgał już ręką do klamki.

– Formułki grzecznościowe z panią doktor mamy już za sobą, zresztą pani Renata już nas zaanonsowała.

To mówiąc, Bondys otworzył z impetem drzwi.

Lekarka siedziała sama przy biurku i bynajmniej nie wyglądała na zdziwioną gwałtownym wtargnięciem. Skinęła głową i wskazała dwa miejsca po drugiej stronie biurka. Usiedli równocześnie, jakby wcześniej ćwiczyli razem pływanie synchroniczne.

– Panie komisarzu, mówiłam, że gdy Agata Lewińska będzie w stanie rozmawiać, zadzwonię do pana.

Uśmiechnęła się i przechyliła głowę w bok. Mimo swojej pozornej uprzejmości właśnie dała im do zrozumienia, że nie mają tutaj czego szukać. Marek odczekał chwilę i odpowiedział:

– Tym razem chodzi też o panią.

– O mnie?

Uśmiech nie schodził z jej twarzy, a raczej z samych ust, jednak ich prawy kącik zaczął drżeć.

Aleks się nie odzywał, tak umówili się przed wejściem. Obserwował jedynie zachowanie psychiatry. Mieli tę metodę sprawdzoną od lat i zwykle przynosiła lepsze rezultaty, niż gdy obaj rozmawiali ze świadkiem.

– O panią, a konkretnie o pani związek sprzed lat. – Zrobił krótką pauzę. – Z Pawłem Skokiem.

– Z Pawłem?

– Tak, z Pawłem. Tym samym, który został zamordowany w brutalny sposób przed miesiącem, a dziwnym trafem podejrzaną o to zabójstwo jest pani pacjentka.

Lekarka siedziała bez ruchu, przypominała mityczny słup soli. Jedynie przyspieszony oddech potwierdzał, że w ogóle żyje. Bondys stosował swoją stałą technikę wyczekania na odpowiedź rozmówcy, jednak kobieta milczała.

– Pani doktor, czy słyszała pani i zrozumiała, co powiedziałem?

Rechlicka odetchnęła ciężko i pokiwała twierdząco głową, nadal milcząc.

– Czy może pani nam łaskawie powiedzieć coś na ten temat?

– Skoro już tak bardzo interesuje pana moje życie osobiste, to owszem, w czasach szczenięcych spotykaliśmy się z Pawłem przez około dwa lata. Potem rozstaliśmy się, a właściwie to Paweł mnie porzucił i ot, koniec historii.

– Czy Lewińska o tym wiedziała?

– Nie leczyłam wtedy jeszcze Agaty, zresztą nie rozmawiam o swoim życiu prywatnym z pacjentami – odpowiedziała spokojnie, znów siląc się na uśmiech.

– Pani doktor, nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Czy Agata Lewińska wiedziała o pani związku z Pawłem Skokiem?

– Nie wydaje mi się.

Kobieta wzięła do ręki długopis, następnie kilkukrotnie nim pstryknęła. Nawet bez opinii Aleksa Marek wiedział, co ten gest oznacza. Silne zdenerwowanie.

– Nie wy-da-je się pani?! – przesyłabizował Bondys. – My się chyba nie rozumiemy. Tutaj chodzi o sprawę dwóch zabójstw ze szczególnym okrucieństwem, których sprawca pozostaje na wolności. Od tego, jak szybko zostanie złapany, zależy życie kolejnej ofiary bądź ofiar, więc niech się łaskawie pani skupi, do ciężkiej cholery, jeśli nie chce pani mieć ich na sumieniu. Czy Lewińska wiedziała o tym, że kiedyś byliście ze Skokiem parą?

Psychiatra po raz pierwszy, odkąd przyszli, zaczęła wpatrywać się w Aleksa, jakby szukała u niego pomocy.

– Kto to jest? – spytała niespodziewanie.

- Naprawdę długo zamierza pani zmieniać temat?! - wycedził przez zęby Bondys.

- Aleks Kownacki, psycholog policyjny, miło mi.

Wyciągnął rękę na przywitanie, Rechlicka odwzajemniła uścisk.

- Niech zgadnę, ma pan po mojej gestykulacji i mikroekspresji odgadnąć, czy coś ukrywam. I jak mi idzie?

- Do dupy - odpowiedział za kolegę komisarz. - Kompletnie do dupy pani idzie. Nawet bez pomocy Aleksa widzę, że coś pani kręci. Jeśli zaraz nie zacznie pani mówić prawdy, to...

- Nie miałam kontaktu z Pawłem od wielu lat, aż do czerwca, kiedy niespodziewanie tutaj przyjechał - przerwała Bondysowi w połowie zdania. - Mówił, że rozstał się z narzeczoną i że ciągle coś do mnie czuje, takie tam.

Rechlicka zrobiła pauzę.

- Posprzeczałyśmy się i pogoniłam go, ale Agata słyszała naszą kłótnię. - Nie doczekawszy się komentarza od policjantów, dodała: - To wszystko.

Komisarz skwapliwie zapisał wszystko w swoim czarnym notesie i spytał:

- A czy mogę się zobaczyć z Agatą Lewińską w obecności psychologa?

- Obawiam się, że to niemożliwe. Potrzeba jeszcze około tygodnia, żeby leki zaczęły skutecznie działać. Agatka jest w tej chwili mocno otumaniona.

Czyli nie tylko nieufna Renata z rejestracji rozpoczynała wypowiedź od „obawiam się”.

- Mimo wszystko chcielibyśmy spróbować - nalegał Bondys.

- Panie komisarzu, mówiąc, że jest mocno otumaniona, miałam na myśli półprzytomna. Agata w ogóle nie mówi.

- Ostatnie pytanie, pani doktor. Czy mówi pani coś nazwisko Marzena Pogorzelska?

Lekarka spojrzała na nich z zaciekawieniem.

- A co Marzenka ma z tym wszystkim wspólnego?

Niedziela, 17 XI 1996 r.

49

Rafał kopnął ze złością w metalowy śmietnik przy przystanku. Pojemnik poleciał aż na pobliski trawnik, a śmieci rozsypały się wokół. Kipiała w nim złość. Nie dość, że przejebali mecz, to jeszcze nie mógł nikomu dać porządnie po ryju. Wierzył w życiu tylko w jedno – w WKS Zawiszę i był gotów oddać życie za klub. Wracał właśnie ze stadionu ulicą Gdańską, przez bydgoskie Śródmieście, zwane Londynkiem. Jedno z najbardziej niebezpiecznych miejsc w Bydgoszczy, gdzie mało kto miał odwagę zapuszczać się po zmroku. Uwielbiał tę dzielnicę, zawsze łatwiej było tutaj znaleźć jakiegoś frajera do wpierdolu. Ale dzisiaj jak na złość miasto świeciło pustkami.

– Może byś to sprzątnął, chuliganie? – usłyszał nagle głos za plecami.

Gdy się odwrócił, zobaczył oburzonego emeryta spacerującego z grubym jamnikiem.

– Słucham?!

Nie miał pewności, czy dobrze usłyszał. Spojrzał na zniedołężniałe ciało starca, który kulał na lewą nogę. Wydawało mu się to niemożliwe, że ten dziadek go zaczepiał, ale jednak. Jamnik z kolei tak ujadął, aż z siwego pyska tryskała ślina.

- Powiedziałem, żebyś posprzątał ten bałagan przy śmietniku, chuliganie. Nosisz ten gówniany szalik i uważasz, że wszystko ci wolno?!

- Coś ty powiedział, staruchu?!

Rafał nie zwykł bić starszych ludzi, ale ten sam go sprowokował. Mógł nie obrażać barw Zawiszy, powinien wiedzieć, że to najświętsze symbole dla każdego kibica. Doskoczył do mężczyzny i zanim ten zdążył zareagować, uderzył go pięścią w brzuch. Nawet nie użył do tego specjalnie siły, wszak nie chciał zrobić dziadkowi krzywdy, tylko dać mu nauczkę, ale i tak staruszek zatoczył się i upadł, prosto w rozsypane śmieci. Nie chciał bardziej bić starca, tyle powinno wystarczyć. Jednak jamnik emeryta natychmiast podbiegł do Rafała i ugryzł go w kostkę. Ostre jak szpilki zęby wbiły się boleśnie w ciało. Kibic aż zawył z bólu i drugą nogą odruchowo kopnął psa w pysk. Zwierzę przeleciało dobre dwa metry i zawył, upadając. Z pyska potoczyła się krwista piana, a jedna przednia łapa nienaturalnie się wygięła. Pies skomlał z bólu, krztusząc się krwią.

- Sam możesz se teraz sprzątnąć, dziadku! - wrzasnął Rafał. - Swojego psa z trawnika!

Musiał przyznać, że nauczenie starego gnoja szacunku do kibiców przyniosło mu niewielką ulgę, ale nie czuł się dumny, bijąc starca czy psa. Zwierząt w ogóle nie krzywdził, jamnika kopnął tylko w samoobronie. Bolała go skaleczona kostka. Żeby to małe bydlę tylko szczepione było, bo jeszcze jakiejś wścieklizny dostanie...

Mimo drobnego śniegu, który właśnie zaczął padać, zrobiło mu się gorąco po całym zajściu, rozpiął więc kurtkę. Szedł ulicą Pomorską, między obskurnymi kamienicami. Panowały tutaj

szarość i półmrok. Ustawione rzadko latarnie nie dawały wystarczającego światła, zresztą i tak większość lamp nie działała.

Poprawił swój biało-niebiesko-czarny szalik z nazwą klubu i ułożył równo na piersi granatowe frędzle. Zauważył kilka kropelek krwi na szaliku i zaklął pod nosem. Będzie musiał uprać to od razu po przyjściu do domu. Zwykle matka robiła pranie, ale szalika nie pozwalała jej ruszać. Sam o niego dbał.

Poprawiał właśnie ułożenie klubowego szalika na szyi, tak aby napis Zawisza i charakterystyczna zetka stały się bardziej widoczne, kiedy kątem oka zauważył kogoś w bramie i usłyszał jakiś szmer, jakby czyjeś kroki. W pierwszej chwili pomyślał, że to staruszek, jednak było to mało prawdopodobne. Rafał zostawił go w takim stanie, że tamten nie miał siły wstać. Postać z bramy ruszyła w jego stronę. To z pewnością nie był dziadek od jamnika. Nie kulał, zbyt żwawo się ruszał i miał kaptur na głowie. Nieznajomy podszedł bliżej, a Rafał teraz mógł dostrzec, że tamten trzyma coś w ręce. Czyżby następny naiwniak chciał obrażać barwy jego klubu? Przynajmniej się wyżyje po meczu, zdecydowanie brakowało mu dzisiaj wrażeń!

- Co jest, frajerze?! - zapytał.

Przeciwnik jednak nie odpowiedział, za to bez słowa zamachnął się z dużą zwinnością, czego Rafał kompletnie się nie spodziewał. Zanim zdążył zareagować, zobaczył zbliżający się w jego stronę metalowy pręt i poczuł silne uderzenie w tył głowy. Nie miał najmniejszych szans na reakcję. Przed zapadnięciem ciemności zdążył jeszcze ścisnąć w ręce ukochany szalik i po raz pierwszy od pięciu lat pomyśleć o swoim zmarłym ojcu.



Czwartek, 21 XI 1996 r.

50

Odprawa miała odbyć się z samego rana, jednak naczelnik miał ważne spotkanie z komendantem i rzecznikiem prasowym przed kolejną konferencją prasową, więc przesunęli wewnętrzne spotkanie na trzynastą. Beata zaparzyła kawę dla wszystkich, a Radosław siedział najbliżej miejsca Zygmunta, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i wyglądał jak obrażony pięciolatek. Dotarł też Aleks, a listę obecności uzupełnił zasapany Rybacki, z papierosem w ręku i miną, jakby chciał zamordować wszystkich obecnych.

– Dosyć mam tych pieprzonych gryzipiórków! – warknął zamiast powitania. – Wyobraźcie sobie, że jakiś dziennikarzyna z lokalnej telewizji trzy razy rozpoczynał wypowiedź od słów: „Zważając na fakt, że nieudolna bydgoska policja nie radzi sobie z ujęciem zabójcy...”.

– To akurat prawda – podsumował Bondys.

Rybacki spojrział na niego wilkiem, ale powstrzymał się od odpowiedzi i zaciągnął mocniej tytoniem. Tak naprawdę chyba wszyscy obecni podzielali opinię tego pieprzonego gryzipiórka, włącznie z naczelnikiem.

– Jak wiecie, mamy kilka nowych poszlak, które przez cały czas badamy – oznajmił komisarz i podszedł do tablicy. – Po pierwsze, doktor Rechlicka знаła jedną i drugą ofiarę. Z Pawłem Skokiem była

związana przez dwa lata, a Marzena Pogorzelska podczas zmiany szkoły kilkakrotnie uczęszczała do niej na terapię.

– Jako nieletnia? I rodzice o tym nie wiedzieli? – dopytała Beata.

– No właśnie okazuje się, że przedstawiła się jako pełnoletnia. Rechlicka twierdzi, że nie miała podstaw, żeby nie wierzyć Marzenie. Wygląda to dość dziwnie.

Dopisał nazwisko lekarki do kolumny „Podejrzani” dla drugiej ofiary i podobnie jak w przypadku Pawła Skoka zaznaczył je czerwoną elipsą, a obok dopisał czerwony znak zapytania.

Naczelnik aż klasnął w rękę z zadowolenia.

– No to chyba wreszcie jakiś konkret. Doktorka знаła obydwóch zamordowanych i jeszcze leczyła nieletnią bez zgody rodziców. Od razu widać, że coś tu śmierdzi!

– Obydwoje. – Komisarz nie mógł się powstrzymać.

– Mniejsza o to. – Rybacki machnął ręką. – W każdym razie lekarka od czubków stała się naszą główną podejrzaną. Dlaczego nie mamy nakazu aresztowania?

– Może dlatego, że ta lekarka od chorych psychicznie ma alibi na czas obydwu zabójstw – odpowiedział Bondys. Miał już serdecznie dość określeń „wariatka”, „czubek” i tym podobnych, ale chyba toczył walkę z wiatrakami, próbując poprawiać kolegów.

– Mówiłeś, że obydwoje, a sam mówisz obydwu – burknął Rybacki.

Dupowłaz, jak to dupowłazy mają w naturze, zarechotał, po czym po raz piąty pochwalił „niebiańską, niezwykłą, najlepszą na świecie” kawę Beaty.

– Bo teraz mówimy o zabójstwach, a nie o ofiarach. – Zobaczył niezrozumienie w oczach naczelnika i postanowił wrócić do

głównego tematu. – Za to faktycznie Agata Lewińska zaczyna coraz bardziej wyglądać na podejrzaną i dodatkowo nie wiemy, czy ma alibi.

Komisarz streścił, czego dowiedział się w Świeciu, a kiedy skończył, dodał:

– Niestety nadal nie mogę jej przesłuchać, bo lekarka się nie zgadza. Ale nawet gdyby się zgodziła, to podczas ostatniej rozmowy z Lewińską nie dowiedziałem się za dużo. Dziewczyna jest w takim stanie, że bardzo się jąka i co chwilę płacze, a jej wypowiedzi w żadnym stopniu nie trzymają się kupy, więc sytuacja robi się patowa. Dlatego Beata, Radek, dowiedzcie się wszystkiego o tej dziewczynie. Może coś pominęliśmy podczas szukania informacji o niej? – Zaznaczył podwójną elipsą nazwisko pacjentki Joanny. – A ja wtedy pojedę z nią porozmawiać jeszcze raz.

– Powiem górze, że mamy już podejrzaną! – zawołał Rybacki.

Marek odnosił wrażenie, że naciski z góry i presja ze strony mediów zaślepiają naczelnika, a przynajmniej wywołują w nim dużą chęć jak najszybszego rozwiązania sprawy, nawet bez twardych dowodów. Gdyby jakiś świadek powiedział, że na miejscu odnalezienia ciał widział yeti, Zygmunt chyba też by się ucieszył i myślał o zamknięciu śledztwa.

– Nie chcę studzić twojego entuzjazmu, Zygi, ale na twoim miejscu to bym się jeszcze wstrzymał z przekazywaniem takich wieści.

– Na szczęście nie jesteś na moim miejscu, Maras – warknął naczelnik.

– Góra będzie dużo mniej zadowolona, jak najpierw przyniesiesz im podejrzaną, a później się wycofasz – wyjaśnił komisarz.

- Dobrze, już dobrze. - Zygmunt cmoknął z niezadowoleniem. -  
W takim razie co dalej?

- Beata znalazła koleżankę Marzeny, o której wspominała trenerka. Natalia Szura przebywa z rodzicami w Austrii, więc porozmawiam z nią, jak wróci. - Dopisał ją na liście podejrzanych przy drugiej ofercie, z dużym znakiem zapytania.

- No i jeszcze te obozy łączą ofiary - dopowiedziała Beata.

- Jakie znowu obozy? - Rybacki intensywnie i irytująco machał nogą założoną na nogę.

Tym razem to Beata streściła naczelnikowi historię, którą przedstawiła Bondysowi trenerka Anna Chrapek.

- Tylko kobieta mało pasuje do profilu sprawcy - wtrącił Aleks. -  
Chociażby ze względu na siłę fizyczną czy stopień okrucieństwa.

Rybacki wywrócił oczami i podsumował:

- Czyli tak, druga ofiara pojechała na obóz ze szkołą, w której uczyła pierwsza ofiara. Jakaś lekarka od wariatów zna obydwie ofiary, ale ma alibi na czas morderstw, a jej walnięta w dekiel pacjentka słyszała, jak Rechlicka kłóci się ze Skokiem, a o Marzenie mogła wiedzieć. Jest naszą główną podejrzaną, bo alibi może ma, może nie, ale nie pasuje do profilu. Do tego dochodzi nam motyw domniemanego homoseksualizmu, ciąża Marzeny, chlejąca ciężarna matka oraz żądny kasy biologiczny ojciec. Coś pominąłem?

- Rozmawiałam ostatnio ze swoją współlokatorką - wystrzeliła Beata, a koledzy spojrzeli na nią zdziwieni.

- I? - spytał naczelnik dość sympatycznie, przynajmniej jak na niego.

- Ona jest doktorantką Akademii Techniczno-Rolniczej i mówiła, że dużych ilości octu nie można tak łatwo kupić. - Policjantka się

zaczerwieniła, jakby pożałowała swojej wyrywności. – Chodzi o to, że zabójca gdzieś musi kupować ocet, a przy dwóch ofiarach może to być nawet kilkanaście butelek.

– Starsza sierżant Pachniewicz, po pierwsze mam nadzieję, że właśnie się przesłyszałem i nie rozmawiasz z osobą postronną na temat szczegółów śledztwa. – Rybacki wstał, przez co jego słowa zdawały się mieć jeszcze bardziej strofujący charakter. Po nici sympatii w głosie sprzed chwili też już nie było śladu. – Po drugie, mógł kupować ocet w kilku miejscach, po jedną, dwie butelki, kompletnie nie zwracając na siebie uwagi. Czy ktoś ma coś jeszcze do powiedzenia?

Beata po tych słowach skuliła się i wpatrywała w podłogę.

– Nie, to z grubsza tyle – odpowiedział Bondys, a reszta pokiwała głowami.

– Czy Lewińska pasuje do profilu, czy nie, może jednak znajdź mi coś na tę wariatkę, Maras.

Naczelnik skierował się do wyjścia.

Piątek, 29 XI 1996 r.

51

Natalia Szura mieszkała wraz z rodzicami w podbydgoskim Osielsku. Bondys postanowił tam pojechać od razu po ich powrocie z Austrii.

Komisarz jechał powoli po nieutwardzonej drodze, szukając domu. Kiedy zauważył właściwy numer, znalazł się właściwie pod pałacem, a nie domkiem jednorodzinny. Chociaż, jak dobrze się rozejrzeć, to wszystkie wille dookoła wyglądały na horrendalnie drogie. No cóż, w Osielsku, oprócz zwykłych zjadaczy chleba, mieszkali głównie bydgoscy prawnicy, politycy, lekarze i złodzieje. Jakby na potwierdzenie tej tezy na drzwiach wisiała tabliczka: *Agata Nowak-Szura, Roman Szura – kancelaria adwokacka.*

Wysiadł, podszedł do złoconej bramy i zadzwonił domofonem. Tym razem na szczęście nie wybiegł żaden doberman ani inny czworonożny stróż o farmaceutycznym imieniu, a w drzwiach pojawiła się drobna blondynka. Policjant okazał odznakę i dziewczyna otworzyła bramę. Miała skończone osiemnaście lat, więc Marek mógł rozmawiać z Natalią bez obecności rodziców.

– O co chodzi? Moich rodziców nie ma w domu, więc nie za bardzo mogę wpuścić pana do środka – powiedziała cicho.

– Nie ma problemu, możemy porozmawiać tutaj. Chciałbym zadać ci kilka pytań na temat Marzeny Pogorzelskiej.

- Dobrze, chociaż nie wiem, czy będę w stanie pomóc. Proszę chwilę poczekać. - Cofnęła się do domu, a po chwili wyszła z narzuconą na szczupłe, a raczej chude barki kurtką. - Miałymy ostatnio coraz słabszy kontakt.

- Dlaczego? - spytał komisarz, ustawiając się tyłem do wiatru, który zerwał się niespodziewanie.

- Marzena bardzo się zmieniła, odkąd poszłyśmy do liceum. Ja wtedy przeprowadziłam się z rodzicami do Osielska, więc wybrałam „siódemkę”, bo mam najbliżej stąd na Osiedle Leśne, a Marzena poszła do prywatnego liceum w Pałacu Młodzieży. Wcześniej, w podstawówce, byłyśmy nierozłączne, uwielbiałyśmy spędzać ze sobą czas, a teraz coraz rzadziej się widywałyśmy.

Oczy dziewczyny zaszklily się. Wytarła je szybko rękawem kurtki, zostawiając mokry, czarny ślad na mankiecie, mieszanię łez i tuszu do rzęs, ewidentnie niewodoodpornego.

- To chyba naturalne, skoro mieszkaliście daleko od siebie i uczęszczaliście do różnych szkół? - spytał Marek.

Bacznie obserwował reakcję dziewczyny. Z doświadczenia i lekcji Aleksa wiedział, że czasem dużo więcej można wywnioskować z nerwowego podrapania się czy odruchowego przygryzienia wargi niż z samej werbalnej odpowiedzi. Natalia na przykład miała niewypowiedziany, ale wypisany drukowanymi literami w oczach żal do przyjaciółki o to, że ich drogi się rozeszły.

- Niby tak, ale z kilkoma osobami z podstawówki nadal mam dobry kontakt, mimo że mieszkamy daleko od siebie i chodzimy do różnych szkół. Są też telefony, poza tym nie przeprowadziłam się na drugi koniec świata, więc gdyby Marzena chciała, spotykałybyśmy się częściej. - Złość aż kipiała z rozżalonej przyjaciółki, która znów

otarła dłonią twarz. – Zresztą na początku szkoły średniej widywaaliśmy się regularnie.

– To co się zmieniło w zachowaniu Marzeny?

Bondys postawił kołnierz kurtki i roztarł zziębnięte dłonie. Wcale by się nie pogniewał, gdyby Natalia zechciała go zaprosić do środka, choćby na korytarz.

– Znalazła sobie szybko towarzystwo w nowej szkole i już mnie nie potrzebowała. – Nastolatka spuściła wzrok i ciężko odetchnęła. Komisarz miał wrażenie, że zaraz rozplacze się rzewnymi łzami. – To specyficzne, elitarne liceum dla bogaczy, więc nie każdy może sobie na nie pozwolić. Wydaje mi się, że Marzena po prostu poczuła się przez to kimś lepszym, a to przykre, jeśli pieniądze świadczą o poczuciu własnej wartości.

Komisarz musiał przypomnieć sobie, ile ta dziewczyna miała lat, bo czuł, jakby rozmawiał z osobą wyjątkowo dojrzałą. Nie wiedział, co odpowiedzieć, żeby nie zranić nastolatki. W obecnym stanie zdawała się wyjątkowo krucha.

– Patrząc na dom twoich rodziców i mam wrażenie, że status materialny macie z Marzeną podobny, więc to dość dziwna przyczyna poróżnienia między wami.

Nie chciał, żeby zabrzmiało to kąśliwie.

– I tak, i nie. Moi rodzice też są zamożni, ale zawsze mi powtarzają, że ludzi nie wolno oceniać po pieniądzach, a rzeczy materialne to tylko przedmioty. Dlatego ja nie kupuję ubrań czy butów drogich marek, rzadko dostaję kieszonkowe i wolę je przeznaczyć na inny cel, a dla Marzeny drogie ciuchy i kosmetyki stały się wyrazem prestiżu. Ona sama też się zmieniła, inne wartości stały się dla niej ważne. – Zamyśliła się i wyglądała, jakby miała



zaraz się rozpłakać. – Przepraszam, poczęstuje mnie pan papierosem?

– Palę bez filtra.

– Nie szkodzi.

Bondys podał Natalii do połowy pełną paczkę i zapalniczkę. Zippo miała z jednej strony wygrawerowane logo Slayer, a z drugiej napis „Bondysowi – koledzy”. Dostał ją na czterdziestkę od Kownackiego i Rudnickiego. Dziewczyna nawet nie spojrzała na dedykację na zapalniczce, zakaszłała po pierwszym zaciągnięciu i mówiła dalej:

– Marzena zaczęła zwracać uwagę na wygląd, na to ile kto ma pieniędzy, zmieniła styl ubierania na bardziej wyzywający. Wie pan, krótkie spódniczki, wydekoltowane bluzki, obcasy, zaczęła mocniej się malować i tak dalej.

– A chłopcy? – Spojrzał do swojego notesu. – Sebastian?

Dziewczyna machnęła ręką w odpowiedzi i dodała:

– Z tego, co wiem, to z Sebastianem zerwała jeszcze w wakacje. Ale na pewno wkrótce znalazłaby sobie kolejnego chłopaka.

– A wiesz coś na temat zeszłorocznego obozu sportowego w Funce?

– Niedużo. – Natalia zaciągnęła się i ponownie mocno zakaszłała.

– Wiem tylko, że Marzena chciała tam poderwać jakiegoś chłopaka z „piątki”, ale nie wyszło, chyba jej nie chciał czy coś takiego i znalazła sobie inny obiekt do poderwania. Słyszałam, że jakiegoś żonatego biznesmena, ale to też trwało krótko. Marzena nie przywiązywała się do facetów, raczej się nimi bawiła i czerpała... Korzyści.

Dziewczyna chrząknęła.

– Co masz na myśli pod pojęciem „korzyści”?

– Albo spotykała się z kimś, żeby zaszpanować przed znajomymi ze szkoły, że ma takiego przystojnego chłopaka. Albo... – Zawahała się. – Naciągała facetów na drogie prezenty. Biżuterię, ciuchy, perfumy.

Komisarz zapisał wszystkie usłyszane informacje i postanowił zadać dziewczynie dwa ostatnie, może najważniejsze pytania. Próbował ubrać w ładne słowa niezręczną treść.

– A łączyło was kiedyś z Marzeną coś więcej?

Natalia zaciągnęła się po raz kolejny papierosem.

– Nie, nic. Skąd ten pomysł?

– Myślisz, że mogła być biseksualna albo homoseksualna? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Nie, na pewno nie.

Dziewczyna właśnie przestała patrzeć mu w oczy, a nerwowe kręcenie głową i spięte ciało zdawały się krzyknąć „kłamie!”.

– Ostatnie pytanie. – Bondys nie przestawał obserwować Natalii.

– Wiesz, z kim Marzena mogła być w siódmym tygodniu ciąży?

– Marzena była w ciąży?!

Tym razem zdziwienie dziewczyny wyglądało na autentyczne. Zastanowiła się chwilę.

– Przychodzi mi na myśl tylko jedna osoba.

Policjant wpatrywał się uważnie w Natalię.

– Kto?

Zerwał się jeszcze silniejszy wiatr i poderwał śnieg, tworząc białą zawieruchę.

Dziewczyna cicho wypowiedziała jedno słowo.

Odpowiedź zawisła w powietrzu między nimi.

Sobota, 30 XI 1996 r.

52

Po kilku godzinach omawiania śledztwa, wypisywania i analizowania nowych danych komisarz Bondys i sierżant Pachniewicz zajechali pod znany im adres. Na dworze zapadała ciemność. Odkąd wczoraj poznali potencjalnego ojca dziecka ofiary, ten stał się automatycznie wpisem w kolumnie „Podejrzani”, z czerwoną ramką oznaczającą brak alibi. Oczywiście istniała możliwość, że nie wiedział o dziecku, natomiast nie zmieniało to faktu, że łączył go z nastolatką przynajmniej krótki romans. Jeśli dziewczyna poinformowała go o ciąży, to z pewnością ta wiadomość nie była mu na rękę, a to oznaczało silny motyw.

Beata w czasie jazdy nie odezwała się słowem, zresztą przez kilka ostatnich dni chodziła jak struta. Marek domyślał się, że to pokłosie uwag naczelnika, ale wolał nie drażnić. Następnym razem będzie wiedziała, żeby nie zdradzać tajników śledztwa. Rybacki i tak okazał się dość wyrozumiały, pozostawiając ją bez nagany.

Wysiedli z auta i zadzwonili domofonem. Willa nawet po ciemku robiła wrażenie. Od razu usłyszeli znajome, nieprzyjazne warczenie Aspirynki. Po chwili wyszedł doktor Szadź, w garniturze i pod różowym krawatem. Może pożyczył go od Ewy Braun?

– Dobry wieczór. Żony nie ma. Mogę w czymś pomóc? – zapytał uprzejmie, ale nie wpuścił policjantów do środka i niecierpliwie

stukał butem w próg.

– Chcielibyśmy z panem jeszcze raz porozmawiać – powiedział Bondys.

Zobaczył, że Beata wpatruje się w kontrastujące z czarną sierścią białe kły dobermana, który wyglądał, jakby chciał pożreć ich żywcem.

– Już wszystko powiedziałem i prawdę mówiąc, to nie najlepszy moment na rozmowę. Zaraz wychodzę na andrzejkowy bal ortopedów.

Przymknął trochę drzwi, a trzymając nadal rękę na klamce, dawał czytelny znak rozmówcom, żeby sobie już poszli.

– To, że idzie pan na doktorską popijawę, choć nie pochował pan jeszcze pasierbicy, to pana sprawa. Ale to, że owa martwa pasierbica, zamordowana w brutalny sposób, była z panem w siódmym tygodniu ciąży, to już jest nasza sprawa, więc proszę z łaski swojej zabrać to przeciwgorączkowe bydlę i wpuścić nas do domu – zablefował Bondys.

Brzęk otwieranej przez domofon bramy wybrzmiał, gdy tylko Bondys skończył zdanie. Komisarz od dawna nie traktował drobnych kłamstw jako czegoś złego. Wyznawał raczej zasadę, że lepiej czasem skłamać w imię wyższego celu niż zranić kogoś prawdą. Beata za to spojrzała na niego z wyrzutem, co bynajmniej go nie zdziwiło. Zdażył już zauważyć, że domenę życiową koleżanki stanowiła uczciwość. Nawet trochę jej tego zazdrościł – kiedyś też w taki idealistyczny sposób postrzegał świat i życie wydawało mu się w tamtym czasie łatwiejsze.

Policjanci weszli do środka i zajęli miejsca na kanapie w salonie. Od czasu ostatniej wizyty Bondysa karafkę z whisky znów

wypełniono po brzegi.

– Nie wiedziałem, że Marzena była w ciąży.

Doktor usiadł i schował twarz w dłoniach.

– Cóż, Marzena Pogorzelska miała osiemnaście lat, więc teoretycznie miał pan prawo utrzymywać z nią stosunki seksualne. Moralna strona tej znajomości to zupełnie inna kwestia, na szczęście my się nią nie zajmujemy.

Marek wyciągnął papierosa i zapalił, nie pytając o zgodę gospodarza, który zresztą zdawał się nawet nie zauważyć tego, że ktoś pali w jego salonie.

Lekarz, blady, ale ciągle zachowujący zimną krew, podniósł wzrok na Bondysa i zapytał:

– To właściwie dlaczego państwo przyjechali? Nie chce mi się wierzyć, że tylko po to, żeby poinformować mnie o utracie mojego nienarodzonego dziecka.

Bingo! Doktorek właśnie przyznał się do ojcostwa. Poszło łatwiej, niż Bondys sądził.

– No cóż, jak już sobie tak miło gawędzimy o niespodziewanych ciążach, to dowiedzieliśmy się również, że pana żona spodziewa się dziecka. – Komisarz mówił i jednocześnie patrzył uważnie na mężczyznę, który nerwowo podrapał się po uchu. – To prawda?

Szadz nie odpowiedział od razu, jakby rozważał różne opcje tego, co może powiedzieć. W końcu najwyraźniej postanowił wybrać szczerłość.

– Tak, to czwarty miesiąc.

– O, czyli o tej ciąży pan wiedział. No dobrze, założmy, że w przeciwieństwie do pana, pańska małżonka zachowała wierność. Z mojego punktu widzenia sytuacja prezentuje się następująco:

Marzena była w drugim miesiącu w ciąży z panem, a żona w czwartym, więc przynajmniej raz zdradził pan ciężarną żonę z jej własną osiemnastoletnią córką.

Komisarz zgasił papierosa o podłokietnik skórzanej kanapy, wypalając w nim niewielką dziurę. Beata spojrzała na niego z przerażeniem, jednak Szadź nie zareagował.

– Gdyby pańska małżonka się o tym dowiedziała, pewnie pana życie rozsypałoby się jak domek z kart. Czyż nie mam racji?

Lekarz znów podrapał się po uchu, które już wcześniej się zaczerwieniło.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Że w sumie jakże na rękę jest panu śmierć Marzeny.

Sławomir Szadź zerwał się gwałtownie z krzesła.

– Chyba nie myślicie, że to ja ją zabiłem?!

– Proszę usiąść, panie Szadź – odezwała się po raz pierwszy Beata, którą, jak Bondys się domyślał, mocno zbulwersowała ciąża pasierbicy lekarza.

– My nie jesteśmy od domyślania się czy sądenia. Dowody pokażą, czy to pan zabił z zimną krwią córkę swojej żony i jednocześnie matkę swojego nienarodzonego dziecka, a następnie upozorował zabójstwo na dzieło seryjnego mordercy, czy nie. Na razie chcemy się dowiedzieć, co łączyło pana z Marzeną. Oczywiście oprócz przynajmniej jednego stosunku seksualnego. I czy pana żona o tym wiedziała?

– No co pan?! Oczywiście, że to był tylko jeden raz! – zachnął się lekarz i nalał sobie whisky. Przechylił szklanekę z równą wprawą, co jego małżonka podczas ostatniego spotkania. – Kasiénka wyjechała

wtedy na dwa dni służbowo do Wrocławia. Pokłóciliśmy się strasznie przed jej wyjazdem i...

– I w ramach zemsty pieprzył pan jej córkę?! – Beata uderzyła pięścią w stół. – Co z pana za człowiek?!

– Beata, poczekaj na mnie w aucie. My tutaj z panem doktorem jeszcze chwilę sobie pogawędzimy – powiedział komisarz.

Dziewczyna spojrzała na niego i wyszła, trzaskając drzwiami.

Takiej starszej sierżant jeszcze Bondys nie znał. Podobała mu się ta jej wersja, chociaż miał nadzieję, że z czasem Beata nauczy się trzymać nerwy na wodzy, bo inaczej zaczną utrudniać jej pracę.

– Mógłby pan dokończyć? Pokłócił się pan z żoną, która wyjechała służbowo, co dalej? – spytał Marek, jak gdyby nigdy nic.

– Kasia wyjechała. A ja... A ja się upiłem. Myślałem, że to koniec. Że Kasia mnie zostawi. – Poluzował krawat. – I wtedy przyszła Marzenka. Wróciła z imprezy, ubrana w skąpą sukienkę, mocno umalowana, na wysokich obcasach. Też była podpita. Właściwie mocno pijana, ledwie trzymała się na nogach.

– O co pokłócił się pan z żoną?

– Proszę? – Lekarz spojrzał z niezrozumieniem na policjanta. – A czy to ważne?

– Jeszcze nie wiem, ale to musiało być coś ważnego, skoro bał się pan rozstania.

– Pokłóciliśmy się o tego jej, pożałuj Boże, byłego męża, pijaka. – Machnął ręką. – Ja chciałem Marzenkę chronić przed tym gnojem.

– Szkoda, że przed samym sobą jej pan nie uchronił. I co dalej?

Szadz spuścił wzrok i milczał, więc Bondys kontynuował:

– I co było dalej? Pokłócił się pan z żoną i postanowił wykorzystać pijaną osiemnastoletnią pasierbicę, żeby spędzić miło wieczór? A może zrobić żonie na złość?

Twarz lekarza wykrzywił grymas oburzenia. Szadź otworzył usta, jakby chciał się bronić, ale w końcu odetchnął ciężko i zaczął opowiadać swoją wersję wydarzeń.

– Marzena przysłała do mnie do salonu, oglądałem telewizję. Wyglądała przepięknie, seksownie. Spytała, czy jestem smutny. I... I usiadła tutaj, koło mnie na kanapie. – Wskazał ręką miejsce obok Bondysa, na które komisarz automatycznie spojrział. – Miała spory dekolt, szybko oddychała, jej piersi rytmicznie falowały. Patrzyła na mnie takim... Rozmarzonym wzrokiem. W końcu przygryzła wargę. Nie chciałem tego, naprawdę...

Ojczym ofiary schował twarz w dłoniach.

– Proszę mówić dalej.

– Naprawdę muszę to wszystko opowiadać? – spytał zawstydzony.  
– To krępujące.

– Nie, nie musi pan. Ale i tak zajmuje pan wysokie miejsce na liście podejrzanych, a utajanie informacji dotyczących ofiary z pewnością panu nie pomoże. Poza tym, jeśli wtedy się pan nie krępował, to tym bardziej teraz nie powinien czuć się pan zawstydzony.

– Dobrze. – Lekarz ciężko westchnął. – Marzenka miała rozpuszczone włosy i jeden kosmyk wpadał jej do oczu. Była tak pijana, że nawet tego nie zauważyła, a ja chciałem go odgarnąć i... Gdy miałem rękę przy jej twarzy, zamarzyłem, żeby dotknąć jej policzka, choć przez moment, żeby poczuć jej delikatną skórę pod palcami.



– Skąd pan wiedział, że ma delikatną skórę twarzy? Dotykał pan już jej wcześniej?

– O Jezu, nie! Niech pan mnie nie łapie za słówka! – Szadź uniósł głos, jednak szybko uspokoił się i kontynuował: – Po prostu jej skóra wyglądała na delikatną, jędrną. A kiedy jej dotknąłem, nagle ona mnie pocałowała. Namiętnie, przesuwając językiem po moich wargach. No i stało się. Sam pan widzi, że to Marzena zaczęła, to ona mnie uwiodła!

Bondys zapalił kolejnego papierosa.

– Proszę się uspokoić i opowiedzieć, co było dalej.

– Naprawdę muszę to opowiadać z takimi szczegółami? – zdziwił się mężczyzna.

Bondys wzruszył ramionami, dając mu do zrozumienia, że to jego wybór.

– Całowaliśmy się, a ona w pewnym momencie usiadła na mnie. Opuściła dekolt sukienki i wyjęła piersi ze stanika. Miała nabrzmiące sutki. Rozpięła mi spodnie. Okazało się, że nie miała majtek. Ja byłem już wtedy mocno podniecony, więc... Stało się.

– I co dalej?

– Nie rozumiem.... – Szadź dolał sobie whisky. – Poszliśmy spać. A co niby miało być?

– No nie wiem, rozmawialiście o tym, co zaszło? Ustaliliście, że to będzie sekret przed pana żoną? A może Marzena pana szantażowała?

Lekarz pokręcił przecząco głową i pociągnął tęgi łyk alkoholu.

– Nie, nic z tych rzeczy. Oboje udawaliśmy, że to się nie stało. Poszliśmy spać oddzielnie, ona do swojego pokoju, a ja do sypialni. Rano wstałem o szóstej i pojechałem do pracy, gdy Marzenka jeszcze spała.

- Czyli zostawił ją pan z tym samą?

- A co miałem do cholery zrobić? - Wstał i spojrział w okno. - Przeprosić ją? Podziękować? Podać śniadanie do łóżka i obiecać świetlaną przyszłość we dwoje? A może powiedzieć, że to był błąd? Miałem wystarczające wyrzuty sumienia. Zresztą nie miałem pewności, czy Marzena pamięta w ogóle, co zaszło. Może była zbyt pijana.

- Wiedział pan o ciąży?

- Nie.

- A co by pan zrobił, gdyby pan wiedział?

- Jezu, nie wiem! - Głos mu się załamał. - Ja... Ja naprawdę nigdy nie skrzywdziłbym Marzenki. Ani Kasi.

- Jednak skrzywdził pan je obie - podsumował Bondys, a następnie wstał i zgasił papierosa, tym razem wrzucając go do szklanki z whisky doktora.

Komisarz wyszedł z willi, a doberman od razu łypnął na niego groźnie, ale nie ruszył się z miejsca. Bondys wsiadł do auta, w którym czekała na niego Beata.

- Wiem, dlaczego puściły ci nerwy, ale oboje wiemy, że tak nie może się dziać.

- Przepraszam, ale... - Beata mocno uderzyła otwartymi dłońmi w schowek. - Jak pomyśle, że taki gnój wykorzystał młodą dziewczynę, to mnie aż skręca! Pewnie dobierał się do niej już od dawna, jeszcze zanim skończyła osiemnaście lat. Zboczeniec!

- Odwiozę cię do domu, nie nadajesz się do niczego już dzisiaj.

- Mam auto pod komendą.

- Odbierzesz w poniedziałek, nie powinnaś dzisiaj prowadzić.

- Masz rację. - Beata przymknęła powieki. - Dziękuję.

- Ja wracam do roboty, muszę zlecić test na ojcostwo, a potem pojedę na basen. - Przekręcił kluczyk w stacyjce, silnik cicho zaskoczył. - Też muszę się gdzieś uspokoić.



Pojechał na Astorię, której zimna woda miała ukoić napięcie po całym dniu. Zanurkował i zaczął liczyć płytki na dnie basenu. Liczył je wiele razy i wiedział doskonale, że wzdłuż będzie dziewięćdziesiąt sześć, podzielonych dziewięcioma odpływami, a wszerz dwanaście pomnożyć przez sześć torów, razem siedemdziesiąt dwa kafelki. Czyli całe dno wyłożone zostało za pomocą sześciu tysięcy dziewięciuset dwunastu sztuk. Znał tę liczbę na pamięć. Ale i tak liczył płytki za każdym razem i nigdy się nie mylił. Bycie pod powierzchnią uspokajało go. Lubił pływać przy samym dnie, które przyciągało jego dziewięćdziesięciokilogramowe ciało i zapewniało lżejszy wysiłek. Jego słuch odpoczywał. Umysł też zazwyczaj potrafił odprężyć, nie myśląc o niczym i skupiając się na otaczającej toni.

Teraz jednak nie miał na to szans. Śledztwo za bardzo nim zawładnęło. Myślał o Marzenie Pogorzelskiej, o tym, czy jej ojczym faktycznie byłby zdolny do zamordowania pasierbicy, a jak się okazało – także kochanki.

Nagle, gdy nurkował bliżej głębszego końca basenu, poczuł, że zahaczył o coś nogą – jakby o cienką linę, boleśnie wrzynającą się w skórę dookoła stopy. Próbował się wyswobodzić, lecz ucisk na

prawej kostce zdawał się umacniać i zaciskać. Zaczął szybko wierzgać nogami. Odwrócił się, żeby zobaczyć, co go trzyma, i spróbować się uwolnić.

W dość mętnej toni nie za dużo mógł dostrzec. Miał co prawda okulary do pływania, ale nie korekcyjne, więc ze swoją krótkowzrocznością widział na niewielką odległość. Za to dotknął rękoma i poczuł zaciśnięte wokół nogi cienkie żyłki – pewnie z sita do czyszczenia basenu. Drugi koniec siatki wkręcił się w odpływ na dnie i teraz dosłownie zakotwiczył jego ciało pod powierzchnią. Macał rękoma po śliskim, zagłonym dnie, lecz splątane żyłki były mocno wciśnięte pod metalowy odpływ.

Szansa, że ratownik go zauważy, równała się trafieniu szóstki w lotka z kilku przyczyn. Po pierwsze – pływał dzisiaj sam. Po drugie – zwykle połowę czasu spędzał zanurzony pod wodą, więc ratownik z pewnością nie zwróci uwagi, gdy przez długi czas nie wypłynie. Po trzecie – od kilku tygodni na Astorii pracował jako ratownik student medycyny, który ciągle uczył się do egzaminów, więc miał nos głęboko w atlasie anatomii.

Komisarz szarpał nogą mimo palącego bólu przeciętej skóry. Próbował uwolnić się obiema rękami, ale pętla mocno wbiła się w ciało i przy próbach ruszania tylko bardziej się zaciskała. Czuł nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej. Najdłużej bez wynurzenia wytrzymał sto sześćdziesiąt osiem sekund. Niecałe trzy minuty. Czyli została mu jakaś minuta na uwolnienie się.

Czterdzieści pięć sekund.

Czterdzieści.

Myślał intensywnie, co zrobić.

Trzydzieści pięć.

Ponownie zanurkował na samo dno i spróbował odzepić linki z odpływu. Nic z tego.

Płuca domagały się tlenu. Znów szarpnął nogą z całych sił, pomagając sobie obydwoma rękoma, ale zaciśnięte żyłki ścisnęły jego nogę niczym boa dusiciel w śmiertelnym uścisku wokół swojej ofiary.

Zostało mu jakieś dwadzieścia pięć sekund.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł, dość desperacki, ale ostatni poza pustką w głowie. Postanowił użyć jedynej broni, jaką miał. Pomysł zdawał się ryzykowny, najbardziej ze względu zachłśnięcie wodą, której napłynięcia do ust nie uniknie.

Piętnaście sekund.

Nie miał już jednak innego wyjścia. Czas kurczył się dramatycznie, a ucisk w płucach stawał się coraz dotkliwszy. Bondys podpłynął twarzą do odpływu i z całych sił zacisnął zęby na splątanych żyłkach.

Nic.

Dziesięć sekund.

Żyłki zsunęły się z zębów.

Pięć.

Czuł pieczenie w klatce piersiowej.

Cztery.

Zobaczył mroczki przed oczami.

Trzy.

Udało mu się chwycić siateczkę między zębami i przegryźć część linek.

Dwa.

Zaciskał szczękę z całych sił, których miał coraz mniej.

Jeden.

Ciemność.



## 54

Kiedy się obudził, nie wiedział, gdzie się znajduje ani która jest godzina, czy nawet jaki dzisiaj dzień. Bolała go głowa i rwały plecy. Wiele razy od kogoś oberwał, więc oswoił się z bólem, jednak teraz ledwie go znosił. Otworzył oczy, lecz nie ujrzał zbyt wiele. W pomieszczeniu panował półmrok. Jedynie blada poświata, jakby od latarni, wpadała przez szparę w przysłoniętym oknie, pozwalając dostrzec ogólny zarys pomieszczenia. Leżał na ziemi, ręce miał skrępowane taśmą i przymocowane do jakichś haków w ścianie, tak samo nogi. W efekcie nie mógł się ruszyć w żadną stronę, uwiązany i rozciągnięty na podłodze. Próbował krzyczeć, ale miał zaklejone usta. Teraz dopiero zauważył, że nie ma na sobie żadnych ubrań poza bielizną.

Kurwa! Ktoś go pobił, rozebrał, zakneblował i uwięził w tej norze. Co to za popierdoleniec?! Zaczął charczeć i wydawać różne dźwięki przez knebel w nadziei, że jednak ktoś go usłyszy. Wyginał całe ciało i rzucał się po podłodze jak ryba, jakich wiele łowił z dziadkiem w dzieciństwie.

Próbował z całych sił rozerwać krępującą taśmę. Bez skutku. W końcu stwierdził, że może chociaż uda mu się przewrócić na jeden



bok, a wtedy rozejrzy się dokładnie po pomieszczeniu. Wydawało mu się, że lewą rękę ma lżej związaną i będzie mu łatwiej przekreślić ciało na tę stronę, rzucił się więc na lewo z całych sił. Nic. Drugi raz. Nie udało się. Dodatkowo za drugim razem szarpnął tak mocno, że coś chrupnęło i zabolowało w nadgarstku. Opadł bez sił na plecy i po raz pierwszy od dawna poczuł strach. Pierwotny, paralizujący strach w czystej postaci.

Drzwi otworzyły się powoli. Najpierw pomieszczenie zalała fala tak oślepiającego światła, że musiał zmrużyć oczy i odwrócić głowę, a po chwili, kiedy wzrok się już przyzwyczaił, ponownie spojrzął pod światło i ujrzał postać. Nie widział twarzy. Porywacz miał na sobie dżinsy, workowatą bluzę z kapturem, a na dłoniach czarne skórzane rękawiczki. Zwrócił na nie uwagę, bo sam takie miał, na wypadek gdyby chciał komuś z innego klubu zmasakrować ryj i się nie pobrudzić.

Postać zamknęła za sobą drzwi, podeszła do Rafała i oderwała jednym ruchem taśmę z jego ust.

– Rozwiąż mnie, ty pojebie, to może ci nie wpierdole! No już, rozcinaj te taśmy! Słyszysz?! Już, kurwa! Ty cwelu, pewnie byś się zesrał w gacie, jakbym nie był związany!

Zadławił się własną śliną i musiał odkaszlnąć. Przeciwnik za to nie odezwał się ani słowem. Stał nad nim bez ruchu i wpatrywał się w swojego więźnia.

– No już, rozwiąż mnie!

Oprawca wyjął coś z kieszeni. Rafał zmrużył oczy i przyjrzał się przedmiotowi. Nożyk?

– No wreszcie! Przecinaj tę taśmę, zjebie! – Na tyle, na ile mógł wyciągnął skrępowane ręce w stronę (chyba) mężczyzny. – No tniej,

tylko mnie nie skalecz przy tym.

Porywacz podszedł powoli i kucnął przy rękach Rafała. Sprawdził kciukiem ostrze nożyka. Jednym pewnym ruchem dokonał cięcia.

– Auuuu! Pojebało cię?! Ślepy jesteś?! Rozciąłeś mi łapę, a nie taśmę!

Człowiek z nożem zignorował uwagę i znów się zamachnął, po czym ponownie przeciął rękę Rafała. Tym razem jednak nie zrobił przerwy. Kontynuował, robiąc regularne cięcia na całej ręce. W mgnieniu oka na przedramieniu i ramieniu znalazły się ułożone w jodełkę, kilkucentymetrowe, cienkie rany. Z pierwszych sączyła się już krew, z kolejnych zapewne za chwilę zaczniesz.

– Co ty wyrabiasz?! Co ty, kurwa, robisz?! – Rafał nie mógł zrozumieć, co się dzieje i dlaczego ten świr kroi mu rękę, jednak cała odwaga momentalnie go opuściła. – No weź. Przecież żartowałem, tak tylko gadałem, przecież ci nic nie zrobię. Wypuść mnie. Proszę cię. Proszę! Błagam...

Kat skończył nacinanie pierwszej ręki, a torturowany czuł, jak krew powoli spływa z przedramienia wieloma cienkimi strużkami. Oprawca zrobił nad nim wielki krok. Rafał zamknął oczy, myśląc, że zaraz kopnie go w twarz, jednak ten przeszedł na drugą stronę leżącego i zaczął analogicznie okaleczać drugą rękę.

– Proszę, wypuść mnie. Proszę! – krzyczał Rafał coraz ciszej, właściwie już szeptał. – Dogadajmy się jakoś! Zapłacę ci...

Cały czas wołał, ale po raz pierwszy, odkąd ocknął się w tym piekle, pomyślał, że nie wyjdzie stąd żywy. Nie płakał od czasów dzieciństwa, a teraz czuł dwie spore łzy spływające po jego twarzy. Pewnie niedługo znowu straci przytomność.



Gdy odzyskał przytomność, poczuł ból pleców. Próbował sobie przypomnieć, co się stało. Otworzył powoli oczy. Najpierw oślepiło go światło, a później zobaczył pożółkły sufit, z odłóżką niewielkimi płatami farbą oraz starą przemysłową lampą. Ból pleców próbował wygrać z bólem rąk, głowy i nogi w zawodach na najsilniejsze doznania w organizmie. Na razie wyprzedzał pozostałe o krok, ale zacięty wyścig trwał.

– Ocknął się pan! Całe szczęście! – wykrzyczał młody mężczyzna i podszedł blisko niego.

– Co się stało? – Próbował podnieść głowę, ale poczuł zawroty i położył się z powrotem. Uświadomił sobie, że zupełnie nic nie pamięta. Nie miał też pojęcia, jak długo był nieprzytomny. Kilka minut? Godzin? Dni?

– Nie pamięta pan? – Chłopak pomógł mu usiąść, przytrzymując głowę. – Topił się pan, chyba zakrztusił się pan wodą. Miał też pan jakieś poszarpane kawałki linek w ustach.

– Coś kojarzę.

Skrzywił się z niesmakiem na myśl o brudnych żyłkach, o które zaplątał się nogą na dnie basenu. Odruchowo splunął obok siebie,

nie zważając na rozmówcę, choć ten zdawał się nie zwracać na to uwagi.

– Ostatecznie wypłynął pan na powierzchnię, wtedy pana wyciągnąłem. Przepraszam za plecy, wymusnął mi się pan na kafelkach.

Gdyby Bondysowi nie doskwierała trójka faworytów do medalu za najsilniejszy ból, to by się policzył ze studentem za to wymusnięcie. Z drugiej strony młody ratownik uratował mu życie.

– Właśnie miałem dzwonić po pogotowie, kiedy usłyszałem, że pan się ocknął. Idę zadzwonić po karetkę.

Chłopak zerwał się na równe nogi i ruszył w stronę drzwi.

– Proszę nie wzywać pogotowia. Już mi lepiej – odpowiedział stanowczo Bondys i na dowód swoich słów wstał dość raptownie. Poczł kolejny zawrót głowy i zamroczyło go na chwilę, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Nie? – Chłopak wyglądał na przerażonego. – Powinien pana obejrzeć lekarz. W końcu stracił pan przytomność, może doszło do zachłyśnięcia. Wie pan, to nie przelewki...

– Drogi... – przerwał mu w połowie zdania komisarz, spojrzł na plakietkę z imieniem i mówił dalej: – Mateuszu. Wystarczająco mi pomogłeś, możesz być z siebie dumny, ale złego diabli nie biorą. Czuję się jak młody bóg i spokojnie wrócę do domu o własnych siłach. Dobranoc.

Uściskał ratownikowi dłoń i poszedł do szatni. Ruszał się powoli, czując ból przy każdym kroku. Ubrany tylko w mokre kąpielówki, miał dreszcze. Usłyszał właśnie, jak trybuny szaleją, a kibice skandują głośno, bo ból pleców dobiegł jako pierwszy do mety, zostawiając przeciwników daleko w tyle.

Poniedziałek, 2 XII 1996 r.

56

Kiedy w poniedziałkowy poranek zaparkował toyotę dwoma lewymi kołami na chodniku i wysiadł z samochodu, poczuł ostry ból pleców, który przypominał o wydarzeniach z soboty. Przeszedł na drugą stronę ulicy, mijając dwa przycementarne stoiska wypchane różnokolorowymi kwiatami i zniczami, niczym wielki smok konstruowany przez Chińczyków z okazji Nowego Roku. Słyszał, jak starsza pani targuje się ze sprzedawczynią o ceny chryzantem oraz podaje w wątpliwość ich trwałość. Doświadczona w handlu sprzedawczyni broniła swoich produktów i udowadniała w niekonwencjonalny sposób świeżość kwiatów, potrząsając chryzantemami.

– Widzi pani kochaniutka, prawie żaden płatek nie spada! Świeżuteńkie, postoją pani długo. – Podsunęła kupującej wiechcie do twarzy.

– Kiedyś mi też jedna pani zachwalała, a potem kwiaty padły po dwóch dniach – prychnęła. – A ja bym chciała, żeby pachniały długo mojemu Józkowi na grobie.

Komisarz wszedł bramą na cmentarz. Rozmowa kobiet została w tyle. Szedł powoli między kolejnymi grobami. Mimo że Święto Zmarłych obchodzono miesiąc temu, to pozostawiło ono pokłosie w postaci setek zniczy oraz kwiatów, tych prawdziwych i sztucznych.

Niewielka część zniczy paliła się – na czerwono, żółto i biało. Ułożone na butelkowiezielonym igliwiu, przypominały Bondysowi długi łańcuch lampek choinkowych, tylko że bez początku i bez końca. Ot, kupka poplątanych światełek, z których nie powstanie już bożonarodzeniowa ozdoba. Co roku zastanawiał się, dlaczego dla krewnych jest tak ważne, aby zapalić świeczkę i położyć zwiędłą kalię na grobie bliskich akurat pierwszego listopada. Z całym szacunkiem, ale nieboszczyk dwa metry pod ziemią naprawdę nie prowadzi kalendarza.

Sam wolał przyjść na grób ojca w inny dzień, unikając tłumu. Tym razem trafiło na drugiego grudnia. Zamiast gerber, chryzantem czy innych badyli zwykł przynosić ojcu małąkę żołądkowej gorzkiej i częstował rodziciela jednym poznańskim. Butelkę wódki i papierosa układał przy samej tablicy nagrobnej, obok nazwiska. Czuł, że to najbardziej adekwatny podarunek dla Zdzisława Bondysa. W końcu jego ojciec żył i umarł jako alkoholik i palacz, a nie jako kwiaciarka.

Pomyślał, że byłoby dużo ciekawiej, jakby wszyscy przynosili zmarłym przedmioty z nimi związane. Talia kart dla pokerzysty, tomik wierszy dla miłośnika poezji, biało-niebiesko-czarny szalik dla kibica WKS Zawisza czy pilot do telewizora i piwo dla lenia kanapowego. Przynajmniej dzięki spacerom między grobami można by się czegoś więcej dowiedzieć o lokatorach nekropolii. A tak, pomimo feerii kolorów zniczy i kwiatów zmarli zlewali się w jedną, szarą masę takich samych trupów.

Podszedł do grobu ojca i zauważył czerwony znicz, ustawiony na środku płyty. Świeca w środku jeszcze się tliła. Zastanawiał się, kto mógł przynieść lampkę – przecież nikt z rodziny nie przychodził nigdy na grób. Siostra komisarza nienawidziła ojca, obwiniając go o

chorobę matki; ta nie była w stanie sama jeść czy się podetrzeć, a co dopiero wychodzić z domu, a innej rodziny Zdzisław Bondys nie miał. Może to ktoś z obsługi cmentarza? Lub harcerze w ramach jakiejś akcji typu „Czcijmy pamięć o zmarłych”. Albo coroczny gość, który przychodzi i częstuje się wódką? W końcu rok później flaszki nigdy nie było... Papieros to pewnie szybko przemaka i tyle z niego pożytku, ale wódka na pewno znajduje amatora.

Wyjął buteleczkę zza pazuchy i postawił na zimnej płycie. Wpatrując się w niewielkie czarno-białe zdjęcie ojca umieszczone na tablicy nagrobnej, wyciągnął papierosa i położył obok wódki tuż przy dacie śmierci – dwudziesty czwarty grudnia osiemdziesiątego szóstego roku. Wigilia Bożego Narodzenia. Najbardziej rodzinny dzień w roku. Jednak Marka nie było wtedy z ojcem. Nie śpiewali wspólnie kolęd, nie ubierali choinki, nie dawali sobie prezentów, nie szli na Pasterkę, nie wyciągali ości z przypalonego karpia ani nie jedli czerwonego barszczu z uszkami. Nie spędzali razem świąt, odkąd ojca zwolnili z Zachemu za picie.

Ojciec i syn spotykali się od czasu do czasu. Najpierw Marek próbował wysłać ojca na odwyk, namówić na leczenie. Tłumaczył, prosił, wrzeszczał, potem się poddał, zaakceptował swoją bezsilność i zaczął od czasu do czasu zapraszać Zdzisława na coś do jedzenia przy wódce. Później nawet i takich spotkań zaprzestał, bo ojciec zwykle się spóźniał lub zachlał i nie przychodził wcale. W konsekwencji Bondys junior nie wiedział nawet, gdzie tata przebywał w dniu swojej śmierci ani co robił. Czy był sam? Czy coś mówił, gdy umierał? Czy cierpiał? Po Zdzisławie zostały tylko pytania bez odpowiedzi, wspomnienia lepsze i gorsze oraz sterta zniszczonych, śmierdzących ubrań.

Zdzisława Bondysa znaleziono martwego w Wigilię wieczorem przed blisko dziesięcioma laty. Leżał na Starym Rynku, niedaleko szopki bożonarodzeniowej, tuż za pomnikiem Walki i Męczeństwa.

Zapił się na śmierć.

Właściwie to napił się do nieprzytomności i zamarzł, ale to żadna różnica. Leżał we własnych wymiocinach, cuchnący tanią wodą, ze szlugiem w ręku i w osikanych spodniach.

Kiedy syn załatwiał formalności przy organizacji pochówku, pracownik zakładu pogrzebowego patrzył na niego z pogardą i obrzydzeniem. Ciało ojca trzeba było przecież umyć, przebrać i przygotować. Ubrania nadawały się do spalenia, bo zaległy się w nich wszy, odzieżówki. Żerujące tylko na ubraniach, człowieka nietykające. Ale ojciec miał wszystkie trzy gatunki tych owadów – wszy głowowe i łonowe też miały się świetnie na garnuszku u Zdzisława.

Marek wpatrywał się teraz w grób ojca i nagle uśmiechnął się pod nosem. Pomyślał, że los bywa okrutny w swoich paradoksach i żartach – Bondys senior tyle przeszedł w życiu, a umarł w tak błahy sposób. Mało wyszukany, banalny, wręcz ordynarny. Urodził się tuż po pierwszej wojnie światowej, jako bękart Polki zgwałconej przez niemieckiego żołnierza. Matka nie omieszkała tego wypominać synowi regularnie, narzekać, że wołałaby urodzić kamienie zamiast niego, i marzyć, jak wspaniale mogłoby potoczyć się jej życie, gdyby nie jego narodziny. Dzieci z podwórka i ze szkoły również wyśmiewały się z niego okrutnie. Jako dwudziestoparolatek Zdzisław Bondys przetrwał drugą wojnę światową i okupację hitlerowską, raz nawet pochylił głowę w odpowiednim momencie, kiedy strzelano na Starym Rynku, i znów mu się udało. Szczęście uśmiechało się do



niego wystarczająco długo, by w końcu razem z Bogiem, aniołami i wszystkimi innymi siłami wyższymi zostawić go samemu sobie.

Postanowił zobaczyć jeszcze raz miejsce znalezienia zwłok Marzeny Pogorzelskiej. Nie spodziewał się znaleźć nic nowego, ale skoro już był na miejscu odnalezienia ciała, to nie chciał marnować takiej okazji. Pożegnał ojca skinieniem głowy i ruszył główną aleją. Minął cmentarną kaplicę i znalazł się po przeciwnej stronie cmentarza. Przez chwilę zastanawiał się, czy uda mu się odnaleźć właściwe miejsce, w końcu taśmy policyjne już dawno zdjęto. Szukał jakiegoś punktu odniesienia. W tym momencie ujrzał ogromną stertę świeżych kwiatów i wieńców na grobie Magdaleny Kisiewicz i wiedział, że znajduje się niedaleko.

Grób, o który oparto ciało ofiary, okazał się mogiłą pewnej staruszki nieżyjącej od czterdziestu lat. Nie miała żadnej rodziny, a o miejsce pochówku nikt nie dbał. Z trudem można było rozczytać daty i napisy „Eulalia Krawiec”, „Bóg tak chciał” i coś tam jeszcze. Nie miała nic wspólnego ze zmarłą Marzeną ani z Pawłem Skokiem. Śledczy sprawdzili także groby dookoła, ale zmarłych nic nie łączyło z ofiarami. Oprócz tego, że wszyscy byli obecnie martwi.

Komisarz zastanawiał się, co zabójca chciał im powiedzieć. Sprawca zadał sobie sporo trudu z przygotowaniem całej inscenizacji, ryzykując, że ktoś zobaczy go na cmentarzu i z pewnością nic nie było tutaj dziełem przypadku. W końcu Bondys wpadł na pewien pomysł. Zdjął płaszcz, usiadł na ziemi i oparł się o krzyż, dokładnie w taki sposób, w jaki ułożono ciało Marzeny Pogorzelskiej. Odtwarzał w głowie wszystkie detale z miejsca zbrodni, aby o niczym nie zapomnieć. Wyprostowane nogi, ręce luźno po bokach, otwarte oczy, głowa i plecy oparte o krzyż. Czuł

zimno płyty i wilgoć ziemi. Starał się ułożyć głowę dokładnie tak, jak miała ją ułożoną denatka. Na co patrzyła? Zobaczył przed sobą dziesiątki grobów. Oglądał i czytał nazwiska po kolei, jedno po drugim. Nie wszystkie były czytelne, część zasłaniały drzewa.

Wreszcie znalazł.

Tylko jedno nazwisko rzucało się w oczy. Grób znajdował się teraz dokładnie naprzeciwko niego. Zabójca chciał im coś pokazać.

A raczej kogoś.



Mecz miał się zacząć o siedemnastej, ale kibice Lecha Poznań przyjechali pociągiem już koło południa. Podróżujący z nimi pasażerowie mieli wyjątkowego pecha. Hałas, tłok, plucie, picie piwa, rzucanie puszek, sikanie do zlewów i śmietników, wydzieranie się na całe gardło „Niech zwycięża Lech Kolejorz, niech zwycięża Lech Kolejorz!” to tylko niektóre z niedogodności, które musieli znieść współpasażerowie. Dwóch konduktorów chowało się w swoim przedziale.

Wraz z kolegami czekali na przyjezdnych na dworcu. Dopadli ich, zanim jeszcze ci zdążyli wysiąść z pociągu. Dobrze się przygotowali, zabierając ze sobą kije bejsbolowe, kastety i potłuczone butelki.

Rafał już w momencie, gdy pociąg hamował, wypatrzył sobie ofiarę przez okno. Napakowany, łysy koks z wydziaranym herbem Lecha na szyi. Kojarzył gościa, spotkali się kilkukrotnie. Miał ksywę „Młot”. Wysiadł z wagonu jako jeden z pierwszych, ale nie zdążył nawet się zamachnąć czy zorientować, co się dzieje, kiedy Rafał doskoczył do niego z nienacka i uderzył go mocno pięścią w twarz. Miał rękawiczki, a i tak knykcie go zapiekły. To, co zobaczył przed sobą, sprawiło, że zmarł. Nie myślał, że powali takiego przeciwnika jednym ciosem, raczej, że go ogłuszy lub zyska czas na dalszy atak,

tymczasem „Młotowi”, wbrew logice i prawom fizyki... Odleciała cała głowa. Dosłownie się urwała. Stał teraz przed nim tułów bez głowy, a z rozerwanej szyi świecił biały kręgosłup i wszędzie tryskała krew. Tymczasem pozostali kibice zaczęli grać w piłkę, tworząc dwie drużyny, a reszta kibicowała swoim barwom. Rafał patrzył osłupiały na to, co się dzieje dookoła, i nic nie rozumiał. Chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział co. W końcu ktoś podał głowę „Młota” do niego. Złapał ją w ręce. „Młot” uśmiechał się do niego szeroko i nagle zaczął mówić wesołym tonem:

– No odrzuć mnie do grających, chcę się bawić dalej, na co czekasz, cwelu?

Rafał wrzasnął i trzęsącymi się rękoma odrzucił głowę z obrzydzeniem.

W tym momencie obudził się zlany potem. Musiał zasnąć z wycieńczenia i bólu. Nie wiedział, ile czasu już leżał, ale każda chwila tutaj zdawała się wiecznością. Miał pocięty każdy fragment skóry. Drobne, niegroźne przecięcia, na które zwykle nie zwróciłby uwagi, pomnożone wielokrotnie, stały się nie do wytrzymania. Tworzyły jedną wielką, otwartą ranę. Nie wiedział, co czeka go dalej, ale panicznie bał się, że to jeszcze nie koniec. Czuł się jak wtedy, gdy miał dziesięć lat, a kolejny pijany kumpel ojca przyszedł do niego w nocy.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł jego oprawca. Jak zwykle milczący, opanowany, jakby przyszedł podlać kwiatki, a nie znęcać się nad człowiekiem. Tym razem jednak zachowywał się inaczej niż poprzednio. Na ramieniu trzymał sporej wielkości skórzaną torbę. Rafał darował sobie już krzyki i błagania, które nie przynosiły żadnego efektu – tylko tracił na nie resztki sił. Poza tym za bardzo

piekło go gardło z pragnienia. Zresztą ten zwyrodnialec albo był głuchy jak pień, albo miał kompletnie w dupie jego prośby. Miał do czynienia z psychopatą. Poznał kiedyś takiego kibola Legii Warszawa – też miał pustkę w oczach i lubił znęcać się nad przeciwnikami. Pewnego razu jednemu młodemu z Polonii połamał bestialsko obie nogi, mimo że tamten zdążył wcześniej stracić przytomność.

Rafał obserwował teraz każdy ruch prześladowcy. Ten położył torbę na ziemi, rozpiął zamek i z niemal stoickim spokojem sięgnął do środka. Cały czas zachowywał się po pierwsze tak, jakby nikogo innego nie było w pomieszczeniu, a po drugie zupełnie bez emocji, jakby robił kanapki z dżemem na śniadanie. Co za cholerny sadysta! Wyjął jakąś torebkę. Co to? Położył ją koło jego twarzy. Wyjął również łyżeczkę i uklęknął koło więźnia. Nabrał coś na sztuciec i zaczął posypywać jego skórę.

Rafał wrzasnął jak opętany.

– Aaaaaa!

Pociekły mu łzy od fali bólu. Ścisnęło mu też żołądek – pewnie gdyby coś jadł w ostatnich godzinach, wymiotowałby teraz. Substancja wżerała się w kolejne rany, powodując coraz dotkliwszy, palący ból, a oprawca jeszcze rozchyłał palcami skórę, aby odsłaniać skaleczenia. Kiedy okładał rany na twarzy, kilka ziarenek wpadło Rafałowi do ust i od razu rozpoznał ich smak.

Sól.

Kto posypuje komuś rany solą? Jak chorym trzeba być?! Rafał pomyślał, że to może kara boża za jego wszystkie ustawki i chuligańskie wybryki. Kat za to spokojnie kontynuował otwieranie przecięć na skórze palcami i wsypywanie soli do ran. Zraniona skóra od razu reagowała – wyciekało z niej osocze, a po chwili krew.

Skaleczenia zaogniały się i czerwieniły. Niektóre rany przy otwarciu pogłębiały się albo rozrywały dalej. Jego oprawca zdawał się tym niewzruszony – wykonywał swoją pracę dokładnie i cierpliwie. Wyglądał, jakby nigdzie mu się nie spieszyło, jakby sklejał sobie model samolotu albo układał bukiet kwiatów. Rafał pomyślał, że ten psychol w taki sposób może torturować go w nieskończoność...

Kiedy porywacz otworzył i posypał już wszystkie rany, schował resztkę soli do torby i wstał. Rafał skręcał się z bólu i czuł, jakby ktoś go żywcem podpalił. Najbardziej piekły i parzyły rany na twarzy, w pachwinach i pod pachami. Oddałby wszystko za morfinę, wódkę albo cokolwiek innego, co przyniosłoby ulgę choć na chwilę. Zapłaciłby każde pieniądze, żeby ktoś teraz porządnie uderzył go w głowę do utraty przytomności.

W końcu oprawca odciął taśmę krępującą Rafałowi ręce i nogi. Po takim czasie unieruchomienia i przez okaleczenia ledwie mógł poruszyć zeszywniałymi kończynami. Próbował je powoli przesuwac, ale zalewała go coraz to nowa fala bólu od zastygłych mięśni i piekących ran z solą, które przy każdym ruchu bolały jeszcze bardziej. Kat chwycił go pod ramię i posadził. Stał za nim i pomógł mu wstać. Wszystkie skaleczenia piekły i paliły, stał się ludzką pochodnią. Rafał nie mógł utrzymać się na nogach, ale kat trzymał go spionizowanego.

Pokazał mu, a właściwie prawie przyłożył do jego twarzy, zdjęcie.

– Kto to...?

Prześladowca nie odpowiedział, tylko cały czas pokazywał mu fotografię przed twarzą.

– Nie... Nie poznaję...

Zmrużył oczy i próbował skupić się na zdjęciu, ale nie przypominał sobie nikogo takiego. Pokręcił tylko przecząco głową i zaczął się osuwać na ziemię.

Oprawca chwycił go mocniej pod pachami i podniósł. Rany znów zapiekły, jakby ktoś przejechał po nich papierem ściernym. Rafał najpierw się zachwiał, ale za chwilę udało mu się ustać. Pomyślał, że to jego jedyna i ostanía szansa na ucieczkę. Kat, ciągle przytrzymując go jedną ręką, drugą sięgnął po coś z torby. W tym momencie Rafał z całej siły, jaką zdołał z siebie wykrzesać, uderzył głową w ramię oprawcy. Ten zachwiał się oszołomiony, ale utrzymał się w pionie i w odwecie uderzył mocno swojego więźnia pięścią w twarz. Kibic upadł na kolana i zobaczył, co oprawca wyjął z torby.

– Teraz mnie zarzniesz? Jak jakiegoś świniaka, kurwa?! Błagam, nie zabijaj mnie! – wycharczał Rafał.

Nie usłyszał odpowiedzi. Oprawca trzymał w ręce ogromny nóż, którym zaczął poprawiać nacięcia na klatce piersiowej ofiary. Chłopak nie wiedział, że układają się w litery.

– Błagam!

Łzy leciały Rafałowi po policzkach ciurkiem. Do tego ból paraliżował go, chociaż pierwsza fala palącego piekła po soli przeszła. Chciał żyć. Będzie walczył. Jak o swój klub, z całych sił!

Sadysta sięgnął ponownie do torby. Wyjął dwie butelki z przezroczystym płynem. Może wreszcie da mu wody? Chociaż na razie ten psychol nie wykazał wobec niego żadnych ludzkich odruchów... Nieznajomy odkręcił czerwoną nakrętkę z pierwszej z butelek i dopiero teraz Rafał zdołał dostrzec napis na etykiecie.

Ocet.

„Będzie mnie poił octem jak strażnicy ukrzyżowanego Chrystusa?!”, przemknęło mu przez myśl. Mężczyzna podszedł do niego i wylał mu spokojnie na głowę całą zawartość butelki. Piekielny ogień w każdej ranie powrócił z wielokrotną siłą. Znów płonął żywcem. Ocet napłynął mu też do ust, oczu i nosa, piekąc niemiłosiernie. Zaczął się krztusić i dławić. Dopiero po dłuższej chwili otworzył ponownie szczypiące oczy i zobaczył zawartość torby leżącej na ziemi. O Boże...

Przynajmniej pięć torebek z solą i z dziesięć butelek octu. Teraz dotarło do niego to, co właściwie było oczywistym od początku, tylko nie chciał tego przyjąć do wiadomości.

Nie przeżyje tej nocy.

Znów pomyślał o zmarłym ojcu i jego sadystycznych kumplach.



Wtorek, 3 XII 1996 r.

58

Dochodziła siódma trzydzieści. Dzień zapowiadał się zimny, bury i ponury. Bondys zaparkował pod komendą i wbiegł do środka, pokonując schody po dwa stopnie naraz. Dotarł na właściwe piętro. Zasapany, z impetem szarpnął za klamkę i dosłownie wpadł do biura. Kownacki aż podskoczył na krześle. Oprócz niego w biurze był także policyjny narybek.

– Już wiem, po co ta cała inscenizacja, wiem, co zabójca chciał nam powiedzieć! – wykrzyczał.

– Tak, cześć, ciebie też miło widzieć. – Aleks się uśmiechnął, widząc zapał kolegi. – A czy ty po sobotnim wypadku na basenie nie powinienesz przypadkiem wypoczywać?

– Jakim wypadku? – spytała Beata.

Komisarz machnął ręką i przypomniał sobie, że dzwonił w niedzielę do Aleksa i opowiedział mu całe zajście na Astorii.

– Nic mi nie jest. Otóż chłopak nazywał się Robert Milewski i za dwa tygodnie skończyłby osiemnaście lat. – Podekscytowany ściągał płaszcz, jednocześnie cały czas żywo gestykułując. – Powiesił się w czerwcu.

– Bondys, moment! Jaki chłopak? – spytał Kownacki.

Komisarz dopiero teraz zauważył, że Aleks ma koszulkę z napisem „Najlepszy Tata w całej Galaktyce!” i zdjęciem Hani, wykonanym podczas wakacji nad morzem.

– Na cmentarzu, najlepszy tato. – Uśmiechnął się do przyjaciela, który dumnie rozprostował nadruk. – Wczoraj po południu odwiedziłem ojca, żeby wznieść z nim toast i zapalić fajkę, a wracając, zjrzałem na miejsce, gdzie znaleziono ciało Marzeny.

– Urocze są te twoje rytuały pamięci o Zdzisławie.

– Przecież sprawdzaliśmy to miejsce bardzo dokładnie i nic nie znaleźliśmy – powiedział Radosław z pretensją w głosie.

– Bo szukaliśmy nie tam, gdzie trzeba i nie tak, jak trzeba. Usiadłem na grobie, dokładnie w taki sposób, w jaki ułożono ciało. O tak. – Opadł na swoje krzesło i zaczął demonstrować. – Oparłem głowę też tak samo i zobaczyłem to, na co miała patrzeć ofiara. A właściwie na kogo. Na Roberta Milewskiego. To znaczy na jego grób.

Nalał sobie wody mineralnej, której otwarta butelka stała na jego biurku od kilku dni. Anita zawsze suszyła mu głowę, że pije za mało wody, a za dużo kawy.

– Tam są dziesiątki grobów. Jesteś pewien? – zapytała nieśmiało policjantka, jakby nie chciała urazić komisarza.

– Jak śmierci i podatków. – Upił kolejny łyk wody i niechcący ścisnął plastikową butelkę, która w nieprzyjemny sposób zatrzęszczała. Aż się wzdrygnął. – Zresztą zabójca nie tylko wskazał ten grób, lecz także go oznaczył.

– To znaczy? – spytał aspirant, tym razem chyba z ciekawości, a nie złośliwości.

– Zostawił wskazówkę, która nie pozostawia złudzeń. Pokażę wam, jak tam pojedziemy.

Spotkanie grupy dochodzeniowo-śledczej zwołano na dwunastą. Marek zaparzył sobie porcję smolistej kawy, chociaż ciśnienie miał już z pewnością pod sufitem, i z poznańskim w ustach przeglądał akta. W biurze słychać było tylko tykanie zegara.

– Swoją drogą Bondys, znowu zaniósłeś flaszkę i papierosa Zdzisławowi na grób? – zagaił nagle Aleks, chociaż już o tym rozmawiali.

– Jakoś łatwiej się gada przy wódce i fajce. – Komisarz wyjął dwa pączki z papierowej torebki i zaczął jeść, a właściwie pochłaniać pierwszego. – Przez prawie całe dorosłe życie tylko tak rozmawiałem z ojcem. Nic tak nie spaja dorosłych ludzi jak nałogi. No, może jeszcze problemy, choroba, śmierć i polityka.

– Ale ty prawie nie pijesz.

– No właśnie, tym lepiej się ojcu ze mną piło, bo zostawało więcej dla niego. Brakuje mi tego wspólnego picia. Wiesz, że to już prawie dekada?

– Jak to zleciało... Świeć, panie, nad jego duszą.

– Nie wierzę w dusze, anioły, diabły ani w życie pozagrobowe. – Chwycił drugie ciastko i ugryzł porządny kęs z dużym kleksem marmolady. – Raczej jest teraz uczta dla robaków, które jak odpowiednio wcześniej się do niego dorwały, to jeszcze zdążyły się najebać.

– A jak test na ojcostwo dziecka Marzeny?

– To jeszcze potrwa. – Bondys zgniótł w kulkę papieraek po pączkach, wrzucił do kosza, celując w sam środek, po czym wstał. – Dobra, zbieram się.

Ktoś zapukał do drzwi. Do pokoju weszli starszy funkcjonariusz i dziewczyna.

- Cześć, Marek. Ta młoda dama zgłosiła się przed chwilą na komendę. Twierdzi, że ma ważne informacje dotyczące zabójstwa Marzeny Pogorzelskiej i że chce rozmawiać tylko z tobą.

- Dzień dobry, Natalio. Siadaj. - Marek wskazał jej krzesło po drugiej stronie biurka.

- Mówił pan, że jak coś sobie przypomnę, to mam panu powiedzieć.

- Oczywiście, dobrze zrobiłaś. Mów zatem, co cię sprowadza.

- No...

Dziewczyna zawiesiła głos i spojrzała wymownie na Kownackiego.

- Pójdę do siebie.

Aleks wyszedł z biura i zamknął drzwi za sobą.

- Kawy? - zaproponował Bondys.

- Nie, dziękuję. - Natalia pokręciła przecząco głową. Siedziała skulona i ścisnęła jedną dłoń drugą. - Ale może mnie pan poczęstować papierosem.

- Skąd wiedziałaś, że to ojczym Marzeny był ojcem jej dziecka? - Marek podał dziewczynie paczkę poznańskich, zapalniczkę i kryształową popielnicę, jak zwykle wypchaną po brzegi. - Mówiłaś, że nie miałyście kontaktu od dawna, a Marzena była dopiero w siódmym tygodniu.

- No, właściwie, to tak niezupełnie nie miałyśmy kontaktu.

Ręce tak jej się trzęsły, że nie mogła odpalić papierosa. Bondys przysunął się do niej i pomógł zapalić.

- Chodzi o to, że miałyśmy kontakt, ale nikt o tym nie wiedział.

- Spotykałyście się w tajemnicy? Ale dlaczego?

Natalia nie odpowiedziała. Paliła łapczywie, krztusząc się przy tym jeszcze bardziej niż poprzednim razem.

– Byłyście parą, prawda?

Zapadła cisza, a po długich trzynastu sekundach, które Bondys z przyzwyczajenia odmierzał w głowie, nastolatka pokiwała głową.

– Czyli Marzena była homoseksualna.

– Nie. Ja jestem lesbijką. A Marzena... – Łza pociekła jej po policzku. – Marzena była biseksualna. Byłyśmy parą od podstawówki. Od sześciu lat.

– Od sześciu lat?! – Komisarz nie krył zdziwienia, zaczął też zapisywać nowe informacje w notesie. – Jakim cudem udało wam się tak długo utrzymać związek w tajemnicy?

– Wiedziałyśmy, że nie możemy się ujawnić, nasi rodzice by tego nie zaakceptowali i rozdzieliliby nas na siłę. Moi zaczęli zresztą coś podejrzewać i myślę, że dlatego się przeprowadziliśmy.

No proszę, kolejne robaki wpełzały ze ścian.

– A matka i ojczym Marzeny?

– Matka zwykle była pijana, a ojczym...

Marek pomyślał, że pani Szadz słusznie wyglądała na doświadczoną w wychylaniu whisky.

– Przyłapał nas raz na całowaniu. Domyślił się wszystkiego. Potem ten gnój rozmawiał z Marzeną i obiecał, że nie powie nic żonie, jeśli Marzena...

– Jeśli Marzena się z nim prześpi.

– Tak.

Po twarzy Natalii spłynęły kolejne łzy. Szybko otarła je rękawem.

Bondys starał się panować nad emocjami w pracy, ale złość, a raczej wodospad wkurwienia na ortopedę, który szantażem zmusił swoją osiemnastoletnią pasierbicę do seksu, sięgał niebotycznych rozmiarów.

– No a co z Sebastianem, chłopakiem z obozu i tymi wszystkim facetami Marzeny? – zapytał, odsuwając od siebie wizję, w jaki sposób potencjalni współwięźniowie mogliby przywitać wyrodnego ojczyzna w celi.

– To było na pokaz, żeby rodzice, klasa i znajomi ze szkoły nic nie podejrzewali. Marzena była biseksualna, więc nie przeszkadzało jej się pocałować z jakimś chłopakiem, a ja to tolerowałam, bo wiedziałam, że tylko tak możemy być parą.

– Planowałyście coś dalej?

– Chciałyśmy wyjechać na studia, gdzieś do bardziej tolerancyjnego kraju. Uciec stąd. – Zgasiła papierosa. – Do Holandii, Szwecji, Stanów, obojętnie. Tam mogłybyśmy już w miarę normalnie się spotykać, normalnie żyć.

– Chyba bardzo się kochałyście z Marzeną.

Natalia otarła kolejne łzy długimi rękawami wyciągniętego swetra.

– Marzena była miłością mojego życia.

– Dziękuję, że przyszłaś. To wszystko, o czym chciałaś mi powiedzieć? – upewnił się Bondys. Gdy dziewczyna pokiwała głową, wstał i podał jej opakowanie chusteczek.

– Zrobiłam to dla Marzeny.



Punktualnie o dwunastej czwórka grupy dochodzeniowo-śledczej siedziała już w sali. Za oknem zaczęło niedawno śnieżyć i wyglądało na to, że nasypało już niezłą warstwę białego puchu. Do wieczora pewnie ruch będzie mocno utrudniony.

– Bondys, zaczniemy od ciebie, podobno coś odkryłeś na cmentarzu – rozpoczął naczelnik i od razu zapalił papierosa.

– Tak, wysłałem już tam techników, zaraz do nich dołączymy – rzucił Bondys.

Wstał i wyjął z notesu fotografię, powiększoną do formatu A4. Podał ją przełożonemu.

– To zdjęcie zrobione wkrótce po znalezieniu ciała Marzeny Pogorzelskiej.

Zygmunt spojrział na zdjęcie i odłożył je na biurko.

– Ale to nie jest nowy materiał śledczy, już to widzieliśmy.

– Tak, tylko wtedy nie wiedzieliśmy, czego szukać. Skupiliśmy się na samym ciele denatki i śladach przy nim. – Bondys wziął zdjęcie z biurka i podniósł, żeby wszyscy mogli je zobaczyć. – Zabójca przymocował głowę ofiary nie bez przyczyny. Marzena miała patrzeć w jedno, konkretne miejsce.

– Jakie? – zainteresował się naczelnik.

- Na grób Roberta Milewskiego.

- Kim był ten Milewski? - spytał Rybacki, ewidentnie nadal średnio przekonany do nowej teorii.

- To nastolatek, który odebrał sobie życie w czerwcu.

- Skąd to wszystko wiesz? - dociekał naczelnik.

- Usiadłem wczoraj dokładnie w miejscu i pozycji, w jakiej znaleźliśmy ciało Marzeny. A po drugie...

- Usiadłeś na grobie? Ja pierdołę, Maras, zawsze ceniłem cię jako śledczego, ale prywatnie jesteś kompletnym dziwakiem.

Komisarz uśmiechnął się na te słowa.

- Uznam to za komplement. Wracając do tematu... - Wskazał palcem na jeden z grobów na zdjęciu. - Przyjrzyjcie się tej tablicy nagrobnej.

Zygmunt ponownie wziął do ręki zdjęcie.

- O kurwa! - zaklął, choć jak na policjanta wyjątkowo rzadko używał wulgaryzmów. - Dobra robota.

Teraz każdy po kolei oglądał zdjęcie z cmentarza. Po bliższym przyjrzeniu się płycie nagrobnej Roberta Milewskiego, wyraźnie można było zauważyć przekreślone na czerwono inicjały:

**P.S:**

**M.P:**

- Wygląda na to, że nasz zabójca znów się podpisał, tym razem nie tylko na ciałach - odezwał się Radosław. Równie dobrze mógłby powiedzieć jakikolwiek inny banał, na przykład, że za oknem zrobiło się białe, bo pada śnieg. - Chociaż nie ma stuprocentowej pewności, że to sprawca napisał i skreślił inicjały.



Bondys miał już dwustuprocentową pewność, że nie polubi marudnego kolegi o lotności tuczony gęsi.

– Ale za to chyba mamy dowód na to, że w przypadku obydwóch zabójstw mamy do czynienia z tym samym sprawcą – podsumowała Beata, odchylając się na krzesło.

– Na to wygląda – potwierdził Marek i już wyobrażał sobie, jak Pachniewicz buja się za mocno i spada z krzesła. – Użył jakiejś farby olejnej, bo napisy nie zmasały się od śniegu czy mrozu, ale taką farbę można łatwo kupić.

Policjantka pochyliła się, aby obejrzeć zdjęcie, i w ten sposób odsłoniła i tak dość głęboki dekolt białej koszulki, co nie zostało pominięte przez męską część załogi.

– To nie może być przypadek z tym nastolatkiem. – Beata wpatrywała się w Bondysa, jakby mówiła tylko do niego. – Ten Robert to zapalnik. Chyba możemy przyjąć, że motywem sprawcy jest zemsta.

Komisarz podszedł do tablicy i dopisał pomszczenie Roberta Milewskiego w kolumnie „Motyw” przy obydwu ofiarach.

– Całkiem możliwe. Beata, Radek, spróbujcie ustalić, jak najwięcej na temat tego dzieciaka i jego samobójstwa. Trzeba koniecznie dowiedzieć się, czy chłopak był gejem i czy za to go prześladowano.

Młodzi policjanci pokiwali niemal równocześnie głowami.

– Ja wrócę do rodziny, przyjaciół i otoczenia obydwu ofiar i spróbuję odnaleźć powiązania między ofiarami a Robertem Milewskim. Jeśli zabójca istotnie mści się za śmierć chłopaka, to musimy wiedzieć, co te osoby zrobiły chłopakowi i czy miało to wpływ na jego decyzję o odebraniu sobie życia. No i priorytetem

teraz jest ustalenie kolejnych potencjalnych ofiar zabójcy. Trzeba też obserwować grób Roberta, bo sprawca przy kolejnej ofierze też pewnie skreśli nazwisko.

– Ile mamy czasu? – spytał naczelnik. – W jakim odstępie czasu zginęły ofiary?

U Zygmunta odzywały się czasem nawyki dobrego śledczego, jak stare psy, które od czasu do czasu przypominają sobie lata młodości i zaszczekają głośno.

– Niecały miesiąc. – Komisarz otworzył notatnik na odpowiedniej stronie. – Ciało Pawła Skoka zostało znalezione siódmego października, a Marzeny Pogorzelskiej drugiego listopada.

– A dzisiaj jest... – Naczelnik spojrział w kalendarz. – Trzeci grudnia.

– Czyli pewnie wkrótce znajdziemy kolejnego denata – dokończył Marek i zapadła cisza.

– Co jeszcze mamy nowego? – spytał naczelnik.

– Sławomir Szadź potwierdził, że jest ojcem dziecka Marzeny, chociaż na wyniki testu będziemy jeszcze musieli poczekać. A przed południem na komendę przysłała Natalia Szura, przyjaciółka denatki ze szkoły. I jej dziewczyna od sześciu lat.

Pozostali wyglądali na zaskoczonych, a komisarz dopisał „biseksualność” przy charakterystyce Marzeny oraz dane jej partnerki, po czym streścił rozmowę z nastolatką.

– Już wiemy zatem, dlaczego zabójca wypisał „Homo” na jej ciele – skomentowała Beata.

– Na to wygląda. Chociaż Marzena była biseksualna. Ale zważając na to, że od lat miała partnerkę, zabójca mógł ją uznać za homoseksualną. – Bondys nalał sobie kawy, która stała

przygotowana w sali, za co nie przestawał cenić koleżanki. – Zastanawia mnie jednak, skąd morderca wiedział o związku Marzeny i Natalii. Ta druga twierdzi, że się ukrywały.

– Ale mówiłeś, że rodzice Natalii mogli coś podejrzewać, no i ojczym Marzeny nakrył je na całowaniu? – spytał Radek.

– Może ktoś jeszcze znał prawdę o ich orientacji, sześć lat to szmat czasu. – Marek odstawił kubek z kawą, która tym razem była za słaba i za zimna. – Nie mamy potwierdzonej orientacji homoseksualnej pierwszej ofiary, a jedynie poszlaki, czyli zeznania sąsiadki o rzekomych wizytach młodych chłopaków i nagłe zerwanie z narzeczoną, z którą denat nie współżył.

– Co jeszcze? – spytał Rybacki.

– Tak się zastanawiam... – Beata się zaczerwieniła i poprawiła na krześle. – Nie, nic, to chyba głupie.

– No mów – zachęcił ją Bondys. – Koleżanko, lepiej chlapnąć coś głupiego niż przemilczeć trop, który może pomóc złapać seryjnego zabójcę.

– Po co on nas tak prowadzi? Dlaczego podpisuje zwłoki, pokazał nam listę skreślonych ofiar, wyrył napisy „Homo” na ciałach, oznaczył grób Roberta? – Wyliczała na palcach. – Jakby... Jakby robił wszystko, żeby ułatwić nam pracę. Jak gdyby chciał zostać złapany.

– Bo on w pewnym sensie chce, żebyśmy go złapali – potwierdził Marek.

– Co ty mówisz? – prychnął Radosław. – Żaden zabójca nie chce być schwytany!

– Mówię o tym, że jeśli mamy do czynienia z motywem zemsty za czyjąś krzywdę, to sprawca chce nam i całemu światu pokazać cierpienie tej osoby, za którą się mści.

- Dobrze, ale ja czegoś nie rozumiem - odezwał się Radosław. - To motywem sprawcy jest zemsta za samobójstwo tego chłopaka czy zabójca nienawidzi pedałów?

- A może to się jakoś łączy? - odpowiedział Bondys. - Pytanie, kim był ów Robert i czy miał coś wspólnego z homoseksualizmem.

- Dowiedzmy się czegoś o tym chłopaku i będzie można wtedy wnioskować - przerwał mu Zygmunt i patrząc na zegarek, dodał: - A co z tą pomyłką Lewińską? Miller, coś znaleźliście?

- A właśnie, odkryliśmy chyba dość ciekawy szczegół z jej życia - odpowiedział dumny z siebie aspirant, po czym zamilkł.

W końcu naczelnik nie wytrzymał.

- Mógłbyś się podzielić tą informacją?

Radosław uśmiechnął się i odwrócił do Rybackiego.

- Jezu, mówże, Miller, do cholery! - Zygmunt wyraził myśli Bondysa i pewnie pozostałej dwójki.

- Lewińska to morderczyni.

W sali zapadła cisza.



Jechał zdecydowanie za szybko, jednak miał świadomość, że w obecnej sytuacji czas nie należy do grona jego sprzymierzeńców. Gdy okazało się, że Agata Lewińska dziesięć lat temu zamordowała napastnika podczas próby gwałtu, wiedział już, że musi natychmiast pojechać do szpitala w Świeciu. Żałował, że nie oddelegował wcześniej Beaty i Radka, aby dokładnie sprawdzili historię Lewińskiej, albo że nie zajął się tym sam. Informacja wyszła przypadkiem od sąsiadki, a potem została potwierdzona przez policjanta prowadzącego sprawę; w papierach Agaty jakimś dziwnym trafem było czysto. Nie zmieniało to faktu, że ta sama kobieta, która znalazła ciało Pawła Skoka i przez następną godzinę robiła Bóg jeden raczy wiedzieć co, dekadę wcześniej zadała Tomaszowi Gileckiemu siedem ran kłutych nożem. Żaden z ciosów nie okazał się śmiertelny – niedoszły gwałcieł zemdłał, a następnie wykrwawił się na śmierć. Nie ustalono jednoznacznie, czy Agata zadawała ciosy także po utracie przytomności przez oprawcę, ale istniała taka ewentualność. Zamordowany był z zawodu rzeźnikiem, miał blisko dwa metry wzrostu i ważył sto dwadzieścia kilogramów. Lewińska była drobną kobietą, dziesięć lat temu właściwie

dziewczyną, więc musiała wpaść w istny szal, żeby pokonać tak silnego przeciwnika. Nie wezwała pomocy, gdy Gilecki się wykrwawiał. Według jej zeznań nie pamiętała ani momentu ataku, ani zabójstwa – biegły psychiatra orzekł krótkotrwałą utratę pamięci na skutek szoku. Dodatkowo okazało się, że wtedy – wyłącznie dzięki orzecznictwu lekarskiemu – nie uznano Agaty za niepoczytalną, ale w końcu sąd stwierdził obronę konieczną i dziewczynę uniewinniono.

Biegłym psychiatrą, który pracował przy sprawie sprzed lat, był doktor Patryk Żukowski – obecny zastępca dyrektora szpitala w Świeciu, której to placówki Lewińska była pacjentką od lat. Na korzyść oskarżonej w sądzie zeznawała doktor Joanna Rechlicka – jej obecna lekarka, która w dodatku leczyła też drugą ofiarę. Bondys nie wierzył w przypadki, a na pewno nie w takie. Dlaczego psychiatra nie powiedziała mu prawdy? Przecież oczywistym było, że przeszłość Agaty wyjdzie na jaw. A może Rechlicka miała pewność, że nikt się nie dowie, bo tak doskonale ukryli sprawę. Co jeszcze próbowała zataić?

Miał żal do siebie, że nie przypilnował wcześniej tak podstawowej kwestii. Co prawda prosił Radka o sprawdzenie kartoteki wszystkich świadków i potencjalnych podejrzanych, ale nie zweryfikował później jego wyników. Miller z kolei tłumaczył się, iż uznał, że skoro Marek jedzie do psychiatryka, żeby porozmawiać z Agatą i jej lekarzem prowadzącym, to przy okazji sprawdzi jej historię choroby i kartotekę. I tak oto piłka spadła na boisko dokładnie między nich dwóch i leżała tam aż do teraz.

Czasu nie dało się cofnąć, szukanie winnych też nie miało sensu, ale mimo to komisarz czuł się podle. Choć nie przychodziło mu to z

łatwością, to musiał sam przed sobą przyznać, że od początku podświadomie wykluczył schizofreniczkę z kręgu podejrzanych. Wiedział o ciężkiej chorobie Agaty, a jednak intuicja podpowiadała mu, że każdy może być zabójcą, tylko nie Lewińska. Bo byłoby to stereotypowe. Bo wszyscy i tak dawno wydali na nią wyrok. Bo widział w jej oczach jedynie lęk i beznadzieję. Zapomniał jednak, że to właśnie strach, zaszczucie czy wykluczenie są doskonałymi motywami. I zapomniał o obiektywizmie w pracy.

W końcu krętymi uliczkami Świecia prowadzącymi raz w górę, raz w dół – niczym we włoskim miasteczku – dojechał na parking. Popędził w stronę bramy. Zdażył zapalić papierosa i kilka razy łapczywie się zaciągnąć, ale gdy doszedł do wejścia, zgasił w połowie wypalonego poznańskiego. Na razie ta niewielka dawka nikotyny musiała mu wystarczyć.

Wszedł, a właściwie wtargnął z impetem do szpitala, rzucając jedynie „Dzień dobry, ja do doktor Rechlickiej”. Mimo sprzeciwu starszej kobiety z rejestracji ruszył szybkim marszem w stronę gabinetu, w którym ostatnio przyjmowała go lekarka. Pędząc korytarzem, słyszał kroki rejestratorki podążającej za nim i jej nawoływanie. Nie zatrzymał się jednak ani nie odwrócił. Po chwili otworzył drzwi pokoju, a Joanna aż podskoczyła na krześle. Tuż za nim wbiegła rejestratorka.

– Przepraszam, pani doktor, próbowałam zatrzymać tego pana – powiedziała, dysząc.

– Nic się nie stało, pani Renato – zapewniła lekarka, siląc się na uśmiech. – Proszę nas zostawić samych.

Rejestratorka otworzyła usta, jak gdyby chciała coś dodać, ale ostatecznie tylko skinęła głową, obdarzyła jeszcze policjanta wrogim

spojrzeniem i opuściła gabinet.

– W czym mogę pomóc, panie komisarzu?

Bondys nie rozumiał, po co była ta cała gra ze strony lekarki. Przecież musiała zdawać sobie sprawę, po co przyjechał.

– Zdaje się, że ostatnio nie powiedziała mi pani całej prawdy, pani doktor. – Rozsiadł się na krześle i doprecyzował, aby skrócić czas dyskusji: – Na temat przeszłości Agaty Lewińskiej.

– Nie rozumiem.

Odgarnęła kosmyk krótkich włosów za ucho, poprawiła okulary i znów próbowała się uśmiechać. Marek zaczynał mieć serdecznie dosyć tej zabawy w kotka i przyglupią myszkę. Może taktyka spokoju i uśmiechu okazywała się skuteczna podczas sesji terapeutycznych z pacjentami, ale na niego w tej chwili działała jak płachta na byka.

– Dziesięć lat temu Agata Lewińska została oskarżona o zabójstwo. Podczas procesu pani zeznawała jako świadek, natomiast zastępca dyrektora szpitala wystawiał opinię psychiatryczną! – ryknął. – Będzie lepiej dla wszystkich, jak natychmiast zacznie pani mówić prawdę!

Joanna znów się wzdrygnęła, pobladła momentalnie, a z jej twarzy zniknął sztuczny uśmiech.

– Istotnie powinnam wspomnieć o tamtym incydencie...

Albo Rechlicka grała idiotkę, albo faktycznie nią była.

– Incydencie?! – wrzasnął i walnął pięścią w stół. – Czy pani siebie słyszy?! To było zabójstwo w afekcie, w dodatku wyjątkowo brutalne! Napastnik znacznie przewyższał fizycznie Agatę, dokładnie tak jak w przypadku morderstwa Pawła, ale gdy pytałem panią, czy Lewińska byłaby zdolna zabić rosnącego mężczyznę, odpowiedziała pani lakonicznie, że tak jak każdy! Za chwilę zostanie pani oskarżona



o utrudnianie śledztwa w sprawie zabójstwa! Czy teraz pani rozumie?!

Joanna spuściła wzrok jak zawstydzona mała dziewczynka.

– Jest pewien problem – wyszeptała.

Bondys spojrzał na nią zdziwiony.

– Jaki znowuż problem?!

– Agata nie wróciła z przepustki. – Kobieta ciągle mówiła niezwykle cicho.

– Wpuściła pani na przepustkę schizofreniczkę zamieszana w sprawę zabójstwa?! Dlaczego pani tego nie zgłosiła? – Komisarz spojrzał na swój zegarek. – O której wyszła? Bez samochodu daleko nie ucieknie.

Rechlicka wpatrywała się teraz w jedno miejsce na blacie biurka, jak gdyby zobaczyła tam coś niezwykle cennego. Komisarz odruchowo spojrzał w to samo miejsce, po czym powrócił wzrokiem na twarz kobiety. Czuł, że za chwilę zupełnie straci cierpliwość.

– Pani doktor, o której, do ciężkiej cholery, Lewińska wyszła ze szpitala?!

Znów uderzył pięścią w stół, a wtedy psychiatra podniosła trochę głowę i spojrzała na niego.

– Miesiąc temu...

Komisarz opadł bezwładnie na krzesło i schował twarz w dłoniach. Dotarła właśnie do niego smutna prawda: w tej grze to on okazał się wyjątkowo głupią myszką.

Lekarka zaczęła się tłumaczyć, że szukała podopiecznej, że przez cały czas miała nadzieję, że ją odnajdzie, że coś tam jeszcze.

Przestał słuchać.

Agata Lewińska mogła być wszędzie.

Środa, 4 XII 1996 r.

61

Od czasu wypadku wszystko go irytowało. Wychodząc z wanny, nie zauważył wody na kafelkach – chwila nieuwagi, poślizgnął się i nieszczęście gotowe. Ze złamanym obojczykiem i gipsem na pół ciała nie miał jak chodzić do pracy, więc od ponad miesiąca siedział w domu i zajmował się dzieckiem. Żona przejęła jego obowiązki na straganie z warzywami. Do tej pory tylko czasem pomagała mężowi w pracy, na co dzień opiekowała się córką, ale w obecnej sytuacji uznali, że to najlepsze rozwiązanie, aby zamienić się rolami.

Starali się z żoną o dziecko przez kilka lat. Kiedy nadzieja już gasła, a oni tracili siły i oddalali się od siebie, niespodziewanie okazało się, że Emilia jest w ciąży. Przyszli rodzice od razu oszaleli na punkcie swojego maleństwa. Martusia, dzisiaj już sześćioletnia, była ich całym światem. Jednak po długich pięciu tygodniach codziennej opieki nad córką Sławomir marzył o chociaż jednym dniu spędzonym w samotności.

Postanowił zabrać córkę na sanki. Stwierdził, że tylko w ten sposób będzie w stanie rozładować nieposkromioną energię sześciolatki.

Po kilku minutach szarpaniny w końcu udało mu się założyć kurtkę, szalik i wsuwane buty. Teraz przyszła kolej na córkę. Na szczęście dziecko już było w stanie w dużym stopniu ubierać się

samodzielnie, więc tylko podawał córce rzeczy i czekał, aż oboje będą gotowi do wyjścia. Zdążył się przy tym spocić, ale wolał sam grzać się dłużej w ciepłych ubraniach, niż żeby córka się zgrzała – później czekałaby go opieka nad przeziębioną latoroślą, co w jego obecnym stanie fizycznym i psychicznym mogłoby okazać się nieosiągalnym wyzwaniem.

Mieszkali na parterze, na co Sławomir od zawsze narzekał – że hałas, że wszyscy brudzą, że niebezpiecznie i tak dalej. Za to tego dnia, z gipsem, żywiolową Martusią i sankami, wyjątkowo cieszyło go zaledwie kilka schodów do pokonania. Kiedyś trzymali sanki, rowerek i inne sezonowe zabawki córki w piwnicy, ale po ostatnim włamaniu, kiedy zniknęło z niej dosłownie wszystko, włącznie z kompotami z rabarbaru, zdecydowali się cały dobytek przechowywać w mieszkaniu. Mieli tylko dwa pokoje – salon, który pełnił też funkcję sypialni rodziców, i pokój córki. Na szczęście pojemny pawlacz w przedpokoju odgrywał swoją rolę doskonale i nawet udawało im się utrzymać mieszkanie względnie niezagracone.

Pogoda zachęcała do aktywności na dworze – lekki mróz, słońce, spora warstwa śniegu i prawie zupełny brak wiatru. Postanowił zabrać córeczkę na pobliski stadion Chemika. Teren był ogrodzony, więc łatwiej przypilnować dziecko, z korony stadionu można było bezpiecznie zjeżdżać na sankach, no i, co było chyba najważniejsze dla niego, droga z ich bloku na stadion zajmowała najwyżej pięć minut.

Kiedy dotarli na miejsce, Sławomir i tak czuł, że zgrzał się straszliwie, a spocona skóra zaczyna go irytująco swędzieć pod gipsem. W dodatku miał sporą zadyszkę i dostał kolki. Pomyślał, że kiedy skończy się jego rekonwalescencja, musi poważnie zastanowić

się nad zrzuceniem brzucha, który, odkąd mężczyzna skończył czterdzieści lat, rósł niekontrolowanie.

Uśmiech na twarzy córki rekompensował wszystkie niedogodności. Marta aż piszczała ze szczęścia, zjeżdżając kolejny raz ze stadionowej korony. Sławomir ze spokojem rozsiadł się na jednej z niewielu ocalałych po aktach wandalizmu ławeczkach i obserwował dziecko.

Marta nagle przybiegła do ojca. Nie mógł powstrzymać śmiechu, gdyż miała śnieg na czapce, kurtce, a nawet na nosie – wyglądała jak mały bałwanek.

– Tatusiu, a mogę pobawić się z lodowym panem?

– Martusiu, to zmyślona postać, o której opowiadałem ci bajkę wieczorem. Tak naprawdę lodowy pan nie istnieje.

Sławek bał się, że dziewczynka zaraz się rozpłacze, ale ku jego zaskoczeniu, uśmiech z jej twarzy nie zniknął.

– Właśnie że istnieje! I tam siedzi! Jest taki, jak mówiłeś! Zimny, cały z lodu i z groźną miną. Tylko się nie rusza i nie chce się ze mną bawić. Chyba śpi. – Marta chwyciła ojca za zdrową rękę i zaczęła go ciągnąć. – Chodź, pokażę ci!

Wstał i nie chcąc robić dziecku przykrości, poszedł za córką. Kiedy zaczęli iść między kolejnymi rzędami ławek dla kibiców, ujrzał go. Podeszli bliżej, a wtedy mocno przytulił córkę, zasłaniając jej oczy.

– Martusiu, musimy natychmiast wracać do domu.

– Ale ja chcę jeszcze pojechać!

– Wiem, kochanie, wrócimy tu jeszcze, obiecuję.

Chwycił mocno sześciolatkę za rękę i zaczął iść szybkim krokiem w kierunku furtki. Serce waliło mu w piersi, jakby chciało

wyskoczyć z ciała. „Jezu, tyle razy byłem tu z moją Martusią”, pomyślał z przerażeniem. Wiedział, że jak najszybciej musi zadzwonić po policję. Na pogotowie z całą pewnością było już za późno. Mężczyzna był siny, miał fioletowe usta i z pewnością nie żył.

Nie mógł żyć z poderżniętym gardłem.



Poranna odprawa grupy dochodzeniowo-śledczej odbywała się o godzinie dziewiątej. Już o ósmej czterdzieści pięć przyszli Beata i Radosław, naczelnik tego dnia miał wolne, więc zaczęli spotkanie w trójkę.

– Jak wiecie, pojechałem wczoraj do Świecia. Agata Lewińska nie wróciła z przepustki, na którą wyszła drugiego listopada. – Domalował wielki, czerwony wykrzyknik przy jej nazwisku w tabeli. – I to ona w tej chwili stała się naszym głównym podejrzanym.

– Ale jak to możliwe, że zniknęła miesiąc temu i nic o tym nie wiedzieliśmy? Dlaczego komisariat w Świeciu nas nie powiadomił? – spytała Beata.

– Bo nikt nie zgłosił zaginięcia – odpowiedział Bondys i spostrzegł, że dzisiaj policjantka ubrana jest w szary, gruby golf. Może jednak zauważyła ostatnio niedwuznaczne spojrzenia kolegów i wyciągnęła słuszne wnioski.

– Jak mogłeś nie wiedzieć, że w szpitalu nie ma głównej podejrzanej, Maras?! – wrzasnął Rybacki, wchodząc z impetem i najwyraźniej rezygnując z urlopu w związku z nową informacją. –

Od rana wydzwania do mnie góra i muszę odpowiadać na pytania, czy jesteśmy normalni! Jaki masz plan?!

Komisarz odczekał chwilę z odpowiedzią. Postanowił nie odpierać zarzutów przełożonego. Nie dlatego, że obawiał się kłótni czy nie chciał tracić czasu, ale dlatego, że zgadzał się z nim całkowicie.

– Rozesłaliśmy zdjęcie Lewińskiej do wszystkich jednostek, szukamy jej.

– Proponuję też dołożyć upublicznienie wizerunku podejrzanej przez media – zaproponował Radosław.

Zygmunt rozsiadł się, tym razem na biurku komisarza, i spojrzał na Millera trudnym do rozszyfrowania wzrokiem.

– Może to jest jakiś pomysł. Przynajmniej będę miał pismaki z głowy, a oczy niezadowolonego społeczeństwa skupią się na Lewińskiej, a nie na mnie.

Komisarz chciał zwrócić naczelnikowi uwagę, żeby nie siadał na biurku, przy którym jada posiłki, ale w tym momencie Zygmunt sam wstał i poszedł do wyjścia.

– Może jednak uda mi się dzisiaj skorzystać z urlopu.

– To nie ona. – Bondys usłyszał swój własny głos.

Nie chciał się narażać Rybackiemu, zwłaszcza po sprawie niezauważonego zniknięcia Lewińskiej, jednak targały nim zbyt silne wątpliwości, żeby milczeć.

– Co ty znowu bredzisz, Maras? – warknął przez zęby naczelnik. – Chyba naprawdę chcesz mi do reszty spierdolić urlop, a sobie karierę.

Komisarz podszedł do tablicy, gdzie w kolumnie „Sprawca” Kownacki wypisał w trakcie śledztwa cechy zabójcy.



- Lewińska kompletnie nie pasuje do profilu stworzonego przez Kownackiego. Po pierwsze, sprawca działał precyzyjnie, o czym świadczą równe cięcia, w dodatku w stałej liczbie przy obydwu ofiarach, a schizofrenik w czasie ataku nie zachowuje się racjonalnie czy logicznie. - Pokazywał palcem po kolei punkty. - Po drugie, sprawcą według Aleksa jest mężczyzna. Po trzecie zabójstwa zostały skrupulatnie zaplanowane, co też kłóci się z obrazem przerażonej i zagubionej w czasie Lewińskiej.

- Maras, przestań pieprzyć! Aleks bywa pomocny, ale też się myli, a ta wariatka już kiedyś pokazała, co potrafi zrobić osobie znacznie silniejszej od niej, więc nie chcę słuchać tych wywodów. Masz znaleźć Lewińską, koniec kropka.

Nim Bondys zdążył odpowiedzieć, usłyszał trzask zamykanych drzwi.

- A co udało wam się ustalić na temat Roberta Milewskiego? - zmienił temat, zwracając się do młodszych kolegów.

Aspirant nie rwał się do odpowiedzi, za to sierżant otworzyła swoje notatki, które nawet z daleka zrobiły dobre wrażenie - wszystko wypisane w punktach, niektóre dane zaznaczone na czerwono.

- Jak już wiemy, chłopak powiesił się szóstego czerwca tego roku. Miał zaledwie siedemnaście lat. Zrobił to we własnym pokoju, kiedy był sam w domu. Mieszkał z matką i ojczymem, którzy wyszli tego dnia na procesję Bożego Ciała. Biologiczny ojciec chłopaka zmarł na raka kilka lat temu. - Beata odchrząknęła i kontynuowała: - Podobno chłopak zostawił krótki list pożegnalny, ale nie za dużo w nim wyjaśnił.

- A jesteśmy w stanie ustalić, kto wezwał pomoc? To może być ważny trop. Jeśli nasz zabójca mści się za śmierć Roberta, to może właśnie on widział moment samobójstwa chłopaka i wezwał pomoc.

- Znaleźli go matka z ojczymem po powrocie z procesji. Ze względu na święto wszystkie stragany na osiedlowym rynku i sklepy dookoła były zamknięte, a większość mieszkańców Wyżyn poszła na procesję albo zrobiła sobie długi weekend i wyjechała za miasto.

- A mamy coś jeszcze? Jakies powiązania Roberta z ofiarami? - spytał Marek, pakując sobie całe ciastko do ust.

- Tak. Robert Milewski uczęszczał do piątego liceum ogólnokształcącego, w którym uczył Paweł Skok. Co prawda klasa Roberta nie miała lekcji ze Skokiem, ale udało nam się ustalić, że klasa chłopaka miała parę razy mieszany WF z klasą prowadzoną przez Skoka - odpowiedział Miller, który dziś miał całkiem nienaburmuszoną jak na niego minę.

- Czyli teoretycznie mógł znęcać się nad Robertem podczas wspólnych lekcji - stwierdził Marek. - A Marzena Pogorzelska? Coś łączyło ją z tym chłopakiem?

Radosław pokręcił przecząco głową.

- Na razie szukamy.

- Porozmawialiśmy też z matką i ojczymem Marzeny, tak samo z bliskimi Pawła Skoka - dodała Pachniewicz. - I nic. Nikt nie kojarzy Roberta.

- Całkiem sporo dowiedzieliście się od wczoraj, brawo, młodzieży.

Bondys podszedł do tablicy i zaczął analizować materiały dotyczące Marzeny Pogorzelskiej. Palił przy tym papierosa, więc Miller poszedł w jego ślady. W sali zrobiło się szaro od dymu. Beata

westchnęła i otworzyła okno. Jako jedyna niepaląca w zespole nie miała łatwo, ale się nie skarżyła.

– Mówiłeś, Radek, że Robert miał czasem lekcję ze Skokiem? – Komisarz zgasił papierosa w kryształowej popielniczce. Wczoraj ją wyczyścił, a już prawie zdążyła się zapełnić. – To może pojechał na obóz w Bory Tucholskie w maju razem z Marzeną Pogorzelską?

– To możliwe... – zastanowiła się na głos policjantka. – A wiemy, jak miał na imię ten prześladowany na obozie sportowym chłopak?

Bondys zaczął wertować zeszyt. Po chwili znalazł odpowiedź.



## 63

Przed jedenastą na komendę przyjechała Anna Chrapek. Bondys czekał już w sali przesłuchań.

– Pani Chrapek, zdjęcie przedstawia Roberta Milewskiego, ucznia piątego liceum. – Bondys położył fotografię na biurku przed kobietą.  
– Proszę się przyjrzeć i powiedzieć, czy to jest ten chłopak, którego prześladowano w maju podczas obozu sportowego w Funce?

Anna wzięła do ręki zdjęcie i uważnie się przyglądała. Komisarzowi zdawało się, że kobieta ogląda zdjęcie przez całą wieczność.

– Chłopak, któremu dokuczano podczas obozu, miał krótsze włosy. I chyba był szczuplejszy.

– Chłopak na zdjęciu jest szczupły.

– Tak, ale tamtego z obozu określiłabym chudym.

Dopisał przymiotnik w notesie przy opisie prześladowanego nastolatka.

– Ale to ten sam chłopak – powiedziała stanowczo i oddała komisarzowi fotografię.

– Jest pani pewna?

– Tak, nie mam żadnych wątpliwości. – Kiwnęła głową. – Dobrze zapamiętałam jego twarz, miał takie smutne oczy.

– I to jego prześladowali inni uczestnicy obozu?

– Tak, wyzywali go od pedałów i chudych patyków. Popychano go i pluto na niego. – Skrzyżowała ręce i pogłaskała się po ramionach, jakby nagle ogarnął ją chłód na tamte wspomnienia. – Najgorsze jednak było odizolowanie od grupy. Nikt nie trzymał się z nim, nie rozmawiał, nie spędzał czasu, nie chciał grać w jednej drużynie. Był niewidzialny. Próbowałam coś z tym zrobić, ale nie da się sprawić, aby pozostali uczniowie polubili kogoś. Panie komisarzu...

– Tak?

– Myślę, że temu chłopakowi trzeba pomóc, może jakiegoś psychologa dobrego załatwić, porozmawiać z rodzicami albo...

– Przykro mi. – Bondys pokręcił powoli głową. – Za późno. W czerwcu Robert powiesił się.

– Boże... – Trenerce zaszkliły się oczy. – Powinnam coś wtedy zrobić... Wszyscy jesteśmy winni jego śmierci...

Nie odpowiedział. Anna Chrapek miała rację – mimo że bezpośrednią przyczyną zgonu Roberta było samobójstwo, to pośrednio zabójców nastolatka znalazłoby się wielu.

Podziękował kobiecie i wrócił do biura. Rano do piekarni nie dowieziono pączków, więc na śniadanie Bondys miał dwie drożdżówki z kruszonką. Rozpakował pierwszą i zaparzył sobie kawę. Streścił zespołowi, czego dowiedział się od trenerki.

– Wygląda na to, że mamy motyw i ewidentne powiązanie ofiar z Robertem Milewskim. Teraz musimy jak najszybciej przewidzieć kolejne ofiary – powiedział do Beaty i Radka, dopisując samobójstwo Milewskiego do motywu obydwu zabójstw.

- Może winna jest matka Roberta, czyli Maria Milewska albo jego ojczym, Grzegorz Musiał? - Tym razem to Beata podeszła do tablicy i zapisała nazwiska przy personaliach chłopaka. - Być może nie akceptowali homoseksualizmu syna i to popchnęło go do samobójstwa?

- Musimy porozmawiać z nimi i z najbliższym otoczeniem Roberta, żeby zrozumieć, co popchnęło chłopaka do zamachu na własne życie - rzucił Bondys i upił niemal wrzącą kawę, czując, jak pobudza jego umysł już od momentu dotknięcia skóry warg.

Poranne ugodowe nastawienie Millera okazało się jednak chwilowe:

- Myślałem, że skupiamy się na poszukiwaniach Agaty Lewińskiej?

W tym momencie zadzwonił telefon na biurku Bondysa.

- To pewnie Aleks chce zapytać, czy Anna Chrapek rozpoznała Roberta, zapomniałem do niego zadzwonić. Halo? - zapytał i wysłuchał rozmówcy, po czym odłożył słuchawkę, a właściwie rzucił ją na widełki. Wstał bez słowa i odwrócił się do okna.

- Co się stało?

Bondys zignorował pytanie Beaty. Wpatrywał się w przestrzeń. Na parapet przyleciał szary gołąb z białym ubarwieniem dookoła szyi. Stał nieruchomo i tylko przekręcał głowę, patrząc na policjanta. Najwyraźniej ptak był przyzwyczajony do widoku człowieka, bo w ogóle się go nie bał.

Pachniewicz wstała.

- Co jest?

Bondys w szybie widział, jak jej odbicie zbliża się do niego.

- Znaleźli kolejnego trupa. Spóźniliśmy się. - Zgasił papierosa, odwrócił się powoli od okna, wziął głęboki oddech i z całych sił uderzył pięścią w biurko. - Kurwa mać!

Gołąb zerwał się gwałtownie i odleciał.



Kiedy dotarli do stadionu bydgoskiego Chemika, od razu zauważyli właściwe miejsce na koronie, wokół którego tłoczył się spory tłumek gapiów. Znowu to samo. Bondys nie mógł zrozumieć fenomenu zjawiska gapienia się na miejscu zbrodni, wypadku czy innego nieszczęścia. Absolutnie zawsze znajdowała się grupa osób, która z żądzy sensacji ustawiała się przy taśmie policyjnej i wpatrywała w tragedię niczym w najlepszy seans filmowy. Część, gdy zobaczyła już, co się stało, i nasyciła swoją pierwotną ciekawość, odchodziła. Spora grupa natomiast zostawała i dalej wgapiiała się jak sroka w gnat. Chociaż wszystkie sroki wpatrzone w gnat by już dawno odleciały, a wgapiacze zawsze zostawali. Wyglądali jak jedna ludzka masa zlaną w całość, niczym wielogłowa hydra. Jedno ciało z wieloma rozdziawionymi gębami i wytrzeszczonymi oczami, wpatrującymi się w ten sam punkt. Nawet ich głosy zlewały się w jeden hałaśliwy bełkot.

Przeciskał się teraz między kolejnymi głowami mitycznego potwora, schodząc na dół między ławeczkami dla kibiców, a za nim podążali Beata i Radosław. Po drodze słyszał głosy gapiów:

– To na pewno jakiś przestępca, groźny bandyta! – stwierdził starszy pan opierający się na kuli, nie kryjąc przy tym ekscytacji. –



Od razu widać, że to recydywa.

– Nie, nie, to bardziej wygląda na porachunki gangsterskie – odpowiedziała matka trzymająca kilkumiesięczne dziecko na rękach.

– Dokładnie, na sto procent mafia! – wtórowała jej kobieta w ciąży, chwytając się za głowę. – Boże, to już do nas dotarło. Wołomin, Pruszków, widziałam w *Wiadomościach*.

– Albo baba! Baba go tak urządziła. Może ją zdradzał? – Staruszek nie odpuszczał i przepchnął się do przodu przed dwie osoby.

– Do czego to doszło?! Ja się pytam, gdzie jest policja w tym kraju?! – lamentowała pewna pani w średnim wieku.

– Tutaj jestem, droga pani, i proszę mnie przepuścić z łaski swojej.

Bondys przesunął ostrożnie kobietę i dalej torował sobie drogę między wgapiaczami. Tuż za nim podążała para młodych policjantów.

Na miejscu czekał już technik i dwóch funkcjonariuszy z patrolu, którzy przyjechali jako pierwsi do zgłoszenia. Niemal nagie ciało mężczyzny zostało przymocowane do płotu przy samym boisku. Denat skierowany był plecami do korony stadionu, a przodem do boiska. Wisiał przywiązany za ręce do ogrodzenia, a bezwładne ciało opierało się kolanami o beton. Ofiara wyglądała, jakby klęczała i modliła się twarzą do boiska, niczym Żydzi do świętej ściany, tylko z rękoma w górze. Całą powierzchnię skóry pokrywały liczne cięcia, tak dobrze znane z poprzednich zbrodni. Do pleców przybito gwoździem karteczkę, na której widniał napis:

RAFAŁ GNYK

6 LAT

KIBOL

– Wiemy, kiedy zginął? Bo jeśli chodzi o przyczynę, to mogę się domyślić.

Bondys wyciągnął swój notatnik i spojrzał na Antka Jasińskiego, pięćdziesięcioparoletniego technika, który pomimo znacznej łysiny i mrozu nie nosił czapki.

– Z osiem, może dwanaście godzin temu – odpowiedział Antoni.  
– Wygląda na poderżnięcie gardła, tak jak ostatnio, ale więcej powie wam lekarz po sekcji.

Komisarz pochylił się i próbował dojrzeć litery na ciele denata, ale nic nie zauważył.

– A co z napisem na klatce piersiowej?

– Jakiś na pewno jest, ale przy tym ułożeniu ciała niewiele widać, właściwie tylko jedną pionową kreskę pierwszej litery. Czekam na resztę ekipy, żeby zdjąć i odwrócić zwłoki.

„No tak, pionowa kreska od litery H”, pomyślał Bondys, rozglądając się dookoła. Patrzył w ciało wielogłowej, ludzkiej hydry, szukając kogoś, kto nie wgapia się z ciekawości, ale z dumą i brakiem emocji patrzy na swoje dzieło. Nikogo takiego nie znalazł. Zobaczył za to, jak nadchodzi prokurator, który sporą sylwetką znacznie wyróżniał się z tłumu.

– Dzień dobry, komisarzu – przywitał się i od razu podszedł bliżej ciała.

Bondys skinął głową w odpowiedzi na przywitanie. Beata i Radek rozmawiali z technikiem z boku.

– Zabójca powrócił – stwierdził bardziej, niż zapytał Gaura.

- Na to wygląda.
- Myślisz, że to Lewińska?
- No cóż, nie mamy pojęcia, gdzie przebywa.

W tym momencie starszek najgłośniejszym komentarzem wydarzenie krzyknął:

- Dobrze mu tak, to na pewno bandyta, ma za swoje!

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

No tak, właściwie niepotrzebnie szukają sprawcy. Społeczeństwo ewidentnie nie miało za złe sprawcy zabójstwa kibola.



Wpatrywała się w lustro, widząc jego twarz zamiast swojej. Znów mogła być nim, a on nią. Bił od niego spokój, którego tak potrzebowała. Powoli przyłożyła rękę do szkła i pogładziła go po miękkim zaroście, czując jednocześnie przyjemne głaskanie na swojej twarzy. Już w dzieciństwie rodzice mówili czasem do niej Kubulek, ze względu na Kubusia Puchatka. Dla mamy i taty były to tylko niewinne żarty, ale ona naprawdę czuła, że czasami staje się Kubą. Nie chciała być mężczyzną, po prostu lubiła wcielać się w Kubę. Oczami wyobraźni widziała rosnącego bruneta z dużymi bicepsami, a nie bezbronną, drobną dziewczynę. Mogła wtedy góry przenosić i wierzyła, a raczej w dzieciństwie wierzyła, a później już tylko chciała wierzyć, że nie boi się niczego.

– Tu jesteś, Agatko! – usłyszała radosny głos Magdy wchodzącej do pokoju.

Odkąd jej przyjaciółka wróciła po raz pierwszy od lat, przestała czuć się samotna. Uściskały się serdecznie na przywitanie.

– Myślisz, że to, co robimy, jest dobre? Jakby nie patrzeć, skrzywdziłyśmy tych ludzi...

- Ciii... - Magda przyłożyła jej palec do ust. - To nie nasza wina. Czasem nie da się nie krzywdzić. Tak już po prostu jest.

- A jak ktoś się dowie, co zrobiłyśmy?

- Nie myśl o tym, Agaciu. - Poglaskała ją czule po twarzy. - Przecież jesteś teraz, prawda?

Agata uśmiechnęła się. Faktycznie, jak o tym teraz pomyślała, to mogła z czystym sumieniem przyznać, że zaznaje szczęścia. Uśmiechnęła się szeroko, a później roześmiała w głos. Przyjaciółka jej zawtórowała.

- Wiesz co? Chodźmy na cmentarz! - zaproponowała Magda.

- Jak to? - Rozejrzała się po pokoju. Za oknem zmierzchało. - Teraz? Przecież robi się ciemno.

- Tak, teraz! Odwiedzmy go, tak dawno z nim nie rozmawialiśmy! Jemu mrok nie przeszkadza.

Agata zastanowiła się przez chwilę, wpatrując się w nadchodzącą dużymi krokami noc. Magda miała rację - godzina była bez znaczenia, liczyło się tu i teraz. Musiała przyznać, że też się za nim stęskniła.

Wzięła płaszcz z wieszaka przy drzwiach i wzięła buty. Rękawy płaszcza musiała podwinąć, a paskiem mocno się związać w talii. Okrycie pewnie należało do rosnącego mężczyzny. Nie szkodzi. Ważne, że gruba podszewka zapewniała skuteczną ochronę przed zimnem. Magda jak zwykle miała na sobie tylko letnią, kwiecistą sukienkę. Kiedyś Agatę dziwiły te nieadekwatne do pogody stylizacje przyjaciółki, ale z czasem przywykła. Magda zawsze powtarzała, że ma gorące serce. Spojrzała teraz na jej ręce - nawet nie miała gęsiej skóry.

Przez otwartą furtkę weszły na cmentarz. Śnieg rozjaśniał mrok nocy, a świecące kolorowe znicze tworzyły magiczny klimat. Alejki między sektorami odśnieżono i posypano piachem, co znacznie ułatwiało poruszanie się. Dotarły do właściwego sektora. Agata strąciła biały puch ze starej drewnianej ławki i rozsiadła się wygodnie na tyle, na ile było to możliwe na dwóch wąskich deskach. Spojrzała w górę, na dorodny świerk, a w tym momencie pod wpływem delikatnego powiewu wiatru spadło na jej twarz trochę śniegu z bujnej korony. Uśmiechnęła się i pomyślała, że to drzewo nie lubi, gdy się na nie patrzy. Rozumiała je. Przez lata choroby zbyt wiele osób patrzyło na nią oceniającym wzrokiem, jak gdyby byli lepsi od niej. Opuściła wzrok i dopiero wtedy spostrzegła, że Magda zniknęła jej z pola widzenia.

Wstała i zaczęła nerwowo się rozglądać, wołając przyjaciółkę, ale właśnie wtedy ją dostrzegła. Na początku nie mogła uwierzyć w to, co widziała. Obraz przed nią wydawał się kompletnie nierealny, jakby wyjęty prosto z baśni. Dziewczyna tańczyła między grobami w rytm niesłyszalnej muzyki, z niesłychaną gracją mimo panującego półmroku, a jej zwiewna sukienka falowała na wietrze. Krwistoczerwone maki na ubraniu Magdy kontrastowały z bielą śniegu i czernią nocy. Obracała się wokół własnej osi coraz szybciej, wystawiając ręce do góry i zmysłowo kręcąc głową na wszystkie strony. Jej jasne, długie włosy unosiły się przy każdym ruchu, tworząc wyjątkowe zjawisko.

– Wracajmy już! – krzyknęła do płaszącej przyjaciółki, jednak ta zdawała się nie słyszeć jej słów. – Madziu, proszę, wracajmy, jego tutaj nie ma!

Dziewczyna zatrzymała się w miejscu, jakby ktoś ją odczarował albo wyłączył muzykę i spojrzała na nią surowym wzrokiem.

– Ale przyjdzie! – odpowiedziała, a właściwie zaskowyczała. – Przyj-dzieeee!

Oczy Magdy zaświeciły się na czerwono, dokładnie na taki sam kolor, jak lampki nagrobne dookoła. Ciągłe powtarzała „przyj-dzieeee” mechanicznym głosem, jak gdyby pochodził nie od człowieka, ale z robota albo...

Albo z zaświatów.

Kuba i jego odwaga zniknęły.

Agata zaczęła biec co sił w nogach w stronę wyjścia.

Potrzebowała pomocy.

Potrzebowała Joanny.

Natychmiast.

Czwartek, 5 XII 1996 r.

66

Kiedy Bondys dotarł do pracy około ósmej rano, Beata i Radosław czekali już na niego. Chwilę po dziewiątej do biura przyszedł, a właściwie wpadł z hukiem, naczelnik.

– Ofiara to Rafał Gnyk, o czym poinformował nas zabójca – zaczął Marek po tym, jak skinął głową przełożonemu.

– On robi z nas debili. Podpisuje nam ofiary, jakbyśmy nawet tego nie potrafili ustalić – podsumował Zygmunt.

– Albo bardzo mu zależy, żebyśmy na pewno prawidłowo je rozpoznali. Chce wyraźnie pokazać całemu światu winowajców śmierci Roberta.

– Może też nie chce, żebyśmy się skupiali na ofiarach, bo nie są ważne dla niego, i poświęcali czas na ich identyfikację – włączyła się Beata. – Chce wskazać nam najważniejszą dla niego osobę, czyli Roberta Milewskiego.

– Podpisanie ofiar przez sprawcę, żeby umniejszyć ich znaczenie, niezły pomysł – zamyślił się Bondys i zapisał na tablicy. – Radek, sprawdziłeś Gnyka? Wiemy coś o nim?

– Tak, Rafał Gnyk, pseudonim „Gnyku”, dwadzieścia sześć lat, kibol ze sporą kartoteką. Mieszkał z matką i bratem w kamienicy przy Pomorskiej. – Miller wstał jak do odpowiedzi w szkole i



recytował informacje, wypatrując reakcji naczelnika. – Ma na koncie pobicia, ustawki, kradzieże.

– Nic nie znaleźliśmy na temat orientacji seksualnej ofiary – dodała Beata. – Nie mamy żadnych dowodów ani nawet poszlak, że Gnyku mógł być gejem.

– Nawet jeśli, to na pewno by się nie przyznał – zarechotał Zygmunt. – Spotkałaś kiedyś kibola, który otwarcie mówi, że woli chłopców? A wiemy o związku ofiary z Robertem Milewskim?

Naczelnik spojrział na Millera, który tylko zaprzeczył głową, a Pachniewicz po usłyszanych właśnie słowach zaczerwieniła się.

– Dobra, a co z facetem, który znalazł ciało?

– To sprzedawca warzyw. Ma obojczyk w gipsie i poszedł z córką na sanki – wyjaśniła sierżant, ciągle z pąsami na twarzy. – Właściwie to dziewczynka znalazła ciało.

– Boże... – westchnął Rybacki.

Cokolwiek mówić o nadkomisarzu, upadku jego ideałów czy zmianie priorytetów przez lata służby, to wrażliwość na krzywdę dzieci miał niezmienną. Nawet w czasach, zanim jeszcze sam został ojcem, był na nią wyczulony.

– Na szczęście mała nie rozumie, że to okrutne zabójstwo. Myśli, że spotkała postać z bajki... – Sierżant zrobiła pauzę. – Za to jej ojciec jest w szoku.

– Dobra. Beata, Radek, pojedziecie do domu ofiary poinformować matkę i brata o śmierci Gnyka, a przy okazji może dowiedziecie się czegoś więcej. – Bondys rozpisywał zadania. – Ja zajmę się dziś przesłuchaniem jego kolegów z kibolskiego świątka, a na jutro Rudnicki powinien mieć już przygotowane wyniki sekcji,

choć wszystko wskazuje na to, że mamy zbrodnię-kalkę w stosunku do pierwszego i drugiego zabójstwa.

Młodzi policjanci pokiwali głowami, a na Radka twarzy jak zwykle malowało się niezadowolenie z jakiegoś tam powodu.

– Maras, a co z tą wariatką? – Rybacki nerwowo bawił się spinaczem znalezionym na biurku. – Chyba ostatnio wyraziłem się jasno, że to jest priorytet tego śledztwa?! Do gazet i telewizji poszło zdjęcie Lewińskiej, ale wy też moglibyście się wysilić! Ona jest niespełna rozumu, nie mogła aż tak dobrze się ukryć!

Bondys nadal nie był przekonany co do winy Agaty Lewińskiej, kompletnie niepasującej do profilu sprawcy, ale wolał przemilczeć tę uwagę. Zauważył, że przełożony kontynuuje swój monolog, więc ocknął się z rozmyślań i na powrót zaczął słuchać.

– ...więc może pogadaj z jej rodzicami czy sąsiadami jeszcze raz i ustal, gdzie może przebywać.

– Z pewnością państwo Lewińscy są teraz trochę zajęci chronieniem się przed dziennikarzami po tym, jak obwieszczono w mediach, że ich córka to psychopatyczna seryjna morderczyni. A sąsiedzi w poszukiwaniu sensacji pewnie zgłoszą ze sto różnych miejsc, gdzie może aktualnie przebywać Agata. Ale tak, ciągle sprawdzamy ten trop.

Rybacki już chciał coś powiedzieć, ale w końcu machnął tylko ręką i wyszedł. W pomieszczeniu zapadła krępująca cisza.



Beata i Radek jechali przekazać najbliższym informację o śmierci Rafała Gnyka. Po ostatnim spięciu i przeprosinowym bukietcie Radosław zmienił swoje nastawienie, a przynajmniej nie okazywał już marudno-czepialskiej postawy. Co prawda przy Bondysie bywał nadal trochę złośliwy, ale Beata odbierała to jako taką zwykłą męską rywalizację.

Podjechali pod kamienicę przy Pomorskiej. Przeszli przez zardzewiałą bramę i dotarli do klatki od strony podwórza. W jednym z okien na parterze straszyły resztki szkła po wybitej szybie, przy śmietniku leżało stare, połamane krzesło i fotel bez obicia z wystającymi z niego sprężynami. Na trzepaku bawiły się dwie dziewczynki. Zwiślały głowami w dół, zaczepione pod kolanami o metalowy stelaż i machały warkoczami, sprawdzając, która ma dłuższe włosy. Pomimo zimna nie miały czapek, a ich kurtki wyglądały na mocno już sfatygowane. Widok dwóch obcych osób nie zrobił na nich żadnego wrażenia. Spojrzały tylko w ich stronę i jak gdyby nigdy nic kontynuowały zabawę.

Weszli po trzeszczących schodach na drugie piętro. Ze względu na brak dzwonka Radosław zapukał solidnie kilka razy w drzwi. Cisza. Jeszcze raz. W mieszkaniu naprzeciwko zaczął głośno

szczebrać pies. W końcu zza drzwi usłyszeli zachrypnięty głos kobiety:

– Czego?

– Policja, proszę otworzyć – odpowiedział głośno aspirant.

– Nie będę z wami gadać, nic nie zrobiłam.

– Pani Gnyk, proszę otworzyć. Mamy informację na temat pani syna, Rafała – doprecyzował.

– Jak coś znów przeszkrobał, to nic nie poradzę.

Kobieta uchyliła drzwi, zamknięte nadal na łańcuch. Beata mówiła najspokojniej, jak tylko potrafiła.

– Pani Heleno, proszę otworzyć, to naprawdę ważne.

Po chwili namysłu matka denata przymknęła drzwi, żeby odpiąć łańcuch, i w końcu otworzyła.

Zniszczona cera, obrzęknięta twarz, pożółkłe od tytoniu zęby, a do tego szczupła postura i wysoki wzrost utrudniały oszacowanie wieku – Helena Gnyk mogła mieć zarówno czterdzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Mimo że rozmawiali, stojąc na progu, bo kobieta nie chciała wpuścić policjantów do mieszkania, to Beata poczuła duszący zapach nikotyny i dawno niewietrzonego mieszkania.

– Przykro mi, ale pani syn nie żyje.

Starła się powiedzieć to delikatnie, ale wiedziała, że nie ma słów, które złagodzą tę wiadomość.

Kobieta patrzyła przez chwilę oniemiała, a następnie zaczęła osuwać się po ścianie. Radosław zdążył chwycić ją za ramiona i uchronić przed upadkiem. Weszli do środka i położyli Helenę Gnyk na kanapie. Radek spytał, czy wezwać pogotowie, ale kobieta powiedziała, że nie trzeba. Przyniósł jej szklanek wody, a Beata

uchyliła okno. Wnętrze przytłaczało smrodem, brudem i ubóstwem. Dawno nie oglądała tak smutnego pomieszczenia.

– Gdzie jest pani drugi syn, pani Gnyk? – spytała, martwiąc się o dziesięcioletniego brata ofiary.

– Filip jest u mojej matki – wychrypiała, siadając na kanapie. – Miałam mieć dziś gości.

Dopiero teraz Pachniewicz zauważyła dwie półlitrowki taniej wódki ustawione na stole na białej, a właściwie szarawej serwecie.

– Ma pani siłę jechać z nami, żeby zidentyfikować ciało? – odezwał się Miller.

Beacie jego pytanie wydało się zbyt szorstkie, ale Helena Gnyk pokiwała głową, wstała i poszła się ubierać.

Zawieźli kobietę do Zakładu Medycyny Sądowej na identyfikację zwłok. Po drodze milczeli. Beata nie wiedziała, co ma powiedzieć, Radek chyba też nie, a matka ofiary nieruchomo wpatrywała się w szybę samochodu. Kiedy weszli do prosektorium, Rudnicki czekał już na nich i zaprowadził do właściwej sali. Ciało leżało na stole, przykryte białym prześcieradłem.

– Czy jest pani gotowa? – spytał aspirant.

Koleżanka zauważyła, że stanął dość blisko kobiety, pewnie na wypadek, gdyby miał ją znów asekurować przy upadku. Helena Gnyk wzięła głęboki oddech i pokiwała głową.

– Dobrze, więc powoli odsłoń teraz twarz – powiedział Marcin Rudnicki i zdjął materiał z głowy ofiary.

Beata pomyślała, że lekarz pewnie chce oszczędzić kobiecie widoku reszty okaleczonego ciała mężczyzny.

Helena wpatrywała się w twarz martwego chłopaka. Podeszła bliżej i pogłaskała go po głowie.

– Pani Gnyk, czy to pani syn, Rafał? – spytał Radek.

Potwierdziła skinieniem głowy, a później dodała ciche „tak”. Lekarz zakrył ponownie twarz prześcieradłem, a Beata odprowadzała roztrzęsioną kobietę do wyjścia, kiedy nagle ta ponownie zachwiała się i tym razem upadła.

– Pani Gnyk?! – Policjantka ukucnęła i delikatnie poklepywała twarz kobiety, jednak bez rezultatu. – Radek, wezwij pogotowie!

Kwadrans później matce zmarłego podano środki uspokajające i zabrano ją na obserwację do szpitala. Beata i Radek szli do samochodu. Policjant zaproponował, że odwiezie koleżankę do domu, mieszkali bowiem niedaleko siebie w Fordonie. Prószył śnieg, ale wiatr już ustał. Sierżant kompletnie nie skupiała się na zimowej aurze. Cały czas miała przed oczami twarz zamordowanego chłopaka i matkę głaszczącą martwego syna po głowie. Wiedziała, że ten widok zostanie w jej pamięci na długo.

Wsiedli do samochodu w ciszy. Beata usiadła na miejscu pasażera i patrzyła bez celu przez przednią szybę.

– Wiem, że to trudne. – Kolega odwrócił twarz w jej stronę. – Ale nie mogliśmy nic zrobić, Beatko.

– Może nie trzeba było jej zabierać od razu na identyfikację. Mogliśmy z nią dłużej posiedzieć w domu. Albo powiedzieć to w inny sposób, albo...

– Nic nie mogliśmy zrobić. Jej syn nie żyje i nikt nie wróci mu życia.

Radek delikatnie chwycił ją za dłoń, ale natychmiast zabrała rękę.

– Jedźmy już, proszę – powiedziała, odwracając się w jego stronę.

Wydawało jej się, że kolega przybliżył się do niej jak do pocałunku, nagle jednak zatrzymał się, pokiwał głową i włączył silnik. Ruszyli.



Radek odwiózł Beatę do domu, oszukując ją, że sam również kończy już pracę. W sumie to nie było oszustwo, raczej niewinne kłamstewko. Musiał bowiem jeszcze pojechać do rodziców i sąsiadów Agaty. Beata pod wpływem pobytu w kostnicy i emocji wywołanych identyfikacją zwłok syna przez Helenę Gnyk najwyraźniej o tym zapomniała, więc postanowił jej nie przypominać. Wówczas pewnie nie pozwoliłaby się odwieźć do domu. Zależało mu, aby spędzić z nią jeszcze trochę czasu.

Odkąd zaczęli ze sobą pracować przy śledztwie, nie potrafił przestać o niej myśleć. Tak bardzo chciał dzisiaj pocałować jej pełne usta, ale stchórzył. Zwyczajnie stchórzył. Obawiał się jej reakcji, dalszej wspólnej pracy, gdyby jednak ją uraził. Poza tym czuł, że jest jeszcze za wcześnie. Ich znajomość stale się rozwijała, dużo rozmawiali podczas służb, powoli zbliżali się do siebie i nie zamierzał przyspieszać tego procesu, aby jej nie spłoszyć.

Rozmyślenia na temat ukochanej tak go pochłonęły, że nawet nie zauważył, kiedy dotarł na miejsce. Podobnie jak ostatnio zaparkował na tyłach kaplicy przy Glinkach. Tym razem na szczęście znał już adres, ruszył więc ulicą Płowiecką, przeciął Gniewkowską, aby



wreszcie dotrzeć do Radziejowskiej. Gdy tylko skręcił w tę ostatnią, spostrzegł kilka osób gapiących się na dom Lewińskich. Podszedł bliżej i jego oczom ukazał się napis na frontowej ścianie domu: „Tu mieszka morderczyni!”. Koślawe litery w kolorze żywej czerwieni wyglądały upiornie na tle beżowego otynkowania, niczym namalowane krwią, a w dodatku na końcu napisu dorysowano odwrócony krzyż. Bondys miał rację – informacją o poszukiwaniu Agaty opublikowaną w mediach skazano jej rodziców na potępienie. Mówiąc wprost – zniszczono im życie. Dopiero teraz tak naprawdę zdał sobie sprawę z konsekwencji tej decyzji. Niechętnie musiał przyznać rację komisarzowi – jeśli okazałoby się, że oskarżenia wobec Lewińskiej są nieprawdziwe, wyrządziliby ogromną krzywdę jej najbliższym, przyklejając im wieczną łatkę rodziców zabójczyni.

– Pan tam lepiej nie wchodzi, nigdy nie wiadomo, co się wydarzy  
– szepnęła starsza kobieta przechodząca chodnikiem.

Odwrócił się w jej stronę.

– Dlaczego pani tak mówi?

– Nie słyszał pan? Ich córka zabiła kilka osób, to psychopatka! Może oni tam jeszcze te trupy trzymają w środku, pan uważa!

W tym momencie ojciec Agaty otworzył drzwi domu i stanął w progu. Policjant kiwnął głową na znak, że już idzie. Chciał dokończyć rozmowę, jednak kiedy odwrócił się w stronę furtki, po starszej pani nie było już śladu.

Podszedł do Zbigniewa Lewińskiego. Już ostatnio wyglądał marnie, jednak teraz został z niego cień człowieka. Kiedy spojrzał mu w oczy, aż się wzdrygnął od pustki, jaką w nich zobaczył.

– Słucham pana? – zapytał Lewiński słabym głosem.

- Dzień dobry... Młodszy aspirant Radosław Miller - wyjąkał, kompletnie nie mogąc się skupić. Jego dziewięćdziesięcioletni dziadek umierający na raka płuc wyglądał lepiej w ostatnich dniach życia niż stojący przed nim człowiek.

- Pamiętam pana.

- Chciałbym porozmawiać o państwa córce, czy mogę wejść?

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę, po czym otworzył szerzej drzwi i zaprosił policjanta do środka.

Wewnątrz panował półmrok, mimo że słońce miało zająć dopiero za dwie godziny. Najbardziej zwracała uwagę panująca w domu cisza. Całkowita, absolutna cisza. Nie grał telewizor, z zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy, nikt się nie krzątał ani nic nie mówił. Gdy weszli do salonu, Radosław zauważył, że wszystkie zasłony w kolorze ciemnej zieleni szczelnie zasunięto, co wyjaśniało ciemność w pomieszczeniach.

- Czego jeszcze od nas chcecie? - spytał spokojnym, acz rozżalonym głosem ojciec Agaty. - Zabraliście nam wszystko. Moja żona nie śpi, nie je, niknie w oczach każdego dnia od momentu zaginięcia Agatki, a wy jeszcze oskarżacie moją córkę o jakieś makabryczne mordy, to jest...

Radek usłyszał za plecami cichy, damski głos.

- Przestań, Zbyszku, to nie ma sensu, przecież to nie tego pana wina.

Odwrócił się i dojrzał kobietę, która bezszelestnie weszła do pokoju. Ubrana w długą, powłóczystą koszulę nocną z narzuconą na ramiona podomką wyglądała nierealnie, niczym postać z baśni. Usiadła, a raczej osunęła się na krzesło przy stole, i teraz oboje wpatrywali się w niego wyczekująco.

– Czy przychodzi państwu do głowy jakieś miejsce, gdzie może przebywać Agata?

Na początku Radek sądził, że za chwilę usłyszy od Lewińskiego odpowiedź w stylu: „A jak pan myśli?!”, ale ten tylko ciężko westchnął i pokręcił głową.

– Jakaś bliska koleżanka Agaty, może jakaś działka albo miejsce, gdzie jeździliście na wakacje?

Mężczyzna znów pokręcił przecząco głową, a kobieta za to pomyślała przez chwilę i odpowiedziała:

– Kiedyś mieliśmy domek nad morzem, ale sprzedaliśmy go kilka lat temu. – Wzruszyła ramionami. – Zresztą Agata nie miałaby jak tam dotrzeć bez samochodu, bez pieniędzy.

Głos jej się załamał, ale nie rozplakała się.

– Czy państwa córka pamięta dokładny adres tego miejsca?

– Tak, myślę, że tak – potwierdził ojciec poszukiwanej.

Miller zapisał dane na pogniecionym paragonie, który znalazł w kieszeni spodni. Rozprostował świstek, złożył na dwa i schował do wewnętrznej kieszonki w kurtce. Wątpił, że chora psychicznie kobieta mogłaby sama przejechać dwieście kilometrów, odnaleźć dawną działkę rodziców i schować się tam na miesiąc. Przecież musiałyby coś jeść, domki nie są ogrzewane, nie wiadomo, czy jest tam prąd i tak dalej. Tak czy owak, był zadowolony z informacji, które uzyskał, i złapał się na tym, że już po raz drugi podczas wizyty u Lewińskich musiał przyznać rację Bondysowi.



Komisarz wszedł do sali, gdzie czekał już pseudokibic, a jednocześnie kolega zamordowanego. Mężczyzna o pseudonimie Kleszcz, znany dobrze policji, siedział w rozkroku, ze skrzyżowanymi rękoma i nerwowo bujał się na krześle. Marek zdążył wcześniej przejrzeć kartotekę zatrzymanego, przez co dowiedział się o wielokrotnych zatrzymaniach i krótkiej odsiadce.

– Nie możecie mnie tu trzymać, kurwa! Nic na mnie nie macie! – Kleszcz zerwał się z krzesła, gdy tylko komisarz wszedł.

– Uspokój się i siadaj. – Bondys spokojnie, ale zdecydowanie położył dłoń na ramieniu mężczyzny, a ten po chwili wahania usiadł z powrotem. – Chcę tylko pogadać.

– Nie gadam z psami.

– No to masz pecha, bo twój kumpel Rafał Gnyk został brutalnie zamordowany i będziesz musiał ze mną pogadać – odpowiedział spokojnie i wyjął swój czarny notes. Czuł, że traci czas, ale przesłuchanie i tak musiało się odbyć.

– Co ty pierdolisz?! – Kibol otworzył szeroko usta. – Jak to?! Gnyku nie żyje?

Reakcja wyglądała naturalnie.

- Został zamordowany. Dzisiaj rano znaleźliśmy jego ciało.

- To... To niemożliwe! - Mężczyzna znowu zerwał się z miejsca. -  
Kłamiesz, psie!

- Siadaj. Chyba że chcesz kontrolę osobistą i wjazd na chatę?  
Ciekawe, co tym razem znajdziemy u ciebie na kwadracie, prochy,  
lewą forszę, a może coś jeszcze?

- Dobra, kurwa, co chcesz wiedzieć?

- Czy Gnyku miał jakichś wrogów?

Kleszcz zarechotał.

- No, całe mnóstwo. Na przykład wszystkich jebanych kiboli  
Polonii. - Ucałował swój biało-niebiesko-czarny szalik Zawiszy  
prosto w logo. - Ale co właściwie się stało? Dostał kosę?

Bondys zapisywał skrótowo odpowiedzi.

- Właśnie próbujemy ustalić, co się stało. A co wiesz na temat  
orientacji seksualnej Gnyka?

- Na temat czego?

- Pytam, czy twój kolega był pedałem - uściślił Bondys i przerwał  
notowanie, żeby zobaczyć reakcję.

- Pojebało cię?! Rafał był normalny! - Kleszcz momentalnie  
poczerwieniał na twarzy i opluł się, mówiąc. - Nawet wpierdol  
spuścił jednemu pedziowi wiosną. Tak bardzo się brzydził  
pedalstwem!

- Jakiemu pedziowi?

- Takiemu młodemu. Mówiłem mu, żeby odpuścił, bo to dzieciak  
jeszcze, ale Gnyku się uparł, że trzeba go ukarać, żeby inni widzieli,  
jak kończą pedały.

- Wiesz, jak się nazywał ten chłopak?

- Nie. - Mocno pokręcił głową przecząco. - Ale podobno ten gówniarz zajebał się jakoś niedługo później. Nawet Gnyku chodził dumny i chwalił się, że odstrzelił pedała.

Historia zaczynała składać się w całość. Może jednak przesłuchanie tego półgłówka miało jakiś sens.

- Kiedy po raz ostatni widziałeś Rafała Gnyka?

Kibol zastanowił się przez chwilę, licząc na głos dni.

- Jakies trzy tygodnie temu.

- A zauważyłeś coś dziwnego w jego zachowaniu?

- Nie, nic. Normalnie się zachowywał. Jak to Gnyku. - Wzruszył ramionami. - Tylko ciągle chwalił się tym, że zajebał temu pedałowi.

- A skąd Rafał Gnyk wiedział, że ten chłopak był pedałem?

- Yyy, no, podobno wszyscy to wiedzieli i mówili.

- No, ale skąd wiedzieli? Ktoś go widział z drugim facetem, on sam się przyznawał, wyróżniał się ubiorem, zachowaniem?

- No nie.

Kleszcz zaczął drapać się w ucho, wkładając do środka palec wskazujący. Po chwili wyjął go i włożył do ust, obgryzając paznokieć. Bondys aż się skrzywił, ale przesłuchiwany zdawał się tego nie zauważać, bo już z powrotem dłuwał w uchu. Tym samym palcem.

- Tam chyba była historia z jakąś laską. Że ona do niego świrowała, on nie chciał, a ta laska znała byłą dupę Gnyka. I tak jakoś chyba się wszyscy dowiedzieli, że to pedał.

- Czyli tak naprawdę Rafał Gnyk pobił chłopaka, bo jakaś dziewczyna powiedziała, że przypuszczalnie jest pedałem, bo jej nie chce?

- No. - Kibic zastanowił się. - No właściwie tak.

Bondys oparł się łokciami na stole i przybliżył twarz do mężczyzny.

– A dlaczego właściwie mówią na ciebie Kleszcz?

– No bo zajebiście zakleszczam frajerom głowę łokciem, co nie? – Wypiął pierś i zademonstrował chwyt w powietrzu.

– A ja myślałem, że dlatego, że choroby roznosisz. Na przykład jakąś wenereę? A może też jesteś homo? Homo nie wiadomo?

– No co ty pierdolisz?! Ty...

Kleszcz zerwał się, jednak komisarz takiej właśnie reakcji się spodziewał, więc zanim przeciwnik zdążył cokolwiek zrobić, kopnął w krzesło pod stołem i mężczyzna upadł na ziemię jak długi.

– Podnoś się i nie próbuj więcej robić nic głupiego – powiedział niewzruszony. – Tylko widzisz, jak rozpowiem między twoimi kolegami, że jesteś pedałem i przenosisz syfa, to nikt nie będzie tego sprawdzał, tylko od razu ci wpierdola, tak jak Gnyk temu biednemu chłopakowi.

Kleszcz znów otworzył szeroko usta, ale nic nie powiedział. Marek zamknął z hukiem notes, uznając, że na wychowywanie chłopaka i wpajanie mu wartości moralnych jest o dwadzieścia lat za późno i trzydzieści punktów IQ za mało. Wyszedł bez słowa. W drzwiach spotkał naczelnika, do którego tylko mruknął, że skończył i idzie po fajki, po czym wyszedł do kiosku. Ostatnio papierosy kończyły mu się w niekontrolowany sposób. Miał tylko nadzieję, że w kiosku tym razem będzie pusto albo przynajmniej nie będzie żadnego emerytowanego hazardzisty w kolejce.

Faktycznie, okazał się jedynym klientem. W okienku znów siedziała Elwirka, która zdawała się w ogóle go nie pamiętać. Na całe szczęście.

- Cztery paczki poznańskich.

- A może jeszcze „Expressik”? Dzisiaj piszą na całą stronę o tym mordercy. – Ściszyła głos konfidencyjnie i wychyliła się w stronę Bondysa. – Podobno on zabija tylko pedałów, więc można spać spokojnie.

- Nie, dziękuję.

Położył już banknoty na plastikowej tacce w okienku i chował paczki do kieszeni, czekając na resztę.

- Ja tam nie popieram przemocy, ale jakoś z tą zarazą trzeba walczyć, żeby na łeb nam nie weszła. Jakaś zmora dzisiejszych czasów to pedałstwo. Dobrze, że ktoś pokazuje tym zboczeńcom, że nie są bezkarni.

- Do widzenia.

Bondys odszedł, nie czekając na odpowiedź i rezygnując jednak z reszty, bo nie mógł już dłużej słuchać wywodów Elwiry.





Kiedy Beata wróciła do domu, poczuła ogromne zmęczenie, ale wiedziała, że po tak ciężkim dniu i tak szybko nie uśnie. Położyła się, chcąc chociaż zregenerować obolałe, spięte mięśnie. Leżała patrząc w sufit i próbując okiełznać gonitwę myśli w głowie, ale po dłuższej chwili wstała i poszła do współlokatorki.

– Hej, nie śpisz jeszcze? – Uchyliła drzwi do pokoju Ady, która leżała na brzuchu na łóżku i pracowała nad doktoratem, otoczona przynajmniej tuzinem podręczników i książek do botaniki. – Mamy coś do jedzenia? Padam z głodu.

– Jak widać nie śpię. – Uśmiechnęła się przyjaciółka. – Zrobiłam sałatkę z kurczakiem i pokrzywą. Jest w lodówce na górnej półce.

– Brzmi oryginalnie. – Beata próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek jadła jakąś potrawę z pokrzywą. – Chociaż myślałam, że pokrzywa to parzący chwast.

– Kochana, pokrzywa w postaci naparu czy świeżych liści ma cały szereg leczniczych zastosowań. Oczyszcza nerki, działa odkażająco, koi układ trawienny. Chwast to natomiast po prostu roślina, której obecność jest niepożądana przez człowieka w uprawach, nie znaczy

to, że jest trująca czy niebezpieczna. Ten mylny stereotyp dotyczy również szkodników, które...

– Dobra, dobra, to wszystko bardzo ciekawe, ale wystarczy mi wykładu na dziś. Pójdę się wykapać i zjem sałatkę z dodatkiem nietrującej rośliny niepożądaney.

Uściskała przyjaciółkę i poszła do łazienki.

Koło dwudziestej współlokatorki siedziały na kanapie w pokoju Ady i oglądały telewizję, popijając czerwone wino i zagryzając orzeszkami. Doktorantka przechyliła kieliszek do dna i poszła dolać sobie i przyjaciółce, która też już wypila całość.

– Wyglądasz na strasznie zamysloną, martwi cię coś?

– Wiesz, samo śledztwo jest dość przygnębiające. To moja pierwsza tak duża sprawa i... Sama nie wiem, jakoś mnie to przytłoczyło. – Beata westchnęła. – Pojechaliśmy dziś z Radkiem do rodziny zamordowanego chłopaka, poinformować o jego śmierci.

– Boże... To musiało być strasznie trudne. Przykro mi, kochana. – Ada przytuliła ją serdecznie. – A zbacząc na chwilę z tematu, to co z Radkiem?

– A co ma niby być? – Policjantka się zarumieniła. – Pracujemy razem, lubimy się, tyle.

Ada uśmiechnęła się znacząco.

– Jasne, Becia! Przecież ten chłopak wpatrzony jest w ciebie jak w obrazek już od szkoły policyjnej.

– Kiedy siedzieliśmy w samochodzie, wydawało mi się przez chwilę, że chciał mnie pocałować. Ale może miałam tylko takie wrażenie.

– I co dalej? Całowaliście się czy coś więcej? A może...

– Nic, wariatko! – Beata rzuciła w Adę poduszką, przerywając zdanie w połowie. – Odsunęłam się od niego.

– Ale dlaczego? – Przyjaciółka przeciągnęła ostatnią sylabę.

– Sama nie wiem. Znamy się od tylu lat i mamy fajną relację koleżeńską. Nie chcę tego psuć. – Wzruszyła ramionami. – Poza tym chyba wolałabym się nie umawiać z nikim z pracy, to nigdy nie jest dobry pomysł.

Adrianna szturchnęła współlokatorkę łokciem w bok.

– Dobra, dobra. A co z tym przystojnym komisarzem? Przecież mówiłaś, że ci się podoba.

– No może i tak. Ale Bondys zdaje się nie zwracać na mnie w ogóle uwagi. A ja nie mam odwagi sama zrobić pierwszego kroku, więc nie ma tematu. Zresztą naprawdę nie chcę żadnych relacji w robocie.

– A ile on ma właściwie lat? Miał kiedyś żonę, ma dzieci?

– Bondys jest jakoś po czterdziestce. Wydaje mi się, że nie był nigdy żonaty. – Beata pokręciła przecząco głową i upiła wino. – Słyszałam o jakiejś Anicie, z którą żył przez wiele lat, ale to było dawno i nie wiem, dlaczego się rozstali.

– Hmm... – Ada kończyła już pić zawartość drugiego kieliszka. – A może ten twój Bondys ma jakiś mroczny sekret? Może sam jest psychopatycznym zabójcą, który ćwiartuje swoje ofiary, pożera je i...

– Przestań!

Obie zachichotały.

– Może i Marek jest trochę dziwny, pedantyczny, drażnią go różne dźwięki, na przykład kaszel czy kichanie, ale poza tym wydaje się naprawdę mądrym i ciekawym gościem.

Ada wydeła usta, wyprężyła biust do przodu i zaczęła intensywnie mrugać.

– Mareczek, mówisz... No to na co jeszcze czekasz? Bierz się za podryw!

– Głupoty gadasz! Idę spać, bo padam już na twarz ze zmęczenia. Beata uściskała przyjaciółkę i wstała z kanapy.

Umyła zęby, przebrała się w piżamę i poszła do swojego pokoju. Od razu zgasła światło i się położyła, nie miała nawet siły czytać swojej ukochanej Agathy Christie przed snem. Zamknęła oczy i zastanawiała się nad słowami przyjaciółki. Bondys naprawdę jej się podobał. To, że był taki tajemniczy, nietuzinkowy, sprawiało, że jeszcze bardziej chciałyby go poznać bliżej. Z drugiej strony, jakikolwiek związek z kolegą z pracy, w dodatku wyższym stopniem, byłby czystą głupotą. Gdyby coś poszło nie tak, miałyby przechłapanie na komendzie.

Poniedziałek, 9 XII 1996 r.

71

Pięć dni po znalezieniu ciała Rafała Gnyka, miękka, śnieżna kołdra nadal przykrywała Bydgoszcz. Kownacki prowadził, a Bondys przeglądał swój notes, próbując zebrać dotychczasowe informacje w całość. Komisarz zabrał psychologa ze sobą na wypadek, gdyby matka Roberta źle zareagowała na rozmowę o zmarłym synu, a ponadto był ciekaw jego opinii na temat reakcji najbliższych chłopaka. Skręcili z ulicy Glinki w Boya-Żeleńskiego i Aleks gwałtownie zahamował.

– Tu jest zakaz wjazdu?! Kurwa, te jednokierunkowe uliczki osiedlowe mnie wykończą. One chyba w dodatku są niemal okrągłe!  
– Zawrócił i zaparkował przy pobliskiej spółdzielni mieszkaniowej. – Przejdziemy się, co? Nie chce mi się dalej krążyć w tym osiedlowym labiryncie. Prędzej Minotaura tu spotkamy, niż wjadę od dobrej strony w Wiosny Ludów.

– Coś w tym jest. – Bondys rozejrzał się dookoła i otworzył drzwi.  
– Przynajmniej nogi wyprostuję i zapalę przy okazji.

Śnieg skrzypiał pod nogami, a odbijające się w nim promienie słoneczne tworzyły srebrzystą poświatę. Dzieci w pobliskim przedszkolu szalały na ośnieżonym placu zabaw, lepiąc bałwana i obrzucając się śnieżkami.

- Swoją drogą, śmierć własnego dziecka, jeszcze poprzez samobójstwo, musi być największym koszmarem dla rodziców. - Kownacki patrzył na radosne przedszkolaki. - Nie wiem, czy można przeżyć coś gorszego.

- Dzisiaj przynajmniej nie potępia się samobójstw, tylko współczuje rodzinie. - Marek zmrużył oczy, podniósł głowę wyżej i wydychał dym, patrząc, jak jego smugi lśnią w promieniach słonecznych. - Wiesz, że w ludwikowskiej Francji całe mienie samobójców konfiskowano, a zwłoki przeciągano publicznie po ulicach miast, twarzami do ziemi albo wyrzucano ciała na hałdy śmieci, aby lud widział, jaka kara spotka każdego, kto targnie się na własne życie?

Psycholog uśmiechnął się i odmachnął dziewczynce w czerwonym płaszczyku, która stała tuż przy przedszkolnym płocie i machała do nich z całych sił.

- W sumie u nas też samobójców nie traktowano dużo lepiej. Odmawiano im nie tylko kościelnego pogrzebu, lecz także zakazywano w ogóle grzebać ich ciał na cmentarzach. - Marek zaciągnął się ostatni raz, spoglądając w rozchodzący się na tle słońca dym i rozdeptał peta na chodniku. - Wywożono zwłoki poza miasto i porzucano, żeby zgniły albo żeby zajęły się nimi zwierzęta. Czasem porzucano je gdzieś przy płocie na cmentarzu, więc rodziny nie mogły nawet odwiedzać grobu.

- Nie chcę sobie tego wyobrażać. - Aleks pokręcił powoli głową.  
- To ten blok?

- Tak, ta klatka, czwarte piętro.

Bondys zadzwonił domofonem, przedstawił się, a po chwili usłyszał charakterystyczny dźwięk i pociągnął za klamkę ciężkich,

metalowych drzwi.

Po pokonaniu siedemdziesięciu dwóch schodów zapukali w drewniane drzwi z mocno wytartym numerem. Otworzyła im wymizerowana kobieta. Miała podkrążone oczy, bladą cerę, wystające kości policzkowe, ale najbardziej zwracały uwagę jej nienaturalnie duże dłonie, jakby doktor Frankenstein doczepił je od innego pacjenta. Bondys chwilę się im przyglądał i zrozumiał, że dłonie wydają się groteskowo nie pasować wielkością, ponieważ reszta ciała jest tak przeraźliwie chuda.

– Dzień dobry, pani Milewska, chcielibyśmy porozmawiać o pani synu, Robercie – zaczął Bondys.

– O Robercie? Ale ja już wszystko powiedziałam.

– Nie zajmujemy pani dużo czasu – powiedział komisarz.

Gospodyni westchnęła ciężko, ale otworzyła drzwi.

Typowy układ szczeciński mieszkania i standardowo urządzone wnętrze właściwe peerelowskiej modzie nie zaskakiwało. Banalne, przewidywalne i z zarobaczoną boazerią na ścianach, ale swojskie i dające poczucie przynależności do większej wspólnoty i jakiejś tam tradycji.

– Możemy zobaczyć pokój Roberta? – spytał Kownacki.

Komisarz obserwował reakcję kobiety, która stała nieruchomo jak posąg. W końcu powoli pokiwała głową.

Skromne pomieszczenie przylegające ścianą do salonu nie mówiło nic na temat zmarłego nastolatka. Wymowny był jedynie fakt, że w pokoju nic nie zmieniono od czasu śmierci chłopaka. Biurko przy oknie, szafa, półkotapczan, ciemny dywan. W rogu plecak, szkolne podręczniki i zeszyty. Tylko płótna i bloki papieru

A3, a obok farby i pędzle starannie poukładane w słoiku, stanowiły jakiś punkt zaczepienia.

Bondys podszedł do przyborów malarskich i wskazał je głową kobiecie.

– Syn malował?

– Tak.

Matka Roberta mocno skrzyżowała długie, wychudzone ręce, tak, że wyglądała, jakby miała opasać się nimi dookoła niczym kaftanem bezpieczeństwa.

– A co malował?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami, nie zwalniając uścisku. – Takie mazaje jakieś.

Marek delikatnie przeglądał przybory malarskie Roberta, szukając obrazków.

– Gdzie są jego prace? Chciałbym je zobaczyć.

– On przyszedł i kupił wszystkie. – Teraz drapała się nerwowo po ramieniu. – Wahałam się, ale zaproponował połowę mojej pensji, więc sprzedałam. Pieniądzy potrzebowałam.

– Kto?

– Nie wiem. Po prostu przyszedł po pogrzebie Ro... – Głos jej zadrżał. – Po pogrzebie Roberta. I spytał, czy może kupić te jego malunki.

– Wie pani jak się nazywał? – pytał dalej komisarz. – Albo skąd wiedział, że Robert w ogóle coś malował?

– Nie wiem.

– Sprzedała pani prawdopodobnie jedyne pamiątki po własnym dziecku obcemu człowiekowi, nawet nie pytając, jak się nazywa?! –



oburzył się Aleks.

Kobieta spuściła wzrok.

– Jego i tak już nie ma, a pieniądze się przydadzą.

– A ma pani list pożegnalny syna? – odezwał się Bondys.

Milewska bez słowa poszła do kuchni i wyjęła kartkę z jednej z szafek. Na list składało się zaledwie kilka zdań. Kiedy Marek czytał ten niewielki fragment tekstu, stwierdził, że oto ma przed sobą na jednym skrawku papieru cały ból i cierpienie tego młodego człowieka, który tak męczył się na tym świecie, że zdecydował się odebrać sobie życie. Oceniał tekst na chłodno i nie zwracał uwagi na emocjonalny ciężar słów. Ten list nie wyróżniał się niczym od standardowych listów samobójców. Jedynie ostatnie zdanie nie pasowało do reszty:

„Do zobaczenia w lepszym świecie, bo na tym CZŁOWIEK CZŁOWIEKOWI WILKIEM JEST”.

– Co to oznacza? – spytał kobietę Bondys.

Ta tylko wzruszyła ramionami.

– Czy syn zachowywał się inaczej przed śmiercią? Czy zauważyła pani coś dziwnego? – Psycholog spróbował wydobyć z niej coś więcej.

– Nie, no tak normalnie. – Matka Roberta patrzyła w dal. – No tylko Grzesiek dał mu szlaban na te malowidła. Czemu właściwie teraz pytacie o mojego syna?

– Grzegorz Musiał, pani konkubent? – przeczytał Bondys z notesu, ignorując pytanie Milewskiej.

– Tak.

– Za co karał w ten sposób Roberta? – usłyszał głos Kownackiego.

- Nie wiem.

- A czy pani konkubent w inny sposób również wymierzał kary Robertowi?

Widać było, że Kownacki z całej siły stara się trzymać nerwy na wodzy.

- Czasem mu zdzielił w pysk. Normalnie tak, jak to rodzic.

W tym momencie do mieszkania dosłownie wtoczył się spory mężczyzna, chwając się na nogach. Spojrzał zdziwiony na gości i próbując powiesić kurtkę na drewnianym wieszaku w przedpokoju, zaczął wrzeszczeć.

- Co to, kurwa, ma znaczyć?! Kim wy jesteście?!

- Komisarz Bondys, Wydział Kryminalny. - Marek pokazał odznakę mężczyźnie. - Rozmawiamy o pana pasierbie.

- A, bardzo przepraszam panów policjantów. - Odwiesił kurtkę i patrzył teraz na nich przytomniej. - O kim panowie policjanci rozmawiają?

- O Robercie, synu pani Milewskiej - dopowiedział Kownacki, choć wydawało się to oczywiste.

- A, to dobra.

Minął ich i poszedł do kuchni. Komisarz udał się za nim, tymczasem Aleks poszedł z kobietą jeszcze raz do pokoju nastolatka.

- Pan chyba niezbyt przejął się śmiercią Roberta? - zapytał Bondys, wchodząc do kuchni. - Pewnie nie byliście blisko? W końcu to nie pana biologiczny syn.

Mężczyzna patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem. Z pewnością młody chłopak z wrażliwością artystyczną nie miał z nim łatwego życia.

- Przecież mógł tu mieszkać, jeść dostawał, dach nad głową miał. I w ogóle. Normalnie go traktowałem. Nie jak własnego dzieciaka, no bo wiadomo, ale normalnie.

Komisarz miał już pewność, że definicja „normalnego traktowania” według Milewskiego i jego samego z pewnością mocno się rozmija.

- A co pan myślał o jego pasji?

- O jakiej pasji? - Mężczyzna nałożył sobie całą miskę flaczków. - Przepraszam, ale padam z głodu po robocie.

- O tym, że Robert malował.

- A, o to chodzi. Kurwa, zamiast w piłkę pograć albo za dziewczuchami się oglądać, to ten te farbki i malunki, jak dziecko. - Kiedy mówił, gorąca zupa w kolorze rdzy zaczynała intensywnie parować znad talerza. - Chciałem zrobić z niego mężczyznę, ale się nie dało.

- A zachowywał się przed śmiercią jakoś inaczej? Może ktoś go odwiedzał albo spotykał się z kimś?

- Nie przypominam sobie. Od zawsze zachowywał się dziwnie. Tak między nami, to taki jakiś wybrakowany ten dzieciak trochę był. - Ściszył głos, chociaż Milewska i tak nie mogła słyszeć ich rozmowy z drugiego końca mieszkania.

- Czy Robert był gejem?

Bondys wpatrywał się w ojczyrna chłopaka, który zastygł bez ruchu, tylko kąciki warg lekko mu drżały.

- A nic pan nie mów! Tak ludzie gadali, że Robert to pedał. Marysia to się takiego wstydu najadła...

Machnął ręką i wyjął łyżkę z szuflady.

Bondys pokiwał głową i wyszedł z kuchni. Dowiedział się, czego chciał, a ponadto miał dosyć drażniących oparów flaków i smrodu tyrana rodzinnego.

Kiedy wychodzili z mieszkania, Marek spojrzał uważnie na Milewską. Kobieta była cieniem człowieka. Podejrzewał, że już nigdy nie zazna ani spokoju, ani szczęścia. Jeśli w ogóle kiedyś była szczęśliwa.



Po ustaleniu dokładnego adresu w nadmorskim Sarbinowie Bondys wysłał Beatę i Radka, aby sprawdzili ten trop. Wydawało się mało prawdopodobne, aby Lewińska była w stanie samodzielnie pojechać na wybrzeże i zaszyć się tam na miesiąc bez środków do życia, ale sprawdzić i tak trzeba było. Beata szczerze cieszyła się, że pojedzie nad Bałtyk, nawet służbowo. W dzieciństwie często wyjeżdżała na wakacje z rodzicami i bratem do Kołobrzegu albo Mielna, budując tam radosne i beztroskie wspomnienia dziecka.

Podczas drogi młodzi policjanci rozmawiali trochę o śledztwie, ale Beatę szybko zmorzył sen i ocknęła się dopiero pod koniec trasy.

– Jak się czujesz? – spytał siedzący za kierownicą Radek, odwracając się na chwilę w jej stronę. – Wszystko dobrze?

– Tak, przepraszam, chyba przysnęłam.

Ziewnęła i odruchowo założyła ręką włosy za ucho.

– Nie masz za co przeproszać, wyglądałaś uroczo, jak śpiący kociak. – Chłopak się zaśmiał, ale jej ten żart nie rozbawił. – Tylko wiesz, w czwartek czułaś się dość słabo, w piątek miałaś wolne, a dziś przysypiasz. Trochę się martwię.

Przewróciła oczami. Zaczynała męczyć ją troska Radka przechodząca powoli w nadopiekuńczość. Łapała się na tym, że już nawet jego „Beatkowanie” wychodziło jej powoli uszami. A może po prostu chciałaby, żeby to komisarz teraz z nią jechał, i przez to niesprawiedliwie odgrywała się na Radosławie?

– Naprawdę wszystko dobrze. Byłam po prostu zmęczona – powiedziała bardziej stanowczo i chłodno, niż zamierzała. Postanowiła zmienić temat, aby załagodzić atmosferę. – Całe lata nie byłam nad morzem, super, że Bondys nas akurat tutaj wysłał.

Pokazała ręką na widok za oknem i wysiliła się na uśmiech. Co prawda nie było jeszcze widać plaży czy morza, ale powoli pojawiały się ogłoszenia o domkach letniskowych, kwaterach i ośrodkach wczasowych. Znajdowali się kilkanaście kilometrów za Koszalinem i właśnie minęli tablicę z nazwą miejscowości. Napis „Sarbinowo wita!” otaczała grafika przedstawiająca morze, niebo i słońce w okularach przeciwsłonecznych.

– To akurat nie jego zasługa, tylko Lewińskich, że tutaj mieli działkę. Ale fakt, miejsce świetne! A może wynajmiemy sobie jakiś domek i zostaniemy tutaj do jutra? Sezon co prawda dawno się skończył, ale zachód słońca nad morzem zawsze cieszy oko. Co ty na to?

– Zejdź na ziemię! – zaśmiała się Beata. – Przecież musimy dzisiaj wrócić na komendę, jak tylko dowiemy się, co i jak z tą działką – dodała, bardzo nie chcąc zostawać w Sarbinowie na noc. A właściwie bardzo nie chcąc zostawać na noc z Radkiem. Nie potrzebowała niezręcznych sytuacji.

Jechali ulicą Nadmorską, która – jak to zwykle w większości miejscowości przy Bałtyku – należała do jednej z głównych arterii

miasteczka. Beata miała na kolanach rozłożony atlas samochodowy z zaznaczonym miejscem docelowym.

– Teraz skręć w prawo, w Leśną! – Niemal krzyknęła, gdy w ostatniej chwili dojrzała zakręt.

W efekcie Radosław zahamował dość gwałtownie, a atlas samochodowy wypadł jej z rąk i wylądował na podłodze.

– Jezu, przepraszam, Beatko!

Spojrzał na nią z troską i położył jej rękę na kolano, ale szybko zabrał ją z powrotem.

– Może zatrzymaj się tutaj. – Wskazała palcem na dziką zatoczkę przy lesie. Kawalek dalej, na wbitym w ziemię drewnianym pieńku, widniała strzałka z wytartym napisem „Plaża 3 minuty”. – To już niedaleko, przejdziemy się.

Kiedy tylko samochód się zatrzymał, policjantka wystrzeliła z niego jak z procy i poszła dalej w stronę działek. Maszerowała tak szybko, że kolega ledwie za nią nadążał.

Po półgodzinie błądzenia po lesie odnaleźli wreszcie miejsce, o którym mówili Lewińscy. Drewniane domki letniskowe ze spiczastymi dachami wyglądały dość skromnie, za to znajdowały się zaledwie kilkadziesiąt metrów od plaży, więc latem stanowiły idealne miejsce dla wczasowiczów. Zapewne w sezonie wakacyjnym ta okolica tętniła życiem, śmiechami i gwarem turystów.

Furtka prowadząca do domków okazała się zamknięta, jednak przejście ogrodzenia sięgającego do wysokości połowy uda było banalne. Beata zastanowiła się, po co stawia się w ogóle płoty, przez które przejdzie każdy. Domyślała się, że poza sezonem w środku nie zostawiano żadnych cennych przedmiotów, może dlatego nie stanowiły celu złodziei.

Zbliżyli się do domku z numerem dwanaście. Mieli zapasowy klucz, którego – jak się okazało – Lewiński z roztargnienia nie oddał nowym właścicielom przy sprzedaży nieruchomości. Kiedy się o tym dowiedzieli, oczywistym stało się, że Agata mogła sobie dorobić dodatkowy egzemplarz.

Radosław stał przy ścianie, trzymając oburącz pistolet, a Beata powoli chwyciła za klamkę.

Zamknięte.

Włożyła do zamka klucz otrzymany od ojca poszukiwanej. Pasował. Blokada od razu gładko ustąpiła. Policjantka powoli nacisnęła klamkę, w efekcie drewniane drzwi uchylły się, głośno przy tym skrzypiąc. Pachniewicz aż skrzywiła się na ten dźwięk – jeśli Lewińska do tej pory nie wiedziała, że idą, to teraz musiałaby być głucha, żeby nie usłyszeć otwieranych drzwi. Weszli ostrożnie, trzymając broń. Znaleźli się w pokoju jadalnym, połączonym z aneksem kuchennym. Na stole stały dwa brudne talerze ze sztuczcami i dwa kubki. Sprawdzili niewielką sypialnię z dwoma rozścielonymi łózkami, z niechlujnie ułożonymi poduszkami i pościelą. Zajrzeli jeszcze do łazienki – mokre ręczniki potwierdzały czyjaś niedawną obecność.

– Wygląda na to, że w domu nikogo nie ma – stwierdził Radek, otwierając szafę i sprawdzając pod łózkami.

– Za to na pewno ktoś tutaj mieszkał w ostatnim czasie, najpewniej dwie osoby – dodała Beata, odkręcając kran w kuchni. – I nie wyłączają wody na zimę.

– Dziwne, zwykle w takich domkach letniskowych woda wyłączana jest zaraz po sezonie.



Radosław podszedł do ściany. Pstryknął włącznikiem światła dwa razy.

– Za to prądu nie ma.

Beata przytaknęła, sprawdzając światło w łazience, na wypadek, gdyby w pokoju zwyczajnie przepaliła się żarówka. Teraz dopiero spostrzegła kilka świeczek ułożonych na parapecie.

– Spójrz.

Otworzyła komodę przy parapecie, gdzie znalazła więcej świeczek i zapalki.

– Jeśli pomieszkuje albo pomieszkiwała tutaj Agata Lewińska, to z kim? – Wskazała na dwa zestawy naczyń rozłożone na stole.

– Ktoś musi jej pomagać, skoro w ogóle tutaj dojechała. – Wzruszył ramionami młody policjant. – Może poznała jakiegoś chłopaka?

– Tak, i ten postanowił z nią zamieszkać zimą w domku letniskowym nad morzem i ją utrzymywać. – Popukała się w czoło.

– Zakochany facet jest w stanie bardzo dużo zrobić dla swojej wybranki – odpowiedział z tajemniczym uśmiechem Radek.

Beata postanowiła nie skomentować jego ostatniej uwagi. Cały ich wspólny wyjazd zaczynał ją drażnić swoją napiętą atmosferą i aluzjami kolegi.

– Dobrze, nie znajdziemy tutaj chyba nic więcej. – Skierowała się do drzwi. – Może sprawdź jeszcze pozostałe domki, a ja przejdę się na plażę.

Zaszedł jej drogę.

– Mam puścić cię samą? A jak wyjdzie jakiś morski potwór i cię zje?

- Nie bądź dziecinny!

Ominęła go i wyszła, nie odwracając się za siebie. Miała serdecznie dosyć jego zalotów i całego wyjazdu.

Po wyjściu otuliło ją chłodne, rześkie powietrze. Spostrzegła, że słońce zaczyna powoli się obniżać. Musieli się pospieszyć, jeśli chcieli wrócić do Bydgoszczy tego samego dnia. Nagle Beata zauważyła jakiś ruch za drzewem. Wyjęła broń i podeszła bliżej, jednak w tym momencie postać zaczęła uciekać. Policjantka próbowała ją dogonić, ale ta zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.



Dzień okazał się długi, żmudny i zasmucający. Niby Milewska nie sprzątnęła pokoju Roberta i wyglądała na załamana po śmierci syna, ale jak później rozmawiali z Alekssem, to okazało się, że mają podobne odczucia – matka Roberta na pewno w specyficzny, raczej dość płytki sposób przeżywała żałobę po nim. Sprzedała prace syna obcej osobie, wcześniej pozwalała konkubentowi znęcać się nad nim, tłumacząc go dobrymi intencjami i wyższym celem wychowania na prawdziwego mężczyznę. Do listy zadań dopisano więc odnalezienie tajemniczego mężczyzny, który kupił obrazy zmarłego nastolatka. Zadanie wydawało się arcytrudne – kobieta nie za bardzo potrafiła opisać tę osobę, tłumaczyła się wzięciem wielu leków uspokajających tamtego dnia. Śledczy czekali też ciągle na szczegółowy raport Rudnickiego z wynikami sekcji zwłok Rafała Gnyka.

Komisarz Bondys jeździł bez celu po mieście, aby spokojnie pomyśleć i odprężyć umysł. Lubił bydgoskie ulice po zmierzchu, uspokajały go niewielkim natężeniem ruchu i przewidywalnością. W końcu przed dwudziestą wrócił do domu. Wykąpał się i zjadł dwa zimne kotlety schabowe, które dzień wcześniej dostał od Estery. Zastanawiał się, w jaki sposób funkcjonował i czym się żywił, zanim

zaprzyjaźnił się ze starszą sąsiadką. Odpowiedź przyszła szybko – wtedy gotowała dla niego Anita. Nie chciał wracać myślami do tamtych czasów, rozdrapywanie przeszłości nie miało sensu. Usiadł na kanapie i pobawił się przez chwilę z Kodeksem w przeciąganie starego ręcznika. Pies uwielbiał tę grę. Warczał i zapierał się z całych sił, aby tylko przeciągnąć ręcznik na swoją stronę, a najlepiej wyrwać go panu z ręki. Później Marek zabrał się za układanie puzzli, a zmęczony Kodeks położył mu się w nogach.

Bondys ostatnio rzadziej miał czas i chęci na takie rozrywki. Ułożenie tysiąca elementów zwykle zajmowało mu około tygodnia czy dwóch. Teraz już mijał drugi miesiąc, a widok na Manhattan ciągle pozostawał niekompletny. Miał nawet ochotę porzucić to zajęcie, zniszczyć dotychczas powstały obrazek i cisnąć całym pudełkiem o ścianę, zwłaszcza przy fragmentach jednolitego granatu wody zlewającego się z niebieską papką nieba. Obiecał jednak Aleksowi, że gdy ułoży całość, przyklei pocztówkowy widok na dyktę i sprezentuje jego żonie, która marzyła o wycieczce do Nowego Jorku. Będzie mogła spoglądać na Amerykę we własnej kuchni, gotując polską grochówkę czy bigos.

Do ułożenia zostało już tylko kilka najwyższych budynków. To zabawne, że tak bał się wysokości i wind, a teraz, gdy trzymał w ręce drobne kawałki układanki tworzące drapacze chmur na obrazku, to wielopiętrowe budynki wydawały mu się zupełnie błahe. Jak to perspektywa, z której patrzy się na coś, może zmienić postrzeganie danego celu... Przydałoby się, żeby na śledztwo też potrafił spojrzeć z innego punktu widzenia, najlepiej tego samego, z którego spoglądał zabójca.

Komisarz wpatrywał się bezmyślnie w dwa przedstawiające jacht puzzle, które teoretycznie powinny do siebie pasować. Gdy próbował je połączyć, to kształty różniły się znacząco. Zaczął odwracać jeden kawałek – gdy obrócił go o sto osiemdziesiąt stopni, rufa jachtu okazała się niespodziewanie dziobem innej łódki. Spojrzał na jacht w drugim miejscu układanki i spostrzegł, że jego przód został wciśnięty na siłę i kompletnie nie pasuje. Zamienił kawałki i nagle wszystko zaczęło się układać. Brał do ręki kolejne puzzle, posortowane jak zawsze kolorami i kształtami w pudełku i każdy jeden element dopasowywał bez problemu do obrazka. Kwadrans później wyspa Manhattan cieszyła oko swoim kompletem tysiąca kawałków. Spojrzał na zegarek – dokończenie układanki zajęło mu niecałe czterdzieści minut. Gdyby nie odkrył swojej pomyłki w poprzednim dopasowaniu części jachtów, pewnie bawiłby się w mitycznego Syzyfa jeszcze przez długie tygodnie, a i tak nie osiągnąłby celu.

Zrodziła mu się w głowie pewna myśl. A co, jeśli w śledztwie też tak zrobili? Założyli coś błędnie od samego początku i dlatego do tej pory nie udało im się poukładać wyników w jedną, spójną całość? Co wtedy? Bez odkrycia tej nieprawidłowości nigdy nie rozwiążą śledztwa.

Narzucił kurtkę, wzał buty i wyszedł, odprowadzony rozczarowanym wzrokiem Kodeksa, który w pierwszej chwili wziął nagły zryw swojego pana za oznakę spaceru. Pół godziny później, w pustym biurze na komendzie, Bondys postawił sobie krzesło tuż przed tablicą i wpatrywał się w nią intensywnie, analizując zapiski punkt po punkcie. Skupił się najbardziej na początkowych założeniach. Co przyjęli za pewnik i dlaczego?

Nagle zerwał się z krzesła i mruknął prawie staropolskie „kurwa niedopasowana mać”, bo znalazł swój dziób zamieniony z rufą, błędnie wciśnięty element układanki.

Środa, 11 XII 1996 r.

74

Młodzi policjanci co prawda nie znaleźli Agaty Lewińskiej w Sarbinowie, ale potwierdzili, że ktoś, najpewniej dwie osoby, mieszkały w ostatnim czasie w domku letniskowym należącym kiedyś do jej rodziny. Rodzice Agaty rozpoznali koszulkę córki, odnalezioną w pościeli w jednym z łóżek. Beata twierdziła, że jakaś postać uciekała przed nią w lesie przy plaży, jednak nie była w stanie powiedzieć, czy była to kobieta. Przeszukano teren, ale nie odnaleziono żadnego śladu zbiegłej pacjentki.

Bondys dopisał duże znaki zapytania przy motywie wszystkich trzech zabójstw. Od początku założyli, że morderca pisze „Homo” na ciałach swoich ofiar, aby wskazać jednoznaczny powód zabójstwa. A co, jeśli to właśnie ten element śledztwa był błędny? Może orientacja ofiar nie miała żadnego znaczenia...

Po burzy mózgów znaleźli przynajmniej kilka alternatywnych interpretacji wskazówki pozostawionej przez mordercę. *Homo* to po łacinie człowiek, to także pierwszy człon wyrazów złożonych, mających znaczenie: taki sam, podobny – jak na przykład *homogeniczny*. Mogli też pomylić ostatnią literę, a wówczas mieliby angielskie *home*. Może „HOMO” nie miało tworzyć jednego wyrazu, tylko stanowiło cztery pierwsze litery innych słów albo inicjały dwóch osób? Pomysły wyrastały jak grzyby po deszczu,

wprowadzając coraz większy chaos. Komisarz miał jednak silne przekonanie, że dopóki nie poznają prawdziwego motywu sprawcy, dopóty nie rozwiążą śledztwa ani nie znajdą mordercy.

Bondys z Pachniewicz jechali na cmentarz przy ulicy Toruńskiej, gdzie miał się odbyć pogrzeb Marzeny Pogorzelskiej. Grubo ponad miesiąc po śmierci. Nawet w czasach PRL-u nie działano tak opieszale.

W radiu od rana huczało od sprawozdań i relacji dziennikarskich z wczorajszej ceremonii wręczenia nagród przez Komitet Noblowski.

Nagroda przyznana Wisławie Szymborskiej znów połączyła wszystkich Polaków i obudziła ducha patriotyzmu w narodzie. Na chwilę. Tak samo, jak pół roku wcześniej Adam Małysz ze swoim zwycięstwem w Pucharze Świata w Oslo, a jeszcze wcześniej wybór Karola Wojtyły na papieża. „Ten kraj jednoczył się zawsze na moment podczas kolejnego sukcesu rodaka. Wtedy społeczeństwo było dumne, z orłem na piersiach i biało-czerwonymi flagami w rękach, świętowało ze łzami w oczach wspólne osiągnięcia, głosząc patriotyczne wartości i nucąc Mazurka Dąbrowskiego na baczność. A dosłownie już dzień czy dwa później żarło się i nienawidziło, będąc w stanie zajadłej wojny domowej, prowadzonej chuj wie o co”, pomyślał Marek i dodał w duchu: „Chyba, jak mówił Boguś Linda w *Psach*, w imię zasad”.

Zaparkowali dwoma kołami na chodniku przy cmentarzu, zamykając długi rząd samochodów. Dochodziła dziewiąta rano, a w tle nadal słyhać było szufle uderzające o chodniki. Bondys jako dziecko dorabiał sobie, odśnieżając parking niedaleko bloku rodziców. Pamiętał zmarznięte dłonie, ból pleców i monotonię tego zajęcia. Wtedy obiecał sobie, że nie zamieszka w domku



jednorodzinny ani nie będzie miał innej posesji, żeby nigdy więcej nie musieć niczego odśnieżać.

– Rodzice nie powinni chować własnych dzieci – powiedziała Beata cicho na widok matki Marzeny Pogorzelskiej. – Spójrz, jej matka osiwiła w te kilka dni jak gołębek. To nie ta sama kobieta. Mocno też zeszczuplała, widać to nawet w grubym płaszczu, teraz sporo na nią za dużym.

– W takich momentach naprawdę cieszę się ze swojej bezdzietności – odpowiedział bardziej do siebie Bondys i ustawił się wraz z policjantką pod płotem za kościołem, na samym końcu sporej grupy żałobników.

Ruszyli za uroczystym korowodem. Fala ubranych na czarno ludzi przemieszczająca się w rytmie żałobnej pieśni kontrastowo rozlała się po śnieżnobiałym puchu na cmentarzu, jak plama atramentu na białej kartce.

Chwilę później kapłan wspominał Marzenę jako młodą, pełną energii, grzeczną, mądrą, zdolną, pomocną i zawsze uśmiechniętą. Właściwie ideał człowieka. Bondys zastanawiał się, czy zdarzają się pogrzeby, podczas których ksiądz negatywnie wyraża się o zmarłym. Pamiętał, jak kiedyś uczestniczył w pogrzebie więźnia skazanego za gwałt ze szczególnym okrucieństwem na piętnastolatce, po którym dziewczyna popełniła samobójstwo. Więzień został zasztyletowany przez ojca ofiary, gdy ten był na przepustce. I duchowny podczas mowy żałobnej nazwał owego gwałciciela poprawnym obywatelem, patriotą, wspaniałym synem, bratem, kolegą i dobrym człowiekiem. No żesz kurwa jego więzienna mać, bez przesady. Oczywiście nie chodzi o to, żeby oczerniać nieboszczyka i mówić o samych jego

wadach i błędach, ale może dobrze byłoby mówić prawdę o nim, a nie go wybielać jak Ace plamy z ubrań?

Byłoby ciekawiej i bardziej obiektywnie usłyszeć kiedyś podczas pogrzebu słowa:

„Żegnamy dzisiaj Jana Kowalskiego, drobnego złodzieja i osiedlowego lumpa. Nasz świętej pamięci brat Jan kradł często, na dodatek znęcał się nad byłą żoną i nie był zbyt bystry, ale z drugiej strony chodził co tydzień na mszę, dawał sporo na tacę i odwiedzał regularnie matkę w hospicjum, przynajmniej przez pierwsze dwa tygodnie jej pobytu. Tak więc módlmy się za jego złodziejską duszę”.

Albo:

„Dziś towarzyszymy w ostatniej drodze naszej siostry Agnieszki Nowackiej, prostytutki z krajowej dziesiątki między Bydgoszczą a Toruniem. Zmarła zdradzała męża z jego bratem i licznymi kolegami, oczywiście też z klientami, ale tak zarabiała na chleb, więc się nie liczy. Ponadto nie utrzymywała żadnego kontaktu ze swoją siostrą, którą wyzwała od głupich kurew, oraz była z natury leniwa, jednak uczciwie dorabiała jako sprzątaczką w weekendy, rzadko piła i dokarmiała koty zimą. Pomódlmy się więc za zmarłą Agnieszkę”.

Z rozmyślań wyrwał komisarza śpiew młodej dziewczyny, której akompaniowała na skrzypcach rówieśniczka. Głos dziewczyny intonującej *Anielski orszak* brzmiał niezwykle – czysto, delikatnie, wręcz anielsko. Wielu zgromadzonym zaszklily się oczy, a matka zmarłej łkała straszliwie. Marek miał wrażenie, że Katarzyna Pogorzelska-Szadz za chwilę wskoczy za córką do grobu. Coraz bardziej pochylała się w stronę wykopanego dołu i coraz mocniej uginały się jej kolana. Kobieta już nie płakała, ona bezgłośnie wyła.

Bondys nigdzie nie widział za to ojczyzna ofiary. Może ten jednak przyznał się małżonce do romansu z jej córką i zrobienia jej dziecka? A może Katarzyna dowiedziała się tego od kogoś życzliwego? A może pan doktor miał jakąś ważną imprezę lekarsko-andrzejkowo-mikołajkowo-ortopedyczną? W każdym razie nieobecność męża przy ciężarnej żonie, która właśnie chowa własną córkę, dużo mówiła na temat ich małżeństwa.

Oprócz ogromnego smutku i poczucia niesprawiedliwości nic nie wyróżniało tej uroczystości. Pogrzeb jak pogrzeb – przygnębiający, rozrywający serca bliskich, ale poza tym zupełnie zwyczajny. Jesionowa trumna została już umieszczona w grobie, a następnie przysypana symbolicznymi garściami piachu. Teraz grabarze zakopywali grób, pewnie w myślach przeklinając śnieg. Nie licząc żałobnej pieśni, cmentarną ciszę przerywał jedynie dźwięk gleby uderzającej o drewniane wieko.

Komisarz uczestniczył w życiu w wielu pogrzebach. Dokładniej to ten był jego dwieście jedenastym. Właśnie ten moment z całej uroczystości uważał za najtrudniejszy dla bliskich. Nie pożegnanie z ciałem w kościele, tkliwe słowa klechy czy odprowadzanie trumny na cmentarz, tylko moment, kiedy ludzkie ciało pokrywa się piachem i ostatecznie zrywa kontakt ze światem żywych, stając się niczym więcej, jak martwą materią i pokarmem dla robaków.

Rozejrzał się dyskretnie. Nagle dostrzegł mężczyznę stojącego na chodniku za cmentarnym płotem i przyglądającego się pogrzebowi. Wskazał go dyskretnie policjantce.

– Beata, co to za gość? Ten z tyłu, widzisz?

– Nie znam go... – Pachniewicz zamyśliła się. – Nie, na pewno nie.

– Wydaje mi się, że już go widziałem. – Bondys wyjął aparat z kieszeni i dyskretnie zrobił mężczyźnie kilka zdjęć. – Widziałem go chyba na pogrzebie Pawła Skoka. Albo gdzieś jeszcze...

Wiedział, że teraz musi zagrać ze swoją pamięcią w szachy. Ona wykonała już swój ruch, teraz kolej na jego.

Sobota, 14 XII 1996 r.

75

Minęło kilka dni, a komisarz za żadne skarby świata nie mógł sobie przypomnieć mężczyzny spotkanego na pogrzebie Marzeny. Miał pewność, że widział już tę twarz. Coś się w niej wyróżniało i utkwiło mu w pamięci, tylko nie wiedział ani co, ani kiedy. Frustrowała go ta niemożność przypomnienia sobie, która dość rzadko mu się zdarzała.

Umówił się w sobotni poranek z Marcinem w Zakładzie Medycyny Sądowej, aby poznać szczegółowe wyniki sekcji zwłok trzeciej ofiary. Raport miał być już gotowy kilka dni wcześniej, ale ciągle coś się nie składało – a to ktoś zadzwonił z fałszywym alarmem o podłożonej bombie pod szpitalem, którego ewakuacja zajęła cały dzień, a to znowu ktoś pomylił szuflady i szukano zwłok zamordowanego przez dwa dni, bo wywieziono go do zakładu pogrzebowego zamiast innego ciała... I tak oto priorytetowa sprawa rozciągnęła się w czasie. Komisarz zresztą przy trzecim zabójstwie nie spodziewał się żadnych rewelacji po sekcji, Rafał Gnyk w ciąży na pewno nie był.

Spotkał Rybackiego przy wejściu do Zakładu Medycyny Sądowej. Przywitali się skinieniem głowy i weszli do środka. Śledztwo zdawało się nieustającym priorytetem wydziału, skoro naczelnik już drugi raz fatygował się zobaczyć trupa.

– Witam moich szanownych kolegów, rozgoście się – przywitał ich Rudnicki i podał słabą kawę w trzech kubkach, rozchlapując ją po drodze, w wyniku czego na podłodze powstały brązowawe plamy.

– Zlituj się, Marcin, nie każdy ma węch i żołądek z azbestu jak ty. Czuję ten smród nawet przy nieżycie nosa – odpowiedział naczelnik.

– Ty to chyba nawet seks mógłbyś uprawiać na stole sekcyjnym, co?

Marcin uśmiechnął się ciepło, biorąc porządny łyk kawy.

– No cóż, zdarzyło się raz czy dwa, drogi kolego. Miejsce jak każde inne, da się przywyknąć. Tylko przeszkadza ten twardy jak cholera stół, no i na narzędzia trzeba uważać, żeby się nie pokaleczyć, bo...

– Słucham?! – Zygmunt przerwał lekarzowi. – Żartowałem, kurwa! Tylko nie mów mi, że pieprzyłeś się tutaj? Byłeś w stanie skupić się w tym smrodzie i wśród trupów?! Ty jesteś chory! I jeszcze znalazłeś jakąś kobietę, która się na to dobrowolnie zgodziła?! Chyba że się nie zgodziła albo już nie żyła...

– Oczywiście, że się zgodziła! To było lata temu, z pewną młodą lekarką na stażu. Uwierz mi, Zygi, była bardzo żywa i bardzo namiętna! – Rudnicki zachichotał jak nastolatek. – Poniosło nas trochę. Stara historia, nie ma o czym mówić.

– Co mamy? – spytał Bondys, niewzruszony romantyczną historią kolegi, jego miłosnymi igraszkami obok zwłok i oburzeniem przełożonego.

Marcin zaplótł ręce na okazałym brzuchu.

– Sytuacja jest dość dziwna...

– No wreszcie to, kurwa, zauważyłeś! Brawo! – krzyknął Rybacki.

– Nie z tym. Miejsce jak każde inne. Chodzi o waszą ofiarę. Kiedy wyczyściłem ciało denata z krwi i ziemi, na klatce piersiowej

zobaczyłem coś niespodziewanego, znacznie różniącego go od poprzednich ofiar. – Podeszedł do stołu sekcyjnego i odsłonił ciało. – Sami zresztą zobaczcie.

Policjanci podeszli bliżej do ciała, a naczelnik zasłonił usta rękawem kurtki.

– Co to ma znaczyć? – powiedział jakby do siebie Rybacki i spojrzał na Rudnickiego, a później na Bondysa.

– O żesz kurwa jego pisarska mać. – Komisarz wpatrywał się w napis na zaszytej w literę Y klatce piersiowej denata i nie mógł uwierzyć w to, co widzi. – To znaczy, że od samego początku błędnie założyliśmy. Szukaliśmy kompletnie nie tego, co trzeba.

– Miałeś rację, Maras. „Homo” nie ma absolutnie nic wspólnego z pedałstwem, a morderca zrobił z nas debili.

Miło jest mieć rację, ale Bondys zdecydowanie wolałby się mylić. Niestety ten fragment układanki od początku wcisnęli w niewłaściwe miejsce i właśnie mieli ponieść konsekwencje tej decyzji. A raczej ponosiły je kolejne ofiary.

– Sami zrobiliśmy z siebie debili, biorąc za pewniaka od początku teorię o homoseksualizmie.

Wpatrywali się w napis wyryty na klatce piersiowej Rafała Gnyka. Jeden wyraz, pisany dużymi literami, nie pozostawiał wątpliwości co do treści:

LUPUS

– Ale jakim cudem nie zauważyliście tego wcześniej?!

– Bo na pierwszy rzut oka na zaczerwienionej klatce piersiowej Gnyka widniał napis „HOMO”. Umysł zawsze podpowiada nam najprostsze rozwiązania – odpowiedział Rudnicki. – Przypatrz się, kształty liter są podobne. Obydwa „U” wzięliśmy za „O”, a „L” za

niedokończone „H”. „P” jest najmniej wyraźne, a „S” wydawało nam się jakimś zawijaszem, jakby znakiem zapytania.

– *Lupus? Wilk?* – Zygmunt zupełnie zignorował tłumaczenie o literach i zakątkach umysłu. – Na pierwszej ofierze „homo”, na drugiej „homo”, na trzeciej „lupus”? To bez sensu.

– Nie „homo, homo, lupus”, tylko *homo homini lupus*, to łacińska sentencja – sprecyzował Marcin. – Sprawdziłem już na drugiej ofierze i faktycznie końcówka napisu jest niewyraźna, więc znowu błędnie założyliśmy „HOMO”.

– Co to znaczy? – dopytał Bondys i zapisał cytat w notesie.

– Człowiek człowiekowi wilkiem czy jakoś tak – wyjaśnił Marcin.

– Nie wiedziałem, że poza trupami znasz się też na łacinie. – Naczelnik spojrzał na lekarza, a potem z powrotem na komisarza. – Ale co zabójca chciał nam przez to powiedzieć?

– Nie mam bladego pojęcia. Jednak to bardziej wskazuje na zemstę za śmierć Roberta niż na zabijanie za homoseksualizm. Przecież właśnie tę sentencję zapisał Milewski w swoim liście pożegnalnym! – Bondys cały czas wpatrywał się w koślawe litery na ciele.

– Czyli właściwie zaczynamy śledztwo od nowa – dodał Rybacki. – Ja pierdolę...

Zapadła cisza, przerywana jedynie kolejnymi siorbnięciami lekarza, który dopijał kawę.

– Pozostałe obrażenia są niemal identyczne jak w pierwszych dwóch przypadkach. Poderżnięcie gardła, sól i ocet w ranach, uderzenie z tyłu głowy, przetrzymywanie ofiary. – Rudnicki wyprężył się z dumą. – I znów policzyłem dla ciebie rany, kolego.



- Sto dziewięćdziesiąt dziewięć - powiedział Bondys, a Marcin pokiwał głową. - Ta liczba musi mieć znaczenie, jakiś związek ze śmiercią Roberta.

Rudnicki wzruszył ramionami, a naczelnik zdawał się pochłonięty do reszty swoimi myślami, jakby nawet odór prosektorium przestał mu przeszkadzać.



Na komendzie Bondys podzielił się z Beatą i Radkiem znaczeniem napisu na klatce piersiowej ostatniego denata. Wszyscy zrozumieli, jak bardzo się pomylili. Nie mieli nic oprócz tropu nastoletniego samobójcy, tajemniczego kupca jego obrazów i faceta z pogrzebu, którego komisarz chyba gdzieś już widział.

Kiedy po siedemnastej wszyscy rozeszli się do domów, a Bondys kończył wypełnianie papierów, na komendę zadzwonił Dariusz Grzybowski, nauczyciel biologii i kolega z pracy pierwszej ofiary. Poprosił o spotkanie poza komendą. Bondys umówił się z nim za godzinę, w Leśnym Parku Kultury i Wypoczynku Myślęcinek, przy pętli tramwajowej.

Marek zajechał na miejsce dziesięć minut przed czasem. Chciał jeszcze spokojnie zapalić i przejść się, ale w tym momencie w świetle latarni zobaczył nauczyciela, który nerwowo chodził w kółko.

- Dzień dobry. Co pan sobie przypomniał, panie Grzybowski?

- Dzień dobry, komisarzu. - Mężczyzna wciskał ręce w kieszenie puchowej kurtki tak mocno, jakby chciał je przedziurawić. - Przejdziemy się?

Komisarz skinął głową, więc ruszyli główną aleją w stronę polany Różopole, znanego miejsca imprez i pikników rodzinnych. W ciemne, zimne popołudnie nie można było jednak tutaj spotkać żywej duszy. Szli sami szeroką ścieżką.

– Chodzi o Pawła.

– Słucham.

– Nie powiedziałem państwu ostatnio wszystkiego.

Bondys przypomniał sobie, że istotnie Grzybowski wydawał się nie do końca szczerzy podczas rozmowy pod ogólniakiem, w którym uczył denat.

– Miałem dylemat, bo Paweł był moim serdecznym kolegą. Ale potem widziałem w gazetach te pomówienia, że zabójca morduje tylko gejów i lesbijki, że Paweł był pedałem, że sprowadzał sobie młodych chłopców. Zrobili z niego zboczeńca i pedofila. A to nie było tak...

– A jak było?

Komisarz unikał czytania artykułów dotyczących śledztwa, tak samo jak oglądania wystąpień rzecznika w telewizji. Nie chciał tracić obiektywizmu ani denerwować się, poza tym uważał to za stratę czasu.

– Paweł podrywał uczennice. Młode dziewczyny. Sprowadzał je do siebie, obiecywał za to lepsze stopnie. Albo po wszystkim szantażował, że rozpowie wszystko w szkole i doniesie rodzicom. – Grzybowski przystanął na chwilę i spojrzał na policjanta. – On robił naprawdę okropne świństwa tym dziewczynom, ale nie tknął żadnego chłopaka.

– Jest pan pewien? Świadek widział, że do mieszkania Pawła przychodzili młodzi chłopcy.

Kolega ofiary zamyślił się, ale w momencie, kiedy Bondys już chciał powtórzyć pytanie, zaczął mówić:

- To może dlatego, że Paweł lubił chłopczyce, najbardziej go kręciły. Dlatego wybierał najszcuplejsze dziewczyny, wysokie, z małym biustem. I prosił, żeby przychodziły ze związanymi włosami, ubrane w sportowe stroje, dresy, bluzy z kapturem.

- No tak, to by się zgadzało. A co z Ewą Braun?

- Ewka to była tylko przykrywka, żeby matka mu nie truła i żeby nikt w pracy go nie podejrzewał o romanse z uczennicami. Ale w końcu miał dosyć Ewy, która jest dość... - Szukał słowa. - Dość ekscentryczna. Z dwojga złego wolał już słuchać gadania matki.

Marek pomyślał, że najwyraźniej nie tylko jemu Ewa Braun wydawała się szurnięta.

- Dlaczego pan nam wcześniej tego wszystkiego nie powiedział? - Teraz to komisarz się zatrzymał i spojrzał na mężczyznę. - Nie tracilibyśmy czasu na badanie tropu homoseksualizmu Pawła.

Grzybowski nie odpowiedział. Wszeptał tylko przeprosiny, jak małe dziecko, które coś zbroiło, pożegnał się i zniknął w ciemności. Marek za to postanowił się jeszcze przejść po Myślęcinku. Zawsze lubił ten park, a zimą, po zmroku, robił wyjątkowe wrażenie.

Kiedy spacerował, nagle na drogę wybiegł lis. Spojrzał na policjanta i zatrzymał się bez ruchu. Bondysa zastanowiła odwaga zwierzęcia, które nie uciekło, jednak po chwili zobaczył, że lis potknął się o własne nogi, a z jego pyska cieknie piana.

Wścieklizna.

Dla tego lisa nie było już ratunku. Tak samo jak dla Pawła Skoka, Marzeny Pogorzelskiej i Rafała Gnyka.

Czy gdyby wiedzieli wcześniej o heteroseksualności pierwszej ofiary, to coś by to dało? Czy szybciej zrozumieliby, że orientacja nie jest motywem? Czy udałoby im się odnaleźć zabójcę, zapobiec śmierci Marzeny i Rafała?

Gdy Marek dojechał do domu, wyszedł na spacer z Kodeksem, zjadł szybką kolację w postaci parówek z ketchupem i nie wiedział, co ze sobą dalej zrobić. Czuł dziwny niepokój, nie miał ochoty na układanie puzzli czy słuchanie muzyki. W końcu postanowił poleżeć w ciemnym pokoju i pomyśleć, jednak kiedy tylko położył się na kanapie, usłyszał natrętny dzwonek telefonu.

- Kurwa... - zaklął pod nosem. Zastanawiał się, czy w ogóle odebrać, ale w końcu po trzech dzwonekach wstał i poczłapał do telefonu.

- Bondys - rzucił zamiast typowego „halo”. Spodziewał się telefonu z pracy o każdej porze, a jednak zdziwił go głos Beaty. - Co takiego?! Kurwa...

Podziękował koleżance za telefon i wiedział już, jak spędzi niedzielny poranek. Ten telefon mógł zmienić dalsze losy śledztwa.

Albo zupełnie nic nie zmienić.



Szedł do pracy prosto z wieczornej popijawy z kolegami. Lekko się zataczał, ale mroźne powietrze pomagało trzeźwieć. Ostatnio wolał pochlać z kumplami w osiedlowym barze niż zostać w domu, bo jego kobieta ciągle smęciła o tym swoim dzieciaku. Jasne, że szkoda chłopaka, no ale nie dajmy się zwariować. Bogiem a prawdą to był dla nich tylko kulą u nogi. Bez niego żyło im się zdecydowanie łatwiej. Przyjemniej. Taniej. Lepiej. Wygodniej. Maria na pewno w głębi duszy też tak uważała, tylko głupio było jej się przyznać. Poza tym nie ma co się oszukiwać, to nie był udany dzieciak. Ani zdolny, ani wysportowany, ani zaradny. Siedział tylko z nosem w książkach i oczy psuł. Już nie mówiąc o tym jego malowaniu. Tylko pieniądze marnował na papier, farby i pędzle. Co to za zajęcia dla młodego mężczyzny?! No i jeszcze to podejrzenie, że był pedziem. Wstyd na całe osiedle im przyniósł.

Odbił kartę pracowniczą, poprawił torbę na ramieniu i wszedł przez żelazną bramę na teren Zachemu. Skinął głową ochroniarzowi. Jeszcze trochę szumiało mu w głowie od siedmiu piw i jednej małpki, ale na nocce i tak prawie nikogo nie ma w zakładzie, więc jak dobrze pójdzie, to jeszcze się kimnie w stróżówce i wytrzeźwieje. Pracował w fabryce amoniaku od dziesięciu lat i była

to wprost wymarzona dla niego robota. W nocy produkcja nie szła, więc miał święty spokój. Pieniądze może szalu nie robiły, ale wystarczały, zresztą jego kobita też pracowała, a odkąd nie mieszkał już z nimi ten dzieciak darmozjad, to w ogóle nie mieli problemów finansowych. W robocie nikt nie zawracał mu głowy, a i miał różne godziny zmian, więc łatwo mógł oszukać Martę i iść pić z kolegami albo podupczyć na boku. Bo odkąd ten dzieciak się zabił, to ta jego kobita ciągle ochoty nie miała, a mężczyzna swoje potrzeby ma. Chodził do sąsiadki z bloku obok – ślicznej blondyneczki albo do ekspedientki w monopolowym na zaplecze. Była już po czterdziestce, ale z wielkimi cyckami, a i pieprzyć się lubiła, więc chętnie korzystał.

– Serwus, Grzechu! – krzyknął kolega z poprzedniej zmiany, wziął torbę i zaczął zbierać się do wyjścia.

– Hej, Janek. Spokój dziś? – zawołał Musiał.

Zmiennik odwrócił się w jego stronę, pokiwał twierdząco głową i wyszedł ze stróżówki.

Grzegorz powinien obejść cały budynek dookoła i jeszcze sprawdzić dach, ale zmarzył po drodze, poza tym łeb go zaczął napieprzać na poczet nadchodzącego kaca, więc chciał jak najszybciej się zdrzemnąć. Ustawił farelkę na maksymalne grzanie, podłożył sobie pod głowę zwiniętą kurtkę i wyciągnął nogi na stoliku. Zrobiło mu się ciepło i błogo.

Powoli zasypiał, wyobrażając sobie biuściastą ekspedientkę z monopolowego, gdy nagle gwałtownie się przebudził, bo zdawało mu się, że usłyszał coś na zewnątrz. Zerwał się na równe nogi. Rozejrzał dookoła, ale nikogo nie zobaczył. Potarł energicznie oczy dłońmi, wstał, zarzucił kurtkę i wybiegł na zewnątrz.

Rozglądał się nerwowo po terenie przed stróżówką.

Pusto.

Podszedł do fabryki. Obszedł cały budynek, a na koniec wszedł na dach, czyli zrobił to, co powinien był zrobić od razu po przyjściu na dyżur. Wszędzie było pusto. Musiało mu się coś przyśnić albo jakiś szczur go obudził, gryzoni nie brakowało ostatnio w zakładzie, bo mrozy skutecznie zmuszały je do szukania ciepłych kryjówek.

Grzegorz wrócił szybkim krokiem do stróżówki. Wstawił wodę na kawę i otworzył puszkę z mielonką. W szufladzie znalazł tylko brudny widelec, więc wytarł go w koszulę.

Zalewał sobie neskę, gdy zobaczył cień padający zza jego pleców. Nie zdążył zareagować. Poczul silne uderzenie w tył głowy. Gdy upadał, w głowie zaświtała mu jeszcze jedna myśl: kiedy poszedł na spóźniony obchód, zapomniał o jednej rzeczy – nie zamknął za sobą stróżówki na klucz.



Niedziela, 15 XII 1996 r.

78

Na komendzie panował – niespotykany w niedzielę do południa – harmider. W sali czekała już odnaleziona dzień wcześniej Agata Lewińska. Poszukiwaną od ponad miesiąca uciekinierkę ze szpitala psychiatrycznego spotkał na terenie cmentarza w Sarbinowie patrol. Kobietę znaleziono wychłodzoną, odwodnioną i lżejszą o dobre kilka kilogramów. Okazało się, że Lewińska – tak jak podejrzewano – z pomocą kilku życzliwych kierowców przejechała autostopem ponad dwieście kilometrów nad samo morze. Na miejscu zaś odnalazła dawny domek letniskowy rodziców, gdzie obecni lokatorzy ani nie zmienili zamków, ani zwyczaju chowania klucza pod wycieraczką. Zostawili także ubrania i zapas puszek oraz suchego prowiantu.

O odnalezieniu poszukiwanej poinformowano doktor Rechlicką, jednak mimo jej protestów Lewińskiej nie zawieziono do Świecia. Trafiła prosto do Komendy Wojewódzkiej w Bydgoszczy i to tutaj miała być przesłuchiwana w obecności prokuratora. Gaura zgodził się, żeby w rozmowie uczestniczyła w roli psychiatry Joanna, jako wieloletnia terapeutka Agaty.

Idąc długim korytarzem do sali przesłuchań, Bondys natrafił na zdenerwowaną Rechlicką.

– Papierosa, pani doktor?

Kobieta spojrzała na niego wzrokiem pełnym wyrzutów, ale sięgnęła ręką po poznańskiego, których otwartą paczkę komisarz skierował w jej stronę.

– Ona jest niewinna – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

– To się okaże.

– Nie powinna być teraz przesłuchiwana! Nie jest w stanie zeznawać! – upierała się Joanna.

– Już to słyszałem kilkakrotnie, pani doktor. Tym razem pani nie posłucham. Zresztą to nie jest już moja decyzja.

Zaciągnęli się oboje i kłęby szarego dymu zakryły im na moment twarze. Zza rogu wyłonił się naczelnik.

– Chryste, w hucie przy piecu węglowym jest widniej – powiedział zrzędliwie Rybacki, który przecież sam kopał dziesiątki papierosów dziennie. Jak dziecko próbował rozgonić rękoma chmurę dymu i w końcu otworzył drzwi do sali przesłuchań.

Całą trójką weszli do środka. Lekarka podbiegła do Agaty i uściskała ją czule, ujęła wychudzoną twarz dziewczyny w dłonie i spytała, czy wszystko w porządku. Dziewczyna jednak nie odpowiedziała.

– Proszę natychmiast odejść od świadka, jeśli chce pani pozostać w tym pokoju – warknął Zygmunt.

Psychiatra skinęła głową i usiadła na wskazanym miejscu po drugiej stronie stołu, obok Bondysa i Rybackiego. Prokurator Gaura stanął z tyłu przy drzwiach.

Komisarz przez lata pracy widział świadków czy podejrzanych w żałobie, na głodzie narkotykowym, po bójkach czy wielu latach mieszkania na ulicy. A jednak Agacie Lewińskiej udało się zrobić na nim spore wrażenie. Nie chodziło nawet o podarte, brudne ubranie,

wychudzoną twarz z zapadniętymi policzkami czy rozczochraną czarną czuprynę. To oczy kobiety najbardziej przykuwały uwagę – wpatrywała się bez ruchu w jeden punkt na ścianie, wzrokiem nieobecnym, jakby martwym.

– Nazywam się Marek Bondys i jestem komisarzem. Już rozmawialiśmy, może pani pamięta. Zadam pani teraz kilka pytań, dobrze?

Żadnej reakcji.

– Czy wie pani, jak się pani nazywa?

Nic.

– Jaki mamy dzisiaj dzień?

Cisza.

– Czy pani mnie słyszy?

Dziewczyna nawet nie drgnęła.

Po kolejnych pytaniach i braku jakichkolwiek odpowiedzi na prośbę Bondysa lekarka podjęła próbę nawiązania kontaktu.

– Anuszka, słyszysz mnie?

Joanna podeszła bliżej dziewczyny.

Rybacki już miał powstrzymać lekarkę, ale komisarz warknął „Spróbujmy!” i przelożony ustąpił.

– Czy... Czy ty ich widzisz, Agatko? – spytała cicho. – Czy Magda i Jakub wrócili?

Odnaleziona dziewczyna przymknęła na chwilę oczy, ale po chwili otworzyła je z powrotem i znów wpatrywała się w ścianę bez reakcji.

– To jest, kurwa, bez sensu! – ryknął Rybacki. – Po dobroci niczego się nie dowiemy, trzeba zastosować inną metodę.

- Do starych dobrych praktyk bezpieczeństwa chce pan wrócić?! - oburzyła się psychiatra. - Ta biedaczka jest śmiertelnie przerażona, nie trzeba jej więcej straszyć. Należy znaleźć inny sposób.

- Śmiertelnie to ona posługuje się nożem! - odwarknął.

- Wyjdźmy - rzucił prokurator, przerywając tę zbędną pyskówkę i cała czwórka opuściła pokój, zostawiając Lewińską samą.

Zamknęli drzwi i stanęli na korytarzu.

- Czy ma pani jakiś świetny pomysł, pani doktor, aby ta wariatka zaczęła mówić? - zapytał naczelnik z nieskrywaną ironią.

- Na dobry początek proszę jej tak nie nazywać - zripostowała z lodem w oczach. - Skoro nie pozwalacie mi jej zabrać do szpitala i poczekać kilku tygodni, to myślę, że trzeba przesłuchać ją w obecności kogoś bliskiego, najlepiej Przyjaciela.

- Jakiego znowuż przyjaciela?! Już pani tutaj nie powinno być, żadna kolejna osoba z zewnątrz nie wejdzie do tej sali.

- Przyjaciel to pies Lewińskich - wyjaśnił spokojnie komisarz. - I faktycznie może pomóc.

Rybacki spojrzał jeszcze pytająco na prokuratora, który, znany ze swojej powściągliwości, wzruszył tylko ramionami.

Godzinę później na komendę przyjechał ojciec Agaty z roslym, długowłosym owczarkiem niemieckim na smyczy. Komisarz przejął psa, który okazał się łagodnym olbrzymem, a właściwie miłością do ludzi na czterech łapach. Po wejściu do sali przesłuchań Bondys nie zdołał utrzymać zwierzęcia, które jednym silnym szarpnięciem wyrwało się i dopadło do swojej pani. Przyjaciel zaczął lizać ją po twarzy, podnosić kudłatym łbem jej ręce i tulić się do kolan całym ciałem, skomląc przy tym czule. Więzy między owczarkiem a kobietą wzruszała. Bondys pomyślał, że smutna prawda była taka, że w

przeciwieństwie do ludzi ten pies traktował Agatę jak człowieka. I paradoksalnie to właśnie Przyjaciel mógłby niejedną osobę z otoczenia Lewińskiej nauczyć człowieczeństwa.

Po chwili Agata Lewińska ocknęła się niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Głaskała psa po wielkim łbie, przytulała się do gęstego futra, po wielokroć wymawiając przy tym imię pupila.

– Czy teraz pani ze mną porozmawia? – spytał Bondys.

Gdy podniosła wzrok na obecne w pokoju osoby, komisarz dostrzegł dwie duże łzy spływające po jej policzkach. W końcu cicho, ledwie słyszalnie wyszeptała:

– Tak.



Przesłuchanie Agaty Lewińskiej trwało blisko dwie godziny. Dziewczyna opowiedziała, jak siódmego października rano spacerowała z Przyjacielem, gdy zauważyła zwłoki Pawła Skoka. Z początku uważała, że to omamy, ale kiedy pies zaczął szczekać zaniepokojony, zrozumiała, że obraz jest prawdziwy. Bondys pomyślał, że ten pies już po raz drugi popchnął śledztwo do przodu. Później, jak opowiadała Agata, zaczęła uciekać, a w drodze do domu zauważyła sylwetkę mężczyzny podążającego szybkim krokiem w przeciwną stronę. Widziała go tylko od tyłu, zapamiętała ciemny długi płaszcz i opisała jego chód jako żwawy, prawie bieg. Mogli więc podejrzewać, że mężczyzna raczej należy do sprawnych, młodych osób.

Odkąd teoria dotycząca orientacji seksualnej ofiar legła w gruzach, Bondys z pomocą Millera zaczął ponownie analizować materiały ze śledztwa. Przekopywali się przez kilogramy papierów, zeznań świadków i rozważali kolejne poszlaki. Do spotkania dołączył również Kownacki, więc teraz siedzieli we trzech w biurze i omawiali plan działania, spędzając w ten sposób mroźne, niedzielne popołudnie. Aleks przechodził przeziębienie, właściwie został mu

już tylko kaszel, więc Marek miał nadzieję, że niedługo organizm przyjaciela rozprawi się ostatecznie z chorobą, zanim on sam zamorduje kumpla za kaszlnięcia, które wwiercały mu się w uszy.

Zapalił, żeby uspokoić zszargane wirusami Kownackiego nerwy, po czym podszedł do tablicy.

- Teoria, że nasz morderca karze swoje ofiary za orientację seksualną, odpada definitywnie, co potwierdzają napis na trzeciej ofierze i zeznanie Dariusza Grzybowskiego. - Skreślił punkt z tablicy.

- Myślę, że możemy też wykreślić Agatę Lewińską z listy podejrzanych, gdyż znajdowała się w Świeciu w czasie drugiego zabójstwa.

- No chyba że drugiego zabójstwa dokonał ktoś inny? Na przykład ojczym ofiary po tym, jak dowiedział się o ciąży pasierbicy - dodał Radosław.

- Tylko skąd doktor Szadzź znałby wszystkie szczegóły zbrodni? Liczba cięć, podpisanie ofiary na kartce, posypywanie ran solą i polewanie octem? To bez sensu. Co nam zatem zostaje? Zemsta za śmierć Roberta Milewskiego. Tylko dlaczego? Kim zabójca był dla Roberta? Skąd znał osoby z jego otoczenia? Skąd wiedział o obrazach?

- Może jego też prześladowano, tak jak tego chłopaka - zaproponował Kownacki.

- Łacińska sentencja z listu Roberta, którą morderca cytował i wypisywał na ofiarach brzmi: *homo homini lupus*. Trzy wyrazy, trzy ofiary.

Bondys wskazał pisakiem na każde nazwisko ofiar po kolei, jakby na dowód swoich słów.

- Myślisz, że zabójca już zakończył swoje dzieło? - spytał Miller.

- Oby.

- Rozumiem, że kontynuujemy patrolowanie cmentarza na wypadek, gdyby zabójca chciał dopisać kolejne inicjały? - zapytał o dziwo bez ironii, przynajmniej wyczuwalnej, Miller.

- Tak, patrole dalej będą...

Marek nie dokończył, bo nagle drzwi się otworzyły z hukiem i Beata dosłownie wpadła do biura. Miała rozwiane włosy, rumiane policzki i dyszała.

- Grzegorz Musiał... On... - Nie mogła złapać oddechu. - Nie ma go!

- Spokojnie, Beata, usiądź. Co z Musiałem? Miałaś z nim porozmawiać o Robercie.

- No właśnie. - Pachniewicz posłusznie usiadła. - Pojechałam do ich mieszkania na Wyżynach i zastałam tylko Marię Milewską. Powiedziała, że jej partner nie wrócił po nocce do domu i nie ma z nim kontaktu.

- A czy ktoś kontaktował się z ochroną na wjeździe do Zachemu? - spytał Radosław.

- Milewska twierdzi, że dzwoniła do nich i nikt nic nie wie. - Policjantka ściszyła głos i próbowała złapać oddech. - Mówi, że konkubent popił wczoraj i szedł do pracy na bani.

- Kurwa mać! - Bondys uderzył pięścią w biurko.

Beata się wzdrygnęła, a Aleks spojrzał na niego spode łba.

- Może miałby większe szanse, gdyby był trzeźwy. A gdzie Musiał dokładnie pracował?

- W zachemowskiej fabryce amoniaku jako stróż. I tam też widziano go po raz ostatni.



- Dobra, Beata, pojedziemy na Zachem. - Bondys wstał i wziął ostatni łyk kawy. - Aleks, ty do domu, mam dosyć twojego kaszlu. Radek, przekop resztę materiałów pod kątem zemsty za samobójstwo Roberta.

- Daj spokój, już mi lepiej. - Aleks udał urażonego. - Zresztą nie jesteś moim przełożonym!

- Nie, ale jestem twoim kumplem.

Bondys wziął swój notatnik i razem z Beatą wyszli z komendy, kierując się na parking.

- Myślisz, że to on? - spytała Beata, gdy ruszyli.

- Nie wiem. Mam nadzieję, że nie, bo żadnej z ofiar na razie nie udało się przeżyć.



Minęli biało-niebieską bramę. Komisarz pomyślał, że jeszcze wiele pokoleń bydgoszczan przeminie anonimowo, a Zachem będzie nadal fabryczną, niewzruszoną wartownią miasta. Te przemysłowe budynki są niczym klasztor na Jasnej Górze, wieża Eiffla w Paryżu czy rzymskie Forum Romanum. Dochodziła czternasta, koniec pierwszej zmiany, początek drugiej. Zmęczona połowa pracowników zmierzała więc do wyjścia, a druga, zrezygnowana, szła do pracy. Jak mrówki – z i do mrowiska. Małe trybiki w wielkiej, chemicznej maszynie. Pracujący w jednakowych ubraniach roboczych, wykonujący tę samą pracę, gdzie indywidualność nie ma znaczenia, a najbardziej liczy się efekt pracy całego wielkiego organizmu fabryki, a nie jednostki.

Marek doskonale pamiętał opowieści ojca, w których Zachem wyrastał jako gigant przemysłowy w latach swojej świetności. Zdzisław nie za często opowiadał cokolwiek, dlatego te historie kojarzyły się komisarzowi z latami, kiedy wszystko jeszcze wyglądało szczęśliwie i bezproblemowo w beztroskich oczach kilkuletniego dziecka. Może opowieści o zachemowskich fabrykach nie należały do wyjątkowo kojących, usypiających czy przyjemnych, ale

przynajmniej uczyły życia i nawet jeśli były pozbawione morału i bajkowych postaci, to przywodziły na myśl okruchy ojcowskiej miłości. Zresztą, co komu po baśniowych pierdach o zamarzającej dziewczynce, która zamiast szukać pomocy, pali sobie po kolei zapałki i fantazjuje o pieczonej gęsi. Opowieści o ciężkiej pracy w fabryce, oparzonych palcach, piekących oczach i bolących plecach po całym dniu jebania, nie pracowania, stanowiły prawdziwą lekcję życia.

Teraz mijali dawną Wytwórnę Chemiczną numer dziewięć. Legendę, o której Bondys junior słyszał od Bondysa seniora najczęściej. Wytwórnę służącą Niemcom za tajną fabrykę zbrojeń i wytwarzającą w latach czterdziestych blisko sto ton trotylu na dzień. Ojciec zawsze rozkładał szeroko ramiona, pokazując ogrom ładunków wybuchowych produkowanych wówczas na terenie okupowanej Bydgoszczy. Miasto w tamtych czasach utraciło nie tylko swoją nazwę na rzecz niemieckiego Brombergu, lecz także honor, tożsamość i suwerenność. Kiedy Niemcy przegrali wojnę i opuszczali pośpiesznie Bydgoszcz, do miasta weszła Armia Czerwona i zabrała wszystko, co tylko dało się zabrać z fabryki. Prawie dwa tysiące ruskich wagonów wywiozło z Bydgoszczy instalacje, taśmy produkcyjne, urządzenia, odczynniki. W sumie pozostawiono tylko puste budynki.

Polskie władze odbudowały Zachem, bo w czasach ledwie zipiącej gospodarki był bardzo potrzebny krajowi. Produkowano znów materiały wybuchowe, głównie trotyl, bo to na niego właśnie wzrosło zapotrzebowanie. Ogrodzone i obwarowane wałami ziemi budynki fabryki kończyły się ostatnim, gdzie w trzech reaktorach dosłownie gotował się trotyl. Taki bydgoski Czarnobyl. I tak jak w

radzieckim Czarnobyliu, tak i w Bydgoszczy reaktor wybuchł. I to nie raz. Bo reaktory, dokładnie tak, jak te czarnobylskie, były niedoskonałe, a ludzie pracowali za dużo i w nieodpowiednich warunkach. W jednym reaktorze coś dziwnie stukało, ale jebał to pies, kto by się tym przejmował. Czasem też dochodziło do samozapłonu gazów wydzielanych w zachemowskim reaktorze, ale to tylko płomień wystrzelił w górę i po krzyku. Kiedy się ziemniaki gotują, to pokrywkę też często wyrzuca do góry.

Dziewiętnastego listopada pięćdziesiątego drugiego roku w niebo wystrzelił niebieski płomień z reaktora. I zgasł. Tylko że po chwili znów wystrzelił i już nie zgasł. Jeden rezolutny pracownik wezwał straż pożarną. Przyjechali, wysiedli z wozu. Wtedy właśnie nastąpił drugi wybuch. Trzech strażaków zginęło na miejscu, pięciu osłoniętych przez wóz przeżyło, ale w stanie krytycznym trafiło do szpitala. Ojciec opowiadał Bondysowi, jak później zakazano im wchodzić do budynku przez trzy dni. Po tym czasie weszli, a ich oczom ukazał się lej w ziemi, jakby spadł meteoryt.

Zajechali pod samą stróżówkę fabryki amoniaku. Na miejscu pracowała już ekipa, technicy zabezpieczali ślady, a jeden z policjantów kończył zbierać zeznania od zmiennika Grzegorza Musiała.

– Komisarz Bondys, starsza sierżant Pachniewicz – przedstawił ich Marek, kiedy podeszli do zestresowanego stróża. – To pan zgłosił zaginięcie kolegi?

Ten przytaknął w odpowiedzi.

– Proszę opowiedzieć, co się stało.

– Eugeniusz Dzikowski. Ja już mówił temu państwa koledze... – Mężczyzna trząś się niczym galareta. – Przyszłem ja do roboty dziś

rano, wchodzę, a tu Grzecha nigdzie ni ma, nie? Rozglądam się, nie, a tu rozpierdolone wszystko w stróżówce. To znaczy rozjebane, pani policjant, bo ja przy damach to nie przeklinam, nie? To ja już wiedział, że coś się stało.

– A jak wygląda obchód? Cały budynek panowie sprawdzają? – zapytała Beata, ignorując wzmiankę o damach.

– No tak, normalnie, cały teren obchodzimy od razu po przyjeździe. Zamykamy budę, stróżówkę znaczy, i obchodzimy wszystko, dach też. – Pokazał ręką na budynek.

– A Grzegorz Musiał to sumienny pracownik? – spytał Bondys.

Słyszając pytanie, Eugeniusz Dzikowski, spuścił wzrok i nic nie mówił, tylko kopał nogą w ziemi, przypatrując się intensywnie swojemu zajęciu.

– Proszę odpowiedzieć, panie Dzikowski.

– No, Grzesiek to dobry chłop. – Kopał dalej. – Taki pocziwy. I kolega dobry, nie?

– Wspaniale, że dobry chłop i kolega dobry. I pocziwy. Ale ja pytam, drogi panie, jaki z niego pracownik. Sumienny, pracowity czy nie bardzo? Mógł nie wykonać dokładnie obchodu?

– No, ja nie chcę źle mówić o koledze.

Bondys westchnął.

– W sumie to zimno, więc mógł nie zrobić tak dobrze obchodu.

Marek przypatrywał się uważnie mężczyźnie.

– A mógł też pijany do pracy przyjść?

– No, w sumie tak na rozgrzanie, to mógł – wyszeptał Dzikowski.

– A kto jeszcze ma klucze do stróżówki i mógł wiedzieć, że Grzegorz miał wczoraj nocną zmianę? – spytała Beata.

- No, w sumie to tylko dwóch pozostałych zmienników, stara Grzecha, no i szef. I to tyle w sumie, ni?

Bondys zapisał wymienione osoby w notesie. Spojrzał na koleżankę, uznali, że nie mają więcej pytań.

- W sumie to dziękujemy, drogi panie, to wszystko.

- A no i jeszcze tyn, tyn... No, co go byli wyjebali na początku roku! - Mężczyzna drapał się po głowie intensywnie, jakby próbował wydrapać brudnymi paznokciami w zwojach pamięci właściwe dane.

- Nie pamiętam nazwiska. Krótco u nas pracował.

Marek wyjął zdjęcie z kieszeni.

- Czy to mógł być ten mężczyzna?

- Hmm... - zastanawiał się Dzikowski. - Przykro mi.

- To nie on?

- Nie zobaczę bez okularów. - Zaczerwienił się. - Już nie te lata.

- Gdzie ma pan te cholerne okulary? - Bondys starał się mówić spokojnie, ale ewidentnie nie wyszło.

- W domu, ni, do roboty nie noszę.

Beata zaczęła szukać czegoś intensywnie w kieszeniach kurtki. Bondys, widząc to, wycedził przez zęby:

- Beata, czego ty teraz szukasz? Przecież nie nosisz okularów.

- Okularów nie. O! - Wyjęła z kieszeni skromną portmonetkę, a z niej niewielkie kwadratowe szkiełko. - Ale mam lupę.

- Nosisz lupę w kieszeni?! - Nie krył zdziwienia.

- Kiedyś z Adą, moją współlokatorką, byliśmy na przejażdżce rowerowej. - Teraz Beata zaczęła na twarzy przypominać buraka. - Ada nie miała już miejsca w plecaku i prosiła, żebym jej przechowała

lupę. Bo zawsze jak jeździmy, to ona jakieś robaki i rośliny ogląda. Robi doktorat. No i zapomnieliśmy potem o tej lupie.

– To wspaniale, że zapomnieliście. – Bondys wziął od koleżanki szkiełko, przyłożył do zdjęcia i podał mężczyźnie. – A teraz, panie Dzikowski, proszę spojrzeć. Czy rozpoznaje pan mężczyznę na tej fotografii?

– Jo, to tyn. – Stróż kiwał zadowolony głową. – Tylko nie pamiętam, jak się nazywał, ale to na pewno tyn.

– Dziękujemy bardzo za pomoc. – Komisarz schował zdjęcie do kieszeni. – A ty podziękuj koleżance – zwrócił się do Beaty i puścił jej oczko.



Kłęczął na nagrobku niejkiej Wioletty Katarzyny Przyrostkowskiej-Zamordkiewicz, którą właśnie szczerze w myślach przeklinał za zachowanie panieńskiego nazwiska. Miał czterdzieści cztery litery do renowacji. Śnieg się stopił, ale i tak było przenikliwie zimno, a do tego wiało. Zajmował się tym nagrobkiem od dwóch godzin i dopiero odnawiał pierwsze „r” w pierwszym nazwisku. Musiał się spieszyć, bo dochodziła piętnasta, a chciał zdążyć przed zmrokiem. Zresztą niecierpliwił się już, bo czekała na niego nagroda po ciężkiej pracy.

Tym bardziej irytowało go obecne zajęcie. Czy zmarła nie mogła się nazywać Ewa Lis? Albo Iga Ryś? Już chociaż Anna Nowak? I tak miał płacone tyle samo od każdego grobu, niezależnie od liczby wyrazów czy liter w nich. Jeszcze zamiast krótkiego i czułego napisu „Śpij w pokoju” czy standardowo „Bóg tak chciał”, to na grobie Wioletty Katarzyny widniała wyryta cała łacińska antyfona *Do raju*, starodawna pieśń z pogrzebowej liturgii. W dodatku wszystkie pięć wersów zapisano w oryginale. Pomimo że lubił pieśni żałobne i znał polski tekst tejże, to łaciński musiał sprawdzać z kartką litera po literze, żeby nie zrobić błędu w tekście, bo poszczególne słowa po latach znoszenia fanaberii pogody były nie do odczytania. Chociaż pewnie i tak nikt by tego nie zauważył, jakby się pomylił w łacinie.



Rodzice Wioletty Katarzyny nie żyli od kilku lat (leżeli dwa groby dalej), a jej mąż miał już nową ukochaną i przychodził na grób zmarłej żony tak raz do roku. Na odnowienie nagrobka podobno uparła się jakaś bogata ciotka Wioletty Katarzyny z Niemiec, która przesłała wdowcowi pieniądze na nową płytę, ale ten – w ramach pragmatycznego oszczędzania albo tego, że miał byłą żonę w dupie, a nie w pamięci – postanowił wydać tylko część na renowację, a resztę pewnie sobie zachował.

Denerwowało go takie traktowanie zmarłych, powolne wymazywanie wspomnień z pamięci i przenoszenie w czeluści zapomnienia. Odnosił wrażenie, że zdecydowana większość osób przychodząca na groby nie zauważała w nich wspomnienia nieżyjących krewnych, a jedynie kawał płyty i mechanicznie kładła wiązanek czy zapalała lampkę.

Tak, jak nikt nie zauważał Roberta po śmierci. Ani zresztą też kiedy żył. Widzieli w nim jedynie odmieńca i słabeusza, kogoś gorszego. Jakby mieli jakiegokolwiek prawo go oceniać! Minęło ponad pół roku od jego śmierci, a jego własna matka przyszła na grób jedyne go syna tylko raz. Raz jedyny. I to chyba była przejazdem w okolicy i tylko wpadła na chwilę, bo nawet jednego, marnego kwiatka nie przyniosła, ani świeczki nie zapaliła. To nie matka, to tylko powłoka cielesna bez uczuć, która go urodziła.

Poczuł łzy złości i bezradności napływające mu do oczu. Otarł twarz rękawem i przeniósł uwagę na niewielkiego kundla, który warował od dwóch miesięcy przy grobie swojego pana. Dzień w dzień leżał godzinami i wpatrywał się w tablicę czarnymi jak węgiel oczami, pełnymi smutku i tęsknoty. Żał mu było zwierzęcia, próbował nawet kilkakrotnie dać mu coś do jedzenia, ponieważ pies

przez te kilka tygodni zdążył się zmienić w same kości obciągnięte szorstką sierścią, ale kundel nawet nie spojrzał na proponowany posiłek. Czasem tylko pochlipał wodę zbierającą się w donicy na kwiaty i leżał dalej bez ruchu. Tkwił. Wegetował. Czekał na koniec.

Jakże rozumiał to zwierzę. Nie próbował mu pomóc, karmić na siłę, odwozić do schroniska. Wiedział, że pies chce tutaj zostać i nie potrzebuje niczego ani nikogo. Bo nic ani nikt nie mógł mu już pomóc. Wraz z jego panem umarła część psiej duszy i już nigdy nie odżyje. Widział to w jego – zrozpaczonych tuż po śmierci pana, a dzisiaj tylko zrezygnowanych – oczach. To zwierzę nie chciało już żyć, poddało się. Odchodziło powoli w agonialnej tęsknocie za człowiekiem, którego tak bardzo kochało i bez którego nie potrafiło żyć, nie chciało.

On też w końcu odejdzie, jak ten pies. Nie chciał już żyć. Nie bez Roberta.

Na pobliskim poligonie oddano strzały. Podskoczył, serce gwałtownie mu zabiło, a ręka zadrżała. Rozmazał czarną farbę na literce „s” w nazwisku tak, że wyglądało na „ś” – Przyrośtkowska. Kolejne hukі rozniosły się po milczącym cmentarzu niczym salwy armatnie. Z obdartej bezwstydnie przez zimę korony dumnego niegdyś dębu wyleciało stado wróbli i kilka wron. Te ostatnie zakrakały niezadowolone.

Pies za to nawet nie drgnął. Leżał niewzruszony, w tej samej pozycji. Nie czuł strachu. Nie czuł już absolutnie nic. Wpatrzony szeroko otwartymi ślepiami, czekając aż w końcu jego organizm przestanie się opierać i wreszcie przestanie się męczyć.

I wreszcie przestanie tęsknić.



Bondys polecił Beacie i Radkowi ustalenie tożsamości mężczyzny ze zdjęcia, którego rozpoznał strażnik z Zachemu, sam zaś pojechał odświeżyć się i zjeść coś, bo nie widział już na oczy po kilkunastu godzinach na służbie.

Dochodziła dopiero siedemnasta, jednak jak to w grudniu – po słońcu nie było już ani śladu. A może nigdy tutaj nie świeciło. Mrok spowił Bydgoszcz, jak gdyby ktoś zarzucił na miasto kruczoczną kurtynę po smętnym przedstawieniu kolejnego szarego dnia. Na ulicach próżno było szukać żywej duszy, a jeśli już ktoś się znalazł, to przemykał i znikał w ciemności równie szybko, co się pojawił. Ludzie duchy, czmychający do swoich domostw niczym karaluchy po zapaleniu nocą światła w kuchni.

Zapukał kodem do Estery, ale kiedy po chwili sąsiadka nie zareagowała, chwycił za klamkę.

Było otwarte.

Wszedł do środka. Estera siedziała w rogu salonu, a Kodeks leżał u jej stóp. Kiedy tylko komisarz stanął w drzwiach, pies zerwał się na równe łapy i podbiegł do niego, zamasyście merdając ogonem. Markowi wydawało się, że przyjaciółka ucięła sobie drzemkę w

fotelu. Jednak kiedy podszedł bliżej, okazało się, że patrzy w okno. Nawet nie drgnęła, siedziała dalej bez ruchu, w całkowitym stuporze. Zapalił światło. Dopiero wówczas zobaczył podpuchnięte oczy i zmiętolone chusteczki higieniczne na stoliku przy fotelu. Sąsiadka musiała długo płakać. A mógł na palcach jednej ręki policzyć, ile razy przez lata ich znajomości widział ją zapłakaną. Estera była przykładem twardej kobiety, która dużo przeszła i zamknęła swoje koszmary, smutki i żale głęboko na dnie emocjonalnej szafy.

- Co się stało, śliczna? Ktoś ci sprawił przykrość? Zaraz każę go aresztować albo sam wymierzę draniowi sprawiedliwość.

Ukucnął przed nią i uderzył zamasyście pięścią w otwartą dłoń, jednak Estera nie wydawała się rozbawiona nawet w najmniejszym stopniu. Spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami.

- Nie chodzi o mnie. - Wstała i podeszła do barku. Nalała dwa kieliszki swojej słynnej nalewki cytrynowej i postawiła na stoliku. - Mnie już dzisiaj trudno zranić, sam wiesz, ale ją i owszem. Melka to emocjonalna porcelana, którą właśnie rozbito na tysiąc kawałków.

- Chodzi o twoją córkę? Coś się stało? - Marek kojarzył, że Estera ma dwie córki i syna, o imionach jak z *Moralności pani Dulskiej*: Hesię, Mełę i Zbyszka. Spojrzył na kieliszki pełne alkoholu. - Twoja cytrynówka jest najlepsza na świecie, ale muszę odmówić. Pojadę jeszcze na basen wieczorem, a wcześniej wyjdę z Kodeksem. Nie mam też pewności, czy nie wezwą mnie do śledztwa, więc wolę pozostać w stanie względnej trzeźwości.

- Obydwa kieliszki są dla mnie, za kogo ty mnie masz, nieodpowiedzialny łotrze? Na ciebie czeka w kuchni herbata, która już zdążyła pewnie wystygnać. I kanapki.

– Jesteś nieoceniona! – Bondys właśnie sobie przypominał, że umierał z głodu. Niemalże pobiegł do kuchni, przyniósł cały talerz kanapek z pasztetową i pomidorem oraz jeszcze ciepłą herbatę. – Powiesz wreszcie, co z Melanią?

– Nie może mieć dzieci.

Nie chciał wyjść na nieczułego ignoranta, ale o bezpłodności Melanii wiedział już dawno od jej matki, więc nie bardzo rozumiał usłyszane słowa.

– Pamiętam, ale to chyba wiadomo już od kilku lat?

Starał się powiedzieć to jak najłagodniej, chociaż i tak nie zabrzmiało zbyt empatycznie. Podrapał Kodeksa za uchem. Pies przymilał się i merdał ogonem, zdając się kompletnie nie przejmować nastrojem pozostałej dwójki, a jedynie zawartością talerza swojego pana.

– Tak. Tylko że to chore, uważające się za sędziów życia społeczeństwo nie akceptuje bezpłodności. – Estera opróżniła pierwszy kieliszek. – Lepiej być złodziejem, prostytutką, bandziorem albo bezrobotnym niż bezpłodną, uczciwą, dobrą i wierną mężowi nauczycielką. Bo to wszystko da się wytłumaczyć. A to kradł, bo pewnie musiał, a puszczała się, żeby zapewnić dzieciom byt, a bił, bo pijany, a nie pracuje, bo nie może znaleźć pracy. A jak nie ma dzieci? Nie może zająć w ciążę? To dziwna jest, coś z nią nie tak, chora, nienormalna, nie jest w pełni kobietą, a może grzech ma jaki na sumieniu ciężki i teraz za to Bóg ją karze. Tak ludzie gadają, Bondys. Jakby to jej wina, do ciężkiej cholery, była. Pieprzę taki świat! – wystrzeliła jak z karabinu i przybliżyła się do okna.

– Naprawdę mi przykro. – Marek podszedł do sąsiadki, ale tylko stanął za nią i nie bardzo wiedział, jak dalej się zachować. Najgorsze

było to, że w pełni się z nią zgadzał. – Ludzie tacy już są i trzeba się z tym pogodzić. Zawsze znajdzie się ktoś, kto myśli tylko o sobie. Nietrudno o bezrefleksyjnego egoistę, który pewnie nawet przez chwilę nie skazi się myślą, że może kogoś ranić takimi komentarzami.

– Mela to była taka radosna dziewczyna, ciepła, wrażliwa, kochająca ludzi. A teraz? – Estera odwróciła się i spojrzała na niego. – Zamknęła się, zgorzkniała, zmizerniała, bo nie może pojąć tej przygniatającej jej każdego dnia niesprawiedliwości. Niknie w oczach.

– Bo tego nie da się pojąć.

Komisarz ukradkiem podał psu kawałek bułki z pasztetową. Nastąpiła cisza, przerywana tylko mlaskaniem Kodeksa.

– Daj mi papierosa – poprosiła po chwili kobieta.

Poczęstował ją, wzięła poznańskiego i zapaliła przy oknie, mimo że rzuciła palenie wiele lat wcześniej.

– Wiesz, dyrektorka w szkole, w której uczy Mela, powiedziała jej, że skoro nie ma własnych dzieci, to trudno jej będzie zrozumieć cudze i dlatego zawsze będzie sobie gorzej radziła z uczniami niż jej dziecięte koleżanki po fachu. Jeszcze jej nie wyrzuciła z pracy, ale zasugerowała zmianę zawodu, więc prędzej czy później ją wywali. I nie ma żadnego znaczenia, że Mela kocha swoją pracę, spełnia się w niej, zrobiła dodatkowe kursy, po nocach siedzi, żeby przygotować ciekawe lekcje i tak dalej. Rozumiesz to?!

Odetchnęła ciężko. Bondysowi zdawało się, że zdławiła kolejną falę płaczu.

– Z kolei teściowa i szwagierka Meli podczas każdego spotkania rodzinnego przypominają jej, że prawdziwa kobieta to powinna dać

mężczyźnie dziecko, i sugerują, że jeżeli chce zostać w rodzinie, to ma się postarać bardziej. Wszystkie przyjaciółki Meli mają dzieci albo są aktualnie w ciąży, więc przebywanie z nimi, wśród rozmów o karmieniu, przewijaniu i ząbkowaniu stało się dla niej katorgą. Poszła do kościoła, do znajomego księdza po radę i pocieszenie. I co usłyszała? Że z kobiecego łona nowe życie musi się zrodzić, bo to jej obowiązek jako żony, żeby stać się matką. I pytał, czy przypadkiem jakiegoś grzechu ciężkiego nie popełniła, bo szatan wówczas blokuje łono.

– O kurwa... – Położył jej rękę na ramieniu i delikatnie pogładził.  
– A przynajmniej mąż ją wspiera? Bo on chyba taki poczciwy, jak pamiętam.

– Do tej pory owszem, niby rozumiał, niby ona była najważniejsza dla niego, niby nie zależało mu na dzieciach aż tak bardzo, niby ją wspierał. – Estera zaciągnęła się tak mocno, że aż odkaszlnęła. – Ale właśnie zmagstrował dziecko swojej dwudziestoletniej studentce i zastanawia się, co teraz zrobić, czy się rozwieść i mieć szczęśliwą rodzinę, czy trwać przy bezpłodnej, ułomnej żonie. Więc jak znam życie, ten podły świat i swojego zięcia, to wybierze to pierwsze.

– Na zastanawianie się to chyba ciut za późno już. Co za kutas!

Marek znów pogłaskał sąsiadkę po ramieniu i przytrzymał dłoń, żeby czuła jego obecność.

– No właśnie. Widzisz, nie możesz mieć dzieci, to i nie możesz mieć pracy, wiary, męża, przyjaciół, pasji. Ginekolog przy stwierdzeniu trwałej bezpłodności powinien od razu klasyfikować diagnozę jako chorobę śmiertelną. – Wypiła drugi kieliszek, nawet się nie krzywiąc. – Leczyła się przez dwanaście lat. Brała hormony i

sterydy, puchła od nich, tyła, miała migreny, bóle brzucha, wymioty, wypadło jej wiele włosów, zniszczyła sobie cerę, zęby i pewnie połowę narządów wewnętrznych, wydała masę pieniędzy i straciła mnóstwo nerwów związanych z kolejnym rozczarowaniem. A to wszystko na nic. Teraz płacze mi w słuchawkę i mówi, że jej się już żyć nie chce. I ja, i moja córka byłybyśmy szczęśliwsze, gdyby została prostytutką albo złodziejką.

– Coś w tym jest, śliczna... – westchnął Marek. – Podczas tego śledztwa zdążyłem zauważyć, jak nietolerancyjny, zamknięty i kostyczny jest sposób myślenia większości osobników tego durnego społeczeństwa. Kiedy tylko padało słowo „gej”, niemal każdy wzywał księdza i zaklinał się na wszystkie świętości. To jak robaki pod skórą, które zaczynają podgryzać żywiciela i swędzieć przy niewygodnych tematach.

Usiedli w końcu na kanapie, a Estera wydawała się spokojniejsza, choć nadal pogrążona w smutku. Jedyne, co mógł jej teraz dać, to tę rozmowę. Mimo że padał z nóg i nie miał na taką rozmowę ochoty. Tak właśnie rozumiał pojęcie przyjaźni – pomóc, gdy druga osoba tego potrzebuje.

– Zawsze się bałam, że któreś z moich dzieci będzie homoseksualistą. – Wlała nalewkę znów do obydwu kieliszków i od razu jeden przechyliła, tym razem jednak tylko do połowy. – Nie dlatego że bym je mniej kochała, nie dlatego że by mi to w jakiś sposób przeszkadzało. Bynajmniej! Kochałabym je tak samo i wspierałabym. Tylko ono byłoby z góry skazane na nienawiść. Nie robiąc nikomu krzywdy, będąc dobrym człowiekiem, mądrym, pomocnym, o pięknym wnętrzu i sercu na dłoni, byłoby i tak wyrzutkiem. Zepchnięte na margines, obgadywane, wyśmiewane,



obrażane, w końcu dałoby się ponieść tej fali złości i uwierzyłyby, że jest gorsze. Nie da się żyć z takim brzemieniem! A ja, kochając to dziecko, patrzyłabym na jego krzywdę i czułabym paraliżującą bezradność. Nie ma nic gorszego niż patrzeć na krzywdę osoby, którą kochasz – skończyła smutno.

Bondys wsłuchał się w ostatnie zdanie, a właściwie jego część. Powtórzył je sobie w myślach kilkakrotnie i w końcu krzyknął:

– No oczywiście! Że też wcześniej na to nie wpadłem! – Uściskał serdecznie Esterę, a Kodeks zaszczekał radośnie, wyczuwając poruszenie. – Jesteś genialna! Dziękuję! Wyprowadzę szybko Kodeksa i muszę wracać na komendę!

– Nie ma za co – mruknęła zdezorientowana kobieta i zanim zdążyła cokolwiek dodać, Bondys już wychodził z uradowanym Kodeksem. – Jakby moje problemy życiowe mogły pomóc jeszcze jakoś w śledztwie, to mam ich więcej – powiedziała już tylko do siebie, po raz pierwszy tego wieczoru uśmiechając się pod nosem.

Wrócił jeszcze raz do niej, chwycił za obydwie dłonie i mocno przytulił.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Ucałował ją po ojcowsku w czoło, otarł kciukami resztki łez z policzków i wyszedł.



Po przyjeździe z pracy Radosław zjadł zapiekanekę kupioną w osiedlowej budce, zapił ją coca-colą i położył się na godzinną drzemkę. Mieszkał na końcu Fordonu, w kawalerce po rodzicach, więc potrzebował około pół godziny, żeby dojechać na Rynkowską. Nastawił na siedemnastą plastikowy budzik, kupiony podczas cotygodniowej giełdy na stadionie Chemika, i niemal natychmiast po położeniu się na wysłużonej kanapie usnął.

Śniła mu się jego Beatka. Piękna, zgrabna, eteryczna. Jako naturalna brunetka miała ciemniejszą karnację, duże brązowe oczy i długie, proste włosy. We śnie trzymali się za ręce i wpatrywali w zachód słońca na plaży. Mewy latały nad wodą szeroko rozpościerając skrzydła. Na niebie malowniczo układały się ciepłe barwy, od nasyconych żółci, przez pomarańcze, aż do intensywnie czerwonej słonecznej kuli, znikającej powoli w morskiej otchłani, jakby ktoś wisienkę zanurzał w niebieskim drinku. Beatka uśmiechała się do niego, a on zaczesał jej kosmyk włosów za ucho i właśnie zbliżyła swoje karminowe, pełne usta do jego...

„Kurwa mać, ty pojebie! W chuja grasz?!” – rozległo się za oknem, a Radek otworzył oczy. Poznał ten głos od razu. To Rychu, menel z klatki obok. Pewnie wywiązała się jakaś burda z kumplem o

butelkę piwa. Tak raptownie się wybudził, że zsunął się z kanapy na podłogę i uderzył kolanem w twarde parkiet. Masując jedną ręką obolałą nogę, drugą sięgnął po budzik, żeby zobaczyć, ile może jeszcze pospać, jednak źle chwycił zegar i z chińskiego badziewia wyleciała bateria. Wskazówki w tym momencie zatrzymały się w miejscu i wskazywały siedemnastą dwadzieścia cztery.

Budzik nie zadzwonił!

Zaspał!

Natychmiast rzucił się do ubierania. Buty, kurtka, czapka! Biegał chaotycznie po kawalerce, ledwie wyrabiając na niewielu zakrętach. W końcu wyleciał z mieszkania, zamknął drzwi i pędem ruszył do samochodu. Kiedy włączył silnik, zegar w golfie wskazywał siedemnastą trzydzieści sześć. Powinien za dziewięć minut zmienić kolegę obserwującego grób Roberta Milewskiego. Piotrek prosił go, żeby się nie spóźnił, bo o osiemnastej piętnaście miał pociąg – jechał do rodzinnego Rzeszowa, bo dzień wcześniej zmarł mu dziadek i nazajutrz miał się odbyć jego pogrzeb.

Wiedział, że łamie z pół tuzina przepisów drogowych po drodze, ale pędził co sił. O siedemnastej pięćdziesiąt jeden skręcał już w Rynkowską. Nie było tragedii, spóźnił się tylko pięć minut. Zaparkował z piskiem tuż przed samochodem policyjnym, wysiadł i dosłownie wpadł do nieoznakowanego radiowozu.

– Sorry, Piotrek, zaspałem! – Rozpinał kurtkę zdyszany. – Coś się działo?

– Dobrze, że jesteś, stary. Nic, nuda. Żona Kisiewiczza odwiedzała grób córki, no i jedna kulawa staruszka przyszła na cmentarz przed kwadrans. Poza tym spokój. – Policjant otworzył drzwi. – Dobra, leczę, muszę zdążyć na pociąg.

Radosław żałował, że nie zdążył zrobić sobie herbaty w termosie i nie wziął ze sobą nic do jedzenia. Będzie musiał jakoś przetrwać następne godziny. Obserwował, jak kolega przesiada się do swojego samochodu, zaparkowanego tuż za radiowozem i odjeżdża. Opel kadet ruszył dość dynamicznie. W tym momencie z bramy cementarnej dosłownie wystrzeliła kulawa staruszka, jakby doznała cudownego uzdrowienia na terenie nekropolii. Wpadła Piotrkowi wprost pod koła. Zahamował z piskiem, jednak samochód i tak uderzył z impetem w kobietę. Miller wyskoczył z policyjnego auta i podbiegł do staruszki. Piotrek w międzyczasie też wysiadł i tylko powtarzał: „Ona wbiegła mi pod koła, ona wbiegła mi pod koła”. Kobieta na szczęście nie straciła przytomności.

– Nic pani nie jest? – zapytał Radosław i nachylił się nad staruszką, która leżała na jezdni rozplaszczona jak przejechana żaba.

– Nie, nie wiem, chyba nie. – Próbowała się podnieść. – Aua, aua! Ręka, ręka mnie boli!

– Ręka? W którym miejscu? Proszę pokazać?

Piotrek chodził w kółko z nieprzytomnym wyrazem twarzy.

– Ona mi wbiegła, stary, wbiegła mi pod koła! Ja nie chciałem!

– O, tutaj. – Staruszka pokazała lewy nadgarstek, który istotnie zdawał się nienaturalnie skrzywiony. – Jak ja teraz o kuli będę chodzić?!

– Zawiozę panią do szpitala – zaproponował Radosław.

– No ja nie wiem, ja to nie ufam konowałam... – Kręciła przecząco głową, podkreślając swój brak zaufania.

– Trzeba jechać, proszę pani, bo ręka może być złamana – odezwał się Piotrek, który powoli dochodził do siebie. – Bo można

coś przegapić i potem będzie za późno na złożenie.

– Przegapić?! O cholera! – zawołał Radosław i zerwał się na równe nogi. – Piotrek, zajmij się panią przez chwilę!

Rzucił się pędem w stronę bramy cmentarnej. Wbiegł na rozległy teren nekropolii i ruszył w stronę północnego wejścia. Potknął się po drodze, uderzając boleśnie w kostkę o stary, połamany krzyż. Oświetlał sobie drogę latarką. Przystanął i rozejrzał się dookoła, próbując odnaleźć właściwy nagrobek. W końcu dojrzał stertę kwiatów i lampek po pogrzebie córki wiceprezydenta miasta i ruszył w tamtą stronę. Dotarł wreszcie do grobu Roberta Milewskiego i dysząc przyjrzał się płycie, na której widniały świeże inicjały, jak zawsze przekreślone:

**R.G.**



Bondys, Rybacki i Pachniewicz spotkali się w biurze. Zegar właśnie wybił dziewiętnastą.

– Maras, powiesz wreszcie, o co chodzi? Co takiego odkryłeś? – spytał poirytowany nadkomisarz Rybacki.

– Myślę, że wiem, czym kieruje się nasz zabójca. Znam jego motywację – odpowiedział Bondys, podkreślając ostatnie słowo.

– A możesz ją nam wreszcie zdradzić? – naciskał przełożony, ziewając. – Zresztą, chyba nie po raz pierwszy uważasz, że poznałeś motywację sprawcy.

– Wydaje mi się, że źle spojrzeliśmy na dotychczasowe zabójstwa. – Zignorował kąśliwą uwagę przełożonego. – To nie nienawiść czy zemsta popychają mordercę do zabijania. Myślę, że zabójcą kierują równie silne odczucia, ale dokładnie przeciwstawne. Wszystko by się zgadzało, duży ładunek emocjonalny zbrodni, precyzja, staranne zaplanowanie...

Zygmunt wstał i powstrzymał jego dalszą wypowiedź ruchem ręki.

– Zaraz, zaraz, Maras. Co ty chcesz nam przez to powiedzieć? Że ten psychopata morduje z przyjaźni czy z... miłości?! Jakoś nie

kojarzą mi się z torturowaniem i zabijaniem ludzi.

- Ale to właśnie z miłości ludzie są zdolni do wszystkiego. Ja myślę, że nasz zabójca szaleńczo kochał Roberta Milewskiego i dlatego, nie mogąc znieść utraty bliskiej osoby, zabija ludzi, których uważa za winnych jego śmierci.

- Czyli to w pewnym sensie zemsta? - spytała Beata. - I jeśli dobrze rozumiem, to szukamy kobiety zakochanej do szaleństwa w Robercie, tak?

- Bardziej tęsknota i żal za utraconą miłością niż zemsta. - Komisarz zapalił papierosa, zaciągnął się i strzepnął popiół do kryształowej popielniczki. - Ale moim zdaniem to nie jest kobieta. Myślę, że szukamy śmiertelnie zakochanego w Robercie mężczyzny. Zresztą Agata Lewińska również zeznała, że widziała rosnącego mężczyznę.

- Przecież wykluczyliśmy motyw homoseksualizmu - odezwał się naczelnik.

- Owszem, łacińska sentencja na piersiach ofiar i brak potwierdzonej orientacji homoseksualnej faktycznie wykluczają ten motyw. Jednak ja uważam, że zabójca zabija nie dla idei czy za karę, ale z miłości do zmarłego chłopaka.

Dopisał w rubryce motyw „Miłość do Roberta Milewskiego?”.

- Udało wam się ustalić personalia stróża z Zachemu? Tego faceta ze zdjęcia? - zapytał po chwili ciszy Rybacki. - To teraz nasz najważniejszy trop.

- Nie, jeszcze nie - odpowiedziała Beata. - Poprzedni właściciel tych magazynów nie żyje, zmarł na udar mózgu pół roku temu. A jego następca nic nie wie na ten temat. W papierach też pusto, a przynajmniej w tych, które nam pokazał obecny właściciel. Czekamy

na pozwolenie na dokładne przeszukanie magazynu, ale to otrzymamy pewnie dopiero w poniedziałek.

– Dzięki, Beata. Ten skurwiel musi w końcu się pomylić.

W tym momencie wszedł do biura zasapany Radosław.

– Nie tym razem. – Przewiesił kurtkę przez oparcie krzesła i usiadł. – Wykolegował nas na cacy.

– Co się stało?! – spytał Bondys.

– Pojechałem zmienić Piotrka, tego młodego, co go wyznaczono do pilnowania grobu Roberta. – Miller wziął głęboki oddech. – Spóźniłem się chwilę, a kiedy się zmienialiśmy, Piotrek miał wypadek.

– Jaki wypadek? Coś mu się stało? – zainteresowała się Beata.

– Jemu nic. – Miller cały czas łapał oddech. – Potracił staruszkę, która wbiegła mu pod koła, wychodząc z cmentarza. Stłukła tylko rękę.

– W tym czasie zabójca wyrył przekreślone inicjały Rafała Gnyka – stwierdził bardziej, niż zapytał Marek. – Kurwa jego sprytna mać.

Radosław wyglądał na zdziwionego dedukcją komisarza, przytaknął jednak.

– Ale skąd on nagle namalował wieczorem na cmentarzu, akurat w tym momencie? – dopytywał Zygmunt.

Bondys klasnął w dłonie.

– Zygi, jesteś genialny! Malowanie!

– Co takiego?! Mów jaśniej, chyba że wpadłeś na kolejną motywację zabójcy, to nie chcę już wiedzieć.

– Nasz zabójca to może być ten gość, który kupił malunki Roberta. – Komisarz wstał i przeszedł nerwowo po biurze. – Macie tu



zdjęcia tego faceta z pogrzebów?

Radek zaczął przeszukiwać szpargały na biurku.

– Tak, mam je gdzieś tutaj...

– Co chcesz teraz zrobić? – spytał Rybacki.

– Pojadę do matki Roberta. Niech przyjrzy się tym razem dokładnie, czy to ten facet kupił obrazy jej syna. – Bondys zarzucił płaszcz. – Młodzieży, wy do domu, nie możecie zamienić się w takich dziwaków jak ja.

– Ale ja mam czas, mogę się przydać.

– Już się przydałaś, Beata. Do domu, ale już!

Pachniewicz westchnęła ciężko, ale posłusznie zaczęła się zbierać, podobnie jak Miller i Rybacki, których akurat zachęcać do tego nie trzeba było.

Poniedziałek, 16 XII 1996 r.

85

Komisarz Bondys w niedzielę nie zastał Milewskiej w domu, dlatego spróbował kolejnego dnia z samego rana. Nie chciał tracić czasu na kluczenie po okrągłych uliczkach osiedlowych, więc zaparkował tam, gdzie ostatnio Kownacki, pod spółdzielnią mieszkaniową przy ulicy Boya-Żeleńskiego. Zadzwoił domofonem, przedstawił się i po chwili usłyszał charakterystyczny dźwięk otwieranych drzwi.

Marek wbiegł na czwarte piętro, nawet nie łapiąc specjalnie zadyszki po drodze. Tym razem Maria Milewska czekała na niego już w drzwiach, przytrzymując się klamki. Kiedy widział ją ostatnim razem, nie przypuszczał, że to w ogóle możliwe, a jednak – kobieta jeszcze bardziej schudła. I miała przez to jeszcze większe dłonie.

Otworzyła drzwi, nie puszczając swojego oparcia, więc Bondys właściwie wślizgnął się bokiem do mieszkania.

– Wie pan, co z moim Grzesiem? Znaleźliście go?

Stanęli w przedpokoju, a kobieta oparła się teraz o szafkę na buty, częściowo siadając na niej. Miała na sobie kwiecistą, długą spódnicę i wełniany, czarny sweter – kiedyś pewnie dopasowany, teraz dość luźny. Na jej twarzy nadzieja mieszała się z uczuciem bezsilności i zwątpienia.

– Nie, jeszcze nie. Ciągłe szukamy. – Nie zamierzał mówić jej o swoich podejrzeniach, że Grzegorza prawdopodobnie porwał

seryjny zabójca. Wyjął za to zdjęcie zza pazuchy. – Poznaje pani tego mężczyznę?

Milewska przeszła do dużego pokoju, usiadła na kanapie i założyła okulary, po czym zaczęła intensywnie przypatrywać się fotografii. Podobnie jak poprzednio, z jej wyrazu twarzy czy mowy ciała nie sposób było niczego wywnioskować. Siedziała nieruchomo jak pomnik, a gdyby nie otwarte oczy, można by sądzić, że śpi. Albo nie żyje.

– Pani Milewska, rozpoznaje pani tego mężczyznę?

Bondys nie zwykł ponaglać świadków, jednak tym razem ciekawość okazała się silniejsza od jego zwyczajów.

Kobieta nadal wpatrywała się w fotografię martwym wzrokiem.

– Nie wiem.

– Proszę się uważnie przyjrzeć. To bardzo ważne – podkreślił policjant.

Wzruszyła ramionami.

– Tak, to chyba ten facet, który kupił obrazy Roberta. – Niemal niezauważalnie pokiwała głową.

– Jest pani pewna, że to ten mężczyzna kupił od pani obrazy?

Matka Roberta podniosła wzrok na Bondysa.

– Tak mi się wydaje.

– A czy zna go pani?

– Nie, chyba nie.

Komisarz westchnął, wiedząc, że odpowiedzi „wydaje mi się” i „chyba” nie za dużo wnoszą.

– Pani Milewska, to sprawa życia i śmierci. Życia pani konkubenta. Proszę się spokojnie przyjrzeć fotografii jeszcze raz i

powiedzieć, czy zna pani tego mężczyznę. Albo chociaż czy kojarzy go pani z widzenia?

– Nie, raczej go nie znam. – Zamyśliła się. – Chociaż jakbym go już kiedyś widziała, kogoś mi przypomina...

– Kogo?

Komisarz starał się nie krzyczeć, chociaż irytacja mieszająca się z podekscytowaniem gotowały się w nim.

– Nie, nikogo, wydawało mi się... To chyba on kupił obrazy, więc może stąd kojarzę twarz.

Milewska wstała, żeby oddać fotografię, i w tym momencie zatoczyła się do tyłu.

– Pani Mario, wszystko dobrze?

– Tak, tak, ja tylko...

Nie dokończyła zdania, ponieważ nagle padła jak długa.

– Niech to szlag! – zaklął Bondys i przytrzymał kobietę w ostatniej chwili, zanim uderzyła głową o podłogę.

Sprawdził czynności życiowe – Milewska oddychała spokojnie i miarowo. Przeniósł na kanapę jej wiotkie ciało. Zaczął się rozglądać w poszukiwaniu telefonu. Kiedy znalazł aparat w przedpokoju, wybrał 999, żeby wezwać pogotowie, i czekał. Nie miał żadnych wątpliwości, że Milewska zna sprawcę, przez co jest jedyną osobą, która mogłaby podać nazwisko zabójcy, a właśnie straciła przytomność. Niech to szlag! Pozostawała nadzieja, że po przyjeździe karetki matka Roberta szybko odzyska świadomość i będzie mógł kontynuować rozmowę. Tymczasem przykrył kobietę grubym szarym pledem, który leżał niedbale rzucony na krześle, i wiedziony ciekawością (czy też policyjnym nosem), sięgnął po leżący na stole album ze zdjęciami.



Karetka przyjechała po kwadransie, a lekarz pogotowia ku zdziwieniu Bondysa stwierdził, że Maria Milewska nie tylko zemdląca, lecz także przeszła zawał. Zabrano ją na hospitalizację, w międzyczasie nie odzyskała przytomności. Wymęczony i wychudzony organizm źle zniósł zawał mięśnia sercowego, przez co jej stan określono jako ciężki.

Pośród rodzinnych fotografii Marii Milewskiej, które komisarz przeglądał, czekając na karetkę, nie było niczego ciekawego, może oprócz niewielu zdjęć państwa Milewskich jeszcze za życia Andrzeja – męża Marii, a biologicznego ojca Roberta. Aczkolwiek Milewski nie był podobny do mężczyzny z fotografii, więc pomysł, który przyszedł Bondysowi w międzyczasie do głowy, że może Andrzej żyje i mści się za śmierć syna, okazał się zupełnie chybiony.

Kiedy po godzinie dziesiątej komisarz przyjechał do pracy, okazało się, że Beata i Radosław wykonali w niedzielę dobrą robotę, mimo że wysłał ich do domu. Pojechali jeszcze raz do Dzikowskiego, kolegi z pracy Musiała. Ten, bez szefa obok, przypomniał sobie, że jego były zmiennik dorabiał sobie jako pomocnik kamieniarza na cmentarzu. Cała trójka śledczych nie miała wątpliwości, o którą bydgoską nekropolię chodzi. Ruszyli więc od razu wraz z ekipą

techników i kilkoma funkcjonariuszami w charakterze wsparcia, walcząc z czasem i niesprzyjającą aurą.

Tego dnia śnieg, wiatr i mróz zdawały się sprzysiąc przeciwko bydgoszczanom. Nazwanie obecnej pogody zawieją, zamiecią czy zawieruchą śnieżną, stanowiłoby książkowy przykład eufemizmu. Zachodni wiatr dał, przekształcając bajkowe płatki śniegu w uciążliwe małe igielki wbijające się w każdą odsłoniętą część ciała, zawiewane wręcz w poziomie. Temperatura oscylowała około minus dwóch stopni, ale w połączeniu ze śniegiem i wiatrem, ta odczuwalna wynosiła jakieś minus sto stopni. Tak przynajmniej odbierał to Bondys.

Cmentarz za to wydawał się kompletnie niewzruszony otaczającą aurą, wręcz zgrał się z okrutnym oddechem zimy. Drzewa kołysały się w rytm podmuchów wiatru, drobne płatki śniegu odbijały światło kolorowych zniczy, a częściowo zaśnieżone krzyże i groby wyglądały, jakby ktoś przygotował puchowe kołderki dla nieboszczyków. Brakowało tylko kołysanki utulającej ich do wiecznego snu.

Bondys razem z Millerem poszli jako pierwsi, a Pachniewicz została w samochodzie wraz z technikami. Weszli w bramę od ulicy Rynkowskiej i podbiegli do pierwszego budynku obsługi cmentarza.

Marek zajrzał dyskretnie przez okno.

Nic.

Dał znak Radkowi i obeszli kolejny budynek. Znów zajrzeli przez okna.

Nic.

W końcu powoli podeszli do głównego wejścia. Bondys kopnął w stare drewniane drzwi, które od razu ustąpiły, i policjanci, osłaniając się nawzajem, wbiegli do środka.

Przeszukali obydwie pomieszczenia, jednak nikogo w nich nie było.

Zagląдали w każdy zakamarek.

Znowu nic.

W końcu zawołali wsparcie i techników. Radek poszedł poszukać zarządcy cmentarza, a Marek rozglądał się uważnie. Na śniegu przed wejściem nie zauważył żadnych śladów butów oprócz swoich i Millera, jednak przy tak intensywnych opadach śniegu żywotność takich śladów liczono w minutach, najwyżej kwadransach.

Główny budynek składał się z dwóch pomieszczeń. Jeden był pracownią kamieniarską, a drugi, sądząc po stoliku, krzesłach i katalogu pogrzebowym, służył do przyjmowania klientów. To tutaj zapewne wybierano rozmiar nagrobka, płytę, czcionkę, kolor, cenę czy epitafium. Bondys zastanawiał się, jak wyglądają takie rozmowy. „Czy chcą państwo dla szanownej mamusi marmur, granit czy najtańszy konglomerat kwarcowy, czyli taki żwirek kamienny? Czy pojedynczy grób czy dwuosobowy, czy może od razu grobowiec dla całej rodziny? A to akurat zależy pewnie od stanu zdrowia szanownych członków rodziny! Czy wazon na kwiaty? Czy Jezusek na krzyżu? Czy może rzeźba smutnego aniołka wtulającego zapłakaną anielską twarzyczkę w skrzydło, chociaż to już wyższa półka cenowa, także dla dalszej ciotki, to nie za bardzo?”

W samej pracowni, oprócz typowych narzędzi kamieniarskich oraz w połowie wyrzeźbionej płaskorzeźby Chrystusa, też nic nie zwróciło uwagi policjantów. Regały z elementami ozdobnymi z kamienia, różnego rodzaju dłuta, fragmenty nagrobków, w rogu kącik z czajnikiem elektrycznym, kubkiem i naczyniami.

Przeszli więc do drugiego, mniejszego budynku. Grabie, miotły, wiadra, trochę starych kamiennych wazonów, rzeźb i krzyży ułożonych w stos. Bondysowi wydało się dziwne, że obydwaj pomieszczenia charakteryzował wręcz pedantyczny porządek. O ile w budynku, w którym przyjmuje się klientów, można to było jeszcze zrozumieć i wytłumaczyć chęcią zrobienia dobrego wrażenia, o tyle w składziku na miotły i stare kamienie wyglądało to dość nietypowo, żeby nie powiedzieć – dziwacznie. Podłoga wyglądała na świeżo zamiecioną, nigdzie nie zauważył śladu kurzu czy pyłu.

W tym momencie wszedł Miller.

– Mamy go! – wykrzyczał od wejścia. – Zarządca rozpoznał w mężczyźnie ze zdjęcia swojego pracownika, niejakiego Jakuba Wilgę.

– Że też wcześniej na to nie wpadliśmy, że to musi być pracownik cmentarza! Przekreślanie inicjałów na grobie Roberta, podrzucenie ciała Marzeny, możliwość regularnego odwiedzania mogiły zmarłego nastolatka...

– No i w tych pomieszczeniach mógłby robić, co chciał, z ofiarami, nikt by ich nie usłyszał. – Radosław wskazał ręką obydwaj budynki. – Przynajmniej nikt żywy.

– Tylko dziwi mnie kompletny brak śladów przetrzymywania kogokolwiek tutaj. – Bondys rozglądał się po całym pomieszczeniu. – Zabójca albo spodziewał się, że przyjedziemy, albo tu jest jakaś skrytka, której nie widzimy.

– Sprawca raczej nie ryzykowałby, że ktoś zauważy czy usłyszy ofiarę w składziku.

– Coś w tym jest – odpowiedział komisarz. – Pozostaje pytanie, gdzie jest teraz Grzegorz Musiał?



– A może to jednak nie Wilga stoi za jego uprowadzeniem? W końcu *Homo homini lupus* już dokończył.

– Na pewno dla ojczyzna Roberta byłoby tak lepiej.

Bondys podszedł do sterty kamiennych ozdób pogrzebowych i przyjrzał im się dokładnie.

– Ta kupa kamieni jest dziwnie niezakurzona... – Komisarz nachylił się, założył rękawiczki i zaczął ściągać fragmenty ze stosu. – Zawołaj techników! – krzyknął po chwili, mimo że kolega znajdował się najwyżej metr od niego. – Tu jest wejście.

Zdjęcie wszystkich kamieni i oczyszczenie wejścia zajęło ponad godzinę. Bondys zastanawiał się, jakim cudem robił to zabójca – i to pewnie dość regularnie. Albo to wyjątkowy siłacz, albo ma mnóstwo czasu i cierpliwości. A może jedno i drugie.

Kiedy zeszli z Millerem do środka, znaleźli się w niewielkiej komórce.

– O Chryste... – szepnął Radek.

Wyposażenie tego niepozornego pomieszczenia nie pozostawiało złudzeń. Znajdowali się w wyjętej niczym wprost ze średniowiecza sali tortur. Haki i łańcuchy w ścianach na różnych wysokościach, zaschnięte plamy krwi na podłodze, szeroka srebrna taśma, sznury, paczki soli, butelki octu i zakrwawione noże w kącie nie zostawiały miejsca na wątpliwości. To tutaj dokonywano makabrycznej kaźni ofiar.

Czyli znali już personalia zabójcy, jego *modus operandi*, miejsce, gdzie znęcał się na ofiarami i gdzie je zabijał.

Tylko on sam ciągle pozostawał nieuchwytny.



Technicy zostali jeszcze na miejscu, mozolnie ściągając ślady, ale Bondys nie chciał czekać i odkładać omówienia tego, co udało im się ustalić od rana.

– No, wreszcie będę mógł rzucić jakiś konkretny ochłap zagłodzonym w tym śledztwie pismakom – powiedział wyraźnie ucieszony Rybacki i zapalił.

– Na razie wiemy, kim jest sprawca, ale nie mamy bladego pojęcia, gdzie jest. – Bondys również zapalił, po czym podszedł do tablicy i zawiesił zdjęcie dwóch czteropiętrowych, szarych bloków położonych prostopadle względem siebie. – Sprawdziłem mieszkanie Wilgi. Okazało się, że mieszka w bloku niedaleko Marii Milewskiej i Grzegorza Musiała. Tutaj wychodzi okno z pokoju Roberta, a tu mamy okna z salonu i sypialni Wilgi – dodał, wskazując odpowiednie miejsca na fotografii.

– Mógł łatwo obserwować chłopaka – zauważyła Beata.

– Tylko to właściwie wszystko, co wiemy po oględzinach mieszkania Jakuba Wilgi. – Marek westchnął. – Pojechaliśmy tam od razu po cmentarzu, jednak mieszkanie wygląda, jakby nikt do niego

nie zaglądał od miesiący. Kurz na meblach, pusta lodówka, odłączona woda. Innymi słowy, żadnych śladów życia.

– On musi się ukrywać gdzieś, gdzie czuje się pewnie. – Aleks wpatrywał się w bloki na zdjęciach i z mieszkania poszukiwanego. – Wiedział, że będziemy go szukać i prędzej czy później znajdziemy, więc opuścił mieszkanie. Na cmentarzu też się nas spodziewał. Musi mieć jeszcze jedno miejsce, w którym czuje się bezpiecznie i swobodnie.

– Może przydałoby się pokazać jego twarz publicznie, niech go szukają? – rzucił Miller.

– Już to zrobiliśmy. – Naczelnik zgasił papierosa w kryształowej popielniczce i wstał. – Idę porozmawiać z komendantem przed konferencją prasową, a wy złapcie mi tego skurwiela jak najszybciej.

– A co wiemy na temat Wilgi? – spytał Bondys i zaczął pisać na tablicy. – To kawaler, z wykształcenia historyk sztuki, mieszkał sam, rodzice nie żyją, jedynak. Prawdopodobnie jest silny fizycznie.

– Chyba możemy założyć, że jest homoseksualistą?

– Słusznie, Beata – pochwalił koleżankę komisarz. – I prawdopodobnie darzył uczuciem Roberta. Od kilku miesięcy dorabiał sobie jako pomocnik kamieniarza na cmentarzu. A wiemy, czym zajmował się wcześniej? Po zwolnieniu z Zachemu?

– Tego nie udało nam się ustalić. – Miller zwiesił głowę. – Zarządca cmentarza wie tylko, że wcześniej pracował w jakimś magazynie czy hali, ale nie wie, gdzie dokładnie.

– Obserwujemy jego mieszkanie i cmentarz, może wróci do któregoś z tych miejsc. Chociaż nie liczyłbym na to, jest zbyt sprytny – powiedział Bondys i zamyślił się. – A właściwie za co go zwolniono ze stróżówki?

– Podobno kręcił się po terenie fabryki i podejrzewali, że kradnie.

Marek pokiwał głową i zanurzył usta w kawie, którą przygotował po przyjeździe na komendę.

– Mam przeczucie, że Maria Milewska go znała. Gdy pokazałem jej zdjęcie za pierwszym razem, nie przyjrzała się w ogóle, ale za drugim razem sprawiała wrażenie zmieszanej, jednak szybko się wycofała. – Komisarz wziął znów solidny łyk kawy.

– Może był jej kochankiem? – zasugerował Radosław.

– Nie sędzę, choć to niewykluczone. Tylko po co miałyby mścić się za Roberta?

– Może miał romans z Marią Milewską, ale zakochał się w jej synu? – rzuciła Beata, po czym zarumieniła się, zdając sobie pewnie sprawę, że to dość nielogiczne rozwiązanie.

Bondys spoglądał na tablicę i w końcu pokazał palcem łacińską sentencję.

– Dobra, ale nadal nie zgadza nam się potencjalna czwarta ofiara z *homo homini lupus*. Co zabójca miałby na niej napisać?

– A może Musiała wcale nie uprowadził morderca? – podsunął Radosław, poprawiając sobie bujną czuprynę.

– Wszystko możliwe. Równie dobrze ojczym Roberta mógł po prostu pójść gdzieś w tango.

– Na pewno musimy poczekać na raport techników z cmentarza i mieszkania Wilgi – podsumował Bondys.

Po kwadransie rozdzielono zadania, spotkanie skończyło się, a jego uczestnicy rozeszli. Tylko komisarz siedział naprzeciwko tablicy, kończył dopijać kawę i dopalać papierosa. Towarzyszyła mu frustracja połączona z niedosytem.

Sobota, 21 XII 1996 r.

88

Spacerował po Starym Rynku. Przymrozki, śnieżyce i silny wiatr dawały się we znaki od tygodnia. Miasto zdawało się zapadać w coroczny sen zimowy. Temperatura spadała, słońce wstawało coraz później i zachodziło coraz wcześniej, tak że po szesnastej już tylko latarnie i przejeżdżające samochody oświetlały ulice. Ludzie przemykali jak cienie z pochylonymi głowami, zmarznięci, otulając się szczelnie płaszczami.

Chociaż dochodziła dopiero osiemnasta, zdążył wypić już trzy piędziesiątki w jednej knajpie po drodze. Nie spieszył się nigdzie. Podsumował w pracy wyniki śledztwa i wychodziło na to, że po dwóch miesiącach i trzech trupach wiedzą, kim jest sprawca, jak się nazywa, gdzie przetrzymywał, torturował i mordował ofiary, ale nie mają pojęcia, gdzie obecnie przebywa. Policja nadal nie potrafiła odnaleźć też Grzegorza Musiała.

Bondys uznał, że zdecydowanie zbyt mało alkoholu płynie w jego żyłach, żeby wracać do domu i zostać sam na sam ze swoimi myślami. I widokiem wszystkich trzech trupów. I ich zrozpaczonych rodzin. I wspomnieniami o swoim ojcu. I poczuciem bezradności.

Wybrał pub po drugiej stronie Starego Rynku, tuż obok Biblioteki Miejskiej.

Wszedł, usiadł przy barze, rzucił płaszcz na krzesło obok i zamówił od razu dwie pięćdziesiątki. Oprócz niego było dwoje klientów – atrakcyjna kobieta przy barze i facet przy oknie. Ten ostatni jednak po chwili wstał, zataczając się lekko i mruczając coś pod nosem na temat tej dziwki, jego żony, dającej dupy każdemu, wyszedł. Kobieta za to sączyła kolorowego drinka z parasolką i przypatrywała się dyskretnie komisarzowi.

Barman podał mu wódkę i odszedł, by uporządkować szkło, w radiu Rysiek Riedel śpiewał, że whisky jest jego żoną i najlepszą z dam.

Przechylił kieliszek z czystą. Tym razem za Ryśka, żeby mu ziemia lekką była.

Chwilę później usłyszał damski głos za plecami. Nawet nie zauważył, kiedy kobieta podeszła do niego.

– No cześć – zagaiła z delikatnym uśmiechem wysoka, atrakcyjna brunetka.

Miała zaczesane do tyłu włosy, duże, brązowe oczy i usta pomalowane czerwoną szminką. Rozpięła jeden guzik przy i tak już sporym dekolcie czarnej obcisłej sukienki i usiadła tuż przy Bondysie, co w pustym pubie było dość sugestywnym gestem. Zwykle komisarzowi odpowiadałoby towarzystwo atrakcyjnej brunetki, jednak dzisiaj nie miał ochoty na flirt z nieznajomą.

– Przepraszam, droga pani, ale wolałbym dzisiaj pić tylko w swoim towarzystwie, ewentualnie Rysia Riedla – powiedział lekko bełkotliwie i odwrócił wzrok z powrotem na kolejny pełny kieliszek przed sobą.

– Nigdy nie byłeś duszą towarzystwa, Mareczku, ale żeby tak obcesowo potraktować dawną koleżankę... – Kobieta uśmiechnęła

się zadziornie.

– Jak to kole...

Bondys podniósł wzrok i próbował odkopać w pamięci twarz kobiety, która siedziała obok. Wypity alkohol z pewnością znacząco utrudniał to zadanie. Skąd mógł ją znać? Z pracy? Z osiedla? Nagle sobie przypomniał! W życiu by jej nie poznał, gdyby nie usłyszał głosu. Chodzili razem do ogólniaka, ale wtedy wyglądała jak chłopczyca.

– Izabela Ryś!

– Nie ten kot, Mareczku. Żbik, Izabela Żbik. – Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając bielutkie zęby i puściła do niego oko. – Zresztą nieważne, teraz i tak Izabela Schultz.

– Czyli wyszłaś za mąż za jakiegoś bogatego i nieziemsko przystojnego folksdojczyka?

– Za Austriaka. Dość bogatego i nawet przystojnego. – Wychyliła kieliszek Bondysa nawet się nie skrzywiwszy, a ten wskazał barmanowi, żeby podał jeszcze jedną kolejkę jemu i jego nowej towarzysce. – Właśnie rozwiodłam się z Arthurem, wyjechałam z Wiednia i wróciłam na stare śmieci, żeby zacząć wszystko od nowa.

– A co się takiego stało? Czyżby palono za dużo cygar na wiedeńskich salonach? Czy może tort Sachera cię zemdleł?

Dopiero teraz zauważył, że Izabela trzyma dłoń na jego udzie. Nie przeszkadzało mu to. Wręcz przeciwnie.

– No cóż. Klasyka. Ja zakochałam się na zabój, a Arthur, jak się okazało, kochał wiele kobiet. Pewnego dnia nakryłam go w kuchni na obmacywaniu sąsiadki. Jakoś to wytłumaczył, że była smutna i tylko ją pocieszał, a ja jak naiwna gąska, uwierzyłam. Chyba chciałam uwierzyć. Jednak kiedy zastałam go rok później w naszej

sypialni, na naszym łóżku, w jednoznacznej sytuacji z moją, jak mi się wydawało, najlepszą przyjaciółką, to już nie było czego tłumaczyć. Spakowałam się i wróciłam do Polski.

– A co u ciebie, Mareczku?

– U mnie? Hmm... – Chwilę się zastanowił i stwierdził, że w sumie tylko jedno go definiowało. – Jestem gliną.

Po kolejnych ochoczo przechylanych kieliszkach oraz kilku zabawnych i mniej zabawnych historiach ze szkoły średniej, około dwudziestej drugiej Izabela w końcu zaproponowała, żeby pojechali do niej, wspominać stare czasy. Bondys przytaknął kiwnięciem głowy.



Niedziela, 22 XII 1996 r.

89

Promienie słoneczne brutalnie wdzierały się do pokoju, zalewając pomieszczenie rażącym światłem. Nie miał pewności, czy obudziło go słońce, czy może te sto wiertarek wwiercających się w jego czaszkę. Bezskutecznie próbował otworzyć oczy i zorientować się w sytuacji oraz przypomnieć sobie poprzedni wieczór. Podniósł na siłę powieki i zaczął rozglądać się dookoła. Powoli, żeby nie pogłębiać bólu głowy i nie zachęcać wiertarek do włączenia funkcji udaru. Obok niego w łóżku spała Izabela, przykryta dość cienką jak na tę porę roku kołdrą, która podkreślała jej zgrabną sylwetkę i kobiece kształty. Dookoła leżały porozrzucane ubrania. Teraz zaczął powoli kojarzyć wydarzenia wczorajszego wieczoru.

Trzy trupy, pub, brak pomysłów na kryjówkę sprawcy, Pacyfik wódki, porwanie Musiała, dawna koleżanka ze szkoły, śledztwo, które stanęło w miejscu, i jego kutas, który w ogóle nie stanął – ze względu na zbyt wiele skinień głową na barmana. „Pasma sukcesów, kurwa, nie ma co”, pomyślał. Chociaż to, że się najebał jak Messerschmitt i nie dał rady zaspokoić Izy, stanowiło jego najmniejszy problem. Zdarza się, życie. Nie czuł się przez to mniej męski, może jedynie trochę zażenowany. Poprzedniej nocy oboje desperacko potrzebowali bliskości, czułości oraz nakarmienia ujadających w ich duszach rottweilerów samotności. I wszystko to

sobie dali. Dwie zadowolone strony to najlepszy międzyludzki układ, taka symbioza bez zobowiązań. Ideały, wierność, uniesienia i patos Bondys już dawno pogrzebał na swoim cmentarzu doznań nieosiągalnych. Pochował je wraz ze sprawiedliwością, wiarą, dozgonną miłością i džinsami, które nie cisną w kroku. W jego świecie już nie istniały, nie wierzył w nie i czuł się z tym lepiej. Przynajmniej unikał rozczarowań.

Wstał powoli, aby nie obudzić Izabeli. Ostrożnie odszukał swoje bokserki, spodnie i skarpetki. Kiedy ubrał się od pasa w dół, zaczął szukać T-shirtu i bluzy, ale nigdzie nie mógł ich znaleźć. Kręciło mu się w głowie, a jego żołądek ciągle się wahał, czy zostawić w sobie całą treść, czy jednak oddać ją z powrotem światu.

Za plecami usłyszał ciepły, kobiecy głos.

– W łazience na pralce.

– Proszę? – Odwrócił się do kobiety. – Nie chciałem cię obudzić.

– Domyślam się, że nie chciałeś, Mareczku. Pewnie planowałeś się wymknąć cichaczem. – Zachichotała pod nosem. – Nie wyglądasz na typ romantyka, który przynosi kobiecie śniadanie do łóżka, z pachnącą kawą i różą. A twoja koszulka i bluza są w łazience. Zamoczyłam je wczoraj, bo niestety wylądował na nich cały mój kieliszek czerwonego wina.

– Dzięki – wymamrotał Bondys.

Iza wstała z łóżka, nie kryjąc uśmiechu, i udała się do kuchni, Marek za to poczłapał do łazienki po ubrania, które prawie wyschły i były mniej więcej pozbawione wina. On za to nie pozostawał bez poczucia winy.

Wyszedł na balkon i zapalił. Ubrania okazały się nie do końca suche. Przeszywające, zimne powietrze szybko otrzeźwiło mu umysł

i obudziło ciało, aż się wzdrygnął. Zaciągnął się chciwie kilka razy, zgniótł szybko peta o parapet i wrócił do pokoju. Poczłapał w stronę kuchni. Już w przedpokoju poczuł zapach smażenia oraz aromat świeżo zaparzonej kawy. Skuszony zapachami i widokiem koleżanki w samych koronkowych majtkach i podkoszulce, zdecydował się zostać. Izabela nałożyła na talerze jajecznicę z pomidorami i szczypiorkiem oraz kawałkami aromatycznego boczku i podała do tego chleb z masłem. Smakowało wybornie, a i kawa przypominała w smaku kawę.

– Zawsze miło odświeżyć dawne znajomości, prawda, Mareczku?  
Iza przygryzła kusząco dolną wargę.

– Tylko że umysł ludzki jest nieodgadniony, a kobiecy już w ogóle. Bo widzisz, ja mimo wszystko ciągle myślę o Arthurze. O moim mężu...

– Myślałem, że się rozwiedliście.

Wziął jeszcze jedną kromkę z masłem, która na zboląły żołądek działała kojąco niczym aloes.

– Dopiero pierwsza rozprawa za nami. – Kobieta odłożyła widelec. Promienny uśmiech zniknął bez śladu. – Wiesz, bo ja nie wiem, czy ten rozwód to dobra decyzja.

Marek próbował sobie przypomnieć z poprzedniej nocy szczegóły dotyczące małżeństwa państwa Schultzów.

– Przecież cię zdradzał.

– Wiem. – Wstała, skrzyżowała ręce i spojrzała przez okno. – Tylko widzisz, Mareczku, ja go nadal kocham. Bo miłość to najsilniejsze uczucie. Człowiek jest zdolny do wszystkiego z miłości. Osobiście myślę, że to w pewnym sensie choroba. Odbiera apetyt, zdrowy sen, spokój. Obezwładnia umysł. No i zawsze istnieje

pokusa, żeby wrócić do dawnego życia, które kojarzyło się beztrosko, bezpiecznie i szczęśliwie. Wszystkie złe rzeczy z czasem bledną i mocno idealizujemy miłość, wady bliskiej osoby, miejsca z przeszłości. I nagle chcemy tam powracać, nawet jeśli to głupie.

– Co takiego? – Bondys zatrzymał widelec z jajkiem w połowie drogi do ust. – Co powiedziałaś?

– Przepraszam, Mareczku, jeśli zrobiłam ci nadzieję. – Pogłaskała go czule po policzku. – Ja po prostu nadal Kocham Arthura, to jednak mój mąż, przysięgałam mu do śmierci i...

– Nie, nie to! Powiedziałaś, że człowiek chętnie wraca do miejsc z przeszłości, bo czuje się tam bezpiecznie?

– No, tak. Proszę, nie miej do mnie żalu. Nie szukam nikogo na stałe. Myślałam, że rozumiesz, że...

Patrzyła na niego skołowana i nie dokończyła zdania.

– Nie mam żalu, przepraszam, pomyślałem o czymś innym.

– Ty chyba w ogóle jesteś myślami gdzieś indziej.

Podeszła do niego i pogłaskała go po włosach. Czuł, jak jej smukłe palce zanurzają się w jego niegdyś czarnej, a teraz przetykanej srebrnymi włosami czuprynie. Nie odwzajemnił czułego gestu, więc kobieta usiadła z powrotem i wróciła do jedzenia śniadania, a raczej dłubania widelcem w talerzu. Komisarz zaczął bezmyślnie przeglądać tytuły książek ustawionych na wiszącej w kuchni niewielkiej półce. Zwrócił na nie uwagę, bo książki poukładano idealnie od najwyższej do najniższej – tak jak lubił. Jak na polonistkę przystało, Izabela miała niezłą biblioteczkę nawet w kuchni.

Czytał tytuły po kolei. Głównie słowniki, poradniki językowe i tomiki poezji. Nagle zainteresował się jedną pozycją. Niepozorna,

granatowa książeczka, leżała tuż przy krańcu półki, wśród najniższych książek. Wziął ją do ręki i zaczął przeglądać nerwowo. W końcu znalazł to, czego szukał.

– Jaki dzisiaj dzień?

– Niedziela, Mareczku.

– Nie, który dzisiaj?

Zabrzmiało to dość obcesowo, ale nie miał czasu na subtelności.

– Dwudziesty drugi grudnia, za dwa dni wigilia Bożego Narodzenia.

– Sto dziewięćdziesiąt dziewięć. O cholera! – Ucałował koleżankę czule w usta i pobiegł do przedpokoju. – Zadzwoń proszę na dziewięć dziewięć siedem i powiedz, żeby przysłali patrol do wytwórni numer dziewięć na terenie Zachemu.

Pożyczył jeszcze samochód od Izy, tłumacząc jej, że to sprawa życia i śmierci. Wciągnął pośpiesznie buty i z kurtką przewieszoną przez rękę zbiegał po schodach co drugi stopień. Wybiegł z klatki i pognał w stronę parkingu. Izabela Schultz mieszkała na Bartodziejach, jakieś pięć kilometrów od zachemowskiej bramy, więc powinien za kilka, kilkanaście minut dotrzeć na miejsce.

Dopiero na dole, szukając auta Izabeli, spostrzegł, że w ręce ciągle trzyma niewielką książkę z wytartym złotym napisem: *Sentencje łacińskie*.



Komisarz Bondys mknął ulicą Wojska Polskiego. Starał się panować nad prawą stopą i nie wciskać gazu do samej podłogi. Widział w życiu zbyt wiele zmasakrowanych ofiar wypadków, żeby ryzykować potrącenie pieszego w środku miasta. Jednak wiedział, że musi się śpieszyć, bo każda minuta może być na wagę złota. Radiowóz wezwany przez Izabelę też już pewnie wyruszył, ale dotrze przynajmniej kilka minut później niż on.

W końcu dojechał do wysokiego ogrodzenia, mignął policyjną odznaką strażnikowi i po chwili przejechał przez bramę na teren Zachemu, prawie zahaczając mercedesowym celownikiem na masce o unoszący się szlaban. Główny gmach zdawał się drwić z intruza, jakby wystawiał swoje lekko poźółkłe zęby w szyderczym uśmiechu namalowanym na zimnej, błękitnej twarzy. Marek jechał wąskimi uliczkami, mijając kolejne budynki. Część z nich zamknięto kilka lat wcześniej ze względu na zatrzymanie produkcji. Wysokie, metalowe stelaże straszyły, pokryte rdzą. Tak jak po śmierci człowieka zostają kości, tak po tych fabrykach pozostały jedynie nędzne szkielety przypominające o ich dawnej świetności. Tak jak robaki zjadają w ziemi ciało ludzkie, tak korozja zżerała metalowe rusztowania

budynków. Gdzieś na bramach można było jeszcze dostrzec pomarańczowe tabliczki z charakterystyczną czaszką i pieszczelami, ostrzegające w wyjątkowo czytelny sposób przed trującymi substancjami.

Sam ledwie kojarzył powiedzenie homo homini lupus, jednak nie miał bladego pojęcia, że w oryginale brzmi ono inaczej. Homo homini lupus est – człowiek człowiekowi wilkiem jest. Cztery wyrazy. Cztery ofiary. Do tego liczba sto dziewięćdziesiąt dziewięć, tyle dokładnie, ile ran miała każda z ofiar. Oprawca zaplanował wszystko co do dnia. Dzisiaj zabije ostatnią osobę. Dokładnie w sto dziewięćdziesiąt dziewięć dzień od śmierci Roberta.

Skręcił w ostatnią ulicę i zaparkował za wielkim, zardzewiałym silosem. Znajdował się w części zachemowskiego molocha, gdzie kiedyś produkowano trotyl. Komisarz widział teraz kilka opuszczonych magazynów i halę produkcyjną. Podjechał bliżej pod wytwórnię numer dziewięć. Wysiadając, kopnął niechcący kamień, który trafił w stary metalowy zbiornik, a głośnie echo rozniosło się po okolicy.

Po chwili przekroczył próg hali magazynowej. Najpierw usłyszał jęki. Spojrzał w przeciwny kraniec pomieszczenia, gdzie zobaczył nagiego mężczyznę. Grzegorz Musiał stał przywiązany do metalowej rury. Ręce miał wyciągnięte nad głową i solidnie skrępowane. Usta, z których wydobywały się rozpaczliwe dźwięki, zaklejono srebrną szeroką taśmą. Wyraźnie ucieszył się na widok komisarza, wręcz całe jego ciało zaczęło błagać o pomoc. Bondys stał się dla niego właśnie nie tyle iskierką, ile całym paleniskiem nadziei.

Komisarz podchodził powoli coraz bliżej, rozglądając się naokoło.

Nagle ofiara zaczęła pokazywać coś oczami i intensywnie kiwać głową w jednym kierunku.

Marek spojrzał w bok.

Z drugiej strony zbliżał się do niego Jakub Wilga, którego nawet z daleka rozpoznał jako mężczyznę ze zdjęcia. Teraz policjant znajdował się około dwudziestu metrów od Musiała, a zabójca – najwyżej pięć.

– Czekałem na ciebie.

Mężczyzna zaskakiwał nieadekwatnym do pory roku strojem. Był ubrany tylko w białą podkoszulkę i ciężkie robocze spodnie. Uwagę zwracała również jego potężna postura, którą na zdjęciach z pogrzebu skutecznie zakrywały garnitur i czarny długi płaszcz.

– Obserwowałem cię, kiedy przyszedłeś na grób ojca z flaszką i papierosem.

Spodziewał się, że morderca w pierwszej kolejności zacznie mu grozić albo krzyczeć. Jego spokój kompletnie nie pasował do sytuacji.

– To ty zostawiłeś ten znicz. – Komisarz próbował grać dalej w grę zaproponowaną przez Wilgę.

– Tak, ja. – Podszedł do ofiary, która wytrzeszczyła przerażone oczy i szybko kręciła głową na boki, wydając przy tym niemal zwierzęce odgłosy. – Wzruszyły mnie twoje odwiedziny na cmentarzu. Widać, że miałeś silną więź ze swoim tatą. To dzisiaj takie rzadkie.

– Pozory czasem mylą.

Nie wiedział, dokąd właściwie zmierzała ta rozmowa, stawała się coraz dziwniejsza, a napięcie w powietrzu między wszystkimi trzema mężczyznami zgęstniało tak, że można było je kroić nożem.



W tym momencie Jakubowi poleciała krew z nosa. Starł ją szybko rękawem.

- Masz krwotoki z nosa? - Bondys wskazał na jego rękę i mruknął: - To dlatego znaleźliśmy kilka kropel krwi na pierwszej ofierze...

- Mam tak od dzieciństwa. Niegroźna, acz upierdliwa przypadłość.

- I pewnie masz grupę B Rh minus - powiedział już bardziej do siebie policjant.

Tak bardzo żałował, że nie miał przy sobie broni. Właściwie pewnie jego przyjazd bez przygotowania był głupotą, ale nie miał wyjścia. Jeżeli pojechałby na komendę po broń, Grzegorz Musiał mógłby nie dożyć wieczora.



Mężczyźni nadal znajdowali się w dziwnym trójkącie, a napięcie tak wzrosło, że Bondys miał wrażenie, iż wystarczy jedna iskra, żeby wybuchło, jak niegdyś trotyl gotujący się w tutejszych fabrykach. Odmierzał w głowie czas. Minęło sześć minut, odkąd wszedł do hali, wcześniej jechał przez siedem. Trzydzieści minut. Izabela z pewnością zadzwoniła po pomoc od razu, gdzie zatem podziewa się wsparcie, do cholery?!

– Robertowi i tak już nic życia nie zwróci – wyciągnął ostatnie argumenty Bondys, korzystając z tego, że Jakub chciał rozmawiać. Grał na zwłokę, ale czuł, że czas przecieka mu między palcami.

– Oczywiście, że nie! Bo oni go, kurwa, zabili! – wrzasnął Wilga i wskazał ręką na Musiała, który gorączkowo kręcił głową w niemym zaprzeczeniu. – Robert mógł być szczęśliwym człowiekiem. Tylko był za wrażliwy i za dobry dla swojej matki, dla tego tu ojczyma potwora, dla koleżanki z obozu, swojego trenera i kibola z ptasim mózdzkiem. Za wrażliwy i za dobry dla świata! – Jakub uderzył Musiała pięścią w brzuch, a ten aż zgiął się wpół. – Robert się nie zabił, to oni go zamordowali! Swoją indolencją, ignorancją i nienawiścią!

Komisarzowi przeszło przez myśl, że dawno nie słyszał tak dojrzałego głosu w obronie człowieczeństwa. Paradoksalnie pochodził od trzykrotnego, a za chwilę być może czterokrotnego zabójcy.

– Rozumiem twój żal, ale... – Próbował podejść bliżej.

– Gównu rozumiesz! Nie podchodź!

Wilga zauważył jego ruch. Marek natychmiast zatrzymał się w miejscu, a wtedy Jakub mówił dalej.

– Kiedyś spotkałem Roberta na ulicy. Ten półgłówek, Gnyk, katował go bez opamiętania, a jego kumpel gapił się i szczyrzył zęby. Robert nie tylko się nie bronił, on nawet nie zasłaniał się już przed kolejnymi ciosami, bo nie miał siły! Gdybym akurat tamtędy nie przechodził, ten bezmózg połamałby mu wszystkie kości! Gnyk dostał ode mnie parę razy i obaj zwiali gdzie pieprz rośnie. Takie z nich odważne typy, że potrafią tylko znęcać się nad słabszymi! Robert jęczał straszliwie, ale błagał, żebym nie wzywał pogotowia ani policji. Zabrałem go do siebie. Opatrzyłem rany, pomogłem mu się umyć z krwi, odpoczął. Miał podbite oko, rozciętą wargę i posiniaczone całe ciało. Mówiłem, że powinien zobaczyć go lekarz, ale on ciągle powtarzał, że matka i ojczym nie mogą się dowiedzieć, bo ta tutaj kanalia pewnie dołoży mu pasem za to, że dał się pobić. Poprosiłem go, żeby następnym razem przyszedł do mnie, jak tylko będzie potrzebował pomocy albo będzie chciał pogadać.

Bondys chciał kuć żelazo póki gorące i kupić sobie jeszcze kilka minut.

– I co, przyszedł?

Jakub zwiesił na chwilę głowę, a Marek skorzystał z okazji i podszedł o krok bliżej.

– Owszem, przyszedł kilka razy. Niestety, podczas ostatniego spotkania go spłoszyłem. Powiedziałem mu, że jest cudownym chłopakiem, z ogromnym talentem i że nie może tego zmarnować. Że powinien malować! Zaproponowałem, żeby zamieszkał ze mną, a potem wszystko jakoś się ułoży, wyjedziemy w miejsce, gdzie będzie bezpieczny... – Jakubowi załamał się głos. – Wtedy widziałem go po raz ostatni.

– Powinieneś zgłosić pobicie Roberta, jego nękanie, wtedy moglibyśmy mu pomóc...

Bondys nie dokończył myśli, bo Wilga znów uderzył Musiała pięścią, tym razem w twarz. Z nosa Grzegorza poleciała struga krwi i zakrztusił się, skrępowany taśmą.

– Jasne, kurwa! – Jakub zaśmiał się w głos. – Nic byście nie zrobili! Robert jako nieletni musiałby przyjść złożyć zeznania z matką lub ojczymem i później nie miałby życia w domu. Ten śmieć się nad nim znęcał, a matka nie potrafiła go obronić. Albo nie chciała! Zresztą i tak już na komisariacie trafiłby pewnie na policjanta, który jeszcze by go wyśmiał albo mu dołożył.

Ile czasu miał Bondys do przyjazdu wsparcia, to była jedna sprawa, ale odpowiedź na pytanie, ile jeszcze ciosów przeżyje Grzegorz Musiał, zdawała się ruletką. Pomysły na kontynuowanie rozmowy zaczynały się komisarzowi powoli kończyć.

– Kochałeś go, prawda?

– Oczywiście, że go kochałem, najmocniej na świecie! Jego jednego kochałem!

Bondysowi zdawało się, że na policzku Jakuba zobaczył łzę.

– Chciałem być jak najbliżej Roberta, móc podziwiać jego kolejne obrazy, patrzeć, jak rozwija swój talent, jak dojrzewa na mądrego,

wrażliwego mężczyznę. Był moim oczkiem w głowie, moim celem w życiu, wszystkim, co miałem...

– A Robert... Odwzajemniał uczucie? – Bondys desperacko szukał odpowiednich słów. Bał się, że urazi albo spłoszy Jakuba i gotujący się w nim trotyl eksploduje. Grzegorz Musiał zresztą też wyglądał coraz słabiej. – Myślisz, że w innych okolicznościach moglibyście ułożyć sobie życie? Gdyby otoczenie, ten naród, bardziej tolerowały gejowskie pary?

– Jakie gejowskie pary? – Wilga się skrzywił. – Nie mam nic do gejów, ale nie rozumiem, co to ma do rzeczy?

Teraz to Marek nie rozumiał.

– No... No przecież kochałeś Roberta?

– Kochałem, ale na Boga, nie tak!

– Rozumiem, że była to miłość platoniczna, ale...

– Nie. – Jakub westchnął zrezygnowany, jakby zawiedziony domysłami policjanta i pokręcił głową. – Robert był moim synem.

– Synem?!

Komisarz próbował zrozumieć usłyszane przed chwilą słowa. Przecież Andrzej Milewski, biologiczny ojciec Roberta i mąż Marii, nie żył od lat, zresztą na rodzinnych fotografiach wyglądał zupełnie inaczej. Więc albo jednak przeżył raka, ukrył się gdzieś i przeszedł szereg operacji plastycznych albo to kompletnie nie miało sensu.

– Tak, synem. Poznaliśmy się z jego matką przypadkiem, na domówce u wspólnego kolegi. Spodobała mi się od razu. Chyba nawet można powiedzieć, że zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia, a na pewno mocno zauroczyłem. Miała wówczas piękne blond włosy do pasa, duże oczy i śliczną figurę. Właściwie dla mnie była ideałem i kwintesencją kobiecości – opowiadał Wilga.

Bondys próbował sobie dopasować do tego opisu przeraźliwie chudy szkielet kobiety z podkrążonymi oczami i w wyciągniętym swetrze.

- Marysia pokłóciła się z ówczesnym mężem, Andrzejem, i poszła ze mną do łóżka po imprezie u naszych wówczas wspólnych znajomych, chyba po trosze na złość mężowi. A potem jak się okazało, że jest w ciąży, to spotkała się ze mną, żeby porozmawiać. Chciałem wychowywać Roberta, być dla niego prawdziwym ojcem i związać się z Marysią, wiedziałem, że mąż jej nie kochał, że często się kłócili, ale odmówiła. Zabroniła komukolwiek mówić o tym, że to ja jestem ojcem jej dziecka. Obiecała, że będę mógł mieć jakiś kontakt z synem, ale potem zmieniła zdanie i zabroniła mi spotykać się z Robertem. Mówiła, że jestem bez serca, bo chcę rozbić dziecku rodzinę, zniszczyć życie jej i Roberta...

- I tak po prostu zgodziłeś się na brak kontaktu z własnym dzieckiem?

- Marysia zagroziła, że jak tylko komuś powiem i straci przez to Andrzeja, to wyjedzie z Robertem do Niemiec, do swojej ciotki i nigdy więcej ich nie zobaczę. Potem poznała tego pijaka i historia się powtórzyła. - Jakub przymknął oczy, jakby wrócił do niego ból tamtych wydarzeń. - Dlatego kilka lat temu zamieszkałem w bloku obok, z widokiem na okno pokoju Roberta, i mogłem chociaż tak go obserwować, biernie uczestniczyć w jego życiu, patrzeć, jak dorasta.

- Maria o tym wiedziała?

- Nie. Nawet jak przyszedłem kupić obrazy Roberta, to mnie nie poznała, chociaż długo mi się przypatrywała. Była mocno wstawiona albo otumaniona lekami. Od śmierci syna nie była w najlepszym stanie, chyba też znalazła pocieszenie w kieliszku. Dziwne, bo jak

Robert żył, to średnio się nim interesowała, a później nagle wpadła w rozpacz. Może wreszcie dopadły ją wyrzuty sumienia... W przeciwieństwie do tego tutaj.

Wilga ze złością kopnął Musiała w piszczel, aż tamten zaskowyczał jak zwierzę.

– Robert wiedział, że byłeś jego ojcem?

– Nie. – Jakub zamyślił się chwilę. – I to bolało mnie najbardziej.

– A czy... – Teraz Bondys bardzo ostrożnie dobierał słowa. – Robert był gejem?

– Co ty masz z tymi pedałami?! Nawet jeśli by był, to by mi to nie przeszkadzało. Kochałem mojego syna nad życie! – Głos mu się załamał. – Ale nie, nie był.

– Boże... Czyli Roberta prześladowano, szykanowano i pobito za odmienną orientację... Której nawet nie był... – Policjant mimowolnie wypowiedział na głos swoją refleksję.

– No właśnie. Dlatego ten tutaj musi zginąć, tak jak te poprzednie potwory.

Jakub podszedł do Grzegorza Musiała. Wyjął z kieszeni nóż. Wielki, sprężynowy, z zakrzywionym ostrzem. Komisarz przypomniał sobie poderżnięte gardła poprzednich ofiar.

– To nie zwróci życia twojemu synowi! Robert by tego nie zrobił!

– Muszę.

W tle rozbrzmiewały coraz głośniejszy syreny policyjne.

Poniedziałek, 23 XII 1996 r.

92

Ze snu wybudził go dzwonek telefonu. Nie miał pojęcia, która może być godzina ani ile czasu spał. Nóż, którym zaatakował go Jakub, trafił w lewe ramię, ostrze minęło jednak tętnicę ramieniową o kilka milimetrów. Miał szczęście. Przynajmniej tak twierdził ten nieprzyjemny w obyciu chirurg, który go operował. Bondys wyszedł ze szpitala po kilku godzinach od operacji na własne żądanie i wbrew zaleceniom lekarza.

Wilga za to tyle szczęścia nie miał. Po ciosie zadany w ramię komisarza Markowi udało się odebrać mu nóż i w wyniku szamotaniny ostrze ugodziło Wilgę w brzuch, uszkadzając wątrobę i śledzionę, powodując przy tym sporą utratę krwi. Upadając, Jakub uderzył głową w podłogę. Przeżył, ale przebywał w śpiączce na intensywnej terapii w stanie określanym jako ciężki. Mógł się już nigdy nie wybudzić. Mógł też nie przeżyć. Może tak byłoby dla niego lepiej...

Marek zwał się z kanapy i doczłapał do telefonu. Bolała go głowa. Właściwie pękała, jakby ktoś wrzucił mu granat pod czaszkę. Odebrał dopiero po sześciu sygnałach, mruknął zdawkowe „halo” do słuchawki i wysłuchał krótkiego komunikatu rozmówcy. Cisnął ze złością słuchawkę na widełki.

– Kurwa!



Kodeks podniósł łeb i spojrział na niego z wyrzutem, po czym westchnął głęboko, z powrotem oparł głowę o przednie łapy i wpatrywał się dużymi brązowymi ślepiami w pana.

Bondys pogłaskał pupila i podszedł do okna, żeby zapalić.

– To nie do ciebie, piesku. Śpij.

Siostra od jakiegoś czasu mówiła, że nie daje już rady łączyć zmianowej pracy w szpitalu z obowiązkami domowymi i opieką nad chorą matką. Myślał, że tylko się żali, nie radząc sobie z niesprawiedliwością losu, nie podejrzewał natomiast, że pewnego dnia Agnieszka spakuje niepełnosprawną matkę i zadzwoni do niego z informacją, że od teraz to on będzie musiał się nią zająć.

Wiele razy proponował siostrze rozważenie oddania matki do domu opieki. Oczywiście, że to okrutne, oczywiście, że lepiej jak bliskim krewnym zajmuje się rodzina. Ale jak nie ma wyjścia, to co lepszego można zrobić? Pomagał siostrze finansowo, raz na jakiś czas odwiedzał matkę, ale nic więcej nie mógł zrobić. Nie mógł poprzestawiać sobie życia, żeby zająć się Małgorzatą. Nie mógł wcisnąć Esterze jeszcze opieki nad matką. Wystarczy, że Kodeks ma u sąsiadki stały, darmowy hotel, a on sam stołuje się u niej regularnie. Musiał znaleźć rozwiązanie, przynajmniej tymczasowe, bo Agnieszka była już w drodze. Kurwa, czy życie musiało być takie skomplikowane?

Zawsze żałował wdawania się z siostrą w dyskusje na temat rodziców, które zwykle prowadziły do awantur wypełnionych histerycznym płaczem Agnieszki i jego rosnącą frustracją. Ona winiła ojca za wszystkie grzechy tego świata, matkę z kolei wielbiła i wychwalała pod niebiosa, a jakby mogła, to pewnie dawno by ją beatyfikowała. Jego strasznie to wkurwiało, bo nie dzielił rodziców

na biało i czarno. Kochał ich oboje w odmienny sposób i próbował zrozumieć każde z nich. W jego oczach ani ojciec nie był potworem, ani matka aniołem. Każde z nich chciało dobrze, każde się starało, każde z pewnością kochało swoje dzieci i każdemu z nich nie wychodziło ich wychowywanie czy opieka nad nimi.

Zaczął rozglądać się po domu. Gdzie położyć matkę? Może oddać jej swoją sypialnię, ale ani to pomieszczenie, ani reszta mieszkania nie były przystosowane dla osoby niepełnosprawnej.

Otworzył lodówkę. Dwa piwa, opakowanie jajek, parówki i połówka wysuszonej cytryny. Kto będzie robił zakupy dla matki? Chodził do apteki? Gotował? Mył ją? Przebierał? Podawał leki?

Kurwa egoistyczna mać jego siostry.

Kurwa niepełnosprawna mać jego matki.

Kurwa jego samego nieporadna mać.

Poniedziałek, 23 XII 1996 r. / wtorek, 24 XII

1996 r.

93

Z Kownackim i Rudnickim umówił się w mieszkaniu lekarza, w kamienicy przy Gdańskiej. Bondys wysiadł na rondzie Jagiellonów i przeszedł ulicą Konarskiego, mijając gastronomik i liceum plastyczne, przy którym na chwilę się zatrzymał. Patrzył na drewniane rzeźby uczniów wystawione w ogródku przed szkołą. Pomyślał, jaka to była wielka szkoda, że Robert nie uczęszczał do tego liceum. Pewnie nawet o to nie pytał matki i ojczyma, skoro tak kategorycznie negowali jego pasję.

Przeszedł przez plac Wolności, aż do Gdańskiej. Budynki słynnych bydgoskich kwiaciarek były zamknięte na cztery spusty. Zresztą o tej porze większość mieszkańców tej okolicy, którym życie, zdrowie i portfel w kieszeni były miłe, nie wychodziła z domu, jeśli nie musiała. W bramie, którą właśnie mijał, stało pięciu zakapiorów. Każdy z puszką piwa, w dresie i z zarzuconym na głowę kapturem. Rozmawiali i śmiali się głośno, wspominając jakąś głupią pizdę spod siódemki.

Kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że jest ostatni. Aleks i Marcin już polewali wódkę, którą Bondys również został już od

wejścia poczęstowany. Lubił te ich spotkania we trzech, zwłaszcza że znali się jak łyse konie i przyjaźnili od lat.

Kilka godzin później Bondys i Rudnicki nadal siedzieli i rozmawiali, jednak już bez aktywnego udziału Kownackiego. Aleks zdążył bowiem usnąć twarzą na stole, jego kieliszek pozostał osamotniony i skazany na niedopicie. Na stole dwie butelki z etykietą wyborowej przyglądały się sobie nawzajem, otwarte i prawie opróżnione. Butelkom towarzyszył jedynie sok jabłkowy w kartonie. Dochodziła piąta nad ranem. Ruszyły pierwsze tramwaje, niedługo bydgoszczanie znów będą się spieszyć, jak w każdy poranek. Ten był jednak wyjątkowy, inny od pozostałych – wigilia Bożego Narodzenia.

Marek, Aleks i Marcin nigdzie się już nie spieszyli. Po niedzielnej akcji mieli wolne aż do świąt. Komisarz pomyślał, że chyba powinien czuć potworne zmęczenie, ale na nie przyjdzie jeszcze czas. Matką i Kodeksem zajmowała się chwilowo Estera, więc teraz mógł w pełni oddać się upajaniu alkoholem, a od jutra być trzeźwym obywatelem, odpowiedzialnym synem i niepasozytującym sąsiadem.

Rudnicki ułożył Kownackiemu głowę tak, żeby opierał się o stół bokiem twarzy.

– Chyba kolega Aleks już opuścił nas na dziś.

Bondys zdziwił się troską kolegi i zaśmiał się.

– Dbasz o jego wygodę podczas snu z przechlania?

– Nie, kolego drogi. Po prostu widziałem za dużo zgonów w wyniku zadławienia własnymi wymiocinami, żeby ryzykować takowy we własnym domu.

Marek przechylił butelkę, biorąc solidnego łyka, skrzywił się i od razu wziął kolejnego.

- No tak, to bardzo miło z twojej strony.

- Jutro, a właściwie już od kilku godzin dzisiaj, wigilia. - Lekarz spojrział na zegarek. - Co będziesz robił?

Bondys zapatrzył się na butelkę wódki.

- Nie wiem, dzień jak co dzień.

- Ej, co jest, stary? - Marcin wskazał brodą przechylaną rytmicznie butelkę. - Chcesz się zachlać na umór jak Aleks? Trawisz to, że raniłeś Wilgę nożem, czy o co chodzi? Przecież nie miałeś wyjścia, inaczej zabiłby tego gościa.

- No właśnie.

Bondys zatrzymał wzrok na ścianie, na której wisiał niewielki obraz przedstawiający ogromne, szeroko rozgałęzione drzewo. Czarno-biała grafika nie wyróżniała się niczym specjalnym, a mimo to przyciągała wzrok swoją zwyczajnością, a może też ukrytą między gołymi gałęziami wyczuwalną nostalgią.

- Co „no właśnie”?

- Powinienem mu na to pozwolić.

- Co ty mówisz? Po wódzie to ci się już całkiem miesza w głowie, wy to z Aleksem w ogóle macie słabe głowy. - Lekarz pociągnął dumnie łyk z butelki, nawet się przy tym nie krzywiąc.

- Nie, Marcin, jestem cholernie przytomny i czuję, że powinienem był Wildze pozwolić zabić tego sadystę. - Spojrział koledze prosto w oczy. - Stanałem nie po tej stronie barykady. To nie Wilga powinien skończyć z kosą w brzuchu, on jako jedyny wymierzał sprawiedliwość. Wszystkie jego ofiary były potworami. I wszyscy powinni odpowiadać za śmierć Roberta, włącznie z jego ojczymem. Może przede wszystkim jego należy obwiniać o samobójstwo nastolatka. Ten chłopak nigdy nikomu nie zrobił

krzywdy, a całe jego otoczenie zgotowało mu piekło na ziemi. Do tego stopnia, że wrażliwy młody człowiek postanowił odebrać sobie życie. A ja jeszcze ścigałem i zraniłem jedyną osobę, która chciała o tym opowiedzieć światu, ukarać oprawców Roberta i pomścić jego śmierć. Zaatakowałem pewnie jedyną osobę, która kochała Roberta i okazała mu człowieczeństwo.

Nastąpiła chwila ciszy. Aleks głośno chrapnął i podniósł głowę, jakby się wybudzał, ale zaraz ponownie oparł twarz na blacie.

– Przecież wiesz, że tak trzeba było postąpić. Że samosąd nie jest metodą. Że takie jest prawo...

– W dupie mam takie prawo i że tak trzeba.

Komisarz wstał, poszedł chwiejnym krokiem do przedpokoju, wzięł buty, nie wiążąc sznurowadeł, i zarzucił płaszcz na ramiona.

– Świata nie zmienisz, Bondys. – Rudnicki podszedł do niego i poklepał go przyjacielsko po ramieniu. – Nie walcz z nim, bo się wykończysz.

– Świata może nie, ale zawód i siebie mogę. – Komisarz skinął głową na Kownackiego. – Mam ci pomóc pozbyć się tego delikwenta?

– Poradzę sobie, pewnie sam się obudzi niedługo – zachichotał Rudnicki.

Marek uściskał pulchną rękę Marcina i chwycił za klamkę.

Postanowił się przejść. Przynajmniej wytrzeźwieje. Kręcił się bez celu, nieśpiesznie. Myślał o drzewie z obrazu i jego korzeniach. Robert miał najgorsze korzenie z możliwych, a mimo to wyrósł na wrażliwego i dobrego chłopaka. Tylko co z tego, skoro świat okazał się dla niego zbyt okrutny?

Po ósmej rano Bondys dotarł do Kanału Bydgoskiego, gdzie jakiś bezdomny próbował się ogrzać ogniskiem rozpalonym w starym, metalowym koszu na śmieci, ten jednak bardziej dymił, niż grzał. Mężczyzna pocierał jedną ręką o drugą i dreptał w miejscu, żeby wykrzesać jak najwięcej ciepła.

– Ma pan złotóweczkę? – zagadnął komisarza i ukazał szczerbaty uśmiech.

– Nie mam – odpowiedział stanowczo Bondys.

Żebrak stracił natychmiast zainteresowanie i odwrócił się z powrotem do ognia.

– Ale idę do Kaskady na śniadanie i szukam kompana. Może zechce mi pan towarzyszyć? Ja stawiam.

Patrzył wyczekująco na mężczyznę, który zdawał się nie wierzyć w jego słowa.

– Jaja sobie pan ze mnie, kurwa, robisz?

Spojrzał ponownie na komisarza, ten jednak zaprzeczył ruchem głowy i stał przy nim ze śmiertelnie poważną miną.

– Dlaczego pan to robi?

– Bo mógłby być pan moim ojcem.

– No bez przesady, ja najwyżej mam dychę więcej od pana. – Zaśmiał się szczerze, znów prezentując ubytki w uzębieniu.

– Nie dosłownie. – Markowi ścisnęło się gardło. – Dobra, idziesz pan czy nie? Bo głodny jestem.

Pół godziny później siedzieli w Kaskadzie, ciągle jednym ze słynniejszych lokali w mieście, jedli białą kiełbasę z chrzanem, chleb z masłem i popijali kawą. Bondys tradycyjnie czarną bez cukru, a jego gość – Michał z Rokietnicy, jak się przedstawił – białą kawę posłodzoną trzema łyżeczkami cukru. Bezdomny poprosił jeszcze o

jajecznice i wyglądał jak dziecko, które dostało największego gofra z bitą śmietaną w całym wesołym miasteczku. Komisarz starał się nie zwracać uwagi, jak mężczyzna głośno mlaszcze przy jedzeniu i jak strasznie cuchnie. Kelnerka też patrzyła na nietypowego klienta spode łba, ale nic nie powiedziała.

Bondys patrzył przez szybę na Stary Rynek, dokładnie na miejsce, gdzie odnalazł swojego ojca.

Martwego ojca.



# Podziękowania

Dziękuję mojemu mężowi, Markowi Białysowi, za bycie pierwowzorem komisarza Marka Bondysa, udostępnienie wieku i inicjałów bohaterowi oraz za słabość komisarza do thrash metalu. A także za codzienne wsparcie, pomoc, wiarę w moje pisanie i zajmowanie się naszą córką Zoją wieczorami, abym mogła pisać. Misiu, dziękuję!

Mojej mamie, Annie Janusz-Szczukowskiej, za konsultacje w tematyce psychiatrii, chorób psychicznych i funkcjonowania szpitala psychiatrycznego. Mamuś, dziękuję!

Mojemu tacie, Zbigniewowi Szczukowskiemu, za wspomnienia o dziadku Aleksym Szczukowskim pracującym w Zachemie, za opowieści o wielkim wybuchu trotylu, szarej powojennej Bydgoszczy, po której jeździły wozy konne, i o tym, jak się pali poznańskie. Daddy, dziękuję!

Dziękuję moim pierwszym czytelnikom i jednocześnie świetnym (i baaardzo bezpośrednim!) recenzentom za wszystkie uwagi, komentarze i znalezione błędy. Sławomir Przysiewkowski (niezmiennie najlepszy!), Marzena Zwiewka, Anna Olszewska, Justyna Wszolek, Andrzej Cieśniewski, Katarzyna Jaworska, Katarzyna Myk, Edyta Myk – dziękuję wam!

Za recenzje, komentarze i niejedną bondysową burzę mózgow dziękuję pisarskiej Grupie Zielone Pióra: Danielowi Olszewskiemu (naszemu ojcu założycielowi), Gosi Kasak-Ziółkowskiej, Annie

Siwińskiej, Konradowi Grześlakowi, Kasi Szwarockiej, Dagmarze Dudzińskiej, Grześkowi Supińskiemu.

Za sprawdzanie fragmentów dotyczących pracy policjantów – mojej ukochanej przyjaciółce (niezmiennie od dwudziestu pięciu lat!) Marcie Bagniewskiej oraz Krzysztofowi Wszółkowi. Jeśli w powieści występują jakiegokolwiek nieścisłości, to są tylko pokłosiem wyobraźni autorki, a nie wiedzy dwóch powyższych osób.

Koledze Romanowi Bożejewiczowi za klimatyczne sesje fotograficzne ukazujące mroczny charakter Bydgoszczy i autorki!

Robertowi Małeckiemu – mojemu nauczycielowi z dwóch kursów pisarskich – za pokazanie właściwej ścieżki, którą powinnam iść z Bondysem za rękę.

Maciejowi Kamińskiemu, wieloletniemu redaktorowi naczelnemu „Gazety Pomorskiej” i mojemu pierwszemu nauczycielowi pisania, z odległych czasów wspólnej pracy w wydawnictwie. Maciek, dziękuję!

Magdzie Kostrzewskiej z „Maszyny do pisania” za organizację niezwykłych kursów pisarskich!

Kamilowi Miśkowi oraz całemu Wydawnictwu SQN za okazane zaufanie dla pewnej nieznannej autorki z Bydgoszczy.

Ewie Mędrzeckiej – redaktorze z SQN – za nieocenioną pomoc przy tekście i wytrzymanie zarobaczonych fragmentów!

Znakomitej psycholog Agacie Sielskiej za pomoc w pracy nad meandrami psychiki bohaterów.

Serdeczne podziękowania (wraz z obiecany egzemplarzem powieści) ślę do pana Mieczysława Greckiego – dyrektora artystycznego TREFL SA, który w 2020 roku na nieśmiałą mailową prośbę bydgoskiej dziewczyny piszącej kryminały poszukał i przesłał

archiwalne katalogi z lat 90. z wzorami puzzli TREFL. To dzięki panu Mieczysławowi Bondys może układać autentyczne obrazki!

Mojemu rodzinnemu miastu – Bydgoszczy – za ukształtowanie mnie, inspirację do napisania *Robaków w ścianie* i bycie wymarzonym miejscem akcji dla powieści kryminalnej.

Czytelnikom za ogromne zaufanie i poświęcony czas! Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze przy kolejnych częściach serii z komisarzem Bondysem.

Bydgoszcz, 6 czerwca 2023

*Hanna Szczukowska-Białys*

**Drodzy Czytelnicy,**

dziękujemy za zakup naszej książki.  
Jesteście czytelnikami sine qua non, warunkiem koniecznym  
istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje  
dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję,  
że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN

**NOWE SPRAWY KOMISARZA  
BONDYSA JUŻ NIEBAWEM!**



**SQN**  
WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

**SQN**STORE.PL    labotiga.pl

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Poniedziałek, 7 X 1996 r. Prolog

1

Czwartek, 6 VI 1996 r. 2

Poniedziałek, 7 X 1996 r. 3

4

5

6

7

8

Wtorek, 8 X 1996 r. 9

10

11

12

13

14

15

Środa, 9 X 1996 r. 16

17

18

19

Czwartek, 10 X 1996 r. 20

21

22

23

24

25

Piątek, 11 X 1996 r. 26

Poniedziałek, 14 X 1996 r. 27

28

29

Wtorek, 15 X 1996 r. 30

Czwartek, 17 X 1996 r. 31

Poniedziałek, 21 X 1996 r. 32

Czwartek, 24 X 1996 r. 33

Piątek, 1 XI 1996 r. 34

Sobota, 2 XI 1996 r. 35

36

Niedziela, 3 XI 1996 r. 37

38

39

40

Poniedziałek, 4 XI 1996 r. 41

42

43

Wtorek, 5 XI 1996 r. 44

45

Piątek, 8 XI 1996 r. 46

Niedziela, 10 XI 1996 r. 47

Wtorek, 12 XI 1996 r. 48

Niedziela, 17 XI 1996 r. 49

Czwartek, 21 XI 1996 r. 50

Piątek, 29 XI 1996 r. 51

Sobota, 30 XI 1996 r. 52

53

54

55

Poniedziałek, 2 XII 1996 r. 56

57

Wtorek, 3 XII 1996 r. 58

59

60

Środa, 4 XII 1996 r. 61

62

63

64

65

Czwartek, 5 XII 1996 r. 66

67

68

69

70

Poniedziałek, 9 XII 1996 r. 71

72

73

Środa, 11 XII 1996 r. 74

Sobota, 14 XII 1996 r. 75

76

77

Niedziela, 15 XII 1996 r. 78

79

80

81

82

83

84

Poniedziałek, 16 XII 1996 r. 85

86

87

Sobota, 21 XII 1996 r. 88

Niedziela, 22 XII 1996 r. 89

90

91

Poniedziałek, 23 XII 1996 r. 92

Poniedziałek, 23 XII 1996 r. / wtorek, 24 XII 1996 r. 93

## Podziękowania